

A romantic scene of a man and a woman holding hands on a beach at sunset. The man is on the left, wearing a light-colored shirt, and the woman is on the right, wearing a white t-shirt and denim shorts. They are both looking out at the ocean under a golden sky with scattered clouds. The text is overlaid on the upper part of the image.

GRA MIŁOŚCI

Huntley
Fitzpatrick

GRA MIŁOŚCI

Huntley Fitzpatrick

Przełożyła
Katarzyna Krawczyk

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Huntley Fitzpatrick
Gra miłości

Tytuł oryginału
The Boy Most Likely To

ISBN 978-83-8116-132-9

Copyright © 2015 by Huntley Fitzpatrick
All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with Dial Books for Young Readers, an imprint of Penguin Young Readers Group, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2017

Redakcja
Witold Kowalczyk

Skład
Witold Kowalczyk

Cover photo: Shutterstock/EpicStockMedia
Projekt graficzny okładki
Tobiasz Zysk

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty

Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty
Rozdział czterdziesty piąty
Rozdział czterdziesty szósty
Rozdział czterdziesty siódmy
Epilog
Podziękowania

Mojej mamie, która umiała kochać. I miała słabość do psotników o złotych sercach.

Mojemu tacie, który zawsze kochał silne kobiety i je podziwiał.

Oraz Georgii Funsten i Patricii Young, najmądrzejszym i najsilniejszym ze znanych mi kobiet.

Rozdział pierwszy

TIM

Wezwano mnie na spotkanie z Człowiekiem Znikąd.

Siedzi przy biurku, kiedy wchodzę do szarej jaskini stanowiącej jego gabinet. Siedzi odwrócony plecami do mnie.

— Hm, Pop?

Unosi rękę, pisze dalej na podkładce w linie. Standardowa procedura.

Rozglądam się szybko: półka nad kominkiem, dywan, biblioteczka, okno; próbuję znaleźć wygodne miejsce do lądowania.

Nie ma mowy.

Ma bardzo lubi „słodziaki” — miśki w strojach sezonowych, poduszki z napisami i inne podobne badziewia, które kupuje w sieci QVC. Są wszędzie. Z wyjątkiem tego pokoju, który wygląda jak żywcem wyjęty z Johna Grishama: cały w skórze, przez rolety wpada stłumione światło. Na zewnątrz panuje sierpniowy upał, ale nie dostaje się do wewnątrz. Pop jest zwrócony do mnie plecami, opadam na szarą sofę twardości granitu, przecieram oczy i opieram się na łokciach.

Na jego biurku stoją trzy zdjęcia Nan, mojej bliźniaczki, przedstawiające ją w różnym wieku: z szopą rudych włosów, szczerbatą, potem odsłaniającą zęby w aparacie ortodontycznym. Zawsze ze zmartwieniem w oczach. Dwa kolejne zdjęcia na ścianie: prostowane włosy, kosztowny biały uśmiech, plus wycinek z gazety w ramce przedstawiający ją po wygłoszeniu przemówienia na tegorocznej fecie z okazji czwartego lipca w Stony Bay.

Ani jednego mojego zdjęcia.

Czy kiedykolwiek jakieś się tu znalazło? Nie pamiętam. W złych starych czasach zawsze dostawałem drgawek przed spotkaniem z ojcem w biurze.

Chrząkam.

Wyłamuję kostki.

— Tato? Chciałeś mnie widzieć?

Wręcz podskakuje.

— Tim?

— Tak.

Obraca się w krześle i obrzuca mnie spojrzeniem. Jego oczy, jak oczy Nan i moje własne, są szare. Pasują do jego gabinetu.

— Zatem... — odzywa się.

Czekam. Próbuję oprzeć się pokusie sięgnięcia po butelkę macallana na... nieważne, jak się to nazywa. Barek? Komoda? Na ogół mama przynosi lód w małym srebrnym wiaderku dziesięć minut po tym, jak ojciec wraca z pracy

o osiemnastej. Synchronizacja jak u tych odjechanych ludzików z zegara z kukułką, którzy wyskakują zza drewnianych drzwiczek dokładnie w chwili, kiedy zegar wybijał godzinę — tak, żeby ojciec miał gotową pierwszą ze swoich dwóch porcji szkockiej.

Dzisiaj musi być wyjątkowy dzień. Jest dopiero piętnasta, a wiaderko już tutaj stoi i pokrywa się szronem, jak ja. Już jako dziecko wiedziałem, że ojciec zostawi drugiego drinka do połowy niedopitego. Wtedy będę mógł wychłęptać resztki wody z lodem po szkockiej, a on się nie dowie, gdyż będzie wtedy mył ręce przed kolacją. Nie pamiętam, kiedy zacząłem to robić, ale stało się to, jeszcze zanim opadły mi jaja.

— Mama mówiła, że chcesz porozmawiać.

Strzepnął sobie z kolana niewidoczny pyłek, jakby już przestał zwracać na mnie uwagę.

— A mówiła, o co chodzi?

Znów chrząkam.

— Ponieważ się wyprowadzam? Taki mam plan. Dzisiaj.

Lepiej, gdyby już mnie tu nie było.

Jego spojrzenie wraca do mnie.

— Uważasz, że to dla ciebie najlepszy wybór?

Klasyczny człowiek znikąd. Wyprowadzka to przecież nie mój wybór. To jego ultimatum. Jedyne „najlepszy wybór”, jakiego ostatnio dokonałem, to był koniec picia. I tak dalej.

Ale ojciec lubi odwracać kota ogonem i nieważne, że to był jego rozkaz — teraz może obrócić ster, nawet nie patrząc, i sprawić, żebym poczuł się jak śmieć.

— Zadałem ci pytanie, Tim.

— Jest dobrze. To dobry pomysł.

Ojciec splata palce i opiera na nich podbródek — to mój podbródek, łącznie z zagłębieniem i całą resztą.

— Kiedy wyrzucili cię z Ellery Prep?

— Uhm... osiem miesięcy temu.

Na początku grudnia. Od ferii na Święto Dziękczynienia nawet nie rozpakowałem walizek.

— A w ilu miejscach pracowałeś od tego czasu?

Może nie pamięta. Postanawiam nie dać się wciągnąć.

— W trzech.

— W siedmiu — poprawia mnie.

Cholera.

— Z ilu z nich cię wylali?

— Wciąż mam jeszcze...

Obraca się na krześle bokiem do biurka i marszcząc brwi, wpatruje w swój

telefon.

— Z ilu?

— Z biura pani senator oszczędłem sam, więc tak naprawdę tylko z pięciu.

Ojciec odwraca się z powrotem do mnie, odkłada telefon i przygląda mi się uważnie przez okulary do czytania.

— Doskonale zdaję sobie sprawę, że zrezygnowałeś z tej pracy. Mówisz „tylko”, jakbyś miał się czym chwalić. Od lutego wyrzuciło cię pięciu pracodawców z siedmiu. Wyleciałeś z trzech szkół... Wiesz, że nigdy w życiu nie pozwoliłem sobie na utratę pracy? Nigdy nie otrzymałem negatywnej oceny pracowniczej? Oceny niższej niż B? Twoja siostra też nigdy tego nie zrobiła.

Cudnie. Doskonała stara Nano.

— Zawsze miałem dobre oceny — mówię. Moje spojrzenie błądzi znów w kierunku macallana. Muszę czymś zająć ręce. Na przykład skręcaniem blanta.

— Właśnie — odpowiada ojciec. Podrywa się z fotela; jest niemal tak kościsty jak ja i tego samego wzrostu. Odkłada okulary na biurko, rozlega się brzęk, szybko przesuwając dłońmi po krótkich włosach, po czym skupia się na nabieraniu lodu i odmierzaniu szkockiej.

Dolatuje mnie piżmowy aromat podobny do jodiny. Cholera, jak dobrze to pachnie.

— Tim, nie jesteś głupcem, ale zachowujesz się tak, jakbyś nim był.

No doobra... przez całe lato niemal się do mnie nie odzywał. A teraz wyskakuje z pretensjami? Ale muszę się postarać. Odrywam wzrok od karmelowego płynu w jego szklance i skupiam spojrzenie na jego twarzy.

— Pop. Tato. Wiem, że nie jestem synem, jakiego... mógłbyś sobie wymarzyć...

— Masz ochotę się napić?

Z chlupotem nalewa whisky do drugiej szklanki, niezwykle nieostrożnie, odstawia butelkę na podkładkę z godłem Uniwersytetu Columbia na stoliku obok, po czym przesuwając ją w moim kierunku. Własną szklankę unosi do ust, bierze łyk, po czym starannie odstawia naczynie na swoją podkładkę, jest niemal puste.

No to się narobiło.

— E... słuchaj... — Gardło mam ściśnięte, głos dziwny, najpierw schrypnięty, a po chwili piskliwy. — Od końca czerwca nie miałem w ustach drinka ani nic takiego, to już, tego... pięćdziesiąt dziewięć dni, ale kto by to liczył. Robię, co mogę. I ja...

Pop z zacięciem obserwuje ryby w akwarium pod ścianą.

Nudzę go.

— I nadal będę... — urywam.

Następuje długa chwila ciszy, podczas której nie mam pojęcia, co on sobie myśli. Wiem tylko tyle, że mój najbliższy przyjaciel już tu jedzie, a moja jetta na

podjeździe coraz bardziej kojarzy się z jedyną drogą ucieczki.

— Cztery miesiące. — Ojciec wypowiada te słowa zupełnie bez intonacji, jakby odczytywał je z gazety. Odwrócił się i zapatrzył w biurko, więc to możliwe.

— Ee.... Tak... co takiego?

— Daję ci cztery miesiące, licząc od dzisiaj, żebyś wziął się w garść. W grudniu kończysz osiemnaście lat. Będziesz mężczyzną. Potem, jeśli nie zaczniesz się zachowywać jak mężczyzna, pod każdym względem, odcinam cię od finansów. Przystaję płacić za ciebie składki zdrowotne i ubezpieczenie samochodu, a fundusz na studia przekazuję na konto twojej siostry.

Co prawda nigdy nie czułem pod sobą miękkiego dywanu, ale cokolwiek tam było, zostało właśnie usunięte, a ja z rozpędem usiadłem na tyłku.

Zaraz... co takiego?

W grudniu stanę się mężczyzną. Abrakadabra i już. Jakby istniała jakaś data ważności na... na to, gdzie jestem teraz.

— Ale... — zaczynam.

Ojciec sprawdza swoje seiko, naciska na guzik, może uruchamia odliczanie.

— Dzisiaj jest dwudziesty czwarty sierpnia. Masz czas prawie do Bożego Narodzenia.

— Ale...

Unosi dłoń, jakby chciał przyciskiem wyłączyć moje słowa. Ultimatum numer dwa.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć, ale to nieważne, gdyż to koniec rozmowy.

To tyle na razie.

Prostuję nogi, zrywam się i kieruję ku drzwiom na autopilocie.

Chcę jak najszybciej się stąd wydostać.

On też tego chce.

Hej, hej, tato.

Rozdział drugi

TIM

— Naprawdę chcesz to zrobić?

Wpycham resztki ciuchów do kartonu, kiedy wchodzi mama. Bez pukania, gdyż nigdy nie puka. To jest cholernie ryzykowne, kiedy ma się w domu napalonego siedemnastoletniego syna. Staje w drzwiach w różowej koszuli i tej swojej dżinsowej spódnicy w... Czy to są kraby? W spódnicy w kraby.

— Wypełniam rozkazy, ma. — Do wypchanego pudełka wciskam jeszcze klapki, pcham mocno. — Życzenie taty jest dla mnie rozkazem.

Robi krok do tyłu, jakbym ją uderzył. Chyba to przez mój ton. Od niemal dwóch miesięcy jestem czysty, ale muszę jeszcze przestać być dupkiem. Ha!

— Miałaś tyle, ile ja nigdy nie miałam, Timothy...

Znów się zaczyna.

— ...prywatne szkoły, lekcje pływania, obóz tenisowy...

Racja. Jestem alkoholikiem, którego wyrzucono z liceum, ale za to ma świetny bekhend!

Mama wygładza zmarszczki na niebieskim swetrze; jednym szybkim ruchem strzepuje go w powietrzu.

— Co będziesz robił? Nadal pracował w sklepie żelaznym? Chodził na te spotkania?

Słowa „sklep żelazny” wypowiedziada jak „klub ze striptizem”, a „chodzenie na te spotkania” zabrzmiało w jej ustach jak „granie w porno”.

— To dobra praca. A te spotkania są mi potrzebne.

Ręce mamy zaczynają gładzić stos moich złożonych ubrań. Na jej bladych, piegowatych ramionach występują niebieskie żyły.

— Nie rozumiem, jak obcy mogą ci pomóc bardziej niż rodzina.

Już otwieram usta, by powiedzieć: „Wiem, że nie rozumiesz. Dlatego potrzebuję obcych”. Albo: „Wujkowi Seanowi też przydałoby się poznać tych obcych”. Ale ani o takich sprawach, ani o wujku nie rozmawiamy.

Wrzucam do pudła parę chyba za małych mokasynów i podchodzę, żeby ją uściskać.

Mama szybko, ostro głaska mnie po plecach i się odsuwa.

— Głowa do góry, ma. Nan na pewno dostanie się na Uniwersytet Columbia. Tylko jedno z waszych dzieci spieprzyło sobie życie.

— Uważaj na słowa, Tim.

— Przepraszam. Przerębało.

— To brzmi nawet gorzej.

A niech tam, nieważne.

Drzwi mojego pokoju otwierają się z rozmachem — znów nikt nie zapukał.
— Jakaś dziewczyna z zapaleniem gardła chce z tobą rozmawiać, Tim —
mówi Nan, mierząc wzrokiem moje pakunki. — Boże, wszystko ci się pogniecie.
— Nie martwi mnie to — mówię, ale ona już rzuciła karton na moje łóżko.
— Gdzie twoja walizka? — Zaczyna dzielić moje rzeczy na stosy. — Ta
z niebieskiego płótna z twoim monogramem?
— Nie mam pojęcia.
— Sprawdź w piwnicy — wtrąca ma, chyba z ulgą, że może uciec z pokoju.
— A co z tą dziewczyną, Timothy? Przynieść ci telefon?

Nie przychodzi mi do głowy żadna dziewczyna, której miałbym cokolwiek
do powiedzenia. Z wyjątkiem Alice Garrett, ale ona na pewno by do mnie nie
zadzwoiła.

— Powiedz jej, że nie ma mnie w domu.

I już nie będzie.

Nan szybko zwija ubrania i układa moje koszule w nieco większym
porządku. Łapię ją za ręce i je unieruchamiam.

— Daj spokój, to nieważne.

Unosi wzrok. Cholera. Płacze.

My Masonowie szybko zaczynamy płakać. Przekleństwo Irlandczyków
(jedno z wielu). Otaczam ramieniem jej szyję, klepię ją po plecach nieco zbyt
mocno, gdyż siostra zaczyna kasłać, dławi się, a w końcu śmieje słabo.

— Możesz mnie odwiedzać, Nano. Kiedy tylko potrzebujesz... uciec... albo
cokolwiek.

— Daj spokój, to nie będzie to samo — odpowiada Nan, po czym
wydmuchuje nos w moją koszulę.

Nie będzie. Nie będzie już posiadów niemal do rana, oglądania starych
filmów ze Steve'em McQueenem, gdyż uważam, że jest zajebisty, a Nan uważa go
za niezłe ciacho. Nie będzie cudownie pojawiających się w moim pokoju
twizzlerów i twixów i innych łakoci, gdyż Nan wie, że pochłanianie słodczy to
jedyna pewna kuracja dla narkomana.

— Masz szczęście. Nie będziesz już musiała chronić mi tyłka, kiedy nie
wrócę na noc do domu, ani wymyślać kreatywnych wymówek, kiedy nie przyjdę
na jakąś imprezę. Nie będę wciąż sępił od ciebie kasy.

Teraz wyciera sobie łzy moją koszulką. Zdejmuję ją i jej podaję.

— Masz na pamiętkę.

Nan składa koszulkę w kostkę — niesamowite — po czym się w nią
wpatruje. Minę wciąż ma smutną.

— Czasami czuję się tak, jakbym tęskniła za wszystkimi, których
kiedykolwiek poznałam. Tęsknię nawet za Danielem. Tęsknię za Samantha.

— Daniel był pompatycznym bucem i beznadziejnym chłopakiem.

Samantha, twoja prawdziwa przyjaciółka, jest dziesięć ulic i dziesięć minut stąd. Wystarczy do niej napisać.

Zbыва mnie parsknięciem, kuca i przysuwa kościste kolana do piersi, schylając głowę tak, że włosy opadają na zaczerwienioną twarz. Oboje z Nan jesteśmy rudzi, ale ona ma wszystkie przypadające na nas piegi, na całym ciele, podczas gdy ja jestem piegowaty tylko na nosie. Nan spogląda na mnie z tą swoją miną jednocześnie żalną i roztrzęsioną. Nie znoszę tej miny. Zawsze wygrywa.

— Poradzisz sobie, Nan. — Pukam się palcem w skroń. — Dorównujesz mi inteligencją, ale za to mniej narozrabiałaś. Przynajmniej tak myślą ludzie.

Nan się wzdryga; krzyżujemy spojrzenia. Na podłodze między nami leży krwawiący słoń. Potem siostra odwraca spojrzenie, bierze kolejny T-shirt i z wprawą go składa, jakby na świecie najważniejsze było równe ułożenie rękawków.

— Niekoniecznie — odpowiada stłumionym głosem. Nie połknęła przynęty także w tym wypadku, jak się zdaje.

Macam na oślep po narzucie na łóżku, znajduję papierosy, zapalam i zaciągam się głęboko. Wiem, że to niezdrowe i ogólnie złe, ale, na Boga, jak można przeżyć dzień bez papierosa? Odkładam dymiący niedopałek do popielniczki i znów klepię siostrę po plecach, tym razem delikatnie.

— No już. Nie pękaj. Znasz ojca, chce, żeby mu się wszystko zgodziło i pododawało. Praca, matura, studia. Odfajkowane punkty na liście. Wystarczy, że dobrze wygląda. Poradzisz sobie.

Nie wiem, czy udało mi się pocieszyć siostrę, ale sam czuję, jak ognista kula w żołądku się uspokaja i schładza. Udawać. Tyle jeszcze mogę.

Do pokoju zagląda mama.

— Jest ten chłopak od Garrettów. Boże, Tim, załóż coś na siebie. — Wyrzebuje z komody koszulkę obozu Wyoda i rzuca mi. Myślałem, że wywaliłem ten T-shirt lata temu. Nan zrywa się, wyciera oczy, wygładza swoją koszulkę i przeciąga dłońmi po szortach. Ma mnóstwo takich nerwowych nawyków: obgryzanie paznokci, zakręcanie włosów na palcu, stukanie ołówkiem w blat. Mnie zawsze udaje się wywinąć z podrobioną legitymacją, spokojną miną i uśmiechem. Moja siostra wygląda na winną nawet przy odmawianiu pacierza. Kroki na schodach, urywane pukanie do drzwi — jedyny gość, który zapukał! — i wchodzi Jase, odgarniając dłonią mokre włosy z twarzy.

— Cholera, jeszcze nie zaczęliśmy pakować tego do samochodu, a ty już się spociałeś?

— Biegłem całą drogę — odpowiada Jase, kładąc dłonie na kolanach. Unosi wzrok. — Cześć, Nan.

Nan, która odwróciła się tyłem, kiwa mu szybko i nerwowo. Potem obraca się i wrzuca mi do pudła zwinięte w kulkę skarpetki, przy okazji powoli wodząc

wzrokiem po Jasie. Dziewczyny zawsze się za nim oglądają.

— Biegłeś tutaj? Od ciebie to z osiem kilometrów! Oszalałeś?

— Trzy. I nie, nie oszalałem. — Jase opiera się dłonią o ścianę, zgina nogę, łapie się za kostkę i rozciąga mięśnie. — Po siedzeniu w sklepie przez całe lato straciłem kondycję. Nawet te trzy tygodnie obozu sportowego nie bardzo mi ją poprawiły.

— Nie wyglądasz na kogoś bez kondycji — mówi Nan, po czym potrząsa głową tak, że włosy spadają jej na twarz. — Tim, daj znać, jak będziesz wychodził — dodaje i wymyka się z pokoju.

— Gotowy? — Jase rozgląda się po pokoju, nieświadomy skoku poziomemu hormonów u mojej siostry.

— E... chyba tak. — Też się rozglądam. W głowie mam pustkę, potrafię jedynie wziąć swoją popielniczkę z muszli. — Przynajmniej ubrania spakowałem. Idzie mi beznadziejnie.

— Szczoteczka do zębów? — podpowiada łagodnie Jase. — Maszynka do golenia. Może książki? Jakiś sprzęt sportowy?

— Kij do lacrosse z Ellery? Raczej nie będzie mi potrzebny. — Gaszę kolejnego papierosa.

— Rower? Deska? Kąpielówki? — Jase rzuca mi spojrzenie; jego zęby błyskają w uśmiechu, odbijając światło mojej zapalniczki.

Mama znów wpada do pokoju, aż drzwi odbijają się od ściany. Przez ramię ma przewieszony obszerny żółty płaszcz nieprzemakalny, w jednej ręce trzyma parasol, a w drugiej żelazko.

— Przydadzą ci się. Mam ci spakować koce? Co się stało z tym miłym chłopakiem, z którym miałeś zamieszkać?

— Nie wyszło.

Oznacza to tyle, że ten miły chłopak, mój kumpel Connell z AA, wrócił do alkoholu i kokainy, zadzwonił do mnie nawalony, bełkocząc bzdurne wymówki. Raczej nie nada się na współlokatora. Najlepszym wyjściem będzie mieszkanie nad garażem.

— A czy w tej dziurze jest chociaż ogrzewanie?

— Boże, mam, nawet nie widziałaś, co to...

— To dość porządne mieszkanie — wtrąca Jase, nawet nie mrugając. — Mój brat tam mieszkał, a on lubi wygodę.

— No dobrze. To... to pakujcie się, chłopcy. — Przerzywa, przesuwa dłonią po włosach, spod rudej farby wyglądają centymetrowe siwe odrosty. — Nie zapomnij tej ozdobnej papeterii od cioci Nancy, przyda się, jakbyś chciał komuś podziękować na piśmie.

— Nawet mi się nie śni, mam, zapomnieć.

Jase schyla głowę, uśmiecha się, po czym bierze jeden karton.

— A poduszki? — pyta mama. — Możesz je wziąć pod pachę, prawda? Masz długie ramiona.

Chryste.

Jase posłusznie unosi łokieć, a mama wciska mu dwie poduszki.

— Wrzucę je do jetty. Nie spiesz się, Tim.

Ostatni raz obrzucam wzrokiem pokój. Na tablicy korkowej nad moim biurkiem wisi kartka papieru ze słowami CHŁOPAK Z SĄSIEDZTWA, nabazgranymi czerwonym pisakiem. W jeden z niewielu dni zeszłej jesieni, które dobrze pamiętam, spotkałem się z przyjaciółmi (nieudacznikami) w Ellery przy szopie dla łodzi, gdzie trzymali kajaki (i gdzie się zwykle chowaliśmy na blanta). Wymyśliliśmy naszą własną wersję tych durnych wpisów do ksiąg pamiątkowych w stylu: „Chłopak, który najprawdopodobniej zostanie milionerem przed dwudziestką”, „Chłopak, który najprawdopodobniej stworzy własny reality show”, „Chłopak, który najprawdopodobniej podpisze kontakt z NFL”. Nie wiem, po co to w ogóle trzymałem.

Ściągam kartkę ze ściany, składam ją starannie i wciskam do tylnej kieszeni.

*

Nan przychodzi w chwili, kiedy Jase, który czekał na mnie w hallu, otwiera skrzypiące drzwi frontowe i wychodzi.

— Tim — szepcze mama, zimną ręką biorąc mnie pod ramię. — Nie znikaj... — mówi, jakbym po wyjściu z domu miał wyparować jak mgła nad rzeką.

Może i zniknę.

*

Zanim dotrzemy na podjazd Garrettów, wypalam osiem papierosów, a przed zgaszeniem ostatniego kilka razy pstrykam zapalniczką. Gdybym mógł wypalić wszystkie jednocześnie, pewnie bym to zrobił.

— Powinieneś rzucić — mówi Jase, wyglądając przez okno. Nie atakuje mnie oskarżycielskimi minami.

Już biorę zamach, żeby wyrzucić przez okno ostatni niedopałek, ale się powstrzymuję.

Tak, jasne, najlepiej wyrzucić go obok wózka małej Patsy i błękitnego czterokołowego rowerka czteroletniego George'a. Poza tym George wierzy, że rzuciłem palenie.

— Nie mogę — odpowiadam. — Jestem zmęczony. Poza tym rzuciłem już picie, dragi i seks. Muszę zostawić sobie kilka wad, bo inaczej będę zbyt doskonały.

Jase prychnie.

— Seks? Tego chyba nie musisz rzucać. — Otwiera drzwi od strony

pasażera i zaczyna wysiadać.

— Muszę rzucić taki seks, jaki uprawiałem. Muszę przestać podrywać laski, jak leci.

Teraz Jase robi niewyraźną minę.

— To od tego też byłeś uzależniony? — pyta w połowie drogi na zewnątrz, butem trącając stos starych gazet po stronie pasażera.

— Nie w tym sensie, że musiałem, czy coś w tym stylu. Tylko... to był kolejny sposób, żeby sobie ulżyć. Znieczulić się.

Kiwa głową tak, jakby rozumiał, ale na pewno nie zrozumiał. Muszę wyjaśnić.

— Na imprezach zalewałem się w trupa. Wskakiwałem do łóżka z dziewczynami, które mi się nie podobały, zresztą często nawet ich nie znałem. Wcale nie było tak fajnie.

— Pewnie nie — przyświadcza, gdy wysiadamy. — Jeśli jesteś z kimś, kogo nie lubisz albo nawet nie znasz. Mogłoby być inaczej, gdybyś był trzeźwy albo gdyby ci naprawdę zależało.

— Pewnie tak. — Zapalam papierosa. — Nie wstrzymuj oddechu.

Rozdział trzeci

Alice

— W zamrażalniku jest sowa — odzywam się przez zaciśnięte zęby. — Czy ktoś z was może mi to wyjaśnić?

Moich trzech młodszych braci gapi się na mnie tępo. Jak grochem o ścianę. Moja młodsza siostra nawet nie odrywa wzroku od telefonu.

Powtarzam pytanie.

— Harry ją tam włożył — mówi Duff.

— Duff mi kazał — mówi Harry.

George, najmłodszy, wyciąga szyję.

— Co to za sowa? Żyje? Jest biała jak Hedwiga?

Szturcham palcem zmarzniętego na kość ptaka zapakowanego w oszronioną torebkę.

— Jest całkowicie martwa. Nie biała. Ktoś zjadł wszystkie mrożone wafle i znów schował puste pudełko.

Wszyscy wzruszają ramionami, jakby dla nich była to zagadka równie tajemnicza, jak i sama sowa.

— Spróbujmy jeszcze raz. Dlaczego w zamrażalniku jest sowa?

— Harry chce zanieść ją do szkoły na pokaz na początku roku szkolnego — odzywa się Duff.

— W zeszłym roku Sanjay Sapati przyniosła czaszkę foki. Tak jest dużo lepiej, widać jej jeszcze oczy. Tylko trochę zgniły. — Harry gapi się w swoją owsiankę i marszczy czoło, patrząc na to, co chciałam przepchnąć jako żart pod tytułem „śniadanie na obiad”. Obraca łyżkę, potrząsa nią, lecz owsianka przyklepia się do sztućca, gęsta jak klej i uparta jak mój brat. Harry oskarżycielskim gestem obraca łyżkę w moim kierunku.

— Jedz, co dostałeś, i się nie denerwuj — mówię do niego.

— Ale i tak się denerwuję. To jest paskudne, Alice.

— Jedz — mówię, będąc na skraju cierpliwości. To tylko chwilowe. Jak już się ojcu poprawi, mama nie będzie musiała być w trzech miejscach jednocześnie. — To zdrowe — dodaję, lecz muszę się zgodzić ze swoim siedmioletnim bratem. Mamy już spore długi w sklepie spożywczym. W lodówce zostały tylko jajka, mus jabłkowy i keczup, w szafce z kolei stoi tylko paczka wzbogaconych w białko płatków owsianych Joela. A jedyna rzecz w zamrażalniku to... martwy ptak.

— Nie możemy trzymać tutaj sowy, chłopcy — próbuję przyjąć rzeczowy ton mamy. — Lody będą śmierdziały.

— A możemy dostać lody zamiast tego? — nalega Harry, wkładając łyżkę w płatki, z których metal wystaje jak kamień grobowy na szarym pagórku.

Próbuję je sprzedać jako „owsianka trzech misiów”, ale George i Harry są sceptyczni, a jedenastoletni Duff jest za duży. Andy marszczy nos i odzywa się:

— Zjem później. I tak jestem zbyt zdenerwowana.

— Bez sensu denerwować się Kyle’em Comstockiem — mówi Duff. — To złamas.

— Złaaamaaas — powtarza Patsy z wysokości krzeselka. Osiemnastomiesięczna katarzynka.

— Niczego nie rozumiesz — mówi Andy, wychodząc z kuchni, niewątpliwie po to, by przymierzyć kolejny strój na wręczenie nagród obozu żeglarskiego. Za sześć godzin.

— Kogo obchodzi, w co ona będzie ubrana? To tylko głupie nagrody żeglarskie — mamrocze Duff. — Alice, od tego można się porzygać. Smakuje jak beton. Jak to, co kazali jeść Oliverowi Twistowi¹.

— On prosił o więcej — wytykam.

— On głodował — ripostuje Duff.

— Słuchajcie, przestańcie się kłócić i zjedzcie te cholerne płatki.

George robi wielkie oczy.

— Mama nie używa tego słowa. Tatuś nie każe.

— No dobrze, ale teraz ich tu nie ma, prawda?

George z żalem patrzy na swoją porcję i szturcha ją łyżką, jakby miał nadzieję znaleźć w talerzu mamę i tatę.

— Przepraszam, Georgie — mówię ze skruchą. — Może zrobić jajka, chłopcy?

— Nie! — mówią chórem. Już jedli przyrządzone przeze mnie jajka. Odkąd mama spędza większość czasu albo u lekarzy z własnymi sprawami, albo u lekarzy i fizjoterapeutów w związku z leczeniem taty, biedacy zapoznali się z całą mizérią mojego ograniczonego talentu kulinarnego.

— Pozbędę się sowy, jeśli dasz nam pieniądze na śniadanie w mieście — mówi Duff.

— Alice, patrz! — odzywa się Andy z rozpaczą. — Wiedziałaś, że nie będzie mi to pasować.

Staje w drzwiach, ma na sobie pożyczoną ode mnie sukienkę, która dosłownie na niej wisi.

— Kiedy wreszcie odejdę z klubu małych cycków? Tobie się udało przed trzynastką. — Jej głos brzmi oskarżycielsko, jakbym wykorzystwała ostatni większy rozmiar biustu w naszej rodzinie.

— Klub małych cycków? — Duff wybucha śmiechem. — Kto do niego należy? Na pewno Joel. I Tim.

— Jesteś tak niedojrzała, że słuchając cię, czuję się młodsza — odpala Andy. — Alice, pomóż! Bardzo mi się podoba ta sukienka. Nigdy mi jej nie pożyczasz,

ale jeśli nie będę mogła jej założyć, to umrę! — Gorączkowo rozgląda się po kuchni. — Może ją wypchać? Ale czym?

— Bułką tartą? — Duff wciąż kpi. — Płatkami? Piórami sowy?

Wymierzam w siostrę łyżkę od owsianki.

— Nigdy niczego nie wypychaj. Noś własny rozmiar.

— Chcę założyć tę sukienkę — marszczy czoło Andy. — Jest doskonała. Tylko tyle, że na mnie nie pasuje. Masz coś jeszcze? Coś bardziej płaskiego?

— Pytałaś Samanthę? — Rzucam gniewne spojrzenie na Duffa, który wypycha sobie za koszulę kilka łyżek. Harry, który nie rozumie, o co chodzi — taką przynajmniej mam nadzieję — z lubością przyłącza się do torturowania Andy, porywa kilka pieluszek Patsy ze stosu prania i naśladuje brata. Dziewczyna mojego brata ma znacznie więcej cierpliwości ode mnie. Może dlatego, że Samantha musi sobie radzić tylko z jedną siostrą.

— Razem z mamą wywozi siostrę na studia, pewnie wróci dopiero wieczorem. Alice, co mam zrobić?

Na wspomnienie Grace Reed, mamy Sam, która odegrała rolę nemezis w naszej rodzinie, zaciskam szczękę. A może jest nią sowa. Boże, zabierz mnie stąd.

— Jestem głodny — mówi Harry. — Głoduję tutaj. Nie dożyję wieczora.

— Umiera się dopiero po trzech tygodniach głodówki — poucza go George z miną autorytetu zepsutą wąsami z kakao.

— Uch. Nikomu nie zależy! — Andy wychodzi z gniewem.

— Hormony w niej buzują — zwierza się Duff Harry'emu. Odkąd usłyszeli to od mamy, moi młodszy bracia traktują hormony jak chorobę zakaźną.

Na zagrożonym blacie wibruje moja komórka. Znów Brad. Nie zwracam na nią uwagi i zaczynam z hałasem otwierać szafki.

— Słuchajcie, panowie, skończyły nam się wszystkie zapasy, dociera? Na zakupy będziemy mogli pójść dopiero po tym, jak dostaniemy pieniądze ze sklepu, zresztą i tak nikt nie ma czasu. Nie mogę dać wam pieniędzy. Macie do wyboru owsiankę lub głodówkę. No, chyba że chcecie tosty z masłem orzechowym.

— Znów? — jęczy Duff, odsuwając się od stołu i wychodząc z kuchni.

— Obrzydlistwo — mówi Harry, idzie w ślady brata, ale najpierw przypadkowo przewraca szklankę z sokiem pomarańczowym. Nie zwraca na to uwagi.

Jak mama to znosi? Szczypię się w kark, mocno. Zamykam oczy. Odsuwam od siebie najbardziej zdradliwą myśl: „Dlaczego mama to znosi?”.

George z uporem maniaka próbuje zjeść łyżkę owsianki — po jednym płatk.

— Nie przejmuj się, G. Wciąż lubisz masło orzechowe, prawda?

Wydając z siebie długie westchnienie zmęczonego życiem człowieka,

czteroletni George opiera piegowaty policzek na dłoni, przyglądając mi się ze skupieniem, które przypomina mi Jase'a.

— Z masła orzechowego można zrobić brylanty. Czytałem to.

— Czytałeś o tym — poprawiam odruchowo, dosypując rodzynek na blat wysokiego krzesła Patsy.

— Okropne — mówi mała, zbierając każdą rodzynekę uchwytem godnym pincety i upuszczając na podłogę obok krzesła.

— Myślicie, że z tego masła moglibyśmy zrobić brylanty? — pyta z nadzieją George, kiedy otwieram słoik.

— Chciałabym, Georgie — odpowiadam, patrząc na pustą szafkę przy oknie. W tej chwili zauważam granatową jettę podjeżdżającą przed dom. Ktoś kopniakiem otwiera drzwi, wysiada z nich wysoka postać; na jej włosach słońce zapala miedziane błyski, które jarzą się jak ogniki.

Cudownie. Właśnie tego potrzebujemy w tej sytuacji. Tim Mason, ludzki odpowiednik C-4.

TIM

Wchodzimy skrzypiącymi schodami do garażu, Jase wygrzebuje klucz z kieszeni, otwiera drzwi, pstryknięciem zapala światło. Przesuwam się obok niego i upuszczam karton na podłogę. Stare mieszkanie Joela jest niskie, wyposażone w młeczne regały na książki, brzydka kanapę, małą lodówkę, mikrofalę, dżinsowy puf z logo Sox, ściany pokryte zdjęciami z wydania „Sports Illustrated” poświęconego strojom kąpielowym i to wszystko — wszędzie cycki — oraz olbrzymi stojak na sztangi z jakąś potworną masą ciężarów.

— To tutaj Joel przyprował wszystkie te opiekunki do dzieci? Myślałem, że stać go na coś lepszego niż te banały.

Jase robi grymas.

— Witamy w mieście cyków. Jak się zdaje, tym dziewczynom to nie przeszkadzało, bo właśnie tego oczekiwały od amerykańskich chłopców. Pomożesz mi je pozdzierać?

— Nie, na bezsenność pomaga mi liczenie części ciała.

Po szybkim sprzątnięciu, w czasie którego Jase krzywi się i opróżnia kilka koszów na śmieci, w końcu pyta:

— Będzie dobrze?

— Jasne. — Sięgam do kieszeni, wydaję kartkę z napisem, którą zdjąłem z tablicy nad swoim biurkiem, i przypinam ją magnesem do lodówki, zakrywając panienkę w jaskraworóżowym kombinezonie z lycry.

Jase omiata wzrokiem moją kartkę i kręci głową.

— Mase... wiesz, że możesz przyjść w każdej chwili.

— Garrett, byłem w szkole z internatem. Nie boję się ciemności.

— Nie bądź złamasem — mówi łagodnie. Wskazuje w kierunku łazienki. — Czasami kanalizacja się zatyka. Jeśli nie da się odblokować przepychaczem, wezwij mnie. I powtarzam: zawsze możesz przyjść do nas. Albo dołączyć do mnie na treningu o świcie. Muszę odebrać Samanthę. W końcu nie poszła do Vermont. Chcesz się przejechać?

— Z parą zaświergolonych licealistów? Nie, dzięki. Wolę zostać i sprawdzić, czy uda mi się zepsuć ten sprzęt od przetykania kanalizy. A potem puszcę ci SMS-a.

Jase klepie mnie po ramieniu, śmieje się i wychodzi.

Czas się ruszyć i iść na spotkanie. Lepsze to niż siedzenie tu samotnie w towarzystwie cycków z Photoshopa i moich niepozbiętych myśli.

1 To, co kazali jeść Oliverowi Twistowi — aluzja do treści powieści Charlesa Dickensa *Oliver Twist*; mowa o pobycie tytułowego bohatera w sierocińcu.

Rozdział czwarty

TIM

Kiedy po spotkaniu — które tylko odrobinę pomogło mi się pozbierać — idę chodnikiem w kierunku domu Garrettów, pierwszą osobą, jaką zauważam, jest starsza siostra Jase'a, Alice, opalająca się przed domem.

W bikini.

Bijący po oczach szkarłat.

Rozwiązane ramiączka.

Oliwkowa skóra.

Paznokcie u nóg pomalowane na kolor ognistoczerwony.

Czy mogę stwierdzić, że nic nie poprawia mi nastroju tak, jak widok Alice w bikini?

No, z wyjątkiem widoku Alice bez bikini. Jeszcze jej tak nie widziałem, ale mam bujną wyobraźnię.

Dziewczyna przysypia na małym, niebiesko-zielonym leżaku, głowa z zawsze inną fryzurą (w tej chwili w kolorze brązu z blond pasmami) opada ciężko na bok, włosy kręcą się w słońcu późnego lata. Z właściwym mi brakiem skrupułów opadam na trawę obok niej i obrzucam ją długim spojrzeniem.

Och, Alice.

Po kilku sekundach Alice otwiera oczy, mruży je, unosi dłoń do czoła, osłaniając się przed słońcem, i wpatruje we mnie.

— Teraz — odzywam się — jest idealna pora, żeby się pozbyć tych nietwarzowych białych kresek na opaleniznie. Chętnie pomogę.

— Teraz — odpowiada mi z tym swoim zabójczym uśmiechem — jest czas, by się pozbyć niezgrabnych napalonych chłoptasiów.

— Oj, Alice, przysięgam, że znalazłem się tutaj tylko po to, by ukoić twój żal po zmarnowanym czasie, kiedy już się przekonasz, że to ja jestem dla ciebie najlepszy.

— Tim, przeżułabym cię i wypluła. — Unosi się lekko, przerzuca ramiączka stanika na szyję, wiąże je i układa z powrotem. Boże. Brakuje mi powietrza.

Ale nie brakuje mi języka w gębie.

Nigdy mi go nie brakuje.

— Moglibyśmy przejść od razu do tego, Alice. Ale może zaczniemy od delikatnych ugryzień?

Alice zamyka oczy, znów je otwiera i mierzy mnie nieodgadnionym spojrzeniem.

— Dlaczego cię nie przerażam? — pyta.

— Przerażasz. Jesteś potwornie przerażająca — zapewniam ją. — Ale to mi

się podoba. Ogromnie.

Chce coś powiedzieć, ale w tej chwili podjeżdża ich rodzinna furgonetka, bardziej poobijana niż zwykle. Z przedniego zderzaka schodzi lakier. Wokół przesuwanych tylnych drzwi ktoś ponakładał ochronę przeciw rdzy. Bok wygląda tak, jakby ktoś przejechał po nim gwoździem. Brakuje dwóch kołpaków po tej stronie. Alice podnosi się, ale kładę dłoń na jej gładkim, brązowym ramieniu i zatrzymuję ją w leżaku.

— Już idę.

Mrużąc oczy, patrzy na mnie z głową przekrzywioną na bok, palcem przesuwa po dolnej wardze. Potem sadowi się wygodniej.

— Dzięki.

Z furgonetki wysiada pani Garrett w jakiejś jaskrawoniebieskiej szmatce plażowej i z zaaferowaną miną.

— Wszystko w porządku? — pytam. To właściwie żart, gdyż po przesunięciu bocznych drzwi słyszę rozdzierające uszy piski. Patsy, George i Harry mają czerwone, spocone twarze. Patsy szeroko otworzyła usta i szlocha na całego, George również pochlipuje, za to Harry wydaje się raczej wkurzony.

— Nie jestem dzieckiem — oznajmia.

— No jasne, gościu — mówię, chociaż ma na sobie kąpielówki we wzór kasków strażackich.

— Ona — wskazuje palcem matkę — zabrała nas z plaży.

— Harry, pora na drzemkę Patsy, wiesz przecież. Możesz popływać trochę w dużym basenie. Może po rozdaniu nagród żeglarskich pójdziemy na lody do Castle's.

— Baseny są do niczego — jęczy Harry. — Wyjechaliśmy, zanim pojawiła się ciężarówka z lodami, mamó. A oni mają bomby Spidermana! — Idzie po schodach, cały skulony z gniewu, powłócząc chudymi nóżkami. Drzwi z siatki zamykają się za nim z trzaskiem.

— O rany — odzywam się. — Zaniedbywanie dzieci.

Pani Garrett wybucha śmiechem.

— Jestem najbardziej złośliwą matką pod słońcem. Wiem to z wiarygodnego źródła.

Potem rzuca spojrzenie na George'a, po czym przysuwa się do mnie. Pachnie kokosowym balsamem do opalania. W pierwszej chwili mam wrażenie, że każe mi chuchnąć kontrolnie, gdyż dorośli tylko w tym celu się przysuwają. Ale ona szepcze do mnie:

— Nie wspominaj o asteroidach.

Rzadko rozpoczynam rozmowy od asteroid, więc wszystko w porządku.

Jednak George ściska w garści „Newsweeka” i się garbi. Patsy wciąż szlocha. Pani Garrett kręci głową od jednego do drugiego, jakby się zastanawiała,

które ratować najpierw.

— Wezmę wrzeszczącą Mimi — proponuję. Pani Garrett rzuca mi wdzięczny uśmiech i pstryknięciem otwiera fotelik Patsy. I dobrze, bo zupełnie nie znam się na fotelikach.

Natychmiast po uwolnieniu Patsy podnosi na mnie wzrok i momentalnie przestaje płakać. Jak ręką odjął. Wciąż jeszcze czka, ale wyciąga do mnie obie ręce.

— Hon — mówi. Hyk, hyk, hyk.

Nie mam pojęcia dlaczego, ale ta mała mnie uwielbia. Unoszę ją, jej spocone rączki opierają się o moje policzki i gładzą je delikatnie, nie zważając na zarost.

— Och, Hon — mówi z wielką miłością, obdarzając mnie swoim słodkim uśmiechem, ukazując ostre kły, jak u małego wampirka.

Pani Garrett uśmiecha się, wyciąga George'a z samochodu i opiera sobie na biodrze. Chłopiec układa głowę na jej szyi, w dłoni wciąż ściska gazetę.

— Będzie z ciebie dobry tata, Tim. Kiedyś, w odległej przyszłości.

Żeby ukryć przyływ nagłego i kłopotliwego... uczucia... płynącego z uspokajającego dotyku jej dłoni na moich plecach, odpowiadam:

— Niech pani w to wierzy. Za cholere nie dołożę wpadki z jakąś dziewczyną do długiej listy moich błędów i wypaczeń.

Już w chwili, kiedy te słowa wylatują z moich ust, zdaję sobie sprawę, że zachowałem się jak dupek. Pani Garrett wciąż wygląda cholernie młodo, a jej najstarszy syn ma dwadzieścia dwa lata. Czy ona może zaliczyła wpadkę i zawarła małżeństwo pod przymusem?

Więc może była to wpadka? Przy rodzicach pewnie nie użyłbym tego słowa.

— Zawsze dobrze mieć jakiś plan — odpowiada pani Garrett niezmiernie.

Wnosi George'a do domu, zostawiając mnie z Patsy, która ociera się mokrym, miękkim policzkiem o moją twarz. Alice wciąż siedzi z zamkniętymi oczami, najwyraźniej obecna tutaj tylko ciałem.

— Hon — odzywa się Patsy, odchylając się, żeby cmoknąć mnie hałaśliwie w ramię i obrzucić długim spojrzeniem spod załzawionych powiek. — Cycuś?

— Sorki, mała, nie ten adres.

Unikam patrzenia na Alice, która znów rozwiązała ramiączka stanika od bikini, ziewnęła i się przeciąga. Bikini zsuwa się odrobinę. Pod spodem wcale nie ma bielszej skóry. Na sekundę zamykam oczy.

Patsy chwytła mnie za ucho, jakby to jej wystarczało zamiast piersi. Może i tak jest. Co ja wiem o niemowlętach? Czy w ogóle o maluchach, bo ona ma półtora roku. Może chodzi im tylko o to, żeby chwycić się czegokolwiek, nieważne czego. I akurat ja bardzo dobrze to rozumiem.

Rozdział piąty

ALICE

— Alice?

— Tata?

— Rozpoznałem twoje gatory — mówi.

— Krokusy, tato.

— A tak. Wejdz.

Odsuwam sztywną szpitalną zasłonkę. Nawet w miesiąc po wypadku wciąż muszę się starać, by przybrać godną pielęgniarki minę wyrażającą, że „wszystko dobrze”. Nigdy nie sądziłam, że będę jej potrzebowała przy swoim ojcu.

Wygląda znacznie lepiej. Mniej rurek, lepsza cera, blednące siniaki. Ale tata na łóżku szpitalnym wciąż przyprawia mnie o skurcz żołądka, w płucach brakuje mi powietrza. Przedtem właściwie nigdy nie widziałam go leżącego w bezruchu. Teraz jedyną rzeczą, która się tu porusza, jest jego dłoń głaskająca mamę po włosach. Mama śpi, skulona tuż przy nim na wąskim łóżku.

— Pst — mówi tata. — Padła.

Mama faktycznie śpi twardo. Jednym ramieniem objęła go za szyję, drugą w pasie.

— Ty też padasz, co? — mówi wciąż nieco niewyraźnie, lecz łagodnie. To ten sam uspokajający głos, który pomagał mi sobie radzić z dziecięcymi koszmarami, upartymi nauczycielami i z Sophie McCade, która w ósmej klasie rozpuściła plotkę, że latem zrobiłam sobie sztuczne cycki.

— Mogłabym zapytać ciebie o to samo, tato.

Tata śmieje się lekko.

— Całymi dniami się wyleguję.

— Masz złamaną miednicę, nie wspominając o płucach uszkodzonych przez zator. Nie obżerasz się pralinkami.

Tata odsuwa włosy mamy tak, by móc spojrzeć mi w oczy.

— Co to są pralinki? Tyle razy słyszałem to słowo, ale nigdy nie wiedziałem, co oznacza.

— W sumie nie mam pojęcia. Ale gdy się dowiem i ci je przyniosę, to spróbujesz?

— Jeśli mi pomożesz. Możemy zrobić zawody. „Mój chłopak mówi, że może zjeść pięćdziesiąt jajek”¹...

— Boże, nie! Żadnych aluzji *Nieugiętego Luke'a*. Co jest z tym filmem? Każdy znany mi facet ma hopla na jego tle.

— Wszyscy lubimy wierzyć, że to my wygrywamy, Alice — mówi tata, jedną dłonią przesuwając za siebie poduszkę i uderzając w nią mocno.

— Ani słowa więcej. — Sięgam po karty schowane w znajomym zniszczonym pudełku, leżące obok różowej szpitalnej karafki na wodę, naczynia w kształcie nerki, do którego się spluwa po myciu zębów, kilkunastu małych kubków na tabletki i rolki plastra do zmiany wenflonu. Nic nie przypomina domu z chwiejnymi, ręcznie zdobionymi stojakami na długopisy i kubkami, stosami książek science fiction, zdjęciem jego i mamy z liceum — ona z wielkimi lokami, on w skórzanej kurtce.

— Nie mam serca przerywać twojej dobrej passy — odpowiada z uśmiechem, który wywołuje zmarszczki w kącikach oczu, a potem rozjaśnia całą jego twarz. — Tabletki przeciwbólowe dały ci nieuczciwą przewagę.

— Wymiękam, tato. Czy to twoje tabletki, czy mój wrodzony talent? — Uśmiecham się.

— Już ich nie biorę, więc zobaczymy. — Tata odrobinę przesuwając się na bok, jego twarz robi się biała jak ściana. Spogląda w sufit, porusza ustami, licząc, aż ból przejdzie, oddychając głęboko.

— Raz, dwa, wydech — mrużę. Oddech jak w czasie porodu. Cała rodzina zna tę zasadę.

— Uf, uf, puff. — Tata ma głos ściśnięty. — Boże, powinienem sobie darować.

— A mama uważa inaczej. — Znow próbuję się uśmiechnąć, ale nie wychodzi, więc skupiam się na kartach, tasując je raz, dwa, trzy. — Mam zawołać pielęgniarkę?

Tata wyciąga rękę po karty, bierze je, po czym tasuje jedną dłonią — z tego jest znany.

— Tylko jeśli pielęgniarka ma pralinki. Wiesz, niedługo mnie stąd wyrzucą — mówi nagle. — Brakuje im łóżek. Za długo tu leżę. Już mi się poprawiło. Nie jestem pewien, jak brzmi najnowsza wersja.

— A potem?

— W domu — mówi z westchnieniem. — Albo na rehabilitacji. O tym już my mamy zdecydować.

Zerka na mamę, uśmiecha się tym samym uśmiechem jak na zdjęciu z liceum, wsuwa mamie wystającą metkę od sukienki pod materiał. Mama przytula się do niego.

— Rehabilitację pokrywa nasz pakt z diabłem — zaznaczam. Naszym diabłem jest wysoka jasnowłosa pani senator konserwatystów, lecz fakty to fakty.

— Nie możesz myśleć w ten sposób, Alice. — Tata kręci głową i się krzywi.

Wciąż go boli, nieważne, jak bardzo się wypiera. Znikają resztki letniej opalenizny, szczęka przybiera ostrzejsze rysy niż przedtem, ramiona są spięte. Tata w ciągu tych czterech tygodni postarzał się o przynajmniej cztery lata, a to wszystko przez tę kobietę. Niezależnie od tego, jak często będzie przesyłała przez

Samanthę wymyślne sałatki na kolację i zapiekanki, nie potrafię zapomnieć. Nie potrafię minąć rzeczywistości w pełnym pędzie, tak jak ona to zrobiła.

— To Grace Reed ci to zrobiła, tato. Zniszczyła nas. Ona...

— Spójrz na mnie — mówi tata. Posłusznie kieruję na niego wzrok, starając się nie krzywić na widok ogolonej części jego głowy tam, gdzie wywiercono mu dziury w czaszce, by zmniejszyć ciśnienie po urazie głowy. Duff, Harry i George nazywają to po prostu „dziwaczną fryzurą taty”.

— Może jesteśmy trochę poobijani, ale na pewno nie zostaliśmy zniszczeni. Akceptacja pokrycia kosztów rehabilitacji i rachunków za szpital to przyjęcie jałmużny.

— To nie przyjęcie jałmużny, tato. To sprawiedliwość.

— Wiesz tak dobrze jak ja, że należy żyć dalej, Alice. Pogódź się z tym i jedź do domu. Mnie tu potrzebują.

Ja chcę taty w domu. Chcę, żeby wszystko było jak przedtem. Żeby wracała późno z randki czy skądkolwiek i zastawała go oglądającego coś na History Channel czy National Geographic z Duffem, Harrym, George’em lub Patsy śpiącymi na jego ramieniu, z pilotem w dłoni, trochę też już przysypiającego, ale na tyle przytomnego, by wstać i powiedzieć: „Czy wiesz, że samolot, którym Lindbergh doleciał do Paryża, był zrobiony tylko z płótna pociągniętego odrobiną kleju? Zadziwiające, do czego ludzie są zdolni”. Ale jestem już na tyle doświadczona zawodowo, że potrafię ocenić objawy i dokładnie zinterpretować jego kartę choroby. Niezależnie od tego, jak zadziwiające rzeczy ludzie potrafią zrobić, ciało ma swoje ograniczenia.

— Ty wiesz lepiej — mówię — czego potrzeba. I co musisz zrobić.

Mięsień w policzku taty zaczyna drgać.

Jak bardzo go boli? Powinien wciąż brać tabletki.

Rozpogadzam twarz i dłonią przesuwam po karku. Twarz pokerzysty.

Tylko dzisiaj sporo już obie z mamą zrobiłyśmy. Ja przygotowałam śniadanie, podczas gdy ona zajmowała się porannymi mdłościami i przez telefon ustalała wszystkim wizyty u szkolnego lekarza. Ja zawiozłam Duffa do okulisty, ona zabrała Andy do ortodonty, a potem wzięła najmłodsze dzieci na plażę. A później wszyscy pojechaliśmy na rozdanie nagród żeglarskich. Mama pocieszała Andy w łazience, kiedy Jade Whelan powiedział jej coś głupiego, a potem zabrała ją na mrożony jogurt. Ja zaprowadziłam maluchy do Castle na hot dogi. Mama zawiozła ich do Jase’a, wyrzuciła ich, wróciła do taty — i padła. Zostałam w domu, aż wszyscy oprócz Andy posnęli, a potem przyjechałam tutaj, po drodze łapiąc venti w Starbucksie. A jestem tylko dublerką mamy. Nie jestem tatą.

— Jeśli wrócisz do domu, to będziesz musiał odbierać George’a oraz Patsy i ładować ich do samochodu. Będziesz woził Harry’ego i Duffa na piłkę, zabierał Andy na imprezy szkolne, zastępował Jase’a w sklepie. Będziesz cały czas zajęty,

tato. Jeszcze na to za wcześnie. Tylko ci się pogorszy od tego wysiłku, a wtedy nam wszystkim się pogorszy.

Przesuwa dłonią po czole i wzdycha.

— Czy nie powinnaś być dzieckiem, które spija mądrość życiową z moich ust, Alice?

Mama poprawia się na łóżku, zdejmuje rękę z taty i kładzie sobie na brzuchu.

Nowe dziecko. Racja. Prawie zapomniałam. O niej. O nim.

Tata zdrową rękę kładzie na jej dłoni. On nigdy nie zapomina.

TIM

Opieram się na parapecie, kładę głowę na skrzyżowanych ramionach. Bezchmurna noc, w której rozlegają się dźwięki — nie wiem — cykad, szarańczy, nieważne — ukrytych w trawniku Garrettów, który od dawien dawna nie był przycinany. Jeśli się wsłuchać, można nawet dosłyszeć rzekę.

Kiedy oczy przyzwyczały się do ciemności, dostrzegam ją.

Alice opiera się o maskę garbusa i patrzy do góry. Nie na mnie. W niebo. Jest pełnia przy niemal bezchmurnym niebie. Jej ciemna sylwetka odcina się na tle białego samochodu — wszystkie krągłości, jedna noga na zderzaku, światło księżycy lśni na jej kolanie.

Boże!

Kolano.

Och, Alice.

1 „Mój chłopak mówi, że może zjeść pięćdziesiąt jajek” — aluzja do jednej z najsłynniejszych scen (zakładu o to, czy tytułowy bohater da radę zjeść pięćdziesiąt jajek) kultowego filmu *Nieugięty Luke* w reżyserii Stuarta Rosenberga.

Rozdział szósty

TIM

Następnego poranka o świcie wyskakuję z łóżka tak szybko, że mózg niemal obija mi się o czaszkę. Gdzie jestem? Znajome uczucie — palący zawrót głowy — sprawia, że w skroniach mi łupie.

Wczoraj się upiłem.

Albo coś w tym rodzaju.

Bo jeśli nie, to czemu jestem tak cholernie oszołomiony?

Potem sobie przypominam — w otoczeniu gapiących się na mnie dwunastu dziewczyn wygiętych w dwunastu nieprawdopodobnych pozach. Wycieram czoło z potu i opadam z powrotem na twardą jak deska kanapę, na którą rzuciłem się po zbyt długim wieczorze z xboxem. Nasłuchuję pustki.

Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy z ciszy, jaka otacza człowieka, który jest sam w budynku.

Znów się zrywam, zdzieram ze ściany plakat, potem kolejny, potem jeszcze jeden — aż do pustych ścian, aż do zadyszki.

Bieganie — czy to nie jest sposób Jase'a na to, żeby przestać myśleć? Grzebię w kartonie w poszukiwaniu spodenek na siłownię. Nie mogę ich znaleźć, tylko stare szare dresy. Kto je spakował? I moje asicsy — nigdzie ich nie widzę. Wkładam jedyny możliwy strój — spłowiałe kąpielówki — i kieruję się w stronę plaży Stony Bay. Kiedyś czytałem, że żołnierze Navy Seals trenują, biegając po piasku. Boso. Tak jest trudniej i dlatego lepiej.

Pobiegnę do molo. To musi być około półtora kilometra. Dobry początek, nie?

Może i tak, ale to i tak piekielnie daleko. Molo nadal rysuje się na horyzoncie, a ja z trudem łapię oddech i czuję się tak, jakbym miał za chwilę paść na piasek.

Cholera jasna, mam siedemnaście lat, na miłość boską. Najlepsze lata. Szczyt formy. Złoty okres, który kiedyś będę wspominał, zanudzając własne dzieci. Ale nie potrafię biec na wyścigi z wiatrem. Nie potrafię się ścigać nawet z zefirkiem. Patsy by mnie wyprzedziła i nie potrzebowała potem maski tlenowej. Opadam na piasek — najpierw na kolana, potem przetaczam się na plecy, dłonią osłaniając oczy przed porannym słońcem, łapiąc powietrze, jakby było przefiltrowane przez nikotyne.

Chyba trzeba się pożegnać z paleniem.

— Zastosować usta-usta? — pyta dziewczęcy głos.

Cholera, nie wiedziałem, że na plaży ktoś jest, nie mówiąc o kimś bliskim... Alice. Od jak dawna mnie obserwuje? Odślaniam oczy.

Oho, kolejne bikini. Dzięki, Boże! Jeśli mam umrzeć ze wstydu, przynajmniej umrę szczęśliwy. To krój jak z filmów o Bondzie, ciemnozielony z zamkiem w kolorze limonki z przodu i wąskim paskiem podkreślającym pośladki na jakieś trzy palce poniżej talii, przed zaokrągleniem bioder. Palce mnie świerzbią, jakby zaczęły żyć własnym życiem. Wbijam pięści w kieszenie.

— Zdecydowanie — wyrzucam z siebie. — Potrzebne jest oddychanie usta-usta. Natychmiast.

— Jeśli możesz mówić, to chyba będziesz żył.

Przesuwam językiem po wysuszonych wargach.

— Chyba jeszcze nie jestem gotowy na triathlon, Alice.

Alice nieoczekiwanie kładzie się obok mnie na boku, przechyla głowę w moim kierunku i obdarza niespodziewanym uśmiechem, zgrabnym jak całe jej ciało.

— Przynajmniej założyłeś buty do biegania — spogląda na moje stopy. — A nie, pomyliłam się. Kto biega boso? — Na sekundę splata palce stóp z moimi, po czym je odsuwa. Spogląda w dół na piasek, nie na mnie, rysuje między nami nierówną linię.

— To ważne?

— Przyczepność, kochanie — mówi Alice.

— Myślałem, że to ma znaczenie tylko przy złamanej nodze. Tak trenują marines, słyszałem coś o tym.

Czekam, aż zacznie się ze mnie nabijać, lecz ona tylko uśmiecha się nieco szerzej — nie dostrzegłbym, gdybym się nie przyglądał, co chyba właśnie robię — i mówi:

— Może na razie nie podejmuj się takich wyzwań, dopóki nie nabierzesz... wytrzymałości.

Mógłbym wymyślić wiele odpowiedzi.

Alice przysuwa się nieco bliżej; pachnie tak, jak wyobrażam sobie Hawaje, mieszkanką zieleni i słodyczy, ziemi, słońca i morza. Jej zielonkawę oczy, złote plamki zbyt...

— Masz tylko jeden dołeczek — mówi.

— To coś złego? Miałem dwa, ale jeden przesunąłem po wyjątkowo ciężkiej nocy.

Alice szturcha mnie w ramię.

— Ze wszystkiego stroisz sobie żarty.

— Wszystko jest dość zabawne — mówię, próbując usiąść, ale natychmiast opadam, gdyż rozboleły mnie plecy. — Jeśli odpowiednio się na to spojrzy.

— A skąd wiesz, że patrzysz na to odpowiednio? — Alice pochyla głowę, wciąż rysując kółka na piasku. Ledwie kilka cali od mojego brzucha. Poranne powietrze jest nieruchome i spokojne — nie słyhać nawet fal.

— Jeśli to zabawne — rzęzę — oznacza, że patrzysz na to odpowiednio.

— Hej, Aliiice! — Unoszę wzrok i widzę tego jej niewydarzonego faceta Brada, którego zwalista sylwetka z szerokimi ramionami zasłania słońce.

— Brad. — Alice wstaje i strzepuje piasek z kostiumu. Facet gładzi ją po tyłku, rzucając mi spojrzenie: „To mój teren”.

Palant.

— Spóźniłeś się. Brad, to Tim. Tim, Brad.

— Hej, Tim. — Brad to człowiek niewielu słów i to tylko jednosylabowych. Jeden z tych gości zbudowanych jak futbolista amerykański, ale o łagodnej dziecięcej twarzy, z rumianymi policzkami i lśniącościami oczami. Zapewne dla równowagi ma bardzo rzadką, ledwie widoczną bródkę.

— No to, Ally-pal... — odzywa się do Alice.

Ally-pal?

— Gotowa?

— Jestem gotowa od dłuższej chwili. To ty się spóźniłeś — odpowiada Alice ostro.

To dopiero dziewczyna.

Obraca się do mnie i przesuwając dłońmi po włosach, odgarniając je z twarzy.

— Trenuję do biegu na pięć kilometrów, Brad mi pomaga.

— Biegasz? Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

Alice otwiera usta, jakbym rzeczywiście miał cokolwiek o niej wiedzieć, ale potem spuszcza wzrok, zaciska pasek bikini o jedną dziurkę dalej. To zwraca moją uwagę na jej brzuch, koleczyk w pępku i...

Przewracam się na brzuch.

Brad chrząka, krzyżuje ramiona i wysuwa podbródek do przodu. Dobra, rozumiem, jaskiniowcu.

— Nie zatrzymuję cię — dodaję. Alice rzuca Bradowi nieodgadnione spojrzenie, opada na kolana i znów pochyla się nade mną. Jej oddech jest ostro-słodki jak cukierek miętowy.

— Następnym razem załóż buty, Tim.

ALICE

Pod koniec pierwszego sprintu zdyszana schylam się, opierając ręce na kolanach. Pot ścieka mi do oczu, odgarniam włosy, starając się założyć za uszy te, które wysunęły się z kucyka.

Brad odkręca butelkę z wodą i podaje mi, pochylając się nisko nade mną i wpatrując we mnie zmrużonymi oczami.

— Chcesz mi powiedzieć, o co w tym chodziło? — pyta cicho, kciukiem wskazując odległą sylwetkę Tima wciąż leżącego na piasku, z głową na zgiętych ramionach.

— Chodzi o Tima? To przyjaciel mojego młodszego brata. Rozmawialiśmy.
Brad drapie się w podbródek.

— No nie wiem, Ally. I nic więcej?

Dwa kolejne łyki wody, po czym nalewam sobie nieco na rękę i zwilżam twarz.

Tim już wstał; teraz, osłaniając dłonią oczy, patrzy w naszym kierunku, a potem w drugą stronę plaży. Nagle zrywa się do biegu, bez rozciągnięcia, bez powolnego startu, od razu sprint. O rany.

— Ally?

— Oczywiście, że nie.

Rozdział siódmy

ALICE

Klub Sama bywał już świadkiem załamania nerwowych członków rodziny Garrettów. Harry zawsze szaleje w dziale zabawek, George wykazuje wielką wrażliwość przy wyborze lodów, a Patsy szybko się męczy i zaczyna skrzeczeć. Tym razem jednak to ja tracę kontrolę.

— Chyba podchodzisz do tego zdecydowanie za poważnie — mówi Joel, unosząc obie dłonie w geście: „No, wystarczy, histeryczko”, który wprawia mnie we wściekłość.

Potrząsam papierami trzymanymi w ręce.

— Tu jest napisane: dwa czerwone segregatory grubości jednego cala. Czerwone. Jeden cal. Wysłałam cię po jedną prostą rzecz. A te są niebieskie. Grube na dwa cale.

— No to co? — Joel drapie się w kark, zerkając na dziewczynę, która uśmiecha się do niego, jednocześnie zręcznie układając w wózku wielkie paczki kleju z brokatem.

— To, że na liście zakupów masz napisane: czerwony. Mamy kupić czerwone. Po to są właśnie listy zakupów, żeby kupić właściwą rzecz.

— Al, chyba nie chodzi ci o listę zakupów. Patrz, Patsy się ciebie boi, mnie też przerażasz.

— I dobrze — warczę.

Patsy celuje we mnie palcem.

— Niedobrze! — Wykrzywia się do mnie ze swojego siedziska w wózku sklepowym.

— Nie o tobie mówię, kochanie. O Joelu. Może trzeba ci napędzić stracha albo przypomnieć o tym, co się naprawdę dzieje. Bo cię nie ma, przynajmniej często cię nie ma. Nie widzisz, jak blisko nam do... do...

— Więc o to idzie. — Mój brat opiera się o ścianę z ręczników kuchennych i unosi brodę. — O to, że nie ma mnie w domu przez cały czas. A ty jesteś.

— Nie — odpowiadam. — Wcale nie o to idzie. Co mnie obchodzi, że chcesz zamieszkać z dziewczyną i zacząć akademię policyjną, kiedy to wszystko jeszcze palcem na wodzie pisane? No to co? Nieważne.

Joel wzdycha, sięga na półkę i bierze sobie z tacy darmowy kawałek ciastka pieguska.

— Al, mam dwadzieścia dwa lata. Skończyłem studia. Muszę iść dalej. Spotykamy się z Gisele od długiego czasu, chcę się przekonać, dokąd to zmierza. Nie chcę przez resztę życia mieszkać nad naszym garażem, trochę to niepraktyczne.

— A od kiedy ci to przeszkadza? — pytam, odsuwając się od Patsy, która usiłuje pociągnąć w dół górę mojej koszulki, wciąż nadąsana.

— Hm, odkąd dwudzieste drugie urodziny spędziłem w szpitalu, tej nocy, kiedy tata miał wypadek. Kocham naszą rodzinę, Al. Zrobiłbym dla niej wszystko, nawet dla ciebie. Ale świat, moje życie, nie może się zatrzymać.

Cały świat z pewnością się nie zatrzymał i Joel powinien o tym wiedzieć. Życie przyspieszyło do prędkości warpowej ze *Star Treka*. Przedtem — tego lata miałam niewiele zajęć, kilka godzin pracy w szpitalu na oddziale rehabilitacyjnym, czasem zastępstwo w sklepie, ale poza tym mogłam chodzić sobie na plażę z Bradem i cieszyć się ulubioną porą roku. Piaskiem, solą morską i lodami.

A teraz nadszedł pierwszy poniedziałek września, a z nim zajęcia dla każdego z nas: lekcje, treningi i inne sprawy po lekcjach. Nie wiadomo, jak długo zajmie tacie powrót do zdrowia, mama w ciąży, Jase ma treningi piłkarskie, Andy i Duff — próby zespołu. Będzie trzeba zorganizować opiekę nad dziećmi. A moje własne życie...

„Oddychaj głęboko”. Opuszczam ramiona, które podjechały mi niemal pod uszy.

Joel wrzuca do wózka paczkę pięciuset slim jimów — cienkich przegryzek mięsnych. Sięgam po nie i odkładam z powrotem na półkę.

— Nawet nie wiesz, czego tam napchali.

— Czy chodzi o to, że nie lubisz Gisele?

— Lubię ją.

Nie znoszę jej.

Kiedy przyszła do nas ostatnio, kazała Joelowi napompować sobie opony do roweru, a sama stała z paryską elegancją w biało-niebieskiej sukience w paski i czerwonej apasce, machając rękami. Ale wiem, że tego nie wolno mi powiedzieć. Joel chce z nią zamieszkać. To by było gwoździem do trumny ich związku.

— Na pewno. Wiesz, Brad to nie jest ósmy cud świata. — Joel podaje Patsy pieguska, a ona natychmiast wciera go sobie w twarz i włosy, a dla zakończenia dzieła resztę czekolady rozmazuje sobie na różowej bluzce.

— Brad jest na wylocie — odpowiadam, przerzucając listę zakupów i w myśli odhaczając poszczególne pozycje. Harry wciąż potrzebuje pudełka dwunastu kredek i paczki gumek premium, cokolwiek to znaczy. Duff, oprócz materiałów do projektu Układu Słonecznego, których nie będę teraz kupować, ma wszystko, czego potrzebuje. Andy może sama sobie kupić rzeczy do szkoły, przecież ma czternaście lat, na miłość boską. — Pochłania za dużo czasu.

Jakby na potwierdzenie czuję wibrowanie telefonu w kieszeni. Kolejne selfie przedstawiające Brada na siłowni.

— Alice — mówi Joel, mierząc wzrokiem kolejną dziewczynę (Gisele,

kiepsko to widzę...)). — Właśnie o to mi chodzi. Właśnie takie rzeczy powinny zajmować twój czas, a nie to. — Pstryka w listę zakupów.

— Ta dziewczynka jest za mała na czekoladę — odzywa się za naszymi plecami kobieta o zrzedliwej twarzy, niosąca swoje dziecko w tym dziwnym nosidełku na paskach.

— Nikt pani nie pytał — odszczekuję. Kobieta marszczy brwi, a Joel rzuca jej swój najbardziej zabójczy uśmiech i odciąga mnie za łokieć.

— Ale bardzo dziękujemy za pani radę. Nie wiedzieliśmy.

Kobieta wygładza sobie koszulę i o dziwo odwzajemnia jego uśmiech.

No nie.

*

Kiedy wracamy do domu, Brad siedzi na schodach przed drzwiami. Ze zmarszczonym czołem pisze SMS-a, zapewne do mnie.

— Allykins — odzywa się, wstając i podchodząc, żeby mnie uścisnąć.

Joel unosi brwi, uśmiecha się półgębkiem i mruczy:

— Idę do taty. — I znika, nie biorąc ze sobą żadnych zakupów.

W kuchni Jase, najwyraźniej świeżo po treningu, spocony i z plamami od trawy na swetrze, pożera olbrzymią miskę kurczaka z brązowym ryżem. Tim siedzi na naszym blacie, najwyraźniej czując się jak u siebie i zajadając czymś polanym szcudrze roztopionym serem, z którego unosi się para. Duff, Harry i George jedzą ciasto z jagodami i rozpływające się lody waniliowe. Wszędzie poniewierają się brudne talerze. W kuchni unosi się zapach chłopców i ich stóp.

No i... znów Tim.

Wyluzowany, zadomowiony, w kąpielówkach, w których biegał rano, i koszulce baseballowej z Hodges Heroes, przyciasnej nawet na niego. Uśmiecha się do mnie, a na policzku pokazuje mu się jeden dołeczek.

Ten chłopak to wulkan problemów na zewnątrz i od środka. Chyba jeszcze nawet nie wziął prysznic. Na pewno nie ogolił się zbyt starannie, gdyż na podbródku ma lekkie skaleczenie. Kolejny potrzebujący matki, służącej, kierowniczk...

Sadzam Patsy, łapię jej różowy kubek niekapek z obrazkiem księżniczki, z chlupnięciem nalewam do niego mleka i podaję Timowi.

— Zwolnij. Nie mam zamiaru odwozić cię do szpitala z oparzeniem języka drugiego stopnia.

Tim wyzywająco odgryza kolejny kawałek gorącego sera. I kolejny. Potem powoli unosi kubek, salutuje mi nim, spogląda na mnie poważnie i wypija.

— Ciasto — odzywa się Brad radośnie. — Uwielbiam ciasto. — Przysuwa sobie krzesło, odwraca, siada na nim okrakiem i dodaje: — Ukrój mi taki naprawdę duży kawałek, Allozauro.

George przechyla głowę i marszczy brwi.

— Allozaury to były jedne z największych dinozaurów na ziemi. Jadły stegozaury. Alice nie jest bardzo duża, poza tym nie jada mięsa.

Brad sam może sobie nałożyć ciasto, do cholery.

— Sam sobie nałóż ciasta, do cholery — mamrocze Tim, przeżuwając bąbelki sera.

— Alice, Joel zupełnie wyprowadził się z garażu. Nie wraca już po nic, prawda? — Jase z rozmachem nalewa sobie wielką szklankę mleka, duszkiem wypija połowę i dolewa do pełna. Wreszcie udało mi się zrobić zakupy, ale w tym tempie do jutra całe jedzenie zniknie.

— Dzięki Bogu tak — odpowiadam.

— Super — mówi Jase. — Powiedziałem Timowi, że może go zająć. Wprowadził się wczoraj wieczorem.

— Teraz już się ode mnie nie uwolnisz — dodaje Tim pogodnie.

— O rany, Alice, ale jesteś czerwona — odzywa się George po sekundzie.

— Al... — zaczyna Jase i milknie.

Tim rzuca mi spojrzenie i odskakuje od blatu, obronnym gestem wyciągając przed siebie ręce.

— O rany, co, do licha, zrobiłem...?

Unoszę dłonie.

— Ani słowa więcej... W samochodzie są zakupy do domu i do szkoły. Zajmijcie się nimi — rzucam, po czym niemal za włosy wyciągam Brada z domu.

Tim

— Znów spałam, co? — odzywam się do Jase'a, kiedy drzwi za Alice i starym Bradem zamykają się z trzaskiem.

Jase przesuwa dłonią po twarzy.

— Porozmawiam z nią.

— Może chciała na przykład wprowadzić się tam z tym gościem, co uwielbia ciasto. Ile on ma lat, pięć?

— Tim, Alice nigdy o tym nie wspomniała. — Jase nabiera na widelec kurczaka, ale odkłada go na talerz.

— Ciasto to dobra rzecz — odzywa się filozoficznie George. — No może nie wtedy, kiedy w środku ma dwadzieścia cztery pieczone kosy¹. Wiecie, *Piosenka za sześć pensów* i *Kieszeń pełna żyta* — podśpiewuje tym swoim wysokim głosikiem, który zawsze przyprawia mnie o dreszcze. — To brzmi obrzydliwie.

— Na pewno te ptaki nie śpiewały wtedy, kiedy pokroili ciasto — odpowiada Harry z ustami pełnymi okruchów. — Przecież były upieczone i nieżywe.

George robi wielkie oczy.

— Naprawdę? — pyta, przenosząc spojrzenie z Jase'a na mnie i z powrotem.
— Upieczone?

— Niemożliwe — odpowiada stanowczo Jase. — Inaczej... — Na moment brakuje mu pomysłu; oczy George'a wypełniają się łzami.

— Bo inaczej, kolego, to ciasto nie nadawałoby się do jedzenia — dopowiadam. — To by było tylko ciasto do sztuczek. Żeby rozśmieszyć króla, który jest zestresowany...

— Liczeniem pieniędzy — kończy Jase, kiwając głową, już pewny siebie. — Rozumiesz, G-manie? Przecież królowie to właśnie robią: liczą pieniądze w skarbcu.

George poważnie kiwa głową.

— Byłby na pewno zdenerwowany jak tata w pracy, więc robią dla niego ciasto, z którego wypuszczają ptaki? Jak w teatrze?

— Właśnie — odpowiadam. — Robią takie, eee... udawane ciasto...

— Żeby się roześmiał. Jak mama. — George kiwa głową, jakby całość nabrała dla niego sensu.

— Ale skąd biorą kosy? — pyta Harry. — Przecież nikt nie trzyma ich w szafie.

— Zapewne gnieźdzą się w szopie albo innym takim miejscu — wtrąca Duff sztucznie swobodnym tonem. — To takie oswojone kosy. Może król, hm, lubi ptaki.

Opowieść nieco wymyka nam się z rąk. George jednak już się w nią wciągnął.

— Możemy sprawdzić w mojej książce o ptakach świata! Zobaczymy, czy kosy da się oswoić. — Zsuwa się z krzesła kuchennego i idzie do siebie. Harry depta mu po piętach.

— Dobra robota, Duffy — odzywa się Jase. — Dzięki, że się wtrąciłeś.

— Trochę brakło mi konceptu — przyznaje Duff, zbierając ostatnie okruszki swojej porcji. — Król lubił ptaki? Ale starałem się. Tylko czasami trudno przewidzieć, co przestraszy George'a.

— Martwe, upieczone ptaki? Mnie też przyprawiłyby o koszmary — wstrząsam się.

O koszmary przyprawia mnie pomysł upieczonych ptaków, ale też ten dupek Brad i wyobrażanie sobie, co Alice z nim wyprawia właśnie w tej chwili.

Alice

— Musimy?

Brad waży ponad sto kilogramów i mierzy ponad metr osiemdziesiąt, ale w tej chwili jęczy jak moi młodszy bracia, kiedy wyciągam ich na zakupy po buty.

— Tak — odpowiadam.

Brad z wahaniem jedzie ulicą — prowadzi jak w zwolnionym tempie w jednej ze swoich gier wideo: przyśpiesza nagle, po czym zwalnia znacznie poniżej ograniczenia prędkości. Wyglądając przez okno, nie widzę zlewających się drzew klonów, które rosną wzdłuż drogi, tylko swój nowy pokój w garażu — tak, jak chciałam go urządzać.

Wszystkie paskudne meble Joela wyniesione na strych. Moje mosiężne łóżko po cioci Alice przyniesione ze strychu. Obok jej wielka szafa, w której razem z Joelem zawsze szukaliśmy Narni. Ściany pomalowane na głęboki pomarańcz pod nazwą „październikowe niebo” — taką farbę kupiliśmy do sklepu Garrettów w zeszłym tygodniu — która zakryje brudną biel i tak inną od tego „panieńskiego różu” w pokoju, który zajmuję wspólnie z Andy. W zeszłym tygodniu zobaczyłam w czasopiśmie tiulowy baldachim, który zwiesza się z góry i który tworzy nad łóżkiem tiulowy kokon. Pościel tak miękka, że prawie jej nie czuć. Głośniki stereo do mojego iPoda i kącik z książkami, które nie są podręcznikami. Duże, miękkie poduchy na podłodze i...

— No już, Ally-pally. Pojedźmy do Pizza Palace, możesz mnie rozwalić w *Slimin' Sumos*. — Brad trąca mnie łokciem i obdarza swoim najbardziej uroczym uśmiechem.

— Nie mam ochoty na pizzę i gry wideo, Brad.

Teraz ja dołączam do jęków. Wbijam paznokcie w dłoń i kładę stopy na desce rozdzielczej. „Odpuść. To tylko pokój. Tylko własne miejsce po raz pierwszy w życiu i zapewne na jakiś czas po raz ostatni, zakładając, że uda mi się przyjąć przeniesienie do szkoły pielęgniarskiej Nightingale na wiosnę, zakładając, że w domu wszystko się poukłada, zakładając, że dostanę akademik i...”

Oddycham głęboko. Jeszcze raz.

Brad szczypie mnie w kark.

— Auć, ale jesteś spięta, Allo. Nie oddychaj tak dziwnie, bo zaczynam panikować. A może pojedziemy do mnie? Poślę Wally'ego po porządną pizzę, na przykład aż do Ilario's. Będziemy mieli przynajmniej pół godziny. Mogę... cię rozluźnić. — Teraz Brad masuje mi kark, rzucając swój pogodny, pełen nadziei uśmiech. Przy nim nie ma gorszych chwil. Cały czas ten sam nastrój jak pogodna muzyka, którą puszcza u dentysty. — Widzę uśmiech, Als. Masz ochotę, prawda? No chodź. Zamówmy coś do domu. Jeśli chcesz, w nocy powtórzmy eksperyment Walster2. Pewnie, trochę głupio z mieszkaniem; byłoby świetnie, ale przecież mam swój ką.

„Kąt” Brada to dwupiętrowy dom w White Bay. Na parterze i piętrze mieszkają jego rodzice, Brad i Wally w piwnicy, a babcia, która zapewne nazywa mnie zazwyczaj „tą suką”, na drugim piętrze.

Brad chwyta mnie za kolano, jednocześnie wyprzedzając kampera po prawej

i naciskając na klakson.

Wzdycham.

— Czy to zgoda? No już, Ali-żali. Możemy wziąć prysznic, tata naprawił zbiornik ciepłej wody.

— Chodźmy pograć w baseball. Muszę się wyżyć.

— Dla mnie w porządku. Co tylko zechcesz.

Brad w każdej sytuacji zachowuje spokój. To dobrze, zwłaszcza że ja jestem nieco rozchwiana. Jego spokój daje mi grunt pod nogami, nawet jeśli deski są nieco grube.

Ale mieszkania nad garażem... nie odpuszczę bez walki.

1 Dwadzieścia cztery pieczone kosy — aluzja do treści powieści *Kieszeń pełna żyta* Agathy Christie; mowa o próbach zastraszania pana Fortescue poprzez podrzucanie mu martwych ptaków.

2 Eksperyment Walster — eksperyment Elaine Walster, który polegał na tym, że losowo połączone pary spędziły ze sobą kilka godzin, tańcząc i rozmawiając. Następnie badani ocenili swoje randki i określili, jak bardzo chcieliby się spotkać z tą samą osobą ponownie.

Rozdział ósmy

TIM

— Siostra, naprawdę pukasz? — Otwieram drzwi, za którymi stoi Nan ze stosem pościeli i ręczników na jednej ręce i z drugą uniesioną, by powtórnie zapukać.

— Zawsze pukam — odpowiada i zamiast w drzwi stuka w mój nos. — Ja szanuję twoją prywatność, w przeciwieństwie do ciebie nie czytam cudzych pamiętników.

Kopnięciem otwieram drzwi szerzej.

— No chodź, nie stój na deszczu z moimi ręcznikami. Zakładając, że to dla mnie i że nie idziesz z pralni. Naprawdę znów zaczynasz o pamiętniku? Boże. To było tylko raz, cztery lata temu, nie mogłem spać, a on podział jak pigułka nasenna. „Kochany pamiętniku”... — zaczynam przesłodzonym głosem, ale gryzę się w język. Zachowuję się jak palant.

Prawdę mówiąc, ten pamiętnik prawie złamał moje cholerne serce. Był pełen listów od Nan do Boga. Wpadła na ten pomysł po przeczytaniu książki Judy Blume, za którą przepadała; sam też ją przejrzałem w wieku dziesięciu lat, gdyż ktoś mi powiedział, że to o cystickach. Pewnie tak, chociaż w inny sposób, niż się spodziewałem. W każdym razie Nan po prostu wylewała tam swoje smutki. Błagała Boga, jakby był Świętym Mikołajem, wesołym elfem, który może dać jej dobre oceny, rodziców, którzy będą z niej dumni, bardziej ogarniętego brata i Marka Winthropa, który będzie ją kochał do końca świata, amen.

Nan rzuca bagaż na puf z nadrukiem Soxów i rozgląda się, zdejmując daszek z czoła i marszcząc nos.

— Odkąd to taki z ciebie fan sportu? Po co ci hantle? I skąd w ogóle to masz?

— Napadłem na sklep sportowy. A co cię to obchodzi? Po co tu przyszedłeś?

— Mama chciała, żebym ci to przyniosła i... — urywa w pół słowa.

— I poszperała tu trochę, prawda? Upewniła się, że nic nie wykręcę?

— A nie wykręcasz? — pyta ostro. — Nie pakujesz się znów w kłopoty?

— Co? Nie. Nie bardziej niż zwykle. Czemu?

— Wydzwania do nas jakaś kobieta czy dziewczyna, nieważne, i dopytuje o ciebie. Jesteś komuś winien pieniądze? Ja... ja wiem, co ci tata powiedział. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, mam...

— Nan, mała, wszystko dobrze. Nikomu nie jestem nic winien oprócz stosu przeprosin. Nie pękaj, bo ci średnia ocen spadnie.

Jej policzki czerwienieją po ostatnich słowach.

— Zabrałam się do napisania podań na studia — mówi. — Zaczynam. Może

to trochę wcześniej, ale nie będę się musiała denerwować przez cały rok. I...

— Nano...

— Tobie to przychodzi łatwo, Tim, ale mnie naprawdę trudno się skupić...

— Jej głos lekko się załamuje. Nan mruga szybko, opuszcza ramiona i robi smutną minę.

Ale ja kręcę głową.

— Nie, w porządku. Nie.

Jej twarz na moment traci wszelki wyraz.

— No dobrze. Więc... To gdzie sypiasz?

Wskazuję drzwi sypialni.

— Zapraszam. Nagie pijane dziewczyny tłoczą się teraz pod prysznicem, nie masz się czego obawiać.

— Ale z ciebie palant. Myślałam, że pościelę ci łóżko, przecież nie masz pojęcia, jak to zrobić. Możesz się przyglądać i...

— I co, zrobisz mi potem egzamin? Nie, dzięki. Idę pod prysznic.

— Jak chcesz — odpowiada. — Uważaj na nagie dziewczyny. Podobno gdy są mokre, bywają śliskie.

Wybucham śmiechem. Nan potrafi zająć mi za skórę, ale w dziewięćdziesięciu procentach przypadków to ja jestem dla niej wredny, a ona i tak mnie kocha. Kiedy zaczęło mi odbijać, ona cała się usztywniła. Żałuję, że nie przyznają honorowego tytułu za perfekcjonizm, wtedy natychmiast bym ją zgłosił do konkursu.

Teraz Nan odpowiada mi uśmiechem, bo śmieję się dzięki niej. A tak napisała w tym swoim przeklętym pamiętniku: „Kochany Boże, spraw, żebym była zabawna jak Tim, bo ludzie zabawni są lubiani, i może wtedy Mark Winthrop...”

...się w niej zakocha.

— Nano, jeśli chodzi o te szkolne rzeczy... — zaczynam i chrząkam. — Już nie mogę ci w ten sposób pomagać. Rozumiesz, prawda?

Kiwa głową i wbija wzrok w workowaty puf.

— Wiesz, jeśli chodzi o pieniądze na studia, Tim... Tata mówi, że wystarczy na studia na Uniwersytecie Columbia, bo ty... — zatrzymuje się, a ja słyszę, jak trzeszczą jej trybiki w mózgu, kiedy szuka właściwych słów. „Bo ty...”

Bo ty najprawdopodobniej...

Zawiedziesz.

Wszystkich i we wszystkim.

ALICE

No i znów srebrny dach lśni w świetle latarni marki Schmidt, mokry od deszczu. Samochód przystaje na końcu przecznicy, już po raz trzeci, odkąd Brad podrzucił mnie do domu. Po czym na moich oczach włącza kierunkowskaz,

choć ulica jest całkowicie opustoszała. Schodzę po stopniach, obejmując się ramionami, gdyż znad rzeki trochę wieje.

Unoszę wzrok w kierunku zasłoniętych okien garażu — na tle rolet widzę smukłą sylwetkę przechodzącego Tima i kogoś jeszcze — dziewczyny z kucykiem, gestykulującej obiema rękami.

W tej chwili na nasz podjazd wtacza się samochód i staje krzywo między moim garbusem a jettą Tima.

Jego reflektory gasną.

Wystarczy. Co to za dziwny sposób parkowania na naszym terenie? Czy to jakiś rekonesans? Nie widzę wnętrza, gdyż okna są przyciemnione.

Dilerzy?

Może nowy lokator garażu przyciągnął za sobą swoją podejrzaną przeszłość.

Albo wynajął sobie dziwkę na imprezę.

Schodzę w kierunku samochodu.

Mocno pukam w szybę.

W tej samej chwili uświadamiam sobie, jak głupio postępuję.

Nie mam broni. Nie mam gazu. No, chyba że ten ktoś da się pokonać mieczem świetlnym Harry'ego, lśniącem w ciemności, leżącym obok w trawie.

Kierowca znów zapala silnik, okno powoli się otwiera. Widzę dziewczynę w moim wieku lub młodszą, szatynkę o długich włosach i wielkich niebieskich oczach z gęstymi rzęsami. Patrzy na mnie bez mrugnięcia; w jej szeroko otwartych oczach lśni światło reflektorów odbitych od domu.

— Szukasz kogoś?

Dziewczyna kurczy się na dźwięk mojego głosu. Jej palce z paznokciami pokrytymi odpadającym już ciemnoróżowym lakierem zaciskają się jeszcze mocniej na kierownicy w pozycji za dziesięć druga.

— Tak. Nie. To znaczy... ja... — zająkuje się. — Ja... ja...

— Zgubiłaś się?

Dziewczyna śmieje się niepewnie i odpowiada:

— Masz rację. Przepraszam. Nie przejmuj się. Znajdę drogę. — Po czym zamyka okno i powoli cofa tak, jak wjechała.

Rozdział dziewiąty

ALICE

— Wchodzę, musimy pogadać — odzywam się, zanim jeszcze drzwi się dobrze otworzyły.

Tim patrzy na mnie, mrugając, robi krok do tyłu, po czym zerka nad moją głową, jakby spodziewał się czającego się tłumu gotowego do linczu.

— Najbardziej przerażające zdanie wszechświata. — Ma na sobie rozciągnięte spodnie od piżamy, w jednej ręce szczoteczkę do zębów, a w drugiej — gotową do użycia pastę do zębów.

— Wpuść mnie — powtarzam głośniej.

— Ani na włos z mojej cienkiej bródki. Wyglądasz, jakbyś chciała mordować. — Patrzy na moją koszulę, lekko wilgotną od deszczu. — Poza tym twoja... eee... klatka piersiowa mocno się unosi. Czy to ty tak dyszysz?

— Tim, już! — Nie mam zamiaru dać się rozbroić.

Unosząc dłonie ze szczoteczką i pastą, Tim się odsuwa. Przesuwam się obok niego i wychodzę na środek pokoju. Mojego pokoju. Który został już całkowicie oznakowany przez Tima. Otwarte pudełko płatków, pusty kartonik po soku pomarańczowym i garść zmiętych rachunków. Skarpetki i bluza zwinięte w kłębie. Ciuchy na kanapie. Naczynia w zlewie. IPod z kłębkiem kabli od ładowarek i xbox obok telewizora.

Na pufie rzucony lawendowy daszek.

— Na początek: gdzie jest ta dziewczyna?

Nigdy nie widziałam, żeby do Tima tak wolno docierało to, co się mówi, chyba że się najarał. Znów mruga.

— Eee... masz na myśli...? Jaka dziewczyna?

— Masz ich więcej? Słuchaj, tak nie można. Ja potrzebuję tego miejsca, przykro mi, jeśli planowałeś wykorzystać je do swoich schadzek czy jeszcze czegoś innego. Nie interesuje mnie, ile obiecałeś Jase'owi, on nie miał prawa wynajmować ci tego mieszkania.

Tim rzuca szczoteczkę i pastę na blat, łapie paczkę marlboro, gwałtownie wyciąga zapalniczkę, wytrząsa papierosa z pudełka i zapala — wszystko w ciągu dwóch sekund.

Patrzę na niego oburzona. Palenie w moim mieszkaniu?!

— Przepraszam, gdzie moje maniery. Chcesz? — pyta z papierosem w ustach.

Drzwi sypialni otwierają się i wychodzi...

Nan. Nerwowa jak kotka na gorącym blaszanym dachu siostra bliźniaczka Tima.

— No dobrze — mówi, okręcając na palcu lok włosów i sięgając za siebie do kontaktu. — Powiem mamie, że spełniłam obowiązek. Myślisz, że powinnam też utulić cię do snu? Zapomniałam przynieść misia Pierre’a, ale mogę... — Zatrzymuje się gwałtownie. — O, cześć, Alice.

— Cześć, Nan — rzucam jej krótki, ale szczery uśmiech, który dziewczyna odwzajemnia niepewnie. Przypomina zwierzęta Jase’a, które były źle traktowane przez poprzednich właścicieli.

— Możemy odpuścić sobie utulenie — odpowiada Tim. — Ręczniki i pościel to... miłe. Podziękuj mamie. Ale nie przy ojcu. Na pewno według niego powinienem spać pod gazetą gdzieś w rymsztoku.

Nan przygryza paznokieć małego palca, gwałtownie odrywa skórę, aż ja sama czuję ból ze współczucia. Przygląda mi się badawczo, między jej brwiami pojawia się pionowa zmarszczka, identyczna jak u Tima. Dziewczyna podnosi daszek z fotela, przenosi wzrok ze mnie na brata i z powrotem, aż w końcu Tim kładzie jej rękę na plecach i popycha w kierunku drzwi.

— Dobry uczynek zaliczony, mała. Lepiej już idź. Alice nie życzy sobie świadków morderstwa.

Kiedy drzwi zamykają się za Nan, Tim patrzy na mnie pytająco, jakby chciał powiedzieć: „No to wal”. Po czym, zanim zdołam wypowiedzieć słowo, zaczyna:

— Mam się wynieść, tak, Alice? To się roznosi jak wirus. Dyrekcja szkoły, szefowie w pracy, moja rodzina, wszyscy każą mi się wynieść. Chyba powinienem zacząć spisywać listę i powiesić ją na lodówce.

Zero kokieterii. Twardy, sarkastyczny, jak mocne pchnięcie w plecy. Nie słyszałam u niego takiego tonu, odkąd po raz pierwszy rzucił picie. Patrzy na mnie badawczo, przesuwając spojrzenie z mojej twarzy do zaciśniętych pięści i znów z powrotem na twarz.

Odwraca się.

— Cholera, przepraszam, Alice. Miałem się wprowadzić do kolegi, Connella, ale on wrócił do ćpania, więc się nie dało. Jase powiedział... Nie wiedziałem, że miałaś tu zamieszkać. Powinienem był zgadnąć. Nie przejmuj się, umiem spakować się w pięć sekund. — Rzuca mi ten typ uśmiechu, jaki widzę u swoich braci, kiedy objął sobie kolano. „Widzisz, nic mi nie jest. Wcale nie boli”.

Po czym zaczyna zbierać z blatu pogniecione rachunki, wpycha je do portfela, aż za bardzo skupiając się na tej czynności.

— I dokąd pójdziesz, do domu?

— To nie twój problem, gorąca Alice.

Przyglądam się jego twarzy, ale nie potrafię nic odgadnąć z tej perspektywy. Kończy z portfelem, próbuje go włożyć do kieszeni i dopiero wtedy chyba sobie uświadamia, że ma na sobie piżamę.

— Zaraz. Dlaczego właściwie tu trafiłeś, Tim?

Wzrusza ramionami i obchodzi mnie, żeby podnieść z podłogi karton, wrzuca do niego portfel, bluzę i skarpetki. Zakłada automatycznie, że wyrzucam go w tej sekundzie, późnym wieczorem na wiatr i deszcz.

Nawet ja nie jestem aż tak nieczuła.

Po czym nagle uderza mnie to jak policzek.

Lista ludzi, którzy go nie chcą, obejmuje również rodziców. Własna matka i ojciec wyrzucili go z domu.

Tim rzuca mi szybkie spojrzenie i nagle czerwienieje, co mnie zaskakuje. Obejmuje się ramionami w pasie.

— Co?

— Jak... — zaczynam, ale nie jestem pewna, jak to ująć. Nawet sobie nie wyobrażam... — Nieważne. Zrobię ci herbatę, a ty opowiesz mi, co się stało — kończę.

— A może wolałbym inne opcje. Lanie? Podtapianie? Już lecę odkręcać prysznic.

Zadziwiająco, ale ma w pokoju herbatę. Oczywiście żadnego czajnika. Nalewam wody do rondla, mam nadzieję, że chociaż kubki się znajdą. Owszem, brzydkie, czarno-żółte z klubu Planet Fitness. Joel wykazał się klasą. Odwracam się w kierunku lodówki, żeby sprawdzić, czy jest także mleko — na drzwiach wisi lista. Długa, zapisana bazgrołami typowymi dla chłopaka, różnokolorowymi długopisami.

„Tim Mason: chłopak, który najpewniej...

będzie potrzebował przeszczepu nerki,
z zamkniętymi oczami znajdzie barek,
wjedzie samochodem w dom”.

Prześlizguję się spojrzeniem na dół kartki.

— Poszukaj cukru — mówię mu — a potem opowiedz mi resztę.

— Chyba nie ma cukru — odpowiada — ale, jak widzę, opór jest daremny. Słuchaj, to naprawdę nic wielkiego. Jak się okazuje... moi rodzice, mój ojciec... Odejście z biura pani senator to był gwóźdź do trumny. Żenujące. Widzisz, Grace Reed to przyjaciółka rodziny, i tak dalej, i tak dalej... skończył ze mną. Wyrzucił mnie za drzwi, raczej nie mam co się pokazywać na niedzielnych obiadach. Taka drobna niedogodność. Mam cztery miesiące, żeby się zebrać w garść, inaczej nie dostanę pieniędzy na studia i zapewne zostanę skreślony z drzewa genealogicznego. To tyle.

Robi mi się niedobrze.

— Niemożliwe, żeby mówił poważnie. Przecież... to twój tata.

Tim spuszcza wzrok na swoje palce i unosi brwi, jakby zaskoczony, że już nie ma w nich papierosa.

— Ojciec to poważny człowiek. — Jego głos przybiera poważniejszy ton. —

Mam się zachowywać jak mężczyzna. Może zanim rzuciłem Gracie, powinienem był przeczytać drobny druk w umowie. Nie przypuszczałem, że skończę... — wskazuje pokój — tak. Ale przecież nie zabrał mi samochodu ani kieszonkowego... — Uśmiecha się, ale inaczej niż zwykle, z napięciem. — Na jego obronę muszę przyznać, że wypiliśmy strzemiennego.

Ze świstem wciągam powietrze; Tim znów czerwienieje i przesuwa dłońmi po włosach, aż kosmyki unoszą się pionowo. Znów odwracam się do szafki w poszukiwaniu cukru. Nie ma szans.

— Będziesz się musiał obejść bez cukru.

Kiwa głową.

— Teraz powinienem ci powiedzieć, że twoja słodycz mi wystarczy, prawda?

— Na pewno nie. Rusz się, żebyś cię nie oparzyła. — Jednym ruchem wlewam wrzątek do pierwszego kubka, potem do drugiego i głową wskazuję kanapę. — Mów dalej.

— Równie dobrze możemy porozmawiać o *Elzie* — *Wilczycy z SS1*. Znasz to, Alice? Bo naprawdę nie mam już nic więcej do opowiadania. Zapewne to i tak tymczasowe. Moja rezygnacja z posady u senator Grace już i tak jest dla ojca porażką. Wyobrażasz sobie, jak by się czuł, gdybym usiadł przed wejściem i zebrał? — Tim opada na kanapę. Nie wziął sobie kubka. — Możemy porozmawiać o czymś innym? O tobie? Twojej ogromnej kolekcji bikini? Twojej opaleniznie? Nie masz żadnych nieopalonych miejsc pod bikini, zauważyłem. Chcesz mi je pokazać i o nich opowiedzieć?

Przynoszę z kuchni oba kubki i stawiam przed nim.

— Słuchaj, zostań. To znaczy... Mogę poczekać. Tak będzie uczciwie. Jase przecież i tak nie wiedział, że chciałam się tu wprowadzić. Cztery miesiące szybko miną. Możesz tu pomieszkać te cztery miesiące, a potem... — zawieszam głos.

A potem co?

Niespokojne spojrzenie szarych oczu na długą chwilę wpija się w moją twarz. W końcu Tim wzdycha i kręci głową.

— Nie. Znajdę sobie inne miejsce. Zaslugujesz na to, zarobiłaś sobie.

Jakby dom był czymś, na co w wieku siedemnastu lat trzeba sobie zarobić.

To dzieciak. Nie mężczyzna, który musi dotrzymać jakiegoś terminu. Zaciśnięte zęby i uniesiony podbródek — znam tę minę. Wyraża coś w rodzaju: „Jakoś przez to przejdę, nie ma problemu, poradzę sobie. Już sobie radzę. Nie ma o czym mówić”. Znam to aż za dobrze. To moja własna twarz. Wyobrażam sobie resztę wyliczanki z lodówki:

„Tim Mason: chłopak, który najpewniej...

- zapomni własnego imienia, zanim my to zrobimy,
- odrzuci najgorętszą dziewczynę świata za najzimniejsze piwo,

• na piątym zjeździe klasowym będzie już wachał kwiatki od spodu”.

Nie idź tą drogą, Tim. To bezsensowne marnotrawstwo.

— Naprawdę — odzywam się głośno. — Zostań.

Chwila ciszy.

— Chcę, żebyś tu został — dodaję, a policzki mi płoną. Tim przesuwa się na kanapie, z przeraźliwą jasnością uświadamiam sobie jego obecność obok mnie, zapach mydła i szamponu, bijące od niego ciepło i życie.

— Proszę, zostań.

Moje słowa padają w ciszę. Coś się zmienia. Tim prostuje ramiona. Zamiera w bezruchu, ale nie jak skamieniały, raczej... czujnie.

— Naprawdę...? No to... zostanę — odzywa się cicho. — Skoro prosisz tak... ładnie.

— Słuchaj, jeśli masz zostać, trzeba ustalić zasady.

— Zawsze trzeba to zrobić — odpowiada Tim natychmiast. — Im bardziej precyzyjne, tym lepiej.

Jak te na lodówce? Tego nie mówię na głos.

— Nie obiecuję, że będę ich przestrzegał, ale...

— Papierosy są wykluczone — mówię. — Nie znajdziesz tu schronienia, jeśli spalisz dom, a jeśli kiedyś się go doczekam, nie chcę tu smrodu jak w spelunie.

Wstaje z kanapy, przechodzi obok mnie, wrzuca paczkę marlboro do kosza pod zlewem, ciasno zawiązuje worek i stawia go obok drzwi. Opada na kanapę obok mnie, zakłada ręce za głowę i się przeciąga.

— Przepraszam jeszcze raz. Próbuję rzucić. Pozbyłem się całego wagonu, ale... tę paczkę kupiłem pod wpływem impulsu. Staram się nad tym panować, bo mam głupie impulsy.

Jego spojrzenie ukradkiem przesuwa się po mojej twarzy, ustach, schodzi niżej, po czym wraca do moich oczu.

Na zewnątrz pada, w okna biją krople deszczu, wiatr wyje nieprzerwanie. W pokoju jest ciepło, nawet za ciepło.

Mogę mu ustalać zasady, ale Tim nie jest moim bratem.

Znów zerka na moje usta; rozlega się świst wciąganego powietrza. On czy ja?

Zrywam się gwałtownie.

— Muszę wracać.

— Odprowadzę cię. — Tim wstaje szybko, chwyta zieloną torbę ze śmieciami i staje naprzeciwko mnie. — Niebezpieczna okolica i tak dalej. Pod drewnią czai się szop wielkości pumy.

Trzymamy śmieci w niskiej szopie niedaleko schodów. Kiedy do niej docieramy, Tim schyla się i przerzuca torbę do środka.

— Nie mów Jase'owi o tym... o całej tej sprawie z moimi rodzicami, dobrze? — Jego głos jest stłumiony. — Mężczyzna ma swoją dumę.

Idę tyłem po podjeździe; zmuszam się do lekkiego śmiechu.

— Oczywiście. Nigdy się nie całuję i...

— Umknęła mi ta chwila, kiedy się całowaliśmy? Moment, przewińmy to jeszcze raz. Obiecuję, nie będę się bronił. — Wyskakuje przede mnie i z uśmiechem unosi ręce. — I tak mnie zwyciężysz. A ja ci na to pozwolę.

Ze śmiechem kręcę głową, po czym osłaniam oczy, kiedy nagle rozbłyskują reflektory, od tyłu oświetlając Tima. Z naszego podjazdu powoli wyjeżdża samochód.

1 *Elza* — *Wilczyca z SS* — film w reżyserii Dona Edmondsa.

Rozdział dziesiąty

ALICE

— Za dwie sekundy padnę nieodwołalnie! — oznajmia Andy stojąca na rękach, z nogami opartymi o ogrodzenie przy podjeździe. Mocno nią kiwa.

— Dasz radę — pociesza ją Samantha, nieco zdyszana, stojąca w tej samej pozycji. — To naprawdę doskonale ćwiczenie, wierz mi. Jeśli nauczysz się porządnie stać na rękach, wszystko inne pójdzie jak z płatka, prawda, Alice?

— To podstawowe ćwiczenie gimnastyczne! — wołam. Andy i ja dzielimy pokój, łazienkę i połowę moich ciuchów. Kocham siostrę, ale dziękuję Bogu, że Sam pomaga jej przygotować się do eliminacji gimnastycznych.

Jase grzebie przy swoim mustangu. Mama pilnuje Duffa i Harry'ego, którzy oblewają się nawzajem wodą i rzucają w siebie gąbkami, a w przerwie myją naszą furgonetkę. George rysuje na asfalcie, wstaje, odsuwa się, po czym skacze na swój rysunek i zaczyna na nim podskakiwać. Patsy macha do mnie ręką z basenu dla dzieci.

— Aiiiiis! Aja, Aiiiiis!

Jak zwykle nasz podjazd i trawnik są gęsto zaludnione. Idealnie. W tłumie łatwiej.

Brad zaparkował ostrożnie obok mustanga, rozglądając się niespokojnie na boki. Śmiertelnie boi się naszego podjazdu. Chyba ma wrażenie, że kiedyś przejedzie kogoś z rodziny, ale może też nie chciałby, żeby różowy samochodek Patsy zarysował jego ukochanego taurusa. Wślizguję się na siedzenie pasażera. Brad obdarza mnie wilgotnym całusem w policzek i ściska mocno.

Za otwartym oknem Harry przesuwają wąż ogrodniczy w kierunku samochodu Brada, ale mama błyskawicznie kieruje jego wylot w bok.

— Nie wolno oblewać ludzi, dopóki się nie zgodzą, Harry. Georgie, kochanie, to chyba działa tylko w obecności Mary Poppins.

George znów skacze na rysunek wykonany kredą, przedstawiający, jak się zdaje, palmę i żółwia.

— No to wyślij jej SMS, mamo.

— Mary Poppins nie używa komórki.

— Ally, chcesz jechać ze mną? Możemy posiedzieć z Wallym, zrobisz nam makaron z serem. Udało mi się zdobyć najnowsze *Annihilation 7: zemsta Grizzlies*. Rozbiję Wally'ego w drobny mak i wytrę nim podłogę.

Odwracam się do niego.

— Brad, chodzi o to... Ostatnio się zastanawiałam...

Jase przygląda mi się przez chwilę, unosząc brwi. Widział już takie rozsypujące się układanki.

— Mamooo! — wrzeszczy Harry. — Patsy gryzie!

— Weszła mi na obrazek wyspy, wszystko zniszczyła! — dodaje George, oskarżycielskim gestem wskazując Patsy, która szczerząc drobne zębki, z podskakującym na czubku głowy kucykiem biegnie za Harrym.

Mama zgarnia Patsy w ramiona. Dziewczynka wije się i wrywa.

— Ja tygrys, mamoo! — mówi i warczy do Harry'ego.

— Ale jesteś przyjaznym tygrysem — podsuwa jej mama. — George, ta część z falami wygląda teraz nawet bardziej wodniście. Świetnie. Odsuń się i przyjrzyj.

Patsy wciąż rzuca Harry'emu mordercze spojrzenia.

— Ja gryzę — mówi złowrogo.

— Mamoo!

— Senny tygrys. — Mama gładzi Patsy po plecach. — O, jak mu wygodnie... Z przyjaciółmi z dżungli. Harry, ty jesteś słoniem, a wąż to twoja trąba. Został ci jeszcze kawałek na tylnym oknie.

Brad chichocze.

— Twoja mama jest niesamowita.

Kiedy mówi takie rzeczy, robi się jeszcze trudniej. Za mustangiem Jase'a ustawia się samochód Tima, tył wystaje na ulicę, żeby nie wjechać na rysunki George'a. Sam macha do niego zapraszająco, ale Tim woła z roztargnieniem:

— Spóźniłem się na spotkanie! Biegałem. Muszę lecieć pod prysznic i idę dalej.

Przechodzi obok taurusa, przystaje.

— Cześć, Alice.

— Co tym razem masz na nogach? — pytam.

— Palce — odpowiada swobodnie i uśmiechając się do mnie, unosi jedną długą stopę, po czym opiera ją na drzwiach i dla większego efektu przebiera palcami. Obok palucha ma spore rozcięcie. — Palce i krew. Rozciąłem o muszlę. Ale tym razem przebiegłem całą drogę do molo. Zupełnie, jak gdybym należał do Navy SEALs, prawda? Biegłem mimo bólu, bo niósł mnie testosteron.

Dużym wysiłkiem powstrzymuję śmiech i odwracam wzrok; moje spojrzenie pada prosto na Samanthę, która już przerwała stanie na rękach i przygląda nam się z bardzo lekkim uśmiechem. Jase, ze smugą smaru na nosie, marszczy brwi nad czymś, co ma związek z wycieraczkami. Albo czymś innym.

— Umyj to — polecam Timowi. — I zawiń w coś, żeby się nie zabrudziło. Palce u stóp bardzo łatwo ulegają zakażeniom, bo w butach szybko rozwijają się bakterie.

— Uwielbiam, kiedy zamieniasz się w pielęgniarkę — mówi Tim i dopiero jakby zauważył siedzącego obok chłopaka. — Hej, Brad.

— Hej, słuchaj, możesz stąd odejść? — pyta Brad. — Rozmawiamy.

Tim się wycofuje, unosząc dłonie dokładnie w tym samym geście, którego użył poprzedniej nocy. Czuję, jak dreszcz przebiega mi po kręgosłupie.

Do wchodzącego po schodach Tima podchodzi Andy.

— Tim, jesteś chłopakiem, prawda?! — woła.

— Gdy ostatnio sprawdzałem, jeszcze nim byłem.

— Mogę ci zadać pytanie, którego nie zadałabym swoim braciom?

— Nie! — woła Jase.

— Eee, Andy, przykro mi, ale naprawdę muszę się szykować na spotkanie — mówi Tim, rzucając spojrzenie Jase'owi, po czym zamyka za sobą drzwi garażu.

— Co mówiłaś, Ali Babo?

Musisz przełknąć tę żabę.

— Słuchaj, Brad.

Brad posłusznie spogląda mi w oczy. Właśnie ugryzł jeden z miliarda batoników proteinowych, którymi wypchał sobie schowek w samochodzie; przeżuwa, policzki ma wypchane jak chomik. Harry i George zaczęli grać w limbo wodą z węża, mama odciąga Patsy pieluchę na plecach i sprawdza jej zawartość, Jase szybko podnosi głowę i wali nią w maskę, więc Samantha, która podchodzi do niego, masuje mu guza, mrużąc coś po cichu. Andy wykonuje ćwiczenie zwane *back walkover* bez odpowiedniego rozciągnięcia.

W tym zwykłym chaosie i kolorycie mój głos nagle brzmi jak z zupełnie innej bajki.

Szczerze mówiąc brzmi zimno.

— Masz zwariowaną rodzinę — mówi Brad. — Totalni wariaci, ale wiesz co... — zawiesza głos.

Nie jeden z moich chłopaków twierdził, że zerwanie ze mną oznaczało także rozstanie z moją rodziną i to było najcięższe.

Jednak muszę mówić dalej. Nie ma sensu przeciągać sprawy. Może to ja jestem twarda. Najtwardsza.

Brad przełyka kęs, odgryza kolejny i z pełnymi ustami odzywa się:

— O co chodzi, Ally?

— Brad, muszę ci coś powiedzieć.

Jase się krzywi.

— Sam, słuchaj, możesz mi potrzymać maskę, żeby nie spadła? Pręt podtrzymujący wciąż się wysuwa.

— Dzieci, chodźmy do domu — odzywa się mama. — Duff, Harry, George, czas się umyć i coś zjeść. Andy, ty też.

Idą za nią wszyscy oprócz George'a, który teraz dla odmiany wskakuje w kałuże utworzone przez wodę z węża. Jase wciąż majstruje przy samochodzie.

— Dotarliśmy do końca drogi — odzywam się szybko. — Tak daleko, jak to

było możliwe.

Brad wygląda na zdziwionego.

— Ale to podjazd.

— Mam na myśli nas. Jako para... To nie wychodzi.

— Co? — Brad marszczy brwi. — To... niemożliwe.

— Czy możesz mi podać marker, nie puszczać maski?! — woła Jase do Sam.

— Zawsze wiedzieliśmy, że to tymczasowe. — Tyle razy wypowiadałam to zdanie. Całkiem możliwe, że jestem prawdziwą suką.

— Naprawdę? Skąd? — odpowiada Brad słabo, marszcząc czoło. — Czego zabrakło, Ally, kochanie? Spotykaliśmy się, mizialiśmy, wszystko było dobrze. Dobrze się układało. Nie rozumiem.

Jego brązowe oczy patrzą na mnie błagalnie. Jase intensywnie bada coś pod maską samochodu; Samantha jest również całkowicie pochłonięta jego naprawą.

— Brad, nigdy nie rozmawialiśmy. Nigdy nie... — „się nie śmialiśmy”. Po jego policzkach spływają łzy. O Boże.

— Nie rozmawialiśmy? — powtarza wyraźnie zdezorientowany. — O czym?

To do niczego nie prowadzi. Czas kończyć. Kładę mu dłoń na kolanie i ściskam.

— Dobry z ciebie chłopak.

— Nie! — mówi nagle głośno. — Nie rób mi tego. Nie nazywaj mnie tak. Jestem lepszy. Jestem świetny. Byłem przy tobie. Zawsze mogłaś na mnie liczyć.

Ma rację. Znosił moje wariackie godziny pracy, wszelkie obowiązki domowe i szkolne oraz konieczność opieki nad rodzeństwem. Z drugiej strony ja musiałam znosić jego współlokatora — facet prawdopodobnie stanowi brakujące ogniwo — jego obsesję na punkcie formy fizycznej, złą babcię z Zachodniego Wybrzeża i wszystkie te przezwiska, którymi mnie obdarzał.

— Racja. I dlatego jeszcze trudniej mi to zrobić — mówię łagodnie, ale to niczego nie zmienia. Teraz Brad wręcz szlocha, trzęsą mu się potężne ramiona, łzy strumieniem płyną po twarzy, z nosa kapie. Rzucam szybkie spojrzenie na drzwi garażu. — Brad.... — mówię bezradnie. Jak to możliwe, że nie zauważyłam głębi jego uczuć?

Schowwał twarz w dłoniach. Próbuję pogłaskać go po ramieniu, ale on strząsa moją dłoń.

— Idź. Po prostu odejź, Alice.

Znów płacz.

— Brad — powtarzam bezradnie. — Czuję...

— Nic nie czujesz — odpowiada. — Nie umiesz odczuwać. Wynoś się z mojego samochodu.

Ledwie dotknęłam stopami asfaltu, kiedy on z rozmachem trzasnął drzwiami, wycofał z piskiem opon i pognał przed siebie. Zupełnie jak nie on. Zwykle prowadzi ostrożnie jak starsza pani.

Gapię się za nim, przygryzając paznokcie, co nie zdarzyło mi się od lat. Jase z trzaskiem zamyka maskę i wyciera zatłuszczone dłonie w jakąś ścierkę. Kiedy ryk silnika cichnie w oddali, zapada tym bardziej dojmująca cisza.

— No... poszło trochę słabo — stwierdza Jase. — Nie znudziło ci się jeszcze, Al?

— Chcesz o tym porozmawiać? — pyta jednocześnie Samantha.

Kręcę głową. Czy powinnam była zdawać sobie sprawę z jego uczuć? Jakie były ich oznaki?

— Ja nie... — Zaraz. Czy to ten sam srebrny samochód stoi po drugiej stronie ulicy?

— Nie miał racji, kiedy mówił o uczuciach. Był tylko wściekły. Facetom odbija, kiedy urazi się ich dumę — pociesza mnie Jase.

— Moja wina — odpowiadam z roztargnieniem. — Nigdy dotąd mu nie odbijało.

— Mam go pobić? — proponuje brat. — Jest spory, ale mógłbym skrzyknąć koleśków. George się zgłosi, jeśli dostanie fajny mundur.

— Tim pomoże — dodaje Samantha.

Samochód intruza z szarpnięciem cofa, po czym podjeżdża do przodu, jakby naśladował Brada. Jakaś była dziewczyna Joela? Znajomy diler Tima? Nieważne. Mam inne problemy.

O wilku mowa. Na dźwięk stóp Tima bębniących o stopnie prowadzące do garażu odwracam się. Tim pogwizduje, głowę ma schyloną, liczy drobne.

— Będę około siódmej, chcecie...

W powietrzu można dosłownie zawiesić siekierę. Tim przenosi spojrzenie między nami.

— Alice? Sam? Co ja zrobiłem?

*

Kiedy już wszyscy sobie poszli, opadam na schody obok George'a. Brat spogląda na mnie, przechylając głowę.

— On płakał.

Z westchnieniem sadzam go sobie na kolanach i opieram podbródek na jego głowie. Rozwiewane wiatrem włosy łaskoczą mnie w nos, a ja wdycham zapach dziecka: kreda, trawa i woda z węża.

— Wiem.

— Nigdy nie widziałem, żeby ktoś duży tak płakał. To prawie tak, jak kiedy płacze Tchórzliwy Lew z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

Na pewno.
Zapewne dlatego jestem Blaszaną Alice.

Rozdział jedenasty

TIM

Dzisiejsze spotkanie odbywa się w szpitalu; tym samym, w którym leży pan Garrett. Przychodzę spóźniony, a mój opiekun z klubu AA, Dominic, patrzy na mnie złowrogo, kiedy opadam na krzesło obok niego.

— To było nieuniknione — mruczę.

— Następnym razem spróbuj jednak unikać spóźniania — odmrucuje.

Tak właśnie Dominic został moim opiekunem: szybko zaczął. Równie szybko jak pan Garrett, który miał nad nim tę przewagę, że był moim instruktorem u skautów wiele lat temu. To pan G. zmusił mnie do pójścia do AA, to z nim poszedłem na początku. Jednak czasami on nie mógł przyjść na spotkanie z powodu pracy lub dzieci. Wtedy wychodziłem szybciej. Nie robiłem tego, kiedy pan Garrett był ze mną, ale pod jego nieobecność za każdym razem. Wychodziłem coraz wcześniej. Za czwartym czy piątym razem Dominic złapał mnie za T-shirt, kiedy szedłem do drzwi, pociągnął za sobą i usadził na krzesło obok siebie. On siedział prawie na środku pomieszczenia, daleko od drzwi. To facet o posturze boksera, młody, o wielkich dłoniach, chudy, ale żyłasty, mocno opalony, jeden z tych typów, którzy zawsze mają na twarzy cień zarostu. Kiedy zacząłem wstawiać dziesięć minut przed końcem spotkania, wystawił przed siebie nogę, jakby chciał mi ją podstawić.

— Co to, przedszkole? — syknął kątem ust. — Później — dodał bezgłośnie.

Kiedy tylko spotkanie się skończyło, powiedziałem:

— Nie wiedziałem, że każdy ma przydzielone krzesło. A teraz może zechcesz obejrzeć mój dowód? Jesteś dupkiem.

Wbił we mnie wzrok bez wyrazu.

— Nie. Nie. Przejrzałeś mnie. Nie wychodź przed czasem. Dupek.

Z Domem nie ma co zadzierać.

Potem dowiedziałem się o nim więcej. Że ma dwadzieścia dwa lata. Że ożenił się zaraz po szkole, gdyż jego dziewczyna zaciążyła po balu na koniec szkoły. „W samochodzie po drodze do szkoły” — dodaje zawsze. „Nawet nie kupiłem jej bukietu na rękę”. Że żona zostawiła go po roku małżeństwa, zabierając ze sobą dziecko. A kolejne pół roku pił tak, że nie pamięta, czy w ogóle chodził do pracy. A teraz od trzech lat nie pije.

No i siedzimy tak sobie na koniec spotkania, trzymając się za ręce jak w przedszkolu. Kilka miesięcy temu czułbym się cholernie niezręcznie; tak się robi w dzieciństwie, kiedy trzeba chwycić kogoś za rękę, żeby przejść przez ulicę i tak dalej. Ale po skończeniu powiedzmy dziesięciu lat nikt się tak nie zachowuje. Jednak nawet mi się tu podoba, kiedy tak siedzę wciśnięty między twardziela

Dominica a pana gładkiego Jake'a, którego wcześniej znałem jako trenera Somersa, mojego nauczyciela wufu z Hodges. Uśmiecha się do mnie, czego, wierzcie mi, nie robił nigdy, kiedy w Hodges należałem do jego drużyny. Wtedy częściej kazał mi robić karne pompki za moją niewłaściwą postawę. Wtedy uważałem go za zgorzkniałego starucha, który nie rozumie nastolatków. Facet zbliża się do trzydziestki.

Teraz, kiedy wychodzę na kawę z Dominikiem, Jake saltuje mi z daleka. Mile.

*

Dom i ja siedzimy w Cuppa Joe and Piece-a Pie — obrzydliwa kawa, wspaniałe ciasto — i zastanawiamy się, czy kupić ten stary furgon z przebiegiem sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów, kiedy Dom nagle unosi wzrok i brwi, po czym rzuca mi krzywy uśmieszek.

— Jakiś facet naprawdę nie znosi któregoś z nas. Jak się zdaje, chodzi mu o ciebie. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, zostałyby z ciebie kupka dymiącego popiołu.

— Zwykle wkurzam dziewczyny, więc chyba chodzi mu o ciebie. Gdzie on siedzi?

— Faaakt, zapomniałem, jaki z ciebie był casanova. Trzeci stolik po lewej. Na pewno ten palec, który wystawił, był dla ciebie. Gość ma cela. Gdyby trzymał pistolet...

— Tylko ojciec nienawidzi mnie do tego stopnia. — Udaję, że rozciągam sobie szyję i próbuję dojrzeć faceta.

No tak, faktycznie wygląda, jakby chciał mi odstrzelić co nieco. To Brad od Alice.

— Musisz kogoś przeprosić? — pyta Dominic. — Z pewnością ten gość chętnie przyjmie przeprosiny. Jeśli nie, to hm... ma nad tobą przewagę jakichś pięćdziesięciu kilogramów. Może okaże ci miłosierdzie i zostawi cię ledwo żywego, zamiast robić z ciebie krwawą plamę na podłodze.

— Chyba lubisz sobie wyobrazać, jak to na różne sposoby gryzę piach, Dom. Świetny sposób okazywania wsparcia.

— Co mu zrobiłeś, przespałeś się z jego dziewczyną?

— E... co? Nie! — odpowiadam trochę za głośno. — Nie — powtarzam ciszej.

— Rumienisz się? — pyta rozbawiony Dominic.

— Nie. No to... powiedz mi jeszcze o tej ciężarówce. Jak się tym, eee... kieruje?

Dominic spuszcza wzrok i zagryza wargi, tłumiąc uśmiech.

— Tak, widać, jak bardzo cię to interesuje. — Popija swoją kawę. — A przy

okazji, co z egzaminem GED?

Jak się okazuje, w Connecticut nie można zgłosić się na ten egzamin przed ukończeniem dziewiętnastu lat — albo trzeba mieć zaświadczenie ze szkoły, że się z niej „zrezygnowało”. W Ellery odbyło się to nieco inaczej.

Wbijam kciuk w kawałek placka wiśniowego i oblizuję go.

— No tak. Owszem, sprawdzałem. Ale nie jestem pewien, czy wyszło, eee... koszernie, czyli zgodnie z filozofią dwunastu kroków.

— Chyba niczego nie podrabiałeś, Tim, co? Bo jeśli...

— Nie! Po prostu, hm... liczyłem na coś i chyba się przeliczyłem. Jeśli chodzi o szkolną sekretarkę.

Dominic unosi brwi.

— A na co liczyłeś?

— Na swój urok osobisty.

Dom prycha.

— Tę też owinąłeś sobie wokół palca? Powinna pogadać z tym uśmiechniętym inaczej gościem przy stoliku.

Boże. Brad wciąż wbija we mnie wściekły wzrok, jakbym ukradł mu ulubiony smoczek.

— Pani Iszkiewicz zawsze... — nieco opadam na krzesło — zawsze uważała, że jestem słodki. Powiedziała, że napisze mi pismo i jakoś namówi dyrektora, żeby je podpisał. Dobson nigdy nie zwraca uwagi na te śmieci, które podpisuje, chyba że to czek z darowizną.

— Tim — odzywa się Dominic — daj spokój.

— Posunąłem się za daleko?

Dom upija łyk kawy.

— A jak myślisz?

— Ale jeśli nie skłamię, to jak mam osiągnąć cel?

— Słyszysz to, co mówisz? — Dom rozsiada się w krzesło i przygląda mi się uważnie.

Cholera.

— Wiem — przyznaje Dom. — Ale w tym wszystkim chodzi też o to, żeby przestać tak paskudnie manipulować ludźmi, pamiętasz?

Brad wychodzi. Mijając nasz stolik, przypadkowo lub celowo wielkim udem uderza w oparcie mojego krzesła.

Co takiego, nie rzuci się na mnie? Co właściwie Alice widzi w tym kretynie?

Rozdział dwunasty

Tim

Alice trzyma ręce za plecami, z przedramienia zwisa jej podniszczona torebka. Ma na sobie zielony fartuch pielęgniarki, cienie pod oczami, pachnie żelem antybakteryjnym... ale przy niej puls wciąż skacze mi jak szalony.

— Mam coś dla ciebie — odzywa się, przeciskając się obok mnie.

— Czy to coś perwersyjnego? Czy występujesz w tym ty, ja i olejek do masażu?

Parska.

— Chyba w marzeniach, młody.

— Tylko w tych najlepszych. Ale to akurat moglibyśmy zrealizować.

— Masz. — Wyciąga coś, co do tej pory trzymała za plecami: paczka owinięta w jasnoniebieską bibułkę. Podaje mi pudełko tak szybko, że prawie upadło na ziemię, zanim zdołałem je chwycić.

— Przyniosłaś mi coś na nowe mieszkanie, Alice?

— Otwórz. — Podchodzi do zlewu pełnego naczyń z ostatnich dwóch dni. Większość z poprzyklepianymi do brzegów płatkami.

Odwijam papier i widzę pudełko z logo Nike.

— Czy noszenie ich będzie oznaczać, że jesteśmy w stałym związku?

— Noszenie ich podczas biegania będzie oznaczać, że nie skończysz w gipsie.

Oglądam buty. Pasują. Idealnie.

— Znasz mój rozmiar? — Sprawdzam drobną metkę. Faktycznie trzynastka.

— Wystarczająco często zostawiałeś swoje obrzydliwe buciorzy przy naszym basenie. Twoje stopy to wybryk natury.

— Wiesz, co mówią o facetach z wielkimi stopami?

— Taaaa. Że mają wielkie śmierdzące skarpetki. Przestań, Tim. Jeśli chociaż trochę chciałbyś pomyśleć o zdrowiu, powinieneś mieć odpowiedni sprzęt.

— Uwierz mi, Alice, mam odpowiedni sprzęt.

Wybucha śmiechem.

— Proszę. Zachowujesz się jak te przerośnięte szczeniaki, które gwałcą wszystkie nogi w zasięgu wzroku.

Mój uśmiech blednie, Alice jednak odwróciła się z rękami na biodrach i omiata wzrokiem pokój.

— Flejtuch z ciebie większy niż z Brada — stwierdza. — Imponujące.

Czyli Alice była w pokoju tego żalostnego fiuta Brada? Czuję się tak, jakby ktoś walnął mnie w dołek, chociaż... Boże, jasne. Ona ma przecież dziewiętnaście lat.

Ze zmarszczonymi brwiami rozgląda się po pokoju i spaceruje po nim wokół. Co właściwie w świetle dnia jest dla mnie kłopotliwe. Kiedy tu była poprzednio, panował półmrok. Teraz oprócz przepelnionego zlewu w kącie widzę stos noszonych bokserów i szortów, a na kanapie wiszą spodnie dresowe, w których spałem poprzedniej nocy.

— Hej. Ehm... — Wskazuję pudełko płatków, zanim zauważy uniesioną klapę ubikacji i kłęb mokrych ręczników na podłodze w łazience. — Zaproponowałbym ci płatki, ale mam tylko jedną łyżkę, a wiem, jak bardzo się obawiasz zarazków.

— Nie mam obaw, tylko szeroką wiedzę na ten temat. Pijesz sok prosto z kartonu, widziałam cię. Dlaczego faceci to robią? To obrzydliwe.

— Ponieważ kiedy czegoś chcemy, chcemy tego od razu. Chce nam się pić, potrzebujemy napoju, to go sobie bierzemy. Szukanie czystej szklanki, umycie brudnej i całe to zamieszanie... nie, dzięki. Liczą się sprawy podstawowe. Chcemy tego, czego chcemy natychmiast... albo może tylko ja tak mam.

— Tim, przestań w tej chwili. Proszę. — Jej głos jest tak samo pozbawiony wyrazu jak twarz. Ale oczywiście ja brnę dalej.

— Jak w tej starej piosence: „Na coś dobrego warto czeekać”... Tylko laska mogła tak napisać. Faceci nie znoszą czekania, dlatego wszyscy piszą o satysfakcji. Nigdy nie pakujemy prezentów... a ty mój owinęłaś papierem.

— A mnie się wydawało, że jesteście zbyt skąpi, żeby kupić papier ozdobny. Albo gubicie się w sklepie.

— No właśnie. Ale skoro już zadajesz sobie kłopot z kupowaniem prezentu, szukasz czegoś, co się spodoba tej drugiej osobie, to po co jeszcze go chować i kazać się męczyć otwieraniem? To bez sensu.

Alice śmieje się, odsuwa moje spodnie i opada na kanapę.

— To ma sens, tak pokazujesz, że ci zależy. — Zbiera włosy w kok, odsłaniając długą szyję.

— Prezent okazuje, że ci zależy na osobie. Papier ozdobny okazuje, że nie zależy ci na środowisku. O tym samym świadczy branie pryszniczniczki pojedynczo. To bezsensowne marnowanie zasobów.

— Czy kiedykolwiek uda nam się porozmawiać tak, żebyś się do mnie nie przystawiał, Timie Masonie?

— Wątpię. Chcemy tego, czego chcemy, prawda? Podstawy, mała.

— Proszę. Żadna „mała”. Żadna „laska”.

— Wolisz Allykin? Ally-o? Alliję? Odnotowałem.

— Tim. Proszę. — Jej głos brzmi nieco dziwnie. Cholera. Aż tak jej zależy na Bradzie?

Alice przeszukuje torebkę i coś z niej wyjmuje.

— Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent. Tego nie opakowałam. — Wyciąga

do mnie małe pudełko wyglądające jak wzięte z apteki i trzyma je, nie patrząc mi w oczy.

— Plastry nikotynowe. Alice, naprawdę?

— Powiedziałaś ci, że nie wolno tu palić.

— A ja ci powiedziałem, że próbuję rzucić.

— Wiem. — Przyzywa mnie gestem, przytrzymuje pudełko między kolanami i otwiera je drugą ręką. Siadam obok niej; dziewczyna jeszcze wyżej podsuwa mi podwinięty rękaw koszuli; na skórze czuję jej chłodne palce. — Musisz je naklejać na części ciała pozbawione włosów. Co prawda i tak nie jesteś zbyt owłosiony... tylko trochę na kłacie. — Jej palce nieruchomieją na sekundę, lecz zaraz podejmuje: — Naklejaj je na barki lub plecy. Albo żebra. Tylko zmieniaj miejsca, bo nikotyna podrażnia skórę.

Dotyka górnej części mojego ramienia w całkowicie profesjonalny sposób jak pielęgniarka, którą kiedyś zostanie. Cholera, a ja reaguję tak, jakby rozpiłała mi dzinsy.

Odsuwam się od niej, drapię w kark, który nie swędzi. Kręci mi się w głowie.

Alice przyciąga sobie moje ramię do żołądka, unieruchamia i nakłada plaster.

— Zmieniaj codziennie. W różnych miejscach. Sześć do ośmiu tygodni.

— Alice, czy masz jakieś ukryte wady? Wydajesz się uosobieniem profesjonalizmu.

— Czytam instrukcje. Kolejna rzecz, którą faceci rzadko robią. — Głaszcze mnie po ramieniu, zsuwa rękaw, po chwili wahania unosi na mnie spojrzenie. — Tim, naprawdę wybrałeś sobie najtrudniejsze wyjście z sytuacji. Nie pijesz, nie bierzesz, mieszkasz sam. I rzucasz palenie. Podziwiam cię za to.

Wbijam w nią wzrok.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Mam dziewiętnaście lat i wciąż mieszkam w domu. To nie jest łatwe. — Alice wyciąga rękę i puka palcem tam, gdzie pod rękawem kryje się plaster. — Ale nie zawsze musisz iść najtrudniejszą drogą. Przecież są inne możliwości.

Gardło mi się zaciska. Na liście osób, po których bym oczekiwał... czegokolwiek... Alice byłaby na samym końcu. Przełykam ślinę. Jej zielonobrazowe oczy są szczerze. Unoszę lekko dłoń w kierunku jej policzka, ale opuszczam ją, wsuwam do kieszeni, brzęczę luźnymi monetami i wstaję.

Alice przez moment wpatruje się we mnie badawczo niczym matka, po czym oblizuje wargi i odwraca wzrok, wycierając dłonie w uniform. Wstaje.

— Co to za obsesja z płatkami? Chyba oprócz nich i pizzy nie jadasz nic innego.

— Lubię je.
— Żyjesz nimi. To już nie upodobanie, to obsesja.
— Bardzo się tym przejmujesz. — Żeby dać zajęcie zdradzieckim dłoniom, nasypuję sobie płatków do miski, wyjmuję mleko z lodówki i wacham.
— To nieracjonalne.
Jej głos jest wyjątkowo naburmuszony. Dlaczego? Co mi umknęło?
— Takie emocje z powodu płatków? Czemu tak się przejmujesz tym, co jadam?
— Bo jesteś chudy i blady, Tim. Wyglądasz, jakbyś niedosypiał. Ludzie się o ciebie martwią — zarzuca na ramię swoją workowatą, zbyt wielką torebkę. — Muszę iść. Dzisiaj mam dyżur przy dzieciach.
Zanim zdążę się zastanowić, zagradam jej drogę do drzwi.
— Okej, Alice. Przyznaję, zawsze miałem talent do martwienia innych. Ale moja rodzina już właściwie położyła na mnie kreskę. To ty przyszedłaś tutaj, żeby ratować moje kostki i w ogóle. Czy to ludzie się o mnie martwią, czy raczej ty? — Słowa wyskakują mi z ust i zawisają w powietrzu. Znów zauważam, jak Alice jest drobna, pomijając krągłości, ledwie sięga mi do ramienia. Ile ma wzrostu, metr pięćdziesiąt siedem? Metr sześćdziesiąt dwa?
Znów zsuwa z ramienia torbę i spuszcza wzrok. Policzki jej różowieją.
— Tak? — pytam. Skoro już tak mocno ją przycisnąłem...
Alice zaczyna wyliczać na palcach.
— Jesteś przyjacielem mojego młodszego brata. Nie mam pojęcia, jak on cię znosi albo dlaczego. Jesteś niepełnoletni. Jesteś chodzącą katastrofą. Poza tym...
— wzdycha i zamyka oczy. — Słuchaj, jutro mam ciężki dzień. Trzy godziny zajęć i praktyka kliniczna. Ale jak już skończę... — zniża głos do cichego pomruku, jakby sama wolała nie słyszeć tego, co mówi — może spotkamy się na kolacji? Taka... randka próbna?
Przebiega przeze mnie prąd elektryczny.
Randka.
Z Alice Garrett?
Chwila.
Randka próbna?
— A co będziemy próbować?
Alice wygląda, jakby miała się roześmiać, ale zachowuje powagę.
— Nie to. Nie interesują mnie jednonocne przygody.
— Nie miałem tego na myśli. Nawet przez sekundę.
Alice trzepie mnie w ramię.
— No jasne.
— No dobrze, ale tylko przez milisekundę... nanosekundę. A potem sobie przypomniałem, jak bardzo cię szanuję i że nigdy bym...

Alice kładzie mi na ustach dłoń, czubki palców.

— Tim. Przestań już gadać.

Zamykam usta.

— Będziemy próbować kolację.

W tej chwili przypominam sobie o pewnym stu pięćdziesięciokilowym chłopaku, który najwyraźniej nie znosi mnie jak morowej zarazy.

— Zaczekaj. Czy to jakaś zasadzka? Chcesz mnie podprowadzić Bradowi, żeby mógł mnie skopać?

Alice szybko kręci głową, odsuwa dłoń od mojej twarzy i wsuwa ją do kieszeni fartucha. Pasek od torebki znów jej spada. Wyciągam dłoń, żeby go podsunąć do góry, lecz nie, chowam dłoń do kieszeni.

Alice waha się przez chwilę.

— To nie ma nic wspólnego z Bradem. Zresztą on i tak nie miałby nic przeciwko temu.

— W takim razie jest jeszcze większym fiutem, niż myślałem. Niewiarygodne.

Jej oczy strzelają w moją stronę, po czym znów wędrują gdzie indziej.

— To nie tak.

Nie tak? No dobrze. Zatem okazuje się....

Kolacja.

— Spotkajmy się w Gary's Grill w Barnet. O wpół do siódmej jutro wieczorem.

Barnet to miasteczko kawałek stąd. Jak widać, Alice nie jest gotowa, by dać się przyłapać w bezpośrednim sąsiedztwie na randce próbnej z niepełnoletnim trzeźwiejącym alkoholikiem.

Obiecuję, że przyjadę. Alice kiwa głową, rzuca mi spokojniejszą wersję swojego seksownego, krzywego uśmiechu i ustami przesuwają po moim policzku. Zapach Hawajów. „Och, Alice”.

— To do zobaczenia.

Kiwam głową, gdyż brakło mi słów. Niepewna siebie Alice przeistacza się w Alice odpowiedzialną. Wskazuje na mnie palcem.

— Nawet nie próbuj się spóźnić. Nie znoszę, kiedy faceci tak robią, jakby mój czas się nie liczył. Zachowują się nonszalancko, czas to rzecz względna, podczas gdy ja czekam, a kelner się nade mną lituje.

— Mamy zsynchronizować zegarki?

— Po prostu mnie nie zawieź.

Rozdział trzynasty

TIM

Przeczekiwanie przed Hodges, moją szkołą numer trzy, jest dziwaczne. Byłem tu na rozdaniu jakichś nagród, kiedy Nan coś tam otrzymała, ale od samej bliskości budynku kark mnie zaczyna swędzieć, jakbym znów miał na sobie stary mundurek: szare flanelowe spodnie i sztywną białą koszulę.

Podjechałem po Samanthę, obiecałem odprowadzić ją do domu na osiedlu strzeżonym, do którego przeniosła się z matką tydzień temu — genialny plan starej Gracie, żeby oderwać córkę od Jase'a i Garrettów, z którymi sąsiedowali przez płot. Wyniosły się na drugi koniec miasta. Co z oczu i tak dalej.

Wyłania się z ogromnych dębowych drzwi, schodzi po schodach strzeżonych przez kamienne lwy, dostrzega mnie, macha ręką, po czym w połowie drogi zostaje zatrzymana przez grupkę dziewczyn. Śmieją się i gestykują, a w swoich jednakowych strojach, z długimi prostymi włosami i ogólnie schludnym wyglądem licealistek mogłyby od razu trafić na okładkę katalogu reklamowego szkoły.

Sam nie jest taka, ale wtapia się w tło.

Potem widzę kogoś jeszcze: swoją siostrę. Idzie ze spuszczoną głową, szperając gorączkowo w torbie, jakby miała tam znaleźć Arkę Przymierza. Jest tak zajęta, że za chwilę wpadnie prosto na stojące na ścieżce dziewczyny, jednak omija je starannym, szerokim łukiem. Rozumiem. Widzi je, ale chce pozostać niezauważona.

Sam jednak unosi dłoń na powitanie. Nan idzie dalej, wpatrzona we wnętrze torby, gdyż musi w niej koniecznie znaleźć ten ukryty skarb.

Nan nie jest niska, ma około metra siedemdziesięciu, ale teraz wydaje się znacznie niższa.

„Wszystko okej?” — SMS-uję do niej.

Oczekuję, że się rozejrzy i dojrzy mnie opartego o drzewko magnolii kilka metrów od wybrukowanej ścieżki, ale ona mnie nie widzi.

„Jasne, a czemu?” — odpowiada.

Zagryzam wargę, zastanawiając się, czy się przyznać, gdzie jestem. Nan nie cieszyłaby się, widząc, jak odchodzę z Sam. Co prawda wie, że wciąż się kumplujemy, ale...

„Tak sobie pytam” — odpisuję.

„To nie w twoim stylu” — pisze Nan.

Zatrzymała się na ścieżce; teraz robi tę minę, jakby bardzo ucieszyło ją to, co ktoś do niej napisał. Typowa mina na użytek otoczenia.

„No wiesz, zaczynam nowe życie. To... gdybyś mnie potrzebowała, wiesz, gdzie mnie znaleźć?”

„Kim jesteś i co zrobiłeś z moim bratem?”

„Ha” — odpisuję.

„Słuchaj, muszę kończyć. Na razie”.

Jasne, wszyscy musimy kończyć. Cholera, Nan.

Podczas gdy ja się zastanawiam, czy do niej podejść, Sam zbliża się do mnie i dłonią trzepie się najpierw w jedno ucho, potem drugie.

— Naleciało mi wody do uszu. Zapomniałam zatyczek, a trenuję jak szalona, żeby poprawić czas, bo w przyszłym tygodniu są testy do drużyny. Tim, naprawdę chcesz mnie poprosić o radę? To chyba koniec świata — mówi lekkim tonem, ale rzuca mi całkiem poważne spojrzenie.

— Koniec świata? Daj spokój, przecież zdarza mi się prosić o różne rzeczy.

— Tim, znam cię od piątego roku życia. Prosisz, owszem, o kasę. Albo żeby cię kryć. Ale nie o coś takiego.

— No cóż, biorę, co mi dasz.

Zdejmuję jej z ramienia torbę i przerzucam przez swoje ramię; rozglądam się za Nan, ale ona już wtopiła się w grupkę dziewczyn.

Ruszamy.

— To na lewo. — Sam wskazuje na drogę wiodącą pod górę, na szczyt Stony Bay — najdroższej i najbardziej ekskluzywnej dzielnicy miasta. — Czyli faktycznie idziesz na randkę.

— I raczej wolałbym tego nie skopać. No dobrze, wysił się dla mnie. Zaczynając od początku: jak mam się ubrać?

Samantha uśmiecha się szeroko.

— Daj spokój — mówię. — Wiem, jak to brzmi.

— Najpierw test węchowy — zaczyna, z przesadą wężąc w powietrzu jak pies myśliwski. — Na przykład ta koszula go nie przejdzie. A poza tym — klepie mnie w ramię — jeśli ona jest starsza, jak mówiłeś, w żadnym wypadku nie wkładaj koszulki z logo szkoły. Nie ma sensu kłuć jej w oczy faktem, że to starsza pani.

— To nie jest starsza pani, Jezu.

Między mną a Alice jest niewiele ponad rok różnicy, przecież to nic.

Samantha przez moment przygląda mi się uważnie, po czym podejmuje swobodnym tonem:

— Pysznic. Zabierz ją w jakieś skromniejsze miejsce. Słuchaj, kiedy będzie mówić. Zadawaj pytania, ale tylko wtedy, kiedy naprawdę chcesz usłyszeć odpowiedź. Nie próbuj przerywać opowieściami o swoich ostatnich wyczynach po pijaku.

— Wierz mi, nie zamierzam w ogóle tykać tego tematu.

Poza tym Alice to wszystko widziała. Wymiotowałam na nią, ona zdjęła koszulę, spokojna jak przyływ w księżycową noc; zobaczyłem wtedy ten czarny

koronkowy stanik z małą czerwoną wstążeczką i... jedynie to pamiętam z tamtej nocy.

— Zdziwiłbyś się, ilu facetów tak robi.

Samantha garbi się trochę, kiedy docieramy do zakrętu na drodze, którą w tym miejscu zagrażdza ogromna brama z czarnego żelaza, obwieszona tablicami: TEREN PRYWATNY, ZAKAZ WSTĘPU — goście niemile widziani.

— No to witamy w domu. Od zeszłego tygodnia to mój dom. Kod jeden-siedem-siedem-sześć.

— Przepraszam, powinienem ci przynieść prezent na nowe mieszkanie. A co najmniej coś ugotować.

— Nie martw się, temu mieszkaniu nic nie pomoże. Przy tym osiedlu nasz stary dom wydaje się bardzo przytulny. Mieszkamy tam, zaraz obok klubu.

Wskazuje na niski budynek ze spadzistym dachem w typie szwajcarskich chat w górach. Otacza go pole golfowe, na którym faceci w pastelowych ubraniach uderzają w małe białe piłeczki. Całość przypomina osiedle dla emerytów.

— O rany. — Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Właśnie. — Samantha kręci głową. — Nawet nie pokazałam tego Jase'owi. Widziałeś nazwy ulic? Generała Eisenhowera, Pani Jeziora, Góry Pettipaug. Nawet nie są spójnie dobrane! I spójrz na domy. Mógłbyś wejść do cudzego domu i nagle zacząć żyć życiem kogoś obcego. — Wskazuje ręką rząd identycznych domów.

— O której wszyscy przystojni mężowie wychodzą do pracy ze swoimi identycznymi teczkami?

— A w domach zostają blondynki, które w tej samej sekundzie biorą valium? Nie jestem pewna. Mieszkamy tu dopiero od tygodnia, daj mi trochę czasu. To tutaj. Ulica Lasu Wolverine.

Mrużę oczy.

— A jest tu w ogóle jakiś las? Albo żyją tu takie stworzenia? — Teren jest zielony, porośnięty trawą i równy, z wyjątkiem nienaturalnego jeziora.

— Prawda? Nie, wszystkie drzewa wycięto, żeby zbudować osiedle. A jak zobaczę jakiegoś wolverina, to dam ci znać. Jesteśmy. — Wskazuje na wąskie przejście między rzędami żywopłotów. — Obok pomnika nieznanego żołnierza rewolucji amerykańskiej.

— Czy powinienem złożyć wieniec? — pytam, kiedy przechodzimy obok ledwie uśmiechniętego metalowego posągu. — Albo chociaż zasalutować?

— Czemu musiałyśmy się przenosić? — wzdycha Samantha. Jednak doskonale zna odpowiedź, więc mówię tylko:

— Dasz radę, mała. Za rok studia.

Gracie, mama Samanthy, jest na werandzie Clairemont Cottage, sadząc

jakieś metalicznie pomarańczowe kwiatki w wielkich kamiennych donicach. Kiedy wyłaniamy się zza zakrętu, podskakuje z łopatką w ręce, a kiedy poznaje, że to ja i Sam, rozpromienia się, macha nam i znów przysiada. Z powodów znanych tylko jej samej i Bogu Gracie uparcie uważa Jase'a za młodocianego przestępcę, a mnie za porządnego obywatela. Samantha rzuca mi uważne spojrzenie, po czym odzywa się:

— Wiesz, na tej randce... bądź błyskotliwy, zabawny i słodki. Tak, jak potrafisz.

— To na pewno nie ja.

— Owszem, ty. — Rozplata warkocz i przesuwa palcami po włosach, rozplątując je. — Skoro się z tobą umówiła, zapewne też tak uważa. Czy ja ją znam?

— Raczej nie.

— Tim, no proszę.

— To nic wielkiego. To tylko... — Nie mam pojęcia, co to jest. — Nic wielkiego.

Nie przekonałem jej. Widzę to po jej twarzy.

Jednak Samantha się uśmiecha, zdejmuje swoją torbę z mojego ramienia i kładzie na nim rękę.

— Jeszcze dwie rzeczy, ale za to najważniejsze. Nie pryskaj się tym beznadziejnym axe, chociaż niektórzy uważają, że to sexy. Zalatuje desperacją.

Udaję, że piszę na podkładce.

— Zapisałem.

— I nie pozwól, żeby złamała ci serce, dobrze?

— Sammy-Sam, to już chyba oczywiste.

ALICE

— Ja jadę na podnóżku! — piszczy George.

— Bracie, nie możesz jechać na podnóżku, straciłbym pracę — mówi Brad, manewrując wózkiem taty w kierunku drzwi na korytarz; jest zręczny i pewny siebie w tej roli. Całym pochodem przeprowadzamy tatę na oddział rehabilitacji w Maplewood. Joel ma torbę wypchaną ubraniami, które przynieśliśmy mu po to, żeby się poczuł bardziej normalnie. Mama niesie stos jego książek, Andy teczkę z pracami plastycznymi maluchów, poprzednio przyklejonych taśmą na ścianie i teraz starannie oderwanych. Duff ma xboxa i gry wideo, Harry starą talię kart, bierki, domino — wszystkie staromodne gry, które odkryliśmy na nowo, żeby wypełnić czas.

Ja niosę papiery, na których moi rodzice nie za bardzo się znają.

Oczywiście ze wszystkich pielęgniarzy w Maplewood Memorial musieli nam przydzielić akurat Brada. On mnie ignoruje, ja ignoruję jego. Ubaw po pachy.

Przynajmniej zachowuje się w porządku wobec dzieci, mimo że George rzuca mu spojrzenia spod oka, niepewny, czy znów nie polecą łyzy.

Zerkam na zegarek; mam mnóstwo czasu na zrobienie tego, co muszę, powrót do domu i przygotowanie się do wyjścia z Timem — o ile wszystko dobrze pójdzie.

Dwie i pół godziny później — przeprowadzka zajęła dwa razy tyle czasu, ile powinna — tata jest już w nowym pokoju i wszystko mniej więcej doprowadzone do porządku.

Mama wychodzi z dziećmi, Joel idzie na zajęcia akademii policyjnej, a ja zostaję jeszcze chwilę. Przyklejam rysunki na ścianach, układam gry, starając się nadać nieco bardziej przytulny wygląd pomieszczeniu. Tata „tylko na moment” przymknął oczy, jak tylko reszta wyszła — i natychmiast zasnął.

Siadam na skraju jego łóżka. Sama też chętnie bym się położyła z głową na jego ramieniu. Wieczorem długo siedziałam nad lekcjami, George obudził się z krzykiem, bo miał koszmar — śnił mu się ogromny wulkan pod parkiem Yellowstone. Przekonałam go, że absolutnie nie ma się czym martwić, w końcu zasnął na moich kolanach, po czym zaniósłam go do łóżka. I wrzuciłam go w Google.

Rzeczywiście istnieje.

Spoglądam na twarz taty, zmarszczki od trosk się wygładziły, lekko się uśmiecha przez sen, a duże brązowe dłonie odcinają się od białej szpitalnej pościeli. Nagle czuję, jak z płuc ucieka mi całe powietrze. Na granicy pola widzenia zaczynają się gromadzić czarne plamki.

Głęboki oddech.

Jeszcze jeden.

Plamki rozpraszają się i bledną.

Zabieram się do kolejnego zadania, bo cóż innego mi pozostało?

Przyniosłam ze sobą ubranie na wieczór, na wszelki wypadek.

To znaczy — nie zamierzam się stroić. Nie dla Tima, absolutnie. Ale cały dzień miałam na sobie czarną koszulkę i spódnicę, a Harry za mocno ścisnął kartonik z sokiem i...

Nieważne.

Biorę prysznic w łazience obok pokoju taty, zastawionej balkonikiem, czwórnogiem i krzesłem pod prysznic. Małe szpitalne mydło, żel pod prysznic i szampon, bo zapomniałam przynieść kosmetyków z domu. Ręczniki szpitalne są szorstkie i małe, muszę użyć dwóch, żeby się porządnie wytrzeć, a i tak moja niebieska sukienka przykleja się do kilku mokrych miejsc na skórze. Nie ma suszarki, więc włosy się poskręcają po wyschnięciu. No trudno. Spoglądając w lustro, znów rozpoznaję samą siebie.

Z pokoju dobiega ostry poświst, jakby ktoś wciągnął powietrze przez zęby.

Na czoło taty wystąpił pot, jego twarz jest kredowobiała.

— Tato?

— Al — odpowiada tata łagodnie — wróc za jakiś czas, dobrze?

— Nie ma mowy. Czego potrzebujesz?

Moja dłoń zawisa nad guzikiem przywołania pielęgniarki. Tata kładzie na niej rękę.

— Znów mnie nacpają. Nie chcę tego.

Gdy poprawia się w łóżku, rozlega się skrzypienie foliowej warstwy pod materacem. Znów wciąga mocno powietrze i je wypuszcza. Sama trąc oddech.

— W skali od jeden do dziesięciu... — odzywam się, starając się podeprzeć profesjonalną postawą.

— Nie jestem twoim pacjentem, tygrysku — ripostuje tata. — Na szczęście dla nas obojga.

Moje oczy nagle wypełniają się łzami. Nie płaczę. Ja nigdy nie płaczę.

Tata o tym wie. Wyciąga szybko rękę i łapie mnie za ramię.

— Nie o to mi chodziło. Wiesz o tym. — Teraz próbuje dosięgnąć do pudełka chusteczek stojących obok jego łóżka, ale tuż poza zasięgiem dłoni; coś w tej całej sytuacji, mój tata, który przecież umie wszystko, naprawi wszystko...

— Wyglądasz wspaniale, Alice — mówi tata. — Superrandka?

— Nic ważnego — odpowiadam, czując, jak twarz oblewa mi się gorącym rumieńcem.

Przygląda mi się bez słowa, czekając, aż informacja sama do niego dotrze. Mama i tata opanowali tę sztukę do perfekcji.

— Co u Tima?

Te pytania nie są połączone. Tata chce porozmawiać. Odwrócić moją uwagę, żebym nie zadzwoniła po pielęgniarkę i nie zaczęła kolejnej dyskusji o lekach przeciwbólowych. „Jak rodzice się poznali” to rodzinna legenda — mama tak często ją nam opowiadała, że moglibyśmy sami dopowiedzieć resztę, gdyby przerwała. Ale gdy byliśmy jeszcze mali, mama pomijała jeden element: że uroczy, spostrzegawczy Jack Garrett miał swoją ciemną stronę. Jak sam to określa, był wtedy „wściekły na cały Boży świat”, gdyż jego matka zmarła rok wcześniej; jego młodsze rodzeństwo, ciocia Caroline i wujek Jason, zostali u dziadków w Wirginii, ojciec zaś zabrał mojego tatę do siebie, do Connecticut, gdyż jako szesnastolatek tata mógł już zarabiać. Tata zaczął pić i pił coraz więcej, aż w wieku około dwudziestu lat uświadomił sobie, że może żyć tak dalej albo wybrać życie z mamą — i wtedy się zmienił.

Nigdy nie widziałam ojca pijącego alkohol. On nawet nie pija napojów gazowanych, chociaż, jak sam chętnie przyznaje, jego namiętność do kawy utrzymuje zapewne kilka plantacji.

Tim ma przed sobą podobną ścieżkę. Ale też może z niej zawrócić.

— No... wiesz. Jak zwykle.

Tata się śmieje.

— U tego dzieciaka nie ma „jak zwykle”.

*

Kiedy znów wychodzę na korytarz, rozcieram sobie kark, przemykam oczy, odrzucam włosy na plecy. Cieszę się na spotkanie z Timem — Timem! — jak na gorącą kąpiel z pianką po długim, zimnym dniu.

Przedtem jednak wyjmuję jeszcze kartę choroby taty z plastikowej folii przyklejonej do zewnętrznej strony drzwi i ją przerzucam. Wpisy są standardowe, to planowane zabiegi, zwykły żargon.

Ale nagle...

O Boże.

Wielki Boże.

Rozdział czternasty

Tim

Zdrowszym zamiennikiem palenia jest robienie pompek. Zastanawiam się, kiedy wreszcie odczuję magiczną moc plastra nikotynowego. Nagle rozlega się pukanie do drzwi, tak słabe, że przypomina raczej skrobanie. Akurat się podniosłem, stoję na drżących rękach, za chwilę wydech...

Padam.

Przecieram ręką spocone czoło. Mam na sobie spodenki gimnastyczne z Ellery i przepoconą czarną koszulkę polo, niezbyt dobry strój na przyjmowanie gości. Ale jest jeszcze czas, żeby się pozbierać przed spotkaniem z Alice.

Niezależnie od tego, czego będziemy próbować na tej randce, na samą myśl o tym się uśmiecham. Jednocześnie otwieram drzwi.

Jednak na widok twarzy stojącej za nimi osoby, z zupełnie innej bajki, na kilka sekund tracę mowę.

Duże niebieskie oczy, trójkątny podbródek, schludny kucyk. Siedziała w ławce obok, na lewo ode mnie, na zajęciach z pisarzy angielskich świata zachodniego. Pożyczałem od niej idealnie zaostrzone ołówki. Nigdy ich nie oddawałem.

— Tim? — pyta, jakby spodziewała się mojego gorszego bliźniaka.

— Cześć, eee... Heather. — Nie mam pojęcia, jak wygrzebałem to imię z głębin podświadomości.

— Hester. Mogę wejść?

„Co?” — myślę, jednocześnie mówiąc:

— Jasne. — I szerzej otwieram drzwi. Przemyka obok mnie, siada na kanapie i wbija spojrzenie w swoje buty. Hester była mądrą i grzeczną dziewczyną, zatem zupełnie nic nas nie łączyło. Co ona tu robi? Wygląda spódnicę khaki i poprawia białą koszulę. Strój licealistki. „Ubranie jako środek antykoncepcyjny” — żartowaliśmy pogardliwie z kumplami. Wszystkie te pieprzone guziki. W uszach małe złote kółka, brązowe włosy ze schludnym przedziałkiem. Cholera, czy została świadkiem Jehowy albo kimś w tym stylu? Nie mam na to czasu. Ale ona splata palce i wpatruje się w nie.

— Tim, więc... w tym roku wcześniej oszczędłeś z Ellery.

— Tak, oszczędłem, a właściwie mnie wyrzucili.

Spoglądam na zegar nad kuchenką akurat w chwili, kiedy z godziny 17.58 przeskakuje na 17.59. Do spotkania z Alice zostało mi mniej niż pół godziny, a dojazd zajmuje kwadrans. O ile nie przejedzie się na czerwonym lub nie złamie zakazu prędkości.

Hester unosi twarz i patrzy prosto na mnie.

— Ale przedtem byłeś na imprezie basenowej u Warda Akinsa.

Serio? Boże, wtedy byłem porządnie zakręcony — to był mój najgorszy okres. Ledwie pamiętam ostatnie miesiące szkoły. To tylko urywki. Ward Akins? Palant z mojej drużyny tenisowej. Impreza w basenie? Poszedłbym na coś takiego? Kogo chcę oszukiwać? Poszedłbym na każdą imprezę.

Ale z drugiej strony... Co to kogo obchodzi, na jakich imprezach bywałem?

— Aha. Słuchaj, czy moglibyśmy porozmawiać innym razem? Przepraszam. Nie chcę być chamem, ale... po co przyszedłeś?

— Ward to przybrany wnuk mojej babci — odpowiada Hester, jakby historia rodzinna stanowiła odpowiedź na moje pytanie. — Choć to żalosna ciamajda, poszłam na tę imprezę, bo... nieważne. — Jej głos, schrypnięty, szorstki, na moment milknie. Po chwili dziewczyna jeszcze ciaśniej splata palce i przełyka ślinę. — Ma duży dom. Bardzo nowoczesny, wielkie okna... A basen jest w środku, podgrzewany. Mają wypasiony bar... pamiętasz cokolwiek?

Nawet baru nie pamiętam.

— Niestety, nic nie pamiętam.

Jej twarz zalewa fala emocji — i to wszystko w ciągu sekundy. Pojawiają się i znikają. Teraz jej rysy się wygładzają, a z oczu znika wszelki wyraz. Hester patrzy na mnie tymi swoimi przejrzystymi niebieskimi oczami, wpatruje się we mnie uważnie, mrużąc je, jakby celowała we mnie z pistoletu.

— Masz syna.

Rozdział piętnasty

Tim

Reaguję w najgorszy możliwy sposób.

Wybucham śmiechem.

Spoglądając Hester w oczy, opadam na kanapę obok niej.

I śmieję się.

Nie mogę przestać. Unoszę jedną dłoń, drugą trzymam się za brzuch, a ona gapi się na mnie, jakbym był psią kupą, w którą właśnie wdepnęła. Tylko jej oczy wypełniają się łzami.

Próbuję się opanować, coś powiedzieć.

I znów wybieram najgorsze możliwe wyjście.

— Robisz sobie jaja, prawda?

Dziewczyna wstaje powoli, niepewnie, jakby po mojej odpowiedzi nagle postarzała się o pięćdziesiąt lat.

Znów przesuwa dłońmi po spódnicy; wsuwa za ucho kosmyk włosów.

— To nie żart. Przykro mi.

Jest w połowie drogi do drzwi, kiedy ją zatrzymuję, kładąc jej rękę na ramieniu.

— Hester, to niemożliwe... nie jestem aż tak głupi.

No nie, równie dobrze mógłbym sobie odciąć stopę i wsadzić w usta, zanim cokolwiek powiem.

Jej oczy rozbłyskują.

— Owszem, byłeś. No cóż, przykro mi. Trochę się wciąłeś, tak dla odmiany. Nieważne.

— Nieważne? — powtarzam z niedowierzaniem.

Hester sięga do torebki i grzebie w niej z niepokojem. Po czym klepie się dłonią w czoło i wkłada rękę do kieszonki na piersi. Wyjmuje coś i mi podaje.

— To okropne zdjęcie, nie wiedziałam, że szpitale robią takie badziewie. Trzaskają te fotki, jeszcze jak jest się półprzytomnym, po czym wciskają ci je razem z podkładką do myszy za jakieś osiemdziesiąt dolców... teraz jest ładniejszy. — Trzyma w ręce małe zdjęcie dziecka z zamkniętymi oczami, jakby coś go wkurzyło. Mały ma sterczący rudy puszek na głowie. Moje włosy. Kiedy byłem mały, włosy zawsze mi tak sterczały.

— Ma na imię Calvin.

Naprawdę? Co za beznadziejne imię.

Wpatruję się w zdjęcie, w zamknięte oczy i wyzywającą buzię. Gorączkowo szukam jakichś słów, które mógłbym powiedzieć.

Cholera.

— Gdzie on teraz jest?

— W samochodzie. — Hester odbiera ode mnie zdjęcie, chowa je do portfela, starannie zapina torebkę, znów się skupiając na tej czynności. — Spał, myślałam, że lepiej będzie, jeśli...

— Oszalałaś? Jest trzydzieści stopni! — rzucam się do wyjścia.

— Zostawiłam otwarte okna! — woła za mną Hester.

Może i zostawiła, ale dziecko i tak jest całe mokre od potu, ciemnorude włoski przyległy mu do czoła. Maluch siedzi przekrzywiony w foteliku odwróconym tyłem do przodu. Wydaje się miękki, jakby pozbawiony kości, a nogi ma krzywe. Ma na sobie niebieski kaftanik, pieluszkę i dziwny kapelusik marynarski. Oczy, z tymi ostrymi rzęsami, ciemnymi jak u mnie, cholera, są zamknięte, usta wyduł, jakby śnił o pocałunkach.

Pochylam się i próbuję odpiąć pas siedzenia, sam spocony, jakbym był matką. To te dwa duże czerwone przyciski po bokach, wciskam je mocno, jeszcze mocniej. Nic. Hester wysuwa się do przodu. Myślałem, że rozepnie pasy, ale ona tylko zdejmuje dziecku kapelusze.

— Proszę — oznajmia, niemal triumfalnie. — To jest Calvin.

— No dobrze, a możemy oszczędzić sobie wstępów? — walę i ciągnę za przyciski. — Trzeba go wynieść na powietrze.

Właściwie nie jestem tego pewny, tylko zgaduję. Gdyby był psem zamkniętym w samochodzie, brakowałoby mu powietrza. Na pewno trzeba go zabrać. Oddycham ciężko, niemal dyszę, kiedy wreszcie rozlega się kliknięcie, pas puszcza, a ja wywlekam go na zewnątrz. Spoglądam na dziecko.

Moje dziecko.

Zaraz, zaraz. Nie. To nie tak. To się nie dzieje naprawdę. Zaraz się obudzę i zobaczę, że to jakiś obłąkany sen. Przynajmniej nie jestem goły, chociaż czuję się bardziej obnażony, niż gdybym po prostu nie miał na sobie ubrania, gdyż...

Dziecko patrzy na mnie niebieskimi oczami, ze zdziwieniem na twarzy, a ja czuję się tak, jakbym patrzył na jedno ze zdjęć dzieci wiszących na ścianie w naszym salonie. Świat ucichł, dobiega mnie tylko lekki szum. Zaraz zwymiotuję.

Ponieważ...

Z jednej strony myślę, że to absolutnie niemożliwe, wykluczone, a z drugiej strony jakoś nie jestem zaskoczony. Wcale. Oczywiście. Oczywiście, że byłem do tego zdolny. Oczywiście.

Przez poszum w uszach przebija się głos Hester.

— Na wiosnę chcę iść na studia, teraz mam rok przerwy. Oczywiście z powodu Calvina. Jestem już w Bryn Mawr. Tam studiowała moja ulubiona nauczycielka, zawsze chciałam tam iść. Wzięłam wolne, żeby... dojechać do ładu.

Wciąż patrzę na dziecko, którego drobne, ciemne rzęsy drżą i znów opadają na oczy.

— Mieszkam z dziadkiem, a on uznał, że powinieneś o tym wiedzieć — dodaje cicho, prawie szeptem. — Według niego zasługujesz na szansę, by zachować się jak mężczyzna.

Mężczyzna. Cholera. Znów. Nie chcę być mężczyzną. Nawet bycie chłopakiem kiepsko mi idzie.

Mały znów otwiera oczy, niebieskie jak... jak cokolwiek niebieskiego.

Przez moment patrzy na mnie zamglonym wzrokiem, po czym macha do mnie piąstką.

— Podaj mu palec — radzi Hester i tak robię. Calvin uderza w palec piąstką, jakby właśnie wygrał, po czym otwiera maleńką rękę przypominającą rozgwiadę i zaciska dłoń na moim palcu wskazującym. Jego uścisk jest gorący i spocony. Dzieciak gapi się na mnie, zezując.

— Czy chcesz... — Hester odchrząkuje — go potrzymać?

„Cholera, nie. Mógłbym go złamać”. Ale chyba powinienem chcieć, prawda?

— Eee, tak, jasne. Pewnie.

Hester zerka na mnie, jakby się zastanawiała, czy może powierzyć mi dziecko. Nie powinna mi ufać. Wszystko psuje.

Odpina pasek fotelika, wsuwa rękę od głowy Calvina pod jego tyłek, prostuje się i podaje mi go.

W mojej ręce mieszczą się całe jego plecy. Mały jest mokry od potu — mam nadzieję, że to pot — i zalatuje tym dziwnym mlecznym zapachem.

Czekam, aż się rozedrze, bo na pewno ja mam na to ochotę, ale on jakoś milczy. Patrzy tylko na mnie nieprzeniknionymi niebieskimi oczami.

— Poważny gość — odzywam się wreszcie, bo przecież coś trzeba powiedzieć.

Trzymam dziecko — swoje dziecko — po raz pierwszy, ale jakoś nie budzi się we mnie żaden instynkt. Oprócz chęci ucieczki.

— W tym wieku dzieci się jeszcze nie uśmiechają — mówi cicho Hester, podczas gdy ja skupiam się na podciąganiu skarpetki, która zsunęła się ze stopy wielkości mojego kciuka. — Uczą się dopiero po miesiącu lub dwóch.

Mam nadzieję. Z drugiej strony ten mały zapewne nie będzie miał wielu powodów do śmiechu.

Przez chwilę stoimy obok samochodu — ja niezgrabnie trzymając dziecko, Hester przenosząc spojrzenie ze mnie na niego. Tłucze mi się po głowie jedna myśl: „Co teraz? Czego ona naprawdę chce?”

— Co... co mogę dla ciebie zrobić, Hes? — Z zaskoczeniem słyszę to zdrobnienie, które wylatuje z moich ust, jakby one znały je lepiej niż ja sam. Dziewczyna opuszcza wzrok na asfalt. Nieruchomą ciszę przerywa delikatne burczenie. Jej brzuch.

Jasne policzki Hester oblewają się różem; dziewczyna kładzie rękę na

brzuchu, jakby mogła go w ten sposób uciszyć. Albo jakby miała tam coś — kogoś.

— Mogę zacząć od zaproponowania ci kanapki? — Niejasno przypominam sobie, że po urodzeniu należy dużo jeść. A może przed urodzeniem? Czy ona karmi je piersią?

Fuj. Rzucam ukradkowe spojrzenie na jej piersi — wyglądają mniej więcej tak, jak je przez mgłę pamiętam. Małe.

— Chętnie — odpowiada, nie zauważając mojego spojrzenia. — On pewnie też jest głodny.

Sprawdzam minę Calvina, wciąż czekając, aż zacznie wrzeszczeć, ale on spogląda na mnie, wciąż ściskając mój palec.

Hester bierze z tylnego siedzenia coś, co przypomina małą walizkę — Boże! — i wchodzi na schody pierwsza. Ja mam iść za nią. Z Calvinem. A może to być wstęp do ataku serca, już coś mnie ściska w klatce.

Czy ona ma zamiar eee... tutaj zostać? Proszę, żebym tylko nie musiał się z nią zenić. Torba jest za mała, żeby pomieścić rzeczy jej i dziecka... chociaż jego rzeczy zapewne są małych rozmiarów. Może ona potrafi się pakować? Na taką wygląda.

Hester przytrzymuje mi drzwi, jakby zapraszała mnie do własnego domu. Ale skoro ręce mam zajęte dzieckiem, może po prostu chce mi pomóc.

W mieszkaniu natychmiast oddaję jej małego, uprzednio ostrożnie oderwawszy jego lepka, spoconą łapkę od swojego palca.

I wtedy zaczyna się płacz, którego oczekiwałem.

Hester unosi małe, lecz dość ciężkie dziecko, przerzuca je sobie przez ramię, przytrzymując podbródkiem, a ręką przeszukuje walizkę. Wyjmuje coś.

Butelkę.

To jest odpowiedź na moje pytanie o karmienie. Dzięki Bogu. Chyba w tej chwili nie zniósłbym widoku jej odsłoniętej piersi.

Otwiera puszkę gotowego mleka; rozlega się ciche pstryknięcie. Dziwnie przypomina to dźwięk, jaki wydawała puszka piwa, kiedy ją otwierałem.

— Wlej do tego i podgrzewaj przez trzydzieści sekund — wskazuje mikrofalę.

— Eee... tak, jasne. — Biorę butelkę i puszkę, przelewam mleko i wkładam do mikrofal, po czym gapię się na Hester, kiedy się obraca.

Czuję zawrót głowy; łapię dłońmi za brzeg blatu.

Godzinę temu martwiłem się randką.

Teraz podgrzewam mleko dla swojego dziecka. Alice zaś... cholera...

Rzucam okiem na Hester, jej różowe coś na ustach i schludną, chociaż nieco wymiętą i o rozmiar za małą białą koszulę. „Boże, ona nawet nie jest w moim typie”. Delikatna. Krucha. Te duże sarnie oczy. Mógłbym ją naprawdę skrzywdzić.

Co mi się udało.

Mikrofala wydaje pisk. Ręka mi się autentycznie trzęsie, kiedy otwieram drzwi. Dziecko wciąż zawodzi, co sekundę podnosząc głos o oktawę lub dwie.

Kiedy podaję butelkę Hester, dziewczyna rzuca mi przelotne wdzięczne spojrzenie, po czym wsuwa smoczek w szeroko otwarte usta Calvina. Ten się waha, łapie oddech, jakby się zastanawiał, czy trwać w nieszczęściu, czy jednak spróbować płynnego pocieszenia. Wybiera pocieszenie.

No pewnie. W końcu to moje dziecko.

Moje dziecko.

Zamykam oczy, a ponieważ jest możliwość, że zaraz padnę jak długi, przysiadam obok Hester i kładę rękę na jej kolanie.

Dziewczyna spogląda na nią, a mnie z całą jasnością uderza dziwność całej sytuacji. To zupełnie nie tak. Chociaż przecież wtedy pozwoliłem sobie na znacznie więcej niż tylko na dotyk. Jak to w ogóle możliwe? Pamiętam ją z lekcji. Z lekcji. Wzrok utkwiony w przestrzeń przed nią, schludne notatki drobnym pismem, nigdy na mnie nie spojrzała, nawet kiedy pożyczła mi ołówki. Teraz, z bliska, widzę cienie pod jej oczami, a jej włosy w kitce są w lekkim nieładzie. Ta Hester, którą pamiętam (jak przez mgłę), należała do dziewczyn zawsze perfekcyjnie zadbanych. W tej chwili jej brzuch jest jakby spuchnięty i miękki. Na ramieniu białej bluzki widać żółtawą plamę.

To moje dzieło. To ja jakby nazaczyłem tę dziewczynę, odmieniłem ją. A nawet nie pamiętam, żebym trzymał ją za rękę.

W tej chwili zapadam się pod ziemię i z trudem łapię powietrze.

No dobrze.

Ona tu jest.

Z tym dzieckiem.

Dlaczego teraz? I co dalej, na Boga?

— Hester... — Gos mi się łamie, jakbym znów miał trzynaście lat. — Słuchaj, mam resztę pizzy. Sok pomarańczowy, mleko. Trochę sera, jeszcze się nie zestarzał. Płatki. Mów, co chcesz, lub bierz wszystko. Ale musisz mi powiedzieć, po co właściwie przyszedłeś. Czego ode mnie oczekujesz?

Spogląda na mnie szeroko otwartymi, niebieskimi, całkowicie nieprzenikniętymi oczami.

— Oprócz tej komplikacji życiowej, którą już ci zafundowałem — dodaję.

Ku mojemu zaskoczeniu dziewczyna wybucha krótkim śmiechem.

— Biedny Tim. Chyba jesteś przerażony.

Teraz czuję zawstydzenie; przynajmniej jest to uczucie bardziej znajome i łatwiejsze do zniesienia niż panika.

— Przepraszam — mówię... jakieś dziewięć miesięcy za późno. Calvin znów mlaszcze, zaciśniętymi piąstkami machając w powietrzu, jakby walczył z niewidzialnym, ale ciężkim przeciwnikiem.

— Chętnie zjadłabym pizzę — mówi Hester z lekkim uśmiechem.

Czuje nagły przypływ sympatii do niej. Dziewczyna chyba radzi sobie z tym wyjątkowo niezręcznym spotkaniem bardzo praktycznie, na przykład oszczędza mi szlochów i nie mierzy we mnie oskarżycielskim palcem. Boże. Co to był dla niej za rok. Ellery nie jest najlepszym miejscem dla nastolatki w ciąży. Anorektyczki — nie ma problemu. Uzależnieni od kokainy — proszę bardzo. Ale dziewczyny w ciąży? Nigdy w życiu! To coś dla szkół państwowych.

Powoli wstaje, spoglądając na twarz Calvina. Ma tak cienką skórę na powiekach, że widać błękitne żyłki. Na skroniach też je widać, niedaleko koniuszków uszu.

— Oczywiście. Pizza. Już ci robię.

Pizza ma kilka dni i jest raczej obrzydliwa. Muszę ją oderwać od dna pudełka. Wrzucam dwa gumowate, stężałe kawałki do mikrofali i nalewam soku pomarańczowego do jednego z kubków Joela z Fitness Galaxy.

Nie mam serwetek ani nawet ręczników papierowych. Chyba nie wypada podać papieru toaletowego, prawda?

Z moich nerwowych ruchów Hester jakoś odgaduje, o co chodzi.

— Mam mokre chusteczki dla niemowląt! — woła.

Zastygam w miejscu. Ta nazwa jakoś mi uświadamia, że faktycznie mam dziecko.

Stawiam przed nią talerz. Dzieciak wypił już niemal całą butelkę, chłepcząc łąpczywie, zginając i prostując zakrzywione trójkątnie nóżki do rytmu. Za każdym razem, kiedy na niego spoglądam, oblewa mnie zimny pot jak przy grypie. Nie mam zielonego pojęcia o niemowlętach. Patsy jest super, ale to już prawdziwy człowiek, a nie taka ameba.

— Wiem, że to zaskoczenie — odzywa się Hester, przełknąwszy mały kawałek suchej pizzy. — Ja miałam parę miesięcy, żeby się z tym oswoić, a ty zaledwie dwadzieścia minut. Naprawdę doceniam — przerywa, po czym kontynuuje — że nie wrzeszczysz, nie wypierasz się go ani nic z tych rzeczy.

Spoglądam na falujące włosy, już suche i rudawe jak moje własne.

— Nie jestem taki.

Przy tych słowach uświadamiam sobie, że po raz pierwszy od lat, może i w życiu, powiedziałem, jaki jestem — i było to coś dobrego. Hester kiwa głową.

— Widzę. To znaczy... miałam nadzieję. To dlatego... hm... tu jestem. — Przechyla butelkę, pomagając Calvinowi wypić resztę z dna.

Kładę dłonie na blacie, starając się wyrzucić z umysłu wizję przyszłości, w której nagle żenię się z dziewczyną, której nie znam, z dzieckiem, którego spłodzenia nawet nie pamiętam, i w której razem mieszkamy nad garażem Garrettów. Na zawsze. Jako staruszek wychodzę, utykając, do pracy, na przykład w Hot Dog Heaven albo Gas and Go, starając się przekonać samego siebie, że nie

zmarnowałem życia.

Jakby czytając mi w myślach, Hester rozgląda się po pokoju.

— Mieszkasz z kimś? Masz dziewczynę?

— Dlaczego tak myślisz? — bardziej szczekam, niż mówię. Hester się kuli. Calvin na moment przerywa chłęptanie, po czym znów przyśpiesza, a oczy w błogości niemal uciekają mu pod czaszkę.

Hester unosi dziecko, żeby móc ręką zatoczyć po pokoju.

— Zastanawiam się, dlaczego tu teraz mieszkasz. Odszedłeś z Ellery i... znalazłeś się tutaj?

— To dom moich przyjaciół. Potrzebowałem, hm, mieszkania, wyprowadziłem się, więc...

Nawet nie jestem w stanie skończyć tego zdania.

Hester przytakuje, mocno pochylając głowę.

— To... — Rozgląda się po nagich ścianach z dziurami po pinezkach, przesuwając wzrokiem po biblioteczkę ze skrzynki po mleku, uschłym kwiatku przy drzwiach do łazienki, koszu do koszykówki nad śmietnikiem w kącie pokoju — ...spory pokój. — Mam wrażenie, że Hester to miła dziewczyna, która zwykle stara się znaleźć coś pozytywnego nawet w całkiem nieciekawych rzeczach.

— Słuchaj... proszę. Muszę wiedzieć. Czego ode mnie chcesz?

Hester wierci się na kanapie i odrywa zeschnięty kawałek pepperoni z beznadziejnej pizzy.

— Po urodzeniu Calvina, kiedy pierwszy raz zobaczyłam jego twarz, jego włosy... wiedziałam, że muszę z tobą porozmawiać. Dlatego kiedy tylko, no wiesz....

— Stałaś na nogi?

— Na nogi to cię stawiają od razu po porodzie, Tim — odpowiada. — Praktycznie zaraz po odcięciu pępownicy.

Fuj. Krzywię się, tak, kutas ze mnie. Ona przeszła poród, ma dziecko i tak dalej, zapewne było to okropne, a ja nie jestem w stanie słuchać nawet o podstawowych sprawach.

— W każdym razie, kiedy zobaczyłam jego... Kiedy wiedziałam, próbowałam wymyślić, jak cię znaleźć. Pytałam ludzi i... dowiedziałam się, że, ehm, poprawiło ci się...

— Wytrzeźwiałem — poprawiam ją.

Hester znów czerwienieje.

— Tak. No właśnie, dziadek powiedział, że zasługujesz na szansę. Dlatego przyszłam.

Czuję tętnienie w skroniach.

Muszę zapalić. Napić się. Albo poproszę o pluton egzekucyjny i salwę.

— No jasne. Pewnie. A co rozumiesz przez szansę?

Hester ścisza głos i poprawia Calvinowi spoconą koszulkę.

— W przyszłym tygodniu mam nadzieję... chcę wrócić do pracy. Do tej szkoły czy obozu, gdzie pracowałam latem i w ferie od paru lat. Znają mnie i chętnie znów mnie przyjęli. Nawet przed porodem. Ale żłobek nie ma jeszcze dla niego miejsca. Mówiłam ci, odłożyłam studia, ale nie mogę tak sobie... po prostu dreptać w miejscu. To dziecko... kompletnie wybiło mnie z normalności. Dziadek może czasem się nim zająć. Obiecał, że pomoże, bym mogła się zorientować, jaki mam wybór. Ale... — Oczy ma wielkie, niebieskie i błagalne.

Niech to jasna cholera.

— Nie może się nim zajmować cały czas, ma na głowie żonę z alzheimerem, babcia jest w domu, ale potrzebuje go, a on ma pracę w szpitalu, ja muszę wrócić do normalności. Myślałam, że kiedy się dowiesz, może zgodzisz się zająć nim przez jedno popołudnie, może nawet częściej. Poznać swojego syna. Zobaczyć, jak się z nim czujesz. Chociaż oczywiście planuję go oddać.

Boże. Chwila. Co takiego? Do mnie? Nie potrafię.

— Masz na myśli oddanie do adopcji? — Wielki Boże, proszę, niech to będzie to.

— Oczywiście — odpowiada Hester spokojnym głosem grzecznej dziewczynki, który mgliście pamiętam z lekcji, jakby to była jedyna właściwa odpowiedź, a ona ją знаła. Skupia się na oderwaniu kolejnego kawałka pepperoni ze swojego kawałka pizzy, nawet jej nie je, po prostu tworzy stosik suchych kawałków na skraju talerza. To dziwne, ale ta uporządkowana kupka po prostu mnie wkurza.

— Hes, to co w takim razie mam robić, skoro już podjęłaś decyzję? — Dziecko obróciło głowę i patrzy na mnie, powieki mu opadają, ale wciąż, jak się wydaje, mnie obserwuje. Zniżam głos, jakby już umiał podsłuchiwać rzeczy, które absolutnie nie są przeznaczone dla jego uszu. — Jesteś jakąś sadystką? Po co mam o tym wszystkim wiedzieć, skoro już podjęłaś decyzję?

— Dziadek powiedział, że powinieneś — powtarza. — Tak trzeba.

Racja. Bądź mężczyzną.

— Jasne, nie ma problemu. Zrobię to. — Mam zaakceptować rzeczy, których nie potrafię zmienić, prawda? Niech to szlag.

Hester uśmiecha się nagle, a ja widzę to, czego wcześniej nie dostrzegałem. Pogniecione, poplamione ubranie, dodatkowe pięć kilogramów, mlecznobiała skóra... ale kiedy się uśmiecha, robi się naprawdę ładna.

— Poważnie? To wspaniale, Tim. — Wyciąga dłoń, jakby dobijała targu. Wyciągam rękę nad dzieckiem, chwytam ją i potrząsam. — Myślałam, że może dałoby się spotkać na obiad? Jutro? Będiesz miał czas, żeby... dojść z tym wszystkim do ładu.

Jasne, do jutra na pewno wszystko sobie poukładam.

— Okej. Tak będzie... dobrze. W porządku. Okej. Dobrze.

Wydaje się wdzięczna; podobnie okazała wdzięczność za byle jaką pizzę i za to, że na nią nie nakrzyczałem.

— Dokąd chciałbyś pójść? — pyta, jakbyśmy się umawiali na randkę.

Próbuję wymyślić jakąś miejscówkę na spotkanie. Nigdy nie zabierałem dziewczyn w miejsca inne niż na przykład pusty pokój w trakcie imprezy. Pot występuje mi na czoło.

— W Riverton jest restauracja Chez nous — ciągnie Hester. — Bardzo miła, nieduża. Mają doskonałą tartę tatin. Możemy się tam spotkać i omówić szczegóły.

Szczegóły? Do mnie ledwie dociera sama istota.

Przełykam ślinę i kiwam głową.

Potem na autopilocie otwieram drzwi, gestem zapraszam ją, żeby wyszła pierwsza, przekręcam klucz w zamku, patrzę, jak Hester zapina pas Calvinowi, rzuca torbę z pieluchami na przednie siedzenie, uśmiecham się, kiwam i pukam w dach samochodu na pożegnanie, gdyż głos całkowicie uwiązał mi w gardle.

Wchodzę na schody, opadam na najwyższy stopień, przyciskam dłonie do oczu, jakbym w ten sposób mógł zmniejszyć ciśnienie rozsadzające mi mózg.

W całej tej mgłę paniki i mdłości dwie sprawy są dla mnie kryształowo jasne. Dotarłem do granic koszmaru.

Oraz...

Właśnie zawiodłem dziewczynę swoich marzeń.

Rozdział szesnasty

Alice

Podjeżdżając przed dom, przede wszystkim widzę Tima pochylającego się do szyby kierowcy małego, srebrnego samochodu. Zatem nici z mojej teorii czy wymówki, a może iluzji, że nie przyszedł, bo wpadł pod ciężarówkę, złapały go zombie albo przytrafiła mu się inna nieprzewidziana katastrofa.

Mogłabym zadusić samą siebie za tę ulgę, którą poczułam na jego widok — w rozwleczonych szkolnych szortach, włosach domagających się fryzjera, spadających na czoło i uszy. Ale, jak widać, nic mu nie jest. Dupek.

Prostuje się i uderza pięścią w dach samochodu, spokojny, opanowany, swobodnym gestem unosi dłoń na pożegnanie i wycofuje się na podjazd.

Ten sam samochód. Ta sama dziewczyna.

W chwili, kiedy samochód wyjeżdża na główną drogę, Tim opada na schody i głaska się po miejscu na koszulce, gdzie powinna być kieszeń — chociaż jej nie ma. Potem drapie się w ramię tam, gdzie przykleiłam plaster nikotynowy, opuszcza głowę i przykłada do niej dłoń, jakby mierzył sobie temperaturę.

Zatraskuję mocno drzwi garbusa, które natychmiast z powrotem się otwierają, gdyż samochód jest wiekowy i zamyka się dopiero wtedy, kiedy przy zamykaniu przytrzyma się klamkę. Trzaskam znów, jeszcze głośniej.

Tim w ogóle nie reaguje, jedynie drapie się w miejscu, gdzie ma plaster.

— Po prostu go zdejmij — mówię, podchodząc bliżej i brzęcząc kluczykami. — Możemy przyznać, że żaden z niego pożytek.

Teraz unosi wzrok, ale patrzy przeze mnie na przestrzał; wzrok ma zamglony i zdezorientowany. Wzdycha. Przez chwilę się nie odzywa, po czym mówi:

— He?

— Tim. Gdzie byłeś?

Wstrząsa nim dreszcz, jakby miał gorączkę, gapi się w przestrzeń; na kościach policzkowych ma dwie czerwone smugi, ale reszta twarzy jest blada.

— Tim!

Zero reakcji.

Jakby w ogóle mnie nie zauważył.

— Upiłeś się? Super. Dobra robota, Tim.

Kręci głową, garbi się, nie patrzy na mnie. Niewiarygodne.

Staję nad nim, tym razem góruję.

— A może to zioło? Czy tabletki? Boże! Co to za dziewczyna, twoja dilerka? Była dla ciebie tak ważna, że mnie olałeś? W porządku.

Obracam się, by odejść, chcę go ominąć, ale on kładzie mi dłoń na nodze, tuż nad kolanem.

— To... to nie tak. Przysięgam.

Zaciskam kciuki w pięściach.

— Ile razy przysięgałeś w takich sytuacjach?

— Ja nie... zawiodłem cię celowo. Coś... coś wypadło.

Spoglądam znacząco na jego dłoń, aż Tim klnie pod nosem, zabiera ją z mojej nogi i siada na niej, po czym jednak unosi rękę i zaczyna szarpać dziurę w szortach.

— Więc dlaczego? Co było tak ważne? Już ci się poprawiało!

— Tak, wiem, teraz mi gorzej. — Ma ten szorstki, stłumiony głos, jakim mówią chłopcy, kiedy chcą ukryć emocje; nieruchome oczy utkwili w końcu podjazdu, jakby się bał, że jeśli spojrzy bliżej, to się rozplacze. Wygląda na młodszego niż zwykle, wciąż skubie naderwany materiał przy kieszeni; ku mojemu zaskoczeniu obejmuję go w pasie i potrząsam lekko.

— Zgodnie z oczekiwaniami, prawda, Alice? Chciałem, żeby poszło lepiej — rzuca mi krótkie spojrzenie. — Wyglądasz oszałamiająco. Boże.

Najwyraźniej stało się coś poważnego, ale nie rozumiem, o co chodzi, a on nie chce mi powiedzieć.

Ale ja mam całą rodzinę, a on... znacznie mniej.

Ech, dzieciaki znów po raz setny zostawiły kredę na trawie przy stopniach. Zaczynam zbierać kawałki i wrzucam je do wiaderka.

— Słuchaj, powroty do nałogu też się zdarzają, ale ludzie się z tego podnoszą. Możesz z tym skończyć.

Tim śmieje się bez śladu wesołości.

— Tak myślisz?

— To prawda, zapytaj tatę. On wprawdzie nigdy nie wrócił do nałogu, ale mnóstwo jego znajomych tak. To się zdarza.

— Alice, nie jestem pijany ani naćpany. Jestem trzeźwy jak świnia, chociaż cholera, chciałbym... — Sięga do kieszeni, wyjmuje klucze i podrzuca je w moim kierunku. — Bierz i nie oddawaj mi do jutra. Nawet jeśli będę błagał.

Łapię klucze i przysuwam się bliżej. Czuję, że jest spocony, ale nic gorszego. Wyciągam rękę, ujmuję go pod brodę i obracam jego twarz w moim kierunku. Białka oczu wyglądają jak zawsze, źrenice pozostały normalne, oczy nie są szkliste. Twarz blada, już bez rumieńca.

Ale pod moim spojrzeniem jego brwi się ściągają.

— A teraz co, Alice? Każesz mi chuchnąć? Iść po linii prostej? Przeszukasz mnie?

Opuszczam rękę.

— Nie sil się na sarkazm. Straciłeś prawo do ironii, kiedy czekałam na ciebie.

— W takim razie wiele straciłem — mamrocze Tim.

Otwieram usta, żeby zadać mu pytanie, ale on kładzie mi dłonie na ramionach i patrzy prosto w oczy.

— Alice, proszę.

— No dobrze, dobrze. Wierzę ci. Ale na razie zatrzymuję kluczyki.

— Okej. — Tim wstaje jednym płynnym ruchem. Nie chwieje się.

— Wpakowałeś się w jakieś kłopoty?

— Z pewnością można tak powiedzieć. Ewentualnie: cholernie dobrze mi idzie pakowanie w kłopoty innych.

— Opowiedz mi o tym.

— Nie mogę, Alice, nie teraz. Ja właśnie... — Macha ręką. — Przepraszam. Dajmy na razie spokój. I jeśli o mnie chodzi, to możesz zatrzymać te pieprzone kluczyki. Nigdzie się nie wybieram, wierz mi.

Rozdział siedemnasty

Tim

Cały ten czas miałem je w portfelu jak drobny, ale okropny sekret.

„Jesteś tak chory jak twoje sekrety” — mówi powiedzonko w AA, a ten akurat przechowuję nadal.

Mój sfalszowany dowód osobisty, prezent na piętnaste urodziny od starszego brata mojego dilerka. Dobry był w te klocki. Kiedy go pokazywałem, nikt nigdy nie zadawał niewygodnych pytań. Jestem wysoki i to pomaga.

Zero kluczyków... dobrze, to dobrze.

Idę na spotkanie, ale przestaję ufać swoim nogom. Dominic nie odebrał swojego beznadziejnego telefonu, więc skręcam w lewo, w dół, do mariny, szukam wzrokiem jego sfatygowanej motorówki. Faktycznie, przycumowana „Cuddy” obija się o zniszczony drewniany pomost, jednak ani śladu Doma. Znajduję tylko jego komórkę rzuconą na żółtą plandekę; zwijam ją mocniej i kładę na niej głowę.

Przyjdzie.

Zaczekam.

Proste.

*

Zasypiam tak nagle i twardo, jakbym stracił przytomność. Kiedy otwieram oczy, które pieką, jakby dostał się do nich piasek i kleją się od mgły nadrzecznej, jest już po dziesiątej. Sklepy z alkoholem są zamknięte. Jestem bezpieczny.

Ale to uczucie, to swędzenie, jakbym chciał wyskoczyć ze skóry, nie ma nic wspólnego z pragnieniem bezpieczeństwa. Wręcz przeciwnie.

Zawiodłem Alice, dałem jej swoje klucze, poza tym jestem na nią piekielnie zły, że podejrzewała mnie o powrót do nałogu — a jednocześnie właśnie o tym marzę.

W tej niebieskiej sukience wyglądała odjazdowo.

Powinienem zrobić, co następuje: iść na spotkanie online, gdyż o tej porze nic innego nie znajdę. Poszukać jakiegoś bezpiecznego towarzystwa. Na miłość boską, chociażby pan Garrett! Minęła już pora odwiedzin, ale mogę jakoś ubłagać, żeby mnie wpuścili. Mogę nawet ukraść fartuch.

A co robię? Przeglądam portfel w poszukiwaniu fałszywego dowodu, wypłacam w bankomacie ojca czterdzieści baksów, po czym kieruję się w stronę Dark and Stormy, jedyne baru przy głównej ulicy. Staję przed nim i gapię się na paskudną drewnianą figurę piratki sterczącą nad wejściem.

Jest późno, ale w barze pełno klientów. Turyści bardzo go lubią, a oni zjeżdżają stadami do Stony Bay na koniec lata, w okresie wyprzedaży i z każdej

innej okazji. Barmanki to kobiety przebrane za piratki, z dużymi dekolcami, a biedacy, którym trafiła się fucha kelnerów, noszą stroje francuskich żeglarzy z koszulami w paski i beretami. Zgadnijcie, kto dostaje wyższe napiwki.

Wchodzę.

Po dwóch minutach udaje mi się przepchnąć przez tłum gości z żagliówek, którzy wciąż mają na głowach czapki kapitańskie; opieram się o wyłożoną grubymi, ciemnymi deskami ścianę i pochłaniam wzrokiem kolory na podświetlanych półkach: ciemny bursztyn whiskey, słoneczną żółć białego wina i hawajski niebieski kolor curaçao. Ładne. Cała masa kłopotów opakowana w piękno. Wdycham zatęchły pył, zapach ciasno upakowanych ciał, ostry chemiczny aromat wszystkich tych napojów. Powtarzam sobie, że nie zrobię nic więcej, a potem sobie pójdę. To wystarczy. A może będę musiał usiąść przy barze i coś zamówić... nie będę pił... tylko powącham. A potem pójdę. Bezpiecznie i rozsądnie.

Proste.

Ponieważ... ponieważ fakt, że zostałem pieprzonym ojcem, nie oznacza, że mam zaprzepaścić dwa miesiące trzeźwości, swoją odznakę za miesiąc bez picia, odznakę za dwa miesiące — jedyną mądrą rzecz, jakiej dokonałem w tym roku.

Odrzucam się od ściany i opadam na wysoki stołek przy barze.

— Hej, przystojniaczku — odzywa się pogodny głos i kelnerka kładzie przede mną mapę piracką, która jest kartą napojów; rzuca mi przy tym wesoły uśmiech.

Boże. To pani Sobieski, która w szóstej klasie uczyła mnie matematyki. I nauczycielka szkółki niedzielnej. Teraz ma na sobie białą bluzkę z bufiastymi rękawami, uwydatniającą jej walory, dzięki którym tak dobrze ją pamiętam.

Otwieram usta, żeby wydusić z siebie jakąś wymówkę, powiedzieć, że czekam na kolegę — „Na przykład Jacka Daniel’sa?”

— Chcesz coś wyrafinowanego czy wolisz prostotę? — Podsuwa mi koszyczek nieobranych fistaszków i mruga do mnie. Teraz do mnie dociera, że ona nie ma pojęcia, kim jestem... albo raczej kim kiedyś byłem.

A jednak dowie się, że nie jestem pełnoletni. Ale ona nie pyta o dowód. Może przypuszcza, że zamówię colę.

Może faktycznie zamówię tylko colę.

To by było odpowiedzialne.

Jednak moje odpowiedzialne i mądre odruchy zostały przywalone lawiną, nie jestem w stanie się do nich dokopać.

Oblizuję wargi.

— Ja... — Zanim zdołam powiedzieć cokolwiek więcej, podchodzi bliżej, a ja nagle znajduję się w bezpośredniej bliskości jej wspaniałego biustu.

— Wyjechałeś do szkoły, prawda? — pyta. — Widuję twoich rodziców

w kościele. Ale dziwię się, że cię tu widzę.

Ja też.

Ojciec by się nie zdziwił.

Nawet gdyby wszedł do baru i wpadł prosto na mnie, nawet by okiem nie mrugnął.

Zsuwam się ze stołka.

— Zaraz wracam.

Wyjście na zewnątrz — w ogóle jakiegokolwiek przemieszczanie się — nie jest łatwe. Zatrzymuję się przy bardzo starym automacie do papierosów. Potem robię coś jeszcze: wrzucam ogromną garść drobnych i pociągam za dźwignię. Ale nie ma już marlboro, tylko kool menthol, a moja niechęć do papierosów z mentolem przewyższa nawet głód nikotynowy. Wychodzę na zewnątrz, potykając się, jakbym naprawdę obalił kilka drinków, opieram się o ceglany mur, dysząc, niemal się zachłystując, a przed oczami zaczynają mi wirować czarne płatki.

„Oddychaj. Na miłość boską, nie wchodź tam ponownie!”

Nie mam pojęcia, jak długo tak stoję.

— Mase? — woła do mnie jakiś głos; chyba nawoływał od jakiegoś czasu. To Jase zsiadający z motocykla Joela. — Wszystko w porządku? — Podchodzi bliżej; jego spojrzenie pada na drzwi baru, a potem na mnie.

— Raczej — odpowiadam, wciąż jeszcze oddychając ciężko, jakbym się z czymś ścigał.

Staje obok mnie, również opierając się o ścianę. Jakby nie było w tym nic dziwnego. Przez kilka minut milczy. Jedyne mój urywany oddech przerywa nocną ciszę, oprócz dobiegających z wewnątrz stukotów, śmiechu i gwaru głośnych rozmów.

— Wszystko w porządku? — pyta znów.

Kiwam głową, ale się nie poruszam.

— Co, do licha, robisz poza domem o tej porze?

Spogląda na zegarek.

— Dopiero dziesiąta trzydzieści siedem. — Jase ma zegarek elektroniczny i zawsze podaje czas z dokładnością co do minuty. — Byłem na plaży pobiegać.

— Zwariowałeś, po ciemku? Nie widziałeś, co się stało z dziewczyną w pierwszej części *Szczęk*?

— Ona pływała, a ja biegałem po piasku. Wielkie mechaniczne rekiny nie skaczą tak daleko — mówi Jase. — Chodź, Tim. — Sięga po zapasowy kask zawieszony na tym czymś metalowym na końcu siodełka, odpina go i rzuca mi.

Łapię odruchowo.

— Żartujesz? Nie potrafię tym jeździć.

— Ja pojedę, ty będziesz pasażerem — mówi cierpliwie, jakby tłumaczył George'owi.

- Nie ma mowy. Pójdę piechotą.
- Czyżby? — pyta Jase. Jego głos nie zdradza niczego, ale jego spojrzenie ukradkiem wędruje ku oświetlonym oknom baru.
- Nic nie zrobiłem — odpowiadam. — Naprawdę. — Wkładam dłonie we włosy i pociągam, jakbym chciał wyciągnąć sobie myśli z głowy.
- Nic? I dobrze. Zabierajmy się stąd.
- Na tym? Z tobą?
- Boże, Tim, tak. Musisz się stąd oddalić, a ja pomogę ci zrobić to szybko. Zakładaj kask i wsiadaj. Możesz się przytrzymać uchwyty z tyłu.
- No pewnie. Przytulanki do pleców zarezerwuj dla Samantha.
- Wal się — mówi Jase, kopnięciem unosząc nóżkę.

Rozdział osiemnasty

Alice

Jase trzaska drzwiami od kuchni i wnosi ze sobą powiew nocnego powietrza z miasta, zapach rzeki, mokrej trawy i błoto na butach. Tupie parę razy, zostawiając na płytkach drobiny ziemi w kształcie rombów. Unosi wzrok.

— Al... wow.

— Samantha to zrobiła. Jak ci się podoba?

Przygląda się moim świeżo pofarbowanym włosom, które po raz pierwszy są po prostu brązowe, w moim naturalnym kolorze.

— Masz rozmowę o pracę? — pyta w końcu. — Szef w pracy coś ci powiedział?

Przesuwam rękami po wilgotnych falach.

— Po prostu nie ma sensu ciągnąć czegoś, co zaczęłam w wieku lat piętnastu tylko po to, żeby wkurzyć mamę. Źle wygląda?

Kręci głową.

— Gdzie jest Sam?

— Musiała wracać — wskazuję na zegar. — Wszystko między wami w porządku?

Samantha wydaje się jakaś cicha i nieco podenerwowana. Odpręża się tylko przy moim rodzeństwie, jest wtedy w swoim żywiole. To, co mnie wyprowadza z równowagi i przyprawia o chęć ucieczki z krzykiem, jej w ogóle nie przeszkadza. Ani Harry, który upiera się, żeby spać w ochraniaczach futbolowych, ani Patsy, która zwykle dwadzieścia razy przywołuje Sam do swojego łóżeczka w ten sposób, że przesuwa swoim kubkiem niekapkiem w poprzek szczebelków, jak więzień przywołujący strażnika — to nic. Za to po telefonie od matki Sam zarzuciła bluzę i wyszła niemal bez słowa, posyłając tylko w moim kierunku szybkie, zażenowane spojrzenie.

— Mmm — mruczy Jase, otwierając lodówkę i zaglądając do środka w typowo męski sposób. Jakby odpowiedzi na wszystkie pytania kryły się w szufladzie na owoce lub na etykietce soku pomarańczowego.

— J, porozmawiajmy — mówię, spoglądając to na książkę rachunkową, którą wypełniam, to na telefon przestawiony na kalkulator i czerwony długopis, którego używam znacznie częściej niż czarnego. — Nie pokłóciliście się z Sam?

— Mmm... Co? Nie. Wręcz przeciwnie, jak mi się wydaje. Widziałaś dzisiaj Tima?

— Boże. Ci faceci. Dlaczego tak trudno was zrozumieć? Co to znaczy „wydaje mi się”? Czy ty też jesteś w tej relacji? Nie wiesz, co się dzieje między wami?

Jase w końcu z rozmachem zamyka drzwi lodówki, marszczy brwi, ponownie je otwiera i znów zamyka.

— Chyba coś jest z uszczelką, ale zapewne uda mi się naprawić.

— Daj spokój. Pokłóciłeś się z Samantha? Albo co?

Jase wyjmuję sok i z rozmachem nalewa go sobie do kubka.

— Nie. Tylko...

— Czy to ma coś wspólnego z Timem?

— Co? Nie. Dlaczego? — Bierze głęboki łyk, krzywiąc się, jakby sok się zepsuł.

— Właśnie o niego pytałeś — podsuwam.

— Naprawdę? — Teraz wyjmuję z kieszeni komórkę i ją ogląda.

Opieram się biodrem o blat i lekko popycham go w pierś.

— Jesteś nieobecny i dziwnie się zachowujesz. Tim był nieswój. Co oznacza...

— To nic nie oznacza — wtrąca się brat z roztargnieniem. Teraz porzucił telefon i gapi się na liczby w książce rachunkowej. Klnie pod nosem. — Rodzice wiedzą?

Przełykam.

— Ja robię rachunkowość, obiecałam, że się tym zajmę przez jakiś czas. Wiedzą o tym, ale nie zdają sobie sprawy, jak jest źle. Robi się coraz gorzej i ja... Ale... tatę boli głowa, kiedy tylko patrzy na liczby.

— Od kiedy?

— Od wypadku. Tak się wydaje. Poza tym dwoi mu się w oczach. Czasami.

— O cholera, nikt mi o tym nie mówił.

— Mnie też nie. Po południu przeczytałam jego kartę choroby. Mama wie, ale chyba nie chcieli nas martwić.

Jase znów klnie, tym razem to piętrowe, całkiem twórcze przekleństwo. Mój brat nigdy nie przeklina, a tych słów, których teraz używa, właściwie nawet nie słyszałam, co robi jeszcze większe wrażenie. Boże, dzisiaj wszystko jest dziwne.

— To chwilowe, prawda? — pyta.

— Mają nadzieję. Skutek urazu głowy. Jakiś słaby mięsień wzrokowy. Prawdopodobnie minie, ale może będzie konieczna operacja. W tym tygodniu wezwali specjalistę.

Jase odwraca się, idzie do zlewu, opiera się o niego obiema rękami i wpatruje w ciemność za oknem. Po czym kopie w drzwi pod zlewem i znów klnie.

— Jak tata zdoła wrócić do pracy w sklepie, jeśli nie widzi normalnie? Jak ma prowadzić samochód? Jak zdoła w ogóle poradzić sobie na rehabilitacji?

— Może się poddać fizjoterapii bez doskonałego wzroku. Co do sklepu, to widzenie liczb nie musi być najważniejsze.

Jase znów klnie, kończy sok, rzuca karton na ziemię i zdeptyuje go mocniej niż to konieczne.

— Nie możemy tak tego zostawić, Alice. Co teraz? Cholera jasna.

Przełykam. Wiem, co muszę powiedzieć i co mam zrobić. Co jasno wynika ze wszystkich tych kolumn.

— Muszę rzucić szkołę. To jedyne wyjście. Dopóki tacie się nie poprawi. Mama sobie nie poradzi. I tak stoczyłam wielką bitwę, żeby ją o tym przekonać. Ona musi przede wszystkim zająć się wszystkimi sprawami związanymi z tatą.

Oczywiście Jase się sprzeciwia.

— Ja to zrobię.

— I stracisz stypendium? Nigdy nie byłeś w tak dobrej formie. Nie możesz.

— Joel... — zaczyna Jase, przerywając mi, ale oboje milkniemy. Nie Joel. Całe wakacje, mnóstwo wieczorów i weekendów poświęcał na prowadzenie sklepu Garrettów. W końcu odnalazł się w szkole policyjnej. Nie możemy pozwolić, nie możemy dopuścić, by Grace Reed pogrążyła całą naszą rodzinę. A to ja mogę zrezygnować. Nie stoję na zakręcie życiowym, już odłożyłam przeprowadzkę. Trochę czasu, mniej czy więcej, nie ma znaczenia.

— Wpada na mnie, J.

— Nie pozwolę ci. Dlaczego to musisz być ty? Bo jesteś dziewczyną? To głupie — mówi Jase. — Musi być ktoś jeszcze, kto może cię zastąpić. Ktoś, komu nie zniszczy to planów.

Drzwi otwierają się z rozmachem i staje w nich Tim, włosy rozwiewa mu wiatr od rzeki.

— Przyszedłem po kluczyki do samochodu.

— Dostaniesz je jutro — odpowiada Jase z twardą nutką w głosie.

— Uprowadziłeś, żeby ci ich nie dawać, nawet jak będziesz błagał — przypominam mu.

— Klucze od mieszkania są na tym samym breloczku. Zamknąłem zamek, nie myślałem. Mam się rzucić na kolana, Alice?

— Boże, Tim, zamknij się. — Ton mojego brata zmienia się na stalowy. Tim robi krok do tyłu.

— Teraz jesteś na mnie wkurzony? Niezła zmiana relacji w ciągu pięciu minut. Nawet mnie tu nie było, więc nie mogłem cię wkurzyć.

— Eee! — odzywa się wesoły głosik za moimi plecami. Tim rzuca okiem na drzwi do salonu, jego oczy otwierają się szerzej.

— Jaaa! Eeee! — odzywa się Patsy swoim najbardziej władczyim głosem, niemal warcząc, wchodzi z hałasem do pokoju, dumna z siebie, jakby była Houdinim ucieczek z łóżeczka.

Przechodzi przez kuchnię, pewnie, chociaż chwiejnym krokiem zmierzając do celu. Podchodzi do Tima i unosi ramiona.

— Apa! Już!

Mała nie tylko uciekła z łóżeczka, ale również pozbyła się swoich ubrań, łącznie z pieluszką. Musiała mnie szukać w moim pokoju, zapewne otworzyła szafkę i znalazła przepelniony kosz wiklinowy, który tam trzymam. Jest nagusieńka, na szyi ma moje czarne stringi, a na drobnej, bladej piersi kwiecisty biustonosz typu push-up, jakby była to szarfa Miss America; na puszystych włosach zaś jak diadem ma nasadzony jaskrawoczerwony koronkowy pas do pończoch, zwisający na jedno duże brązowe oko.

Jase i Tim wybuchają śmiechem, jakby otworzyli wentyl bezpieczeństwa.

Tim bierze ją na ręce.

— Patricio Garrett, jesteś w moim typie.

Tim

— Ja wpuszczę Tima, a ty zajmij się Pats — mówi Alice.

Jase się waha.

— Ty ją najlepiej usypiasz — dodaje Alice. — Przy mnie mała robi się wredna.

Jase nadal się waha. Po czym, rzucając mi szybkie spojrzenie, obejmuje Patsy w talii, zabiera mi ją z ramion i sadza sobie na biodrze. Mała przesuwając rączkami po jego policzkach i pociera noskiem o nos brata.

Alice uśmiecha się do mnie z napięciem, otwiera moskitierę i wychodzi pierwsza.

Zawsze tak robi — wychodzi pierwsza, jakby oczekiwała, że cała reszta pójdzie za nią rządkiem jak gąski za matką. Alice ma na sobie te spodnie do jogi z plamą od wybielacza w dole podkolanowym i drugą przy pasie. Zapewne mają być wygodne. Strój typu „mam gdzieś, jak wyglądam”. Jednak cały zbyt krótki spacer po schodach spędzam na próbach dojrzenia linii stringów pod spodniami.

Alice wsuwa klucz w zamek i biodrem otwiera drzwi. Potem spogląda na mnie — i zapada cisza przerywana tylko szumem przejeżdżających samochodów.

Dziewczyna ma niespotykane długie rzęsy. Na powiekach jakieś migoczące punkty, trochę już starte — wciąż lśnią niedaleko kącika oka. Srebrne kółka w uszach z maleńkimi dzwoneczkami, zapewne stąd to lekkie dzwonenie, które słyszę, kiedy Alice odrzuca włosy do tyłu, żeby spojrzeć mi w oczy. Potem rozlega się brzęk kluczy, na których zaciska palce.

— Oddasz mi je czy naprawdę mam błagać? — pytam.

Nie odzywa się. Wyciąga rękę, ujmuje moją dłoń i odwraca ją do góry.

— Mogę ci je powierzyć, prawda?

Jej ciemne, zielonobrazowe oczy świdrują mnie, jakby były w stanie przejrzeć mnie na wylot i wyświetlić moje kłamstwa.

— Można na mnie polegać.

Jeszcze po tym jak klucze, ciepłe od jej dłoni, spadają mi na rękę, Alice wciąż mi się przygląda. Jeśli wciąż jeszcze otacza mnie ciemność, jak przedtem, ona na pewno ją zauważy.

— Słowo skauta — mówię w końcu.

— Nie działa — odpowiada Alice. — Mój tata był opiekunem twojej drużyny. Wiem wszystko o twojej karierze skauta.

— Co takiego? Prosiłaś, żeby ci o tym opowiadał do snu?

— Mam zdjęcie. Stoisz w tylnym rzędzie, trzymasz krawat chłopaka stojącego obok i podpalasz go zapalniczką. Ile miałeś wtedy lat, dziewięć? Dziesięć? Z tego zdjęcia można już wyczytać całą resztę.

Nie mam nic na swoją obronę.

Między klonami czuć powiew wiatru, silny podmuch znad rzeki niosący zapach mułu i trawy morskiej. Włosy Alice spadają na twarz i usta.

— To twój naturalny kolor? — Bez odwracających uwagę różnokolorowych pasemek wygląda na młodszą, jej oczy robią się ciemniejsze, a usta bardziej czerwone.

— Tak, są ciemne. Bardziej przypominam Joela niż Jase'a i Andy. To mój ciemny sekret.

— Na pewno jeden z wielu. — Chociaż nie tak ciemny jak mój.

Alice wzrusza ramionami i spogląda na swoje bose stopy. Kiedy unosi wzrok, uśmiecha się niespodziewanie tym swoim krzywym uśmiechem.

— Ale moja bielizna już nie jest tajemnicą.

— A to było najlepsze. — Przez moment między nami znów jest prawie normalnie... o ile kiedykolwiek było.

Jednak Alice wciąż mi się przygląda, widzi trochę za wiele, nawet po ciemku.

— Chcę ci wierzyć, Tim. Chcę wierzyć, że można na tobie polegać. Ale musisz przyznać, że dzisiaj niespecjalnie to okazałeś.

No nie.

— Chcesz zatrzymać klucze, Alice? — pytam i słyszę we własnym głosie całkowicie nieuzasadniony gniew.

— Niezupełnie o to chodzi, Tim. Czy chcesz mi coś powiedzieć?

Odwlekam nieuniknione — to mój wypróbowany i autentyczny nawyk, chociaż myślałem, że zostawiłem go za sobą.

Próbuję swojego starego uśmiechu podrywacza.

— Tylko tyle, że z przyjemnością udostępnię ci miejsce do przechowywania kolekcji bielizny. A przy okazji... ile tego masz?

Alice zaciska usta, wzrusza ramionami i już się odwraca.

— Chyba nigdy się nie dowiesz.

Obserwuję jej znikającą w ciemności ciemną sylwetkę, na której odcinają się

jedynie białe plamy po wybielaczu.

Rozdział dziewiętnasty

Tim

Kiedy następnego dnia Hester wchodzi do restauracji, na mój widok, jak poprzednio, przez jej twarz przelatuje kilka różnych emocji. Jest wkurzona, smutna, czuje ulgę, że jednak przyszedłem, może i buzują w niej hormony, cholera wie. Podskakuję i odsuwam jej krzesło. Może i narozrabiałem, ale za to dżentelmen ze mnie, prawda?

— Zaczekaj chwilę — mówi. — Przyniosę jeszcze coś z samochodu, chciałam tylko sprawdzić, czy jesteś.

„Coś” okazuje się śpiącym dzieckiem wtulonym w fotelik samochodowy — przerażająca drobina — w jakimś czepek z falbankami na głowie.

— Hester, nie możesz zostawiać dziecka w samochodzie — mówię, przyglądając się, jak dziewczyna ostrożnie stawia fotelik na krześle. Fotelik przekrzywia się na bok. — Nie lepiej byłoby mu na podłodze?

Posłuchajcie tylko, gadam, jakbym się na tym znał.

Zapewne wiedziona tą samą myślą Hester odpowiada:

— Będzie dobrze. W ten sposób mamy go na oku.

Jak wtedy, kiedy zostawiła go w samochodzie na tylnym siedzeniu? Jezu.

Znow odsuwam jej krzesło, ona siada i rozkłada serwetkę na kolanach.

— Sprawdzałeś, co dają?

Zagryzam wargi, by nie warknąć, że to nie jest jakaś cholerna randka. Zamiast tego odzywam się:

— Chciałbym lepiej zrozumieć, jak... — Powieki Calvina drgają, ściszam głos: — Eee... jak do tego doszło.

Kiwa głową, teraz ze zmartwioną miną. A według niej o czym mielibyśmy rozmawiać? O specjalności zakładu?

Podchodzi kelner, stawia na stole chleb, nalewa wody, zapala świeczkę i stoi nad nami, aż w końcu Hester wysyła go po piwo imbirowe i kelner oddala się truchtem.

— Ja muszę tylko... — W tej chwili przede wszystkim muszę zająć czymś ręce. Z kryształowej miseczki biorę więc płaskie pudełko zapalek z logo restauracji i metodycznie wyjmuję z niego zapalki, jedną po drugiej. — Muszę się dowiedzieć, jak do tego doszło. — Chciałbym także wiedzieć dlaczego, ale zadając to pytanie, wyszedłbym na totalnego fiuta.

Hester przygląda mi się.

— Naprawdę nie pamiętasz, jak się kochaliśmy?

— Nie. — Ale ze mnie dupek. Widocznie seks przypomina jazdę na rowerze.

Oczy dziewczyny napełniają się łzami. Boże, nie.

— Przepraszam. Ja po prostu... nie rozumiem, jak mogłaś polecieć na takiego pijanicę.

Kelner, który właśnie wrócił z piwem imbirowym, dosłyszał słowa o pijanicy i ze szklanką w uniesionej ręce zaczyna się cofać.

Hester wysuwa rękę i przez moment dotyka mojej dłoni, którą wciąż niszczę zapalki. Za każdym razem, kiedy mnie dotyka lub kiedy ja jej dotykam, czuję, że... to zupełnie nie to. Ona wygląda tak okropnie czysto. Przychodzi mi do głowy coś przerażającego.

— To nie był... eee... to nie był twój... ty miałaś... eee...

Hester jakimś cudem rozumie, o co mi chodzi.

— Nie. O nie. — Uspokajająco gładzi mnie po ręce. — Miałam wcześniej chłopaka, Alexa. Alexa Robinsona. Pamiętasz go?

Kompletna pustka w głowie.

— Naczelną gazetki szkolnej. Taki wysoki, z samorządu. Sekretarz klasowy.

Przebiegam moje rozproszone wspomnienia. Alex Robinson... ciemny, nadgorliwy typ? Tak... w mojej drużynie tenisa, rzadki kretyn. Kiedy byłem w drugiej klasie, on był w trzeciej, a Hester w pierwszej.

— Ahaaa... — stwierdzam.

— Dzień przed imprezą Alex... — Hester przerywa i chrząka. To i tak niczego nie zmienia; ma ten typ schrypniętego, szorstkiego głosu, który powinien brzmieć seksownie. — Robi dodatkowy rok przygotowawczy do studiów w Choate. Wpadł wtedy do mnie. Powiedział, że związek na odległość nie ma przyszłości i musimy to przyznać. — Kelner podkrada się do stolika, stawia napój, po czym ucieka, jakby szklanka mogła wybuchnąć. — A przecież, do licha, to ten sam stan! Ledwie godzina drogi! Spotykaliśmy się od połowy pierwszej klasy! On był moim pierwszym... — urywa w pół słowa. — W każdym razie dlatego poszłam na tę imprezę. Nie chciałam myśleć ani wspominać, chciałam się zabawić.

Wydarłem już zapalki z dwóch paczek, więc teraz przysuwam do siebie koszyk do chleba; odrywam kawałki, rozdzieram je na mniejsze i wrzucam sobie do ust. Calvin — cholera, nie znoszę tego imienia — zaczyna się kręcić, marszczy brwi, ale się nie budzi.

— No w każdym razie... ty tam przyszedłeś i... też byłeś smutny.

Przesuwam kolejnym kawałkiem chleba po maśle, nie biorąc noża, odgryzam kawałek i przerywam.

— Proszę, powiedz, że to nie z litości mnie prze... że nie poszłaś ze mną do łóżka z litości. Powiedz mi, że nie rozwaliałaś sobie... i mnie... życia... i nie stworzyłaś nowego tylko dlatego, że było ci mnie szkoda.

Obraca mały pierścionek na ostatnim palcu.

— Nie, to nie tak. Rozmawialiśmy, i to dużo. Poszliśmy do pokoju Warda

i gadaliśmy chyba przez kilka godzin. Byłeś uroczy, wygłupiałeś się, ale też byłeś smutny... jednak to nie dlatego ja... my...

Znów podchodzi kelner, recytuje długą listę niezrozumiałych przystawek. Hester coś zamawia.

— Dla mnie to samo — mamroczę.

— Właściwie to nie widziałam, ile wypięś. Zachowywałeś się... wspaniale. Byłam kompletnie wytrącona z równowagi, chciałam zrobić coś zupełnie innego. Więc cię... pocałowałam. I dalej już poszło. Głupie to było. Ja byłam głupia.

Z jej oka stacza się drobna łza, spływa zygzakami po nosie. Hester klepie się w tym miejscu dłonią, jakby wymierzała sobie policzek. Krzywię się.

— Ale, Hester... czy ja się naprawdę nie zabezpieczyłem? Nie wierzę, żebym aż tak odleciał. — Ogólnie mogę spartaczyć wszystko, ale to byłby nowy poziom dna. Wydawało mi się, że na ogół jestem bezmyślnym idiotą, ale jednak nie kompletnym dupkiem. Przecież... w końcu mam siostrę.

— A nie, zabezpieczyłeś się. Bardzo nalegałeś. Pilnowałeś, żebym... wyjęła twój portfel i to wszystko — zapewnia mnie, czerwieniejąc. — Tylko potem... po wszystkim... zasnęłaś i nie... — wykonuje nieokreślony gest ręką.

Ale ja bez problemu odgaduję, o co jej chodzi. Odleciałem... nie zdjawszy i nie wyrzuciwszy prezerwatywy, która najwyraźniej przeciekła. Albo pękła. Normalnie książkę ze mnie.

— Jestem chodzącą katastrofą, Hester — zauważam ponuro. — Jesteś na to zbyt mądra.

— Jak widać, nie tak bardzo. — Dziewczyna przechyla szklankę z napojem tak, jakby to była tequila. Teraz błyski w jej oczach bardziej przypominają gniew niż łzy. — Nie byłam mądra, a ty nie byłeś trzeźwy. Robiliśmy to... — urywa, a ja się kulę.

„No i zrobiliśmy Calvina”.

— A potem cię wyrzucili. — Bezradnie rozkłada ręce. — No i... tak wyszło.

— Nie do końca. Do cholery, dlaczego... mnie nie odnalazłaś ani się nie odezwałaś, kiedy... kiedy się dowiedziałaś? Albo dlaczego ani razu — ani razu, Hester! — nie pomyślałaś, że może jednak warto zawiadomić ojca? Zawiadomić od razu! — Kelner, który już do nas podchodził z kolejną butelką wody, ucieka do innego stolika, przy którym siedzą goście bardziej zrównoważeni emocjonalnie.

— Nie wiedziałam, jak się z tobą skontaktować.

— Ale teraz ci się udało, wtedy też mogłaś się postarać. A ty po prostu sama urodziłaś dziecko. Postanowiłaś go zatrzymać tylko po to, żeby mi je pokazać i zafundować poczucie winy do końca życia. Nie dałaś mi żadnego wyboru. — Niemal nie widzę Hester; cały świat wiruje mi przed oczami, zabarwiony na czerwono. Jestem cały spięty i rozpalony.

— Ja też go nie miałam, Tim. — Teraz Hester faktycznie się zdenerwowała.

— Byłeś kompletnie rozwalony, chyba to przyznasz. Miałam cię odnaleźć i powiedzieć na przykład: „Słuchaj, odstaw ten rum i odłóż jointa, żebyśmy mogli racjonalnie porozmawiać o naszym dziecku”?

Próbuję sobie wyobrazić, jak bym się zachował w tej sytuacji. Nie mam pojęcia. Tim Mason, którym wtedy byłem, przypomina mi raczej jakiegoś żalosego współlokatora sprzed wielu lat... który wczoraj wpadł tu nagle i o mało znów się nie wprowadził. Kelner stawia przed nami przystawki i ucieka, nie oglądając się za siebie.

— Poza tym — dodaje Hester — ja... — Palcem wskazującym wodzi po krawędzi szklanki z wodą. — Ja...

Spoglądam w dół na przystawki. Ehm, co to? Nieważne.

— Co? — pytam, wbijając w nie widelec.

— To dość osobiste.

Gapię się na nią. Chociaż ledwie ją znam, nasze kontakty były na pewno bardzo osobiste.

— Wiem, wiem, brzmi to dość śmiesznie. Mam nieregularne miesiączki, poza tym nie miałam, no... porannych mdłości, więc zorientowałam się dosyć późno.

— Jak późno? — Chyba nie przydarzyło jej się to, o czym czyta się w gazetach: dziewczyna myśli, że po prostu przytyła, potem zaczyna ją boleć brzuch, a potem wyskakuje z niej dziecko...

— Po dziesięciu tygodniach. Poszłam na USG. Ssał kciuk. Był taki... Musiałam go urodzić.

— Hester, na Boga... — Całkowicie straciłem apetyt, ale zjadam coś, co mam na talerzu, żeby nie zwymiotować albo nie zacząć przepraszać przez kolejną godzinę.

— Lepiej smakuje z cytryną. — Hester podaje mi talerzyk. Jakby obchodził mnie dobór przypraw. — Nie było aż tak źle, naprawdę.

— Nie mów, że zajście w ciążę w ostatniej klasie Ellery to sama przyjemność.

— Dobra wiadomość jest taka — szklanka z napojem wędruje do góry, jakby dziewczyna wznosiła toast — że dopiero po bardzo długim czasie ciąża zaczęła być widoczna. Oczywiście potem nasłuchiwałam się tekstów ze *Szkarłatnej litery*¹, ale... moi prawdziwi przyjaciele mnie nie opuścili. No i oczywiście pomógł mi dziadek.

— Taaak, podobno poród to naprawdę fantastyczne przeżycie — mamrocę.

— Poprosiłam o znieczulenie. — Hester wręcz się uśmiecha. — Żałuj, że dla zabawy nie wzięłaś nigdy znieczulenia zewnątrzoponowego. Jest najlepsze.

— Niewiarygodne, że potrafisz z tego żartować.

— No... i tak wyszło, Tim. Mogło być znacznie gorzej.

Jak? Myślę, myślę, co mogłoby pójść gorzej...

Kelner wraca praktycznie na paluszkach. Postanawiam na moment zmienić temat.

— No to... mhm, ile dziecko ma...? — Słowa brzmią dziwnie, niewłaściwie, jakbym nagle zaczął wypytywać obcych o cudze dziecko w kolejce do kasy, a nie dowiadywał się o to tutaj, leżące przed nami, wierzące się lekko przez sen. — To znaczy Calvin.

— Urodził się trzy tygodnie przed terminem, więc teraz ma pięć i pół tygodnia. Od narodzin przybył mu cały kilogram.

— Aha. To miłe. Eee.... — Zjadam więcej tych okrągłych przystawek. Są gumowate i dziwnie smakują. Zbliża się kelner z kartą win. Nie widzi, że jesteśmy niepełnoletni, do cholery? Z ponurą miną macham ręką, żeby odszedł. Hester bawi się widelcem.

— Więc... się urodził — mówi niemal szeptem — i w końcu znalazłam twój adres w książce pamiątkowej szkoły.

— Co takiego? Poszłaś do moich rodziców? Z dzieckiem?

— Nie! Zadzwoiłam, odebrała jakaś dziewczyna. Dała mi twój nowy adres.

Kelner zabiera talerze z przystawkami, stawia kolejne z czymś nieokreślonym.

Podejrzliwie wacham jedzenie. Jakaś dziewczyna. Oczywiście chodzi o Nan. Mogła mnie siostrzyczka uprzedzić. Ale z drugiej strony, chociaż moja bliźniaczka zwykle przewiduje najgorsze, jakim cudem mogła odgadnąć, że jakaś przypadkowa dziewczyna po drugiej stronie całkowicie rozbije moje życie na kawałki?

— No to — odzywa się Hester nagle bardzo rzeczowym tonem — porozmawiajmy o szczegółach. — Leje brejowaty biały sos na to cholerne danie, które wybrała, bierze mały kęs i odkłada.

— Tak, o tym, jak... jak mamy to zorganizować. — „Oraz: ile czasu musimy wytrzymać?”. Dopijam resztę wody ze szklanki. Na tym etapie kelner już odpadł, unika naszego wzroku, stoi ze skrzyżowanymi ramionami, spogląda w sufit. — Wiesz, mam mało czasu, pracuję, uczę się do matury i...

„Nie mam dla ciebie czasu, mały” — Calvin znów marszczy się lekko.

Hester wlepia wzrok w swój talerz.

— Możemy to jakoś załatwić. Możemy od razu zacząć organizować adopcję — mówi szybko. — Ale nim się z tym uporamy, nie zostaniesz z tym sam. Ja pomogę, i dziadek też. Przy okazji, on chce cię poznać.

Na pewno.

Zaraz, co powiedziała? Że pomoże? Czy to ja mam wziąć na siebie większość obowiązków rodzicielskich? Nigdy w życiu. Dziecko się porusza, kopie, po czym znów uspokaja. Cholera. Jest taki mały. Jego dłoń wielkością przypomina... powiedzmy... pomidorki koktajlowe w mojej sałatce.

— Nie myśl, że jestem zła — uprzedza Hester. — Ale nie mogę zawiesić

całego życia na kołku, dopóki wszystkiego nie załatwimy.

— Wiadomo, kto tu jest tym złym, Hester. Słuchaj, jakoś sobie poukładam grafik. Oczywiście będę się nim zajmował, jasne, przecież... — przełykam i zaciskam szczęki — to w końcu mój syn.

Hester kiwa głową i mruga szybko.

— Tak. Twój.

Niezaprzeczalnie. Nie czuję przyptywu uczuć ojcowskich, ale nie ucieknę od faktów: byłem sponiewierany. Niewłaściwie użyłem prezerwatywy. Jest dziecko. Zdrowe jak ryba.

Nagle ramiona Hester zaczynają się trząść i zaczyna się potok łez, urywany szloch przybierający na sile. Dziewczyna unosi głos, celując we mnie palcem, dźga powietrze.

— Wiem, że nie masz na to ochoty. Ale nie zdajesz sobie sprawy, co to znaczy dla mnie... Jest maleńki, urodził się przedwcześnie, cały czas je, żeby nadrobić i... i... prawie nie sypia. Wciąż robi kupę i płacze, nie mam pojęcia dlaczego, nie wiem, co się dzieje. Dlaczego nie może po prostu siedzieć cicho? I bez tego mam dość! Wiele dni po jego urodzeniu piersi miałam spuchnięte, ciekło z nich, przy porodzie pękła mi pochwa i musieli mnie zszywać. Mam osiemnaście lat... to nie powinno tak być!

Boże wielki, zabij mnie od razu. Cała restauracja gapi się na nas.

— A ty tylko dawałeś sobie w żyłę! Nawet nie... nie... o niczym nie pamiętasz. A ja jestem gruba! Prawda?

To chyba najmniejszy z jej problemów, ale przynajmniej wiem, jak na to odpowiedzieć.

— Nie! Nie, jasne, że nie. Wcale. Wyglądasz tak samo.

„Jak dziewczyna, której nie pamiętam”.

Po czole spływa mi pot.

— Lepiej! Wyglądasz lepiej!

Hester krztusi się, szuka serwetki, którą pewnie upuściła. Chcę jej podać swoją, ale przypominam sobie, że wyplułem do niej małża.

— Naprawdę lepiej?

— Pewnie! — Kelner stoi w kącie, wzrokiem badając każdy centymetr sufitu. Grupka kobiet pijących cosmopolitany przy stoliku obok wygląda tak, jakby chciały odstrzelić mi jaja, pokroić tępymi nożami, a potem wrzucić do studzienki. Drogie panie, proszę się nie krępować.

Odsuwam gwałtownie krzesło, podchodzę do niej i głaskam ją po ramionach.

— Pssst, Hes, to nie jest problem. Rozumiem. Sam słabo sypiam, więc zapewne to też moja wina. Ja... jakoś sobie poradzę. Eee... słuchaj, chcesz, żebym go wziął... dzisiaj na noc?

Co ja gadam? Nie mogę przecież przynieść dziecka do mieszkania nad

garażem. Na noc? Obok Garrettów? Przy Alice? To jak karambol, w który co chwilę trafiają kolejne samochody, jak ciągła powtórka, którą szatan puszcza tym, którzy trafili do piekła.

— Dopilnuję, żeby mu niczego nie brakowało, nie martw się — zapewnia mnie Hester głosem nawet niższym i bardziej ochryłym niż zazwyczaj.

Przecież temu dzieciakowi brakuje absolutnie wszystkiego.

Calvin jakimś cudem przespał całą scenę. Wciąż śpi, kiedy idziemy do samochodu Hester, ja dźwigam fotelik, a Hester prowadzi. Jakoś dotarła do siebie po załamaniu. Jeśli tak działają hormony, to naprawdę paskudztwo.

*

Całe tylne siedzenie samochodu Hester i bagażnik są zajęte torbami. Jak taki maluch może potrzebować tylu rzeczy? Jest nie większy od rakiety tenisowej.

Najpierw Hester podaje mi tę wielką torbę z pieluchami. Potem jakiś dziwny koszyk ze słomy, przypominający większą wersję czegoś, co mogła nosić Złotowłosa².

Czy ja mam brać małego na pikniki?

— Wyprałam skórę — dodaje.

— Co?

Hester szuka czegoś na tylnym siedzeniu; wyjmuję autentyczną owczą skórę, koce i małąkę zrobioną ze skarpetek, tę z czerwonym tyłkiem. Ja stoję z koszem piknikowym i pieluchami, które coraz bardziej ciążą mi w ręce. Serce kurczy mi się boleśnie, coraz mocniej, jak moja dłoń zaciskająca się na uchwycie koszyka.

— To kładziesz na dół, a potem pilnujesz tylko, żeby Calvin zawsze leżał na plecach. — Hester wkłada skórę do koszyka i na wierzch kładzie małąkę. Zabawka wierci mnie przenikliwym spojrzeniem małych oczek. Takie rzeczy zawsze przyprawiały mnie o gęsią skórkę. — Jeszcze tylko kilka drobiazgów i możesz brać małego na wasz wspólny dzień.

O rany!

Dziewczyna wraca z kocem, małym lusterkiem i czymś, co przypomina zwinięty spadochron.

Zatem koszyk to łóżeczko, ale najprawdopodobniej mam zabrać Calvina na skoki spadochronowe.

— Powinnam była lepiej się zorganizować, ale trudno to wszystko wziąć w garść.

Dobre sobie. Ja mam problem, żeby samemu się wziąć w garść. Kieruję się do swojego samochodu, otwieram tył, odsuwam śpiwór, pudełko z piłkami tenisowymi, wielopak napoju Dr Pepper oraz poszewkę wypchaną praniem; przenoszę je na tylne siedzenie. Nie zamykam jeszcze bagażnika, bo może za chwilę pojawi się coś innego, na przykład namiot niemowlęcy albo zestaw do

krykieta.

Zaczynam się zastanawiać, czy nie chce mi oddać dziecka na stałe. Podeszła do mnie, trzyma małego na rękach, założyła mu czepek.

— Pomóc ci z fotelikiem?

— Nie, wszystko w porządku — odpowiadam. — Nie ma problemu.

Włożenie go do samochodu zajmuje jakiś przeraźliwie długi czas. Nie mogę sięgnąć palcami do zapięcia, a kiedy mi się wreszcie udaje, pas wciąż wyslizguje się dołem, smagając mnie po kostkach. Auć.

Odsuwam się, ssąc palce, i przy okazji uderzam głową o sufit samochodu.

— O proszę. Połóż mu przy stopach to lusterko, żeby go widzieć w trakcie jazdy. — Hester z Calvinem na ręce podaje mi siedzisko do zamontowania. Calvin, już obudzony, wbija we mnie wzrok. Odpowiadam długim spojrzeniem. Mam go obserwować w trakcie jazdy? Niby jak?

— Eee... cześć, Calvin — zaczynam dość piskliwie, po czym przybieram sztucznie serdeczny ton prezentera telewizyjnego. Dzieciak znów marszczy się płacząco, wykrzywia usta, jego dolna warga drży.

Hester pośpiesznie wpycha mi go w ramiona. Bez uprzedzenia. Jeden ruch i już trzymam w ramionach ciepłe, wijące się stworzenie. W czepku. Tył jego koszulki jest mokry; on też się spocił.

Gładzę go po miniaturowym ramieniu.

— Będzie dobrze — mówię. Mały ma zaniepokojoną minę i poważne oczy. To mina Nan, wersja 2.0.

Kiedy już go wpięliśmy, Hester podaje mi gruby plik kartek pokrytych zaokrąglonym pismem; wyrwała je chyba z notesu i spięła. Przypominają pierwszą wersję wypracowania z angielskiego z roku 1986.

— Jestem pedantką, więc zapisałam ci wszystko — rzuca i mówi bardzo, bardzo długo. „Pamiętaj o tym i o tamtym, a tego nigdy nie rób, wiem, pewnie sam się domyślisz, ale na wszelki wypadek” i tak dalej.

Cholera, nigdy w życiu sam bym się nie domyślił. Jakim cudem? Może jakoś bym odgadł, gdzie pieluszka ma przód, a gdzie tył i jak go wsadzić w ten spadochron, który okazuje się jakąś kangurzą torbą, w której można go nosić jak nerkę na pasku. A i jeszcze cały czas mam mu podtrzymywać głowę, bo inaczej, nie wiem, się oderwie... Ale przecież to wszystko podpowie mi instynkt, prawda?

Proste jak drut.

*

W końcu jakieś dziesięć tysięcy lat później wyjeżdżamy na drogę. O mało nie powoduję wypadku, gdyż próbując się zatrzymać na światłach, w obawie, że zahamowałem zbyt gwałtownie, sięgam do tyłu, a jakiś dupek z wielkim brzuchem i pogardą dla świata o mało nie wjeżdża w nas motocyklem. Gość podnosi palec

i woła:

— Wal się, dzieciaku!

Właśnie to zrobiłem.

Kiedy zjeżdżamy na siódemkę, Calvin zaczyna popiskiwać, a ja uświadamiam sobie, że nie zamknąłem okna, więc zapewne wieje mu spalinami prosto w twarz. Pierwszy zjazd prowadzi do Brinkley Bay, na plażę prywatną obstawioną wielkimi tablicami, które grożą rozstrzelaniem, jeśli ktokolwiek ośmieli się zbliżyć do wody.

Mimo wszystko zjeżdżam na parking.

Otwieram tylne drzwi i przysiadam przy samochodzie, sięgam Calvinowi pod brodę, wsuwam palce w fałdy skóry, która jest tak miękka, że nawet nie przypomina skóry. Jest jak... jedwab. Tylko zaśliniona. Rozwiązuję czepek i rzucam na podłogę. Usta małego drżą, to jeszcze nie jest pełen uśmiech, ale już nie ta zmartwiona, roztrzęsiona mina.

— Pewnie, nie będziesz nosił falbanek. Mój syn... i tak dalej te wszystkie pierdoły, sorry, bzdury, okej? Do licha z tym. — Między brwiami znów pokazuje się zmarszczka. Odruchowo dotykam go palcem i wygładzam, jak robiła mama, kiedy w dzieciństwie też się tak marszczyłem. „Będziesz miał zmarszczki, zanim skończysz dziewięć lat!”.

Mama... mnie zabije.

Ale najpierw się rozplacze.

Ojciec...

Cholera!

Calvin nawet nie skupia wzroku, mam wrażenie, jakby cały czas zezował. Czy to normalne? Czy on jest normalny? Nawet się nad tym nie zastanawiałem. Tyle zła narobiłem. Bóg wie, co mi się nagromadziło w ciele i w tym, co ze mnie pochodzi. Może zepsułem małego już w chwili, gdy go nieświadomie stwarzałem.

Wyciągam palec i dotykam nim maleńkiej, mocno zaciśniętej piąstki. Chyba jest jeszcze za mały na przybijanie piątek, więc otwieram spocone palce i przesuвам palcem po mokrej dłoni wyglądającej jak rozgwiazda. Jest tak mała, że zaciska się na czubku mojego palca wskazującego i jeszcze zostawia sporo miejsca.

— Będzie dobrze, Cal. Jesteś w dobrych rękach — mówię, gładząc go po brzuchu pod pasem, w nadziei, że go uspokajam. Przecież to właśnie robią rodzice, prawda? Kłamię, aż się kurzy.

1 *Szkarłatna litera* — powieść Nathaniela Hawthorne'a, której fabuła rozgrywa się w latach czterdziestych XVII wieku i opowiada o Hester Prynne – młodej mężatce, która rodzi nieślubną córeczkę i za swą niewierność zostaje napiętnowana i odsunięta na margines społeczeństwa.

2 *Złotowłosa* — bohaterka *Opowieści o trzech niedźwiadkach* autorstwa

Roberta Sautheya.

Rozdział dwudziesty

Alice

Ze skrzynki wystaje jaskrawy róg ulotki. Zapewne Harry zapomniał wczoraj o swoim obowiązku opróżnienia skrzynki. Wybieram koperty, przerzucam je: listy do Joela z odciskiem pomalowanych ust — serio? Czasopismo „Justine” dla Andy, paczka dla mamy (prezent świąteczny od pana Methuana, który mieszka nieco dalej; mama czasami wozi go do lekarza), rachunek za prąd, ogłoszenie o zabawie absolwentów, pismo z banku. Wsuwam pisma pod pachę, otwieram kopertę z banku.

Czytam raz.

Czytam drugi raz.

W płucach nagle brakuje mi powietrza, jakby ktoś zamknął okno.

Kto wyssał tlen z ciepłego wrześniowego powietrza?

*

— Nie podoba mi się tutaj — marudzi George. — Brzuch mnie boli.

— Jeszcze kilka minut, G, a potem pójdziemy do księgarni. Książka i gazetka.

Moje nowe drugie imię to Łapówkarz.

Patsy siedzi cicho, bawiąc się plastrem z Kubusiem Puchatkiem, który dostała przy szczepieniu na polio. Mała rzuca mi pełne gniewu spojrzenie, na co ja unoszę palec wskazujący, w który ugryzła mnie przy zastrzyku, i odpowiadam takim samym spojrzeniem.

Tak, mam dziewiętnaście lat, ale czekanie na twardej ławce w Stony Bay Building and Loan mnie również przyprawia o ból żołądka. Na dodatek mam na sobie koszulę i granatową spódniczkę na rozmowy o pracę oraz rajstopy wrzynające mi się w talię.

— Ile minut jeszcze? — pyta George.

— Nie jestem pewna, Georgie. — Próbuję go zabawić zagadkami, ale w sali bankowej można znaleźć niewiele przedmiotów, które się do tego nadają. Pomieszczenie, jak się wydaje, pochodzi z programu „Przed i po”, jakby brało udział w konkursie na pozbawienie pokoju jakiegokolwiek charakteru. Beżowy dywan, beżowe ściany, jakaś maszyna wydająca z siebie niskie dźwięki. Przyciszone głosy.

— Ile minut jeszcze?

— Już niedługo.

— A potem lody?

— Jeszcze nie ma południa, G.

Po sześciu kolejnych pytaniach „Ile minut jeszcze?” drzwi do gabinetu kierownika banku wreszcie się otwierają.

W pokoju stoi tylko jedno krzesło, George natychmiast na nim siada, przesuwa się do tyłu, nogi mu zwisają i kopią metalowe nogi krzesła. Mężczyzna za biurkiem nawet nie unosi wzroku pomimo głośnego brzęczenia.

— Hej! — odzywa się głośno George.

Mężczyzna obrzuca nas krótkim spojrzeniem, unosi ostrzegawczo palec, pisze dalej, a w końcu z ciężkim westchnieniem odkłada długopis. Spodziewam się, że teraz spojrzy mi w oczy, ale jego wzrok jest utkwiony w jakimś punkcie tuż za moim ramieniem.

— Coś pilnego?

— Tak. To. — Kładę mu na biurku pismo z banku. — Dotąd otrzymywaliśmy pieniądze z funduszu powierniczego, ale tu napisali, że wypłaty się kończą. To niemożliwe, panie... — rzucam okiem na brązową tabliczkę z nazwiskiem — ...panie Mason.

A niech to...

Ojciec Tima?

Tak, teraz to widać, chociaż gość przypomina raczej kogoś, kto wyszał osobowość z tego pomieszczenia. Takie same gęste włosy, lekko falowane jak u Tima, tylko nie rude, ale popielate — identyczne wysokie kości policzkowe, lecz bez uśmiechu mniej widoczne — jednakowa wysoka, szczupła sylwetka, tylko raczej wyniszczona niż sprężysta.

Unosi kartkę i czyta.

— Owszem, wysłałem to pismo, tak jak polecił mi właściciel rachunku powierniczego. Wszelkie dalsze przelewy zostają wstrzymane.

— To pan zabił tego jelenia? — pyta George, z pełną przerażenia fascynacją wpatrując się w nadgryzioną przez mole głowę jelenia wiszącą na ścianie.

Pan Mason z podobnym wyrazem twarzy patrzy na mojego brata.

— Kiedy przejąłem to biuro, już tu był.

— Nie można wstrzymać przelewów — mówię. — Była umowa. Dopóki dostajemy rachunki, należy je płacić.

Unoszę głos. George zagryza wargę. Patsy wtula się we mnie solidnym ciałkiem, niemal pozbawiając mnie tchu.

— Wysłałem pismo na polecenie klienta — mówi pan Mason. — Nie znam szczegółów, oprócz tego, że, jak pani mówi, dowody na wydatki przesyłano na poniższy adres, a potem opłacano je w ramach jakiegoś stypendium czy darowizny, może na podłożu politycznym? Być może kwota darowizny sięgnęła maksimum, więc...

Wciąż nie patrzy mi w oczy. To dziwnie zbija z tropu, zwłaszcza że oczy ma tego samego koloru co Tim. Jednak w kącikach oczu Tima prawie zawsze czai się

uśmiech, który sprawia, że stają się nieco skośne. Tu jednak nie widać ani śladu uśmiechu. Pan Mason nie wydaje się zły ani smutny. Po prostu... nieobecny.

— Nie było żadnego maksimum ani ograniczenia. Rachunki miały być... — mówię pełnym głosem; twarz mężczyzny wreszcie przyjmuje jakiś wyraz, ale nie potrafię go odgadnąć. Niepokój, rozdrażnienie — nie wiem. Zerka na ekran komórki, jakby miał w niej jakąś aplikację wzywającą uzbrojonych strażników, żeby wyprowadzili wariatkę z pokoju.

— Jeśli da mi pani dokument zawierający warunki umowy, na pewno damy radę to załatwić. Oczywiście jest potwierdzony notarialnie?

Rzecz jasna taka umowa nie istnieje. Moim rodzicom nawet nie przeszło przez myśl, by spisać umowę z Grace Reed. Połowa umów między tatą a jego dostawcami w sklepie Garrettów polega na podaniu dłoni — zresztą senator Grace na pewno odmówiłaby spisania tego wszystkiego, bo co by się stało, gdyby prasa coś zwęszyła? Nie. Nie było żadnego potwierdzenia notarialnego. Ale powinniśmy przynajmniej przejść się do prawnika.

Opieram głowę na dłoniach i unoszę wzrok.

— To był dług honorowy. Nie ma żadnego...

Honor, też coś.

— Dowodu? — kończy pan Mason z lekkim, bardzo lekkim odcieniem współczucia. — Niestety nie jestem upoważniony do podejmowania działań bez dokumentacji.

— Musi pan, to dla nas ważne, nie poradzimy sobie bez pieniędzy. To rachunki za szpital mojego ojca i...

Mężczyzna kręci głową.

— Mam związane ręce, panno... — rzuca okiem na pismo — ...Garrett. Oczywiście współczuję, ale obawiam się, że bank wymaga czegoś więcej.

Otwieram usta, by znów się sprzeciwić, ale to nie ma sensu. Po raz pierwszy rozumiem wyraz jego oczu. Nie ma dyskusji.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Tim

Kiedy z wyzywającym traskiem stawiam fotelik samochodowy na podłodze kościoła, rozmowy wokół milkną raptownie. Dominic, który odebrał telefon dopiero wczoraj wieczorem, bo popłynął na ryby ze znajomym i nie zabrał telefonu, mamrocze pod nosem „o rany”, po czym odwraca się i dalej rozmawia z moim byłym trenerem Jakiem. Lecz po kolejnej minucie wszyscy zaczynają się tłoczyć wokół Cala i się nad nim rozpływają.

Oni się zachwycają, a ja myślę jedynie: „No to go sobie weź. Albo ty. Albo ty. Proszę”.

Mam go od pół godziny, a już padam na nos. Mam wrażenie, że opiekuję się małym od długiego czasu, a jest dopiero piętnasta. Co się robi z niemowlętami, na miłość boską? Zabiera na plac zabaw? Przecież nie spuszczę go po ślizgawce ani nie wsadzę na huśtawkę. On nawet nie utrzyma samodzielnie głowy, jest bezwładny jak szmaciana lalka. Kiedy poszedłem wyjąć go z samochodu, patrzył na mnie jedynie, jakby chciał powiedzieć: „O, cześć. Wiesz, wierzę ci, że poradzisz sobie z tymi obowiązkami tatusia, bo powiedzmy sobie szczerze: jestem zdany całkowicie na twoją łaskę. Nie skop tego. To ja sobie znów pośpię”.

Wytrzymuje do połowy godzinnego spotkania, po czym zaczyna się wiercić, otwiera i zamyka usta. Wywlekam się z nim na zewnątrz, otwieram puszkę mleka i podaję mu butelkę. Przyjmuje ją z ogromnym entuzjazmem. Czasami obraca głowę w moim kierunku gestem, który mogę określić tylko jako wyraz Woli Najwyższej. „Widzisz, chociaż chcę przede wszystkim jeść, jednak uznaję twoje istnienie. Rozumiesz? To dobrze. Bo naprawdę bardzo chce mi się pić”.

Siedzę pochylony nad nim, obserwując uważnie jego twarz, kiedy na moich plecach ktoś lekko kładzie rękę i zajmuje miejsce obok mnie.

Trener Somers — Jake — z potarganymi jasnymi włosami i w kamizelce z logo Hodges Soccer. Prostuje pogniecioną koszulkę dziecka, odsuwa mu włosy z czoła.

— Chyba nikt nie pomyślał, że to cudze dziecko, a ja się nim tylko zajmuję, prawda?

— To naprawdę fajny bobas — odpowiada. — I jak na niemowlaka jest do ciebie bardzo podobny.

— Mam tylko jeden podbródek — zauważam.

— Racja, ale zobacz, w górnym podbródku ma dołek, jak ty. — Jake kładzie palec na miniaturowej twarzyczce Cala.

— Nie wypieram się go — mówię, chociaż to wydawałoby się chyba najwłaściwsze. Jake opiera się na łokciach i uśmiecha do mnie szeroko. Dociera do

mnie lekki zapach dymu papierosowego. Jeden mocny wdech i nabieram ochoty, żeby go błagać o ćmika. Ale przecież nie będę dmuchał dymem prosto w twarz dziecka, które akurat przełyka! Nie. Żaden ze mnie podręcznikowy tata, ale tego nie zrobię. Trzymam go ostrożnie na kolanach, dotykam plastra nikotynowego od Alice.

Rozlega się trzaśnięcie ciężkich drewnianych drzwi i między nami staje Dominic. Spogląda na Cala. Marszczy grube brwi; nie wiem, co myśli. Czasami płacze na spotkaniach, kiedy mówi o swojej córce. Ten twardziel, zawsze wyluzowany, zawsze w centrum uwagi, potrafi płakać.

Sam Jake poddaje się ostatnio emocjom, gdyż razem z partnerką starają się o dziecko poprzez surogatkę, ale wciąż im się nie udaje. Ze względu na dziecko próbuje rzucić palenie, co też mu się nie udaje, gdyż nie ma dziecka — w ciągu trzech miesięcy, odkąd chodzę na spotkania, nie wyszło im dwa razy. Otaczają mnie mężczyźni, którzy z chęcią by się ze mną zamienili.

Cholera, to niech się zamienia.

Podsuwam dłoń pod główkę dziecka i przechylam butelkę do jego ust. Kącikami ust uciekają drobne strużki mleka, spływają po podbródku, nagle mały przestaje jeść i kicha. Robi bardzo obrażoną minę, marszczy brwi, jakby prosił: „Tato, zrób coś”. Tata ledwie jest w stanie poradzić sobie ze sobą, nie mówiąc o robieniu czegokolwiek dla innych.

— Niech mu się odbije — podpowiada Dom.

— Jak?

Instrukcje Hester leżą wciśnięte w moim schowku w samochodzie, ale nie pamiętam niczego o odbijaniu. Ale faktycznie, tylko przeleciałem wzrokiem tę listę.

— Poklep go po plecach, tylko delikatnie — mówi Dominic. — Maluchy to lubią. — Dziwne, że nie wyrywa mi dziecka i sam tego nie robi.

Ostrożnie przechylam Cala do przodu i poklepuję go między małymi, ostrymi łopatkami, najpierw trzema palcami, potem całą dłonią. Jest tak przerażająco kruchy.

I... nic. Teraz mały kwili, a ja nie mam żadnego sposobu, żeby coś na to poradzić.

Rzucam błagalne spojrzenie Domowi — moją własną wersję „zrób z tym coś”, ale on się tylko uśmiecha.

— Czasami trzeba to powtórzyć kilka razy.

Poklepuję jeszcze raz. Kwilenie i piski.

— Połóż go sobie na ramieniu — mówi Jake. — Oprzyj wysoko.

Unoszę Cala tak, że jego głowa opiera mi się bezwładnie na ramieniu, i poklepuję jeszcze kilka razy. Nagle rozlega się głośne beknięcie jak u starego grubasa, a po plecach mojej koszuli spływa strużka płynu.

— Cholera — mówię. — To...

„Obrzydliwe. Nierealne” — myślę same złe rzeczy.

— To się dzieje naprawdę. Okej? — Jake wyciąga z kieszeni pogniecioną chusteczkę higieniczną i rzuca mi, a ja z powrotem sadzam sobie małego na kolanach. Cal patrzy na mnie nagłaco, mlaszcze i robi słaby zamach otwartą dłonią w kierunku butelki.

— Chyba wciąż chce mu się pić — informuję resztę, wsuwając mu butelkę w buzię.

— A komu się nie chce? — odpowiada Dominic z krótkim śmiechem.

— Ale nie przesadzaj z karmieniem, Tim — dodaje Jake.

„Wiem, wiem, wiem”.

Na moment butelka wysuwa mu się z ust, dziecko wydaje z siebie wysoki, rozpaczliwy pisk jak mała mysz. Ten dźwięk, bezradny, wyraz całkowitej zależności ode mnie, sprawia wrażenie, jakby ktoś wbił mi w brzuch rozgrzany nóż i obrócił. Kładę sobie rękę na żołądku, gdzie czuję pieczenie i ból. Cholerny Jake z jego surogatkami i Dominic, który bez córki czuje się jak bez ręki, i Hester z jej niekończącymi się zaleceniami, cholerny facet, który przechodzi właśnie ulicą, niosąc na barana chichoczące dziecko, którego stopy objijają się o klatkę piersiową ojca. Niech szlag trafi wszystkich na świecie, którzy mieli dzieci lub chcą dzieci albo wiedzą, co — do cholery — trzeba z nimi robić. Próbuję upchnąć wściekłość lub wyładować ją w jakimś bezpiecznym miejscu — kopię mokasynem w żelazną kratę, ale przy okazji szarpię butelką. Cal otwiera półprzymknięte oczy i patrzy na mnie zaniepokojony, jakby pytał: „Wściekleś się, tato?”.

*

Po spotkaniu wkładam dziecko do nosidełka i po prostu wychodzę na plażę. Idę bez końca, jakbym odtwarzał bataański marsz śmierci¹. Potem małego trzeba przewinąć, ale ja nie mam przy sobie pieluch, a przeszedłem już przez Stony Creek praktycznie do Maplecrest. Spoglądam na zegarek — dochodzi szósta. Zawracam, wlokę się do samochodu i zmieniam małemu pieluchę. Po czterech godzinach ze mną jeszcze żyje. Teraz jednak muszę wracać do domu.

Garrettowie.

Alice.

*

Kiedy wtaczam się na pusty podjazd Garrettów — ich samochodów nie ma — nie jestem pewien, czy uniknąłem wystrzelonego w moją stronę pocisku, czy właśnie wyskoczyłem z samolotu bez spadochronu.

Dziecko, fotelik i tony dziecięcych gratów, które zrzuciła na mnie Hester — potrzebuję szpery, żeby to wszystko zatargać do domu za jednym razem.

Oczywiście skoro tak się wymądrzałem przy Hester na temat zostawiania małego w samochodzie, teraz przede wszystkim na górę zanoszę jego. Jednak natychmiast po wejściu do pokoju mały rozdziera się na całego. Fioletowieje, zaciska pięści, podnosi kolana do brzucha i wyje jak potępieniec. Coś go opętało. Nic dziwnego, że po pięciu tygodniach Hester ma już dość. Pieprzyć adopcję, może dałoby się go podzucić komuś pod drzwi?

Zostawiłem bagażnik otwarty i wszystkie kompromitujące rzeczy dziecięce są na wierzchu, doskonale widoczne dla wszystkich Garrettów. Ale nie mogę zostawić dzieciaka samego i biec, by zamknąć samochód, bo mały za chwilę dostanie drgawek. Jakim cudem w restauracji był tak spokojny?

Pozostało mi tylko jedno: biorę go na ręce i targam bagaże po jednym z samochodu do domu. W każdej chwili minibus, garbus albo mustang mogą wjechać na podwórko i wszystko się wyda.

Przerwy między napadami wydłużają się, bo małemu chyba zaczyna brakować powietrza w płucach. Mnie też. Jestem bardziej wykończony niż tego dnia, kiedy pobiegłem aż do molo i spędziłem potem pół godziny, leżąc na plaży, zanim powlokłem się z powrotem. Teraz Cal zasnął; bezwładnie leży mi na ramieniu. Chwiejnym krokiem wchodzę na górę, wkładam go do fotelika i zapinam, po czym znów z wysiłkiem schodzę do samochodu.

Już prawie skończyłem przenosić wszystkie rzeczy — a jest ich znacznie więcej niż przy mojej własnej przeprowadzce — i podnoszę ciężką walizę, czyli torbę z pieluchami, kiedy ktoś klepie mnie w plecy.

— Tim?

To Andy. Zdejmuje z głowy kask rowerowy, rzuca go obok roweru, który już leży na trawie, i rozpuszcza faliste jasnobrązowe włosy.

Przygląda mi się bez słowa.

A niech to.

Szybkie spojrzenie na zewnętrzną stronę torby nie zdradza jej zawartości, gdyż nie ma na niej żółtych kaczuszek ani innych podobnych rysunków. Torba jest gładka, granatowa, ani męska, ani damska. Tyle że z bocznej kieszeni wystaje butelka; wpycham ją głębiej.

— Co tam, Andy?

— Pamiętasz, jak chciałam cię o coś zapytać? I mówiłam, że to naprawdę ważne?

— Andy, jeśli chcesz rozmawiać o narkotykach albo o czymś w tym stylu, ja nie...

Dziewczyna zaczyna chichotać, ukazując aparat na zębach w całej okazałości, a po chwili ja również się uśmiecham.

— Tim, a poważnie, mogę?

„Eee, no dobrze, od razu powiedz, że nie, okej?”

Przechyliła głowę, odrzuca włosy na plecy, po czym nieruchomieje, mrużąc lekko oczy.

Czy to znów Cal się odzywa?

— No dobrze, Andy, wal. Trochę mi się spieszy.

— Dobra — odpowiada Andy i mówi na jednym wydechu: — Kiedysięz kimścałujęalenaprawdęcałujęgdziesiętrzymaręce?

Boże.

— Ee... no cóż. Ehm. — Andy zachęca mnie kiwnięciem głowy i pełnym nadziei spojrzeniem brązowych oczu. — Na początek dobre są ramiona. — To chyba bezpieczne. Jake mnie za to nie zaszlachtuje.

— A potem?

— Przynajmniej przez rok nie posuwaj się dalej.

— No co ty, Tim.

To na pewno Cal.

— Potem chyba można zejść do pasa. Albo na plecy. Nie wiem. Nie pytaj mnie, Andy, cokolwiek ci powiem, rób coś zupełnie przeciwnego. Mogę ci jedynie powiedzieć: nie spiesz się.

Andy odchodzi krok do tyłu i kręci głową.

— Bardzo źle o sobie myślisz, to naprawdę smutne. Co to za dźwięk?

— Eee... Czajnik. — Ruszam w górę schodów, potem przypominam sobie coś i przystaję. Andy kieruje się w stronę domu, wygląda na lekko przygarbioną.

— Andrea, zaczekaj! A co to za facet?

— Kyle Comstock.

— Ten gość, który cię rzucił przez liścik na kartce samoprzylepnej?

Zawodzenie narasta.

— Powiedział, że chciał chodzić z Jade Whelan, bo ja kiepsko całuję. Pomyślałam...

— Trzymaj się z dala od tego dupka. Mówię serio, Andy. Najlepiej na odległość oceanu. Albo pogadaj z Jase'em, Joelem i Alice.

— Nie z Alice! — Wstrząsa się, uśmiecha do mnie i mówi: — Tak myślałam. Chciałam tylko zapytać kogoś, kto mógłby... — Jej głos cichnie, więc nachyliłam się nad nią, żeby dosłyszeć. A może to dzieciak zaczyna wyc coraz głośniej.

„Kto zna sposób myślenia dupka?”

Szybki zakłopotany uśmiech.

— Nie ma sprawy, Andy. Cieszę się, że moja ciemna, pełna manipulacji przeszłość może się komuś przydać.

*

— Hej, Tim! Tim!

Siedzę na kanapie z Calem, którego głowa opiera się na moim ramieniu. Dzieciak wreszcie zasnął, a ja pólleżę, gapiąc się w przestrzeń, marząc o papierosie, obracając całą tę sprawę w głowie, trzask plastiku, lekki, gładki papieros w palcach, zapach niespalonego tytoniu przypominający melasę, pierwsze zaciągnięcie, wdech, w głowie się rozjaśnia. Dlaczego jestem tak cholernie zmęczony? Cal nie wymaga wielkich sił fizycznych, przecież sam niemal nic nie robi. Chwała Bogu, nie będziemy się musieli o niego martwić, kiedy dorośnie do wieku Patsy i będzie gryzł kamienie albo próbował pić zlewki z kuchni.

— Mase! — słyszę ponownie. Za oknem, na trawniku Garrettów, panował hałas, ale to nic nowego, więc nie zwracałem na niego uwagi, próbując uśpić Cala. Teraz otwieram okno i wyglądam, wcześniej ułożywszy Cala na plecach, równo z poduszką kanapy. Na podjeździe kłębi się grupa ludzi: kumple z drużyny piłkarskiej Jase'a: Mac Johnson i Ben Rylance, może też dziewczyny z drużyny pływackiej Samantha, uczniowie prywatnego liceum Hodges. Jase i Sam stoją na dole schodów do garażu.

— Idziemy na plażę Sandy Claw na ognisko! — woła Samantha. Ma na sobie jakiś niebieski sarong, ręcznik na szyi, a ramieniem obejmuje Jase'a w pasie. — Idziesz z nami?

Jase wskazuje głową mustanga.

— Chodź!

Wszyscy pakują się już do różnych pojazdów, śmieją się i przepychają, dziewczyny piszczą, siadając chłopakom na kolana, faceci rechoczą niskimi głosami.

Chyba dobrze się bawią. Od jakiegoś czasu nie uczestniczyłem w takiej zabawie.

— Nie mogę. — Raczej nie będę włókł malucha na imprezę na plaży. „Rzucicie mi colę, nie trafiając w niemowlę?”. Poza tym on naprawdę zasnął... chociaż na jakiś czas.

— No chodź, Tim. Nie możesz się kryć jak troll pod mostem! — woła Sam. — Wkładaj kąpielówki, poćwiczmy do zawodów przy molo. Możesz być naszym zającem.

Cal się porusza, robi tę swoją dziwną minę, po czym rozlega się bulgot.

Absolutna chała. Naprawdę.

— Nie mogę, nie rozumiecie? Nie w tej chwili.

Sam zaczyna protestować; Jase kładzie jej dłoń na ramieniu. Rzuca mi spojrzenie.

— Możemy sobie odpuścić imprezę, wziąć pizzę i iść dalej.

Myśli, że chodzi mi o picie. Niech tak myśli.

— Nie, poczytam sobie... — „Zapewne zalecenia Hester...” — i pójdę spać. Jest okej.

Samantha osłania dłonią oczy.

— To my też zostaniemy. — Kładzie dłoń na barierce schodów, gotowa wejść do góry i wpaść w środek mojego aktualnego koszmaru.

Cał się wierci i już przygotowuje do płaczu.

— Nie! — mówię. — Po prostu sobie idźcie, dobrze?

— Dobra! — mówi. — Rozumiem. W porządku.

Ona zapewne myśli, że mam w pokoju dziewczynę. Jase uważa, że boję się imprezy z alkoholem.

A ja okłamuję ich oboje.

Myślałem, że z tym skończyłem.

Czuję się tak unurzany w gównie jak pielucha Cala.

No, prawie.

1 Bataański marsz śmierci – przemarsz siedemdziesięciu tysięcy amerykańskich i filipińskich jeńców wojennych z miejscowości Bataan na filipińskiej wyspie Luzon do oddalonego o 160 kilometrów japońskiego obozu koncentracyjnego O'Donnell w roku 1942.

Rozdział dwudziesty drugi

Alice

— Nie bierzesz mustanga? Przypominasz sobie straconą młodość i wsiadasz do gimbusa, J.?

— Ha, ha. Moja młodość nie jest stracona, Al, wciąż się tu gdzieś kręci. Ale nie, pierwszego dnia zawsze jest duże zamieszanie z parkingiem. Kończy się awanturami i stłuczkami na piątce.

— A na pewno nie chciałbyś zadrapań na swoim ideale — mówię, mierząc wzrokiem poobijany samochód Jase'a, na którego remoncie brat spędził połowę lata, majstrując i wyklepując, po tym, jak kupił ruinę za sporą część swoich oszczędności na studia.

Jase uśmiecha się szeroko, przesuwając dłonią po boku samochodu. Jak dotąd odmalował tylko maskę — na ciemnozielony, mieniający się kolor. Reszta karoserii pokryta jest ciemnoczerwonymi i pomarańczowymi plamami podkładu i pierwotnym lakierem, metaliczną limonką w stylu lat siedemdziesiątych.

— Okaż mu trochę szacunku, wciąż jest w trakcie renowacji.

Od wielu godzin jest na nogach — najpierw roznosił gazety, to jego druga praca, na którą się uparł, chociaż jest albo zbyt dorosły, albo o wiele za młody, żeby roznosić „The Stony Bay Sentinel” przed świtem. Potem pobiegał po plaży. Jest dopiero wpół do siódmej, a on już wziął prysznic, przekopał się przez wirtualny kojec pełen jajek, a teraz czeka na autobus przy naszej skrzynce pocztowej. W całkiem niezłym nastroju.

Nie mogę się zmusić do tego, by wciągać go w sprawę rachunków za szpital i banku — i tak przecież chciał już rezygnować ze szkoły i zająć się sklepem Garrettów, że nie wspomnę o rozmowie z mamą i tatą. Oczami wyobraźni widzę pana Masona za biurkiem, czuję, jak zaczyna mi brakować tchu, w gardle mnie ściska. Zamykam oczy. Otwieram je. Głęboki oddech. Coś wymyślę, potrzebuję tylko trochę czasu.

— Andyyyy! — wołam w stronę domu. Pierwszy dzień w dziewiątej klasie i oczywiście ona już się spóźnia.

— Może lepiej do niej napisz — radzi Jase. — Od niemal godziny siedzi w łazience na górze.

Jakby na wezwanie Andy zbiega po schodach, z butami na wysokich obcasach w ręce, wyprostowanymi włosami, w koszulce bez rękawów i jaskrawoczerwonej mini.

— Idź się przebrać — mówię bez ogródek. — Wyglądasz jak dziewczyna z plakatu, będą cię zjadali wzrokiem.

— Nie mam czasu — odpowiada Andy bez tchu. — Poza tym kto to mówi!

To twoja spódniczka, masz ją na zdjęciu z pierwszego dnia liceum. Niewiarygodne, że mama jeszcze śpi i nie robi nam zdjęcia.

No tak, to moja spódniczka, oczywiście. Swego czasu sporo się kłóciłam z mamą o stroje, ale teraz nie zachowuję się jak ona, lecz jak napastliwa purytanka. Czasami naprawdę siebie nie poznaję.

— Andy, ona ma naprawdę dość. I uwierz mi, że argument ze zdjęciami nie pomoże, jeśli autobus przyjedzie, a ona cię tak zobaczy — mówi Jase. — Jednak Alice ma rację co do ubrania.

— Powtarzam wam: nie jesteście mamą i tatą — mówi uparcie Andy. — A zresztą i tak mam bluzę — jedną ręką macha ku nam ręką z plecakiem, drugą wkładając but.

— Chcę to zobaczyć. — Sięgam po plecak.

— Aliiiiice, na Boga, mam wrażenie, że podmienili was kosmici.

Oczywiście w plecaku nie ma bluzy („Przysięgam, wkładałam ją tam!”), więc już mam wracać do domu po jakieś okrycie godne amiszów, kiedy Jase wyjmuję z plecaka koszulkę.

— Włóż to. — Rzuca jej jeden z T-shirtów z nadrukiem WBIJEMY WSZYSTKO sklepu Garrettów, które zamówiliśmy na wyprzedaż czwartego lipca. Boże, ile nas to kosztowało? — Promocja i ochrona w poręcznym zestawie.

Andy spogląda na niego z powątpiewaniem. Wiem, co sobie myśli. „T-shirt? W rozmiarze pasującym na starszego brata? Pierwszego dnia w liceum? Równie dobrze mogłabym popełnić towarzyskie harakiri na pierwszym apelu”.

— No dooobrze — mówi w końcu, wkładając go na koszulkę bez rękawów. Andy jest sympatyczniejsza ode mnie. Albo sprytniejsza. Kiedy się wygina, żeby przeciągnąć ją przez głowę, uświadamiam sobie, że moja młodsza siostra mnie przerosła. Nic dziwnego, że spódniczka wydaje się tak krótka.

— Dwadzieścia doliców twierdzi, że mieszka w jej szafce przez cały dzień. Może cały rok₁.

Jase wzrusza ramionami.

— Nie kupuję tego, Alice. Ty też byłaś kiedyś młoda.

— Żeby było jasne, mam też okres — dodaje Andy, przenosząc spojrzenie między nami, jakbyśmy oboje na pewno musieli to usłyszeć. — Pewnie. Dlaczego nie akurat pierwszego dnia szkoły? Czy pigułka naprawdę na to pomaga, czy tylko ludzie tak mówią, bo muszą ją brać z innych powodów?

— Nie patrz na mnie — mówi Jase.

— Dlaczego nie? Sam ją bierze, prawda? A ona nigdy nie ma trądziku, nigdy.

— Andy, to nie twoja sprawa.

— Alice? No już, przecież wiesz.

— Porozmawiaj z mamą — mamroczę. Zaraz... przecież ja biorę pigułki,

prawda? Co prawda nie przypominam sobie, żebym przebijała małą próżniową paczuszkę, trzymała w dłoni różową tabletkę i ją popijała. Ale nie zapomniałabym. Nigdy nie zapominam. Poza tym Brada już nie ma.

Czyżby? Moja komórka piszczy. Brad. Zapewne wczesna wizyta na siłowni. Przesyła mi zdjęcie szczeniaka z błagalną miną i tekst: „Może nie jestem superszybki, ale czy mogę do Ciebie wskoczyć?”.

I co z tym naszym końcem związku?

Łapię się za głowę.

— Alice! — woła Duff stojący na schodach do domu. — Nie mogę znaleźć okularów! I książki, którą nam zadali na wakacje.

— Alice! — wrzeszczy Harry zza moskitiery. — Co zrobiliście z moją sową? Ktoś ją przeniósł!

— Alice! — krzyczy George z okna pokoju Jase’a na górze. — Ta pani, która mieszkała w bucie... Co to był za but? Muszę narysować obrazek!

— Alice — odzywa się Jase, schylając się po plecak — jak tylko wsiądziemy do autobusu, idź na długą przebieżkę po plaży. Rano w Gas and Go kupiłem ci trójpak mentosów, schowałem za pudełkiem płatków owsianych, żeby nikt ci ich nie podebrał. Masz tam też bajgle.

Autobus szkolny z wyciem podjeżdża pod górę. Przy zjeździe jego hamulce wydają z siebie długie, jęklive westchnienie, dokładnie takie, jakie ja usiłuję stłumić.

Mam sto dziesięć lat.

Jestem starą kobietą, która mieszka w bucie.

— Trzymaj się! — woła Jase, odwracając się ze stopni autobusu. — Tylko tymczasowo zastępujesz mamę.

— I dzięki Bogu! — wołam. — Sprzedam dzieciaki na eBayu i nigdy nie będę miała własnych!

Andy wchodzi do autobusu, drzwi zamykają się z trzaskiem, hamulce piszczą głośniej, w czyste niebo ulatuje chmurka szarych spalin.

Jakiś chłopak z tyłu autobusu gwizdże.

— Aliiiiice! — woła.

To Jimmy Pieretti. Trzy lata temu chodziłam z jego bratem Tomem. Normalnie na taki gwizd uniosłabym oczy do nieba. Jim ma... chyba jest rówieśnikiem Jase’a.

Och.

Racja.

Tim też.

Ale z Tomem było ciekawie, Jim to słodziak, cieszy mnie każdy dowód, że nie jestem taka stara, jak się czuję, więc błyskam uśmiechem w kierunku okna.

Kilka gwizdów z różnych siedzeń.

Odwracam się ku domowi niemal młodzieńczo.

Tim

Jedna wielka mgła, w której ginie wszystko.

Cal śpi, płacze, je, opiera się na moim brzuchu, kiedy leżę na podłodze mieszkania albo na trawie u Dominica, czekając na przesilenie albo uspokojenie hałasu, żeby wszystko wróciło do normy.

Ale nic nie wraca do normy, bo ani jedno, ani drugie nie jest rzeczywiste. Cal jest rzeczywisty. Jeśli sypia za długo, zrywam się cały spocony, gdyż boję się, że umarł. Jeśli sypia za krótko, pocę się, chodząc z nim, bo jestem wykończony, a poza tym co jest nie tak z tym dzieckiem? Nie ma żadnego rytmu snu albo ja nie potrafię go znaleźć. Wypija całą butelkę, a potem wrzeszczy przez godzinę, jakby umierał z głodu. Na pusty żołądek zasypia natychmiast. Nie wiem, czy dzieje się tak dlatego, że to dzieciak, czy dlatego, że jest mój, więc absolutnie nie można na nim polegać. Niezależnie od przyczyny mam dość. Chyba nigdy dotąd nie litowałem się nad sobą, gdyż oszczędzałem całą litość na teraz. To gorsze od wszystkiego, co mógł wymyślić ojciec; mógł przecież, na miłość boską, wysłać mnie do psychiatryka, zamknąć na oddziale rehabilitacji na jak długo zechce. Ale to... minęły trzy pełne dni, a ja mam wrażenie, jakby trwały dłużej niż całe siedemnaście lat mojego życia.

Nie wspominam już, że rodzicom mogłem wcisnąć każdy kit; łykali moje nieprawdopodobne wymówki i wyjaśnienia, gdyż tak naprawdę nie chcieli niczego wiedzieć.

Jednak u Garrettów nie mam tej przewagi, jaką daje bycie u siebie. Za dużo bystrych oczu i dobrze pracujących mózgów. Nie wspominając już o tym, że tym razem nie próbuję przemycać bacardi do kina w buteleczce z żelam do mycia rąk, lecz żywą ludzką istotę. Wnoszę go do mieszkania i wynoszę, chyłkiem szmugluję w obie strony torbę z pieluchami i innymi gratami. Nawet robię objazdy, żeby się upewnić, czy przed domem nie stoi samochód, a przed wyjściem z domu sprawdzam, czy światła są pogaszone. Czaję się w pobliżu lub za drzwiami, po czym śmigam jak zając. Tym sposobem spędzam z Calem dużo czasu u Dominica, który jest w domu między jednym a drugim połowem. Siedzę na schodach, rzucam patyki wielkiemu owczarkowi wabiącemu się Sarge i trzymam małego, który śpi albo je, albo się gapi, podczas gdy Dom myje węzem swoją łódź, rąbie drewno lub naprawia podjazd.

— Umiałbyś na przykład upiec babeczki, uszyć fartuch albo coś w tym stylu? — pytam, asystując mu przy czyszczeniu kanalizacji burzowej.

— Masz skrzywione pojęcie męskości. A przy okazji — piekę doskonałe ciasta. Ty nie masz odwagi, więc kisisz się tutaj.

Wiem, wiem, wiem.

*

Dzwonię do Hester bardzo wcześnie rano trzeciego dnia:

— Słuchaj, mam... różne sprawy do załatwienia. Muszę nadrobić zajęcia z ekonomii online, mam test z wiedzy o społeczeństwie i fizyki, muszę je zaliczyć do końca tygodnia, nie wspominając już o kilku dniach pracy w sklepie żelaznym.

— Alice też będzie w sklepie, przynajmniej jednego dnia. Boże. — Kiedy mogę przywieźć Cala?

Hester (po długiej przerwie):

— Dzisiaj rano. I tak musimy porozmawiać.

Musimy? Na tę myśl jakoś nie odczuwam dzikiej radości.

*

Od razu po odjeździe autobusu szkolnego, kiedy za Alice zamykają się drzwi wejściowe, przemykam Cala do samochodu. Umówiłem się z Hester w Willoughby Park, gdzie kiedyś kupowałem zioło. Nie chciała, żebym przyjeżdżał do niej do domu, ale kiedy przycisnąłem ją o powód, odpowiedziała tylko:

— To nie jest dobra pora.

Po przyjeździe do parku usiłuję oddać jej wszystkie te dziecinne klamoty, ale Hester bierze właściwie tylko dziecko. Niemal spodziewam się, że za chwilę da mi w zamian torebkę towaru.

W tej chwili przegląda torbę z pieluchami, jakby je liczyła, a może podejrzewa, że ukradłem puszkę mleka i sprzedałem na ulicy albo coś w tym stylu; zaciskam szczęki z całej siły, czuję pulsowanie mięśni na karku. Kiedyś nie wpadałem w złość, a teraz przypominam chodzący wulkan, z którego wciąż się dymi.

Odwracam wzrok i szuram w piasku czubkiem klapka. Willoughby nie należy do tych ładnych parków z zielonymi trawnikami, gęstymi liśćmi na drzewach i całą tą oprawą. Jest dość żałosny i rachityczny. Tym lepiej nadaje się na transakcje narkotykowe. W odległym zakątku, obok kamiennego muru na jego końcu, stoi Troy Rhodes, facet, jaki trafia się w każdej szkole, który załatwi każdy towar, jakiego się komukolwiek zachce, o dowolnej porze dnia i nocy — dopóki klient jest wypłacalny.

Innymi słowy to mój diler.

Do niedawna był to najlepiej mi znany człowiek w mieście.

Właśnie staroświeckim uściskiem dłoni pieczętuje transakcję z jakimś typkiem z gimnazjum. Chłopak jest chudy jak patyk, klatkę piersiową ma zapadniętą, spodnie mu spadają, na sobie ma koszulkę z pokemonami. Zapewne nie wie, że tego się już nie nosi.

Kiedy znów wracam do rzeczywistości, Hester przesuwą dłonią tuż przed

moją twarzą. Chwytam ją za nadgarstek, a ona kuli się, jakbym chciał jej złamać rękę.

Boże, owszem, byłem rozdrażniony, ale przecież nie jestem psychopatą.

— Racja, Tim.

O rany, powiedziałem to na głos.

— Masz mętny wzrok. Wiem, co to może oznaczać. Ale teraz to chyba tylko zmęczenie, prawda? I wierz mi, wyglądasz znacznie lepiej niż ja, gdy przez jakiś czas się nim opiekuję. To jak najgorszy koszmar w życiu, prawda? Prawdziwe piekło.

Przez kilka ostatnich dni przyszło mi to do głowy trzysta czterdzieści pięć milionów sześćset siedemdziesiąt osiem tysięcy dziewięćset razy, ale w jej ustach brzmi to prawie jak przestępstwo, jakby to z nią coś było nie tak.

Na widok mojej miny Hester skupia się na pakowaniu torby.

— Nie mam rodzeństwa, a na obozie zajmuję się starszymi dziećmi, więc...
— wrusza ramionami — przypuszczałam, że przypominają te niemowlaki z reklam.

— To prawda, jeśli podajesz im... — zmieniam ton głosu na uwodzicielski tembr z reklamy — syropek z Krainy Snu, twój maluszek będzie spał jak jeden z siedmiu braci śpiących.

Dziewczyna śmieje się; od tego pierwszego dnia dopiero po raz drugi słyszę jej śmiech. Potem zakrywa usta, jakby się nagle zawstydziła. Kiedy odsuwa dłoń, wciąż się uśmiecha.

— Tak właśnie — mówi — zdarzył się Calvin.

Jej ton brzmi oskarżycielsko.

— Hm...

— Bawisz mnie.

— Na szczęście do tego nie potrzebuję gumki. Kiedy znów muszę go zabrać? — To brzmi jeszcze gorzej niż jej słowa, więc nic dziwnego, że Hester o mało nie zamierza się na mnie torbą. — Znaczy, chciałem powiedzieć...

— Nie chciałeś. Nieważne. Tim, słuchaj. Myślałam o tym, co mi powiedziałeś, że jestem sadystką, wciągając cię w to wszystko.

Ledwie pamiętam, że użyłem właśnie tego słowa, nawet jeśli rzeczywiście tak powiedziałem. Prawdziwy ze mnie dupek.

— Nie wspominaj o tym, nie powinienem był...

— Nie, to ja nie powinnam. To ma sens. To ja cię w to wplątałam.

— Do cholery, Hester, nie żyjemy w czasach *Szkarłatnej litery*. Nie mam problemu z zajęciem się dzieckiem.

Hester zaciska usta, spogląda na Cala siedzącego nieco dalej. Mruży oczy w jaskrawym słońcu.

— Zwłaszcza że to twoje własne dziecko. Chodzi mi o to, że nie musisz się

angażować. Możemy na tym skończyć.

Cal ściągnął sobie skarpetkę. Uwielbia to robić, jakby to było wyzwanie wieku niemowlęcego. Schylam się, podnoszę ją i wsuwam na ruchliwą różową stópkę. Dzieciak przygląda mi się poważnie. Zapewne z tej odległości ledwie mnie widzi, przynajmniej taką informację wygooglałem z sieci. Może zanim wzrok mu się poprawi, ja już zniknę z jego życia. Powiem „tak, pewnie, ja mam dość” — i założenie mu skarpetki może być ostatnią rzeczą, jaką kiedykolwiek dla niego zrobię, poza podpisaniem jakichś papierków. „Dziecko? A tak, miałem dziecko przez dzień czy dwa. Nie wyszło. Koniec pieśni”. On nawet nie będzie mnie pamiętał, a ja mogę próbować zapomnieć o nim. Widzę, jak taśma się cofa, ja idę tyłem przez kilka ostatnich dni, wchodzę do mieszkania, kładę się po ostatnich pompkach, a w głowie mam tylko spotkanie z Alice za czterdzieści pięć minut. Bum! — wymazane.

Tylko...

Hester wciąż gapi się na rzekę, więc ujmuję ją pod brodę i obracam do siebie. Niemal zastyga pod moim dotykiem, a blada skóra zaczyna się robić różowa.

— Hes. Zdarzył się. Zawiadomiłaś mnie. Nie możemy cofnąć czasu i odmienić tego wszystkiego, tak samo jak nie mogę się cofnąć jeszcze dalej i zmienić tego, że cię przeleciałem.

„No stary, poleciałeś po bandzie” — rozbrzmiewa w mojej głowie głos Dominica.

Hester wygląda tak, jakbym ją spoliczkował, więc brnę dalej:

— Chodzi mi o to, że... wszedłem w to. Cal to nie film, nie mogę po prostu obejrzeć zajawki i uznać, że mnie nie obchodzi. Więc po prostu radźmy sobie z tym. Co potem?

Dziewczyna mruga, rozchmurza się i znów odzywa tonem prymuski:

— Dzisiaj mam drugie spotkanie z biurem adopcyjnym, może uda się ustalić jakieś daty.

Wydaje się jeszcze bardziej wymięta niż przy naszym pierwszym spotkaniu. Ciemne włosy związała w coś, co przypomina gniazdo wiewiórki; ma na sobie spodnie w kolorze khaki, ale obcisłe — i to bynajmniej nie w atrakcyjny sposób — a koszulę zapiętą krzywo. Tak się wybiera na spotkanie?

— Kiedy tam idziesz?

Odsuwa z oczu luźne kosmyki.

— Nieważne, ty nie musisz przy tym być, nie prosiłam cię o to. Zresztą i tak nie wpisali cię do aktu urodzenia.

Do tej pory w ogóle się nie zastanawiałem nad aktem urodzenia.

— A nie powinni?

Hester ze swoją wystudiowaną cierpliwością wyjaśnia, że nie była pewna,

czy „uznam ojcostwo”.

— Przecież uznaję — mówię tak jak ona, wymawiając każde słowo z osobna, jakbym je odcinał od reszty wypowiedzi. Dziewczyna wyjmuję telefon i przesuwa palcem po ekranie, sprawdza wiadomości i je usuwa. Zwykle tak bardzo wkurzają mnie tylko ludzie, których znam lepiej niż ją.

Dzieciak, który przed chwilą kupował towar w krzakach, teraz jedzie w naszą stronę na rowerze. Ma na sobie czapkę tyłem do przodu i przerażoną twarz — bo nas widzi albo to był jego pierwszy raz, albo może uświadamia sobie, że właśnie postawił pierwszy krok na drodze do głupoty.

Ma nie więcej niż dwanaście lat.

Niemal taki sam smarkacz jak Cal.

Przyśpiesza, wzrok wbija w przestrzeń przed sobą, zęby ma zaciśnięte, a nogami porusza tak szybko, że niemal ich nie widać. Całą siłą woli muszę się opanować, by nie zagrozić mu drogi jak jakiś cholerny Duch przyszłych świąt Bożego Narodzenia².

Alice

Kiedy szkolny autobus odjeżdża, wchodzę do kuchni. Duff i Harry fechtują się lodami na patyku. Jest siódma rano.

— Nie jestem mańkutem! — woła z triumfem Duff na mój widok, przenosząc lód do drugiej dłoni i wbijając go w Harry’ego. Na podłogę lecą słodkie fioletowe odłamki.

Harry skacze Duffowi na barana, gotów do walki wręcz. Chwytam ich za pizamy na plecach, zakręcam i odrywam od siebie.

— Wystarczy albo obaj idziecie na igrzyska śmierci.

Podaję śniadanie, w czym wydatnie pomaga mi obecność prawdziwego jedzenia w szafkach i lodówce.

Znajduję nawet okulary Duffa oraz jego lekturę na lato schowane w zamku lego Harry’ego i pod nim w ramach skomplikowanego spisku zemsty, którego szczegółów wolę nie poznawać.

— Musisz się jeszcze sporo nauczyć o zemście! — mówię, przekrzykując wściekłe ryki Harry’ego: „To nie fair, nie fair, nie fair!”. — Na początek: nigdy nie chowaj fantów w miejscach oczywistych.

— Nie podpowiadaj mu, Alice! — wtrąca Duff. — Po czyjej stronie stoisz?

— Tego, kto więcej zapłaci. Ubierajcie się.

Opanowałam sytuację. Słyszę szum wody — mama wstała, ale mogę przynajmniej dać jej czas na prysznic. Zakładając, że po kąpielu Andy została jeszcze ciepła woda.

Patsy oczywiście uciekła z kołyski, ale ze mną nie ma szans. Chociaż moje umiejętności przewijania wyrywającego się dziecka nie dorównują zdolnościom

taty.

Każę George'owi narysować ośmioro dzieci w bucie starej kobiety jako ilustrację wierszyka i zaczynam dyskusję o rodzaju buta. Robi się nieciekawie.

— To nie może być szpilka, głupia — mówi Duff. — Wszystkie by uciekły.

Albo kobieta by uciekła. Ale nie mówię tego na głos. Jestem boginią.

Oprócz jednego drobiazgu: zapomniałam o sowie.

— Gdzie ona jest? — pyta Harry. Po piegowatych policzkach spływają mu strumieniem łzy; mały gorączkowo przerzuca zawartość szuflady z różnościami, zrzucając na podłogę ulotki z pizzerii i ołówki.

— Masz z tym coś wspólnego? — pytam Duffa.

Brat rzuca mi autentycznie niewinne spojrzenie, bez tego zwykle podejrzanego wytrzeszczu.

— Przecież to ja ją dla niego znalazłem!

Piszę do Jase'a: „Gdzie jest cholerna sowa?”.

Ale on nie odpisuje, bo przecież w szkole nie wolno używać komórek, ty głupia.

Harry znów na czworakach grzebie w szufladzie z pudełkami do żywności, rozrzuca je po podłodze i szłocha. Kościste ramiona... wydaje się tak zagubiony — w jednej chwili mogłabym się rzucić na podłogę obok niego, zacząć kopać i wyć. Otaczam go ramionami, próbuję posadzić sobie na kolanach, jak bym to zrobiła z George'em (który, sądząc z odgłosów, szuka sowy w schowku na miotły), ale Harry patrzy na mnie jak na demona z dziewiątego kręgu piekieł.

— Ty go zabrałaś, Alice, na pewno. Nigdy nie chciałaś, żebym ją miał. Nienawidzę cię.

— Jezu Chryste! — mówię na głos prawie jak Tim. — Zamknij się!

Zapada cisza.

— Nie wolno nam tak mówić — mąduje się Duff.

Patsy chrupie coś, co wygląda jak karma z kociej miski.

„Nie potrafię. Nie chcę. Nigdy się o to nie prosiłam”.

Zaczynam czuć ucisk w piersi, nie mogę odдыchać i...

Wchodzi na to nieco pozieleniała mama i ratuje sytuację. Jakby miała czarodziejską różdżkę. Sowa zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach, ale znalazło się mnóstwo jej zdjęć pod każdym obrzydliwym kątem.

— Tak jest lepiej — przekonuje stanowczo mama. — Na pewno pani Costa ma alergię na pióra. Poza tym ciężko by ci było ją nosić w plecaku.

— Mogłem ją włożyć do pudełka z kanapkami — odpowiada nadąsany Harry, ale już nie jest tak zrozpaczony jak przed chwilą, chociaż na twarzy wciąż ma tyle samo łez co piegów.

Mama podziwia rysunek George'a i wyjmując z buzi Patsy karmę dla kotów — to jednak było to — mówiąc:

— Jase będzie musiał trzymać to u siebie.

Wysłała Duffa, żeby uporządkował schowek na miotły, bo on to uwielbia. Dobrze, że ktoś lubi takie prace.

W końcu spogląda na mnie, osłaniając oczy przed światłem wlewającym się przez okno nad zlewem.

— Idź pobiegać, Alice. Ja się wszystkim zajmę.

Pobijam rekord życiowy w biegu do drzwi, ale jeszcze się odwracam.

— Mamo... — „Po co, do cholery, to robisz? Po co?”. — Jak ty to robisz?

— Mam spólkę z ciemnymi mocami. Biegnij, Alice.

Zatem biegnę.

1 Aluzja do filmu *Dwadzieścia dolców* o losach dwudziestodolarowego banknotu i jego kolejnych właścicielach.

2 Duch przyszłych świąt Bożego Narodzenia — fikcyjna postać z *Opowieści wigilijnej* Karola Dickensa.

Rozdział dwudziesty trzeci

Tim

W chwili, kiedy dojechałem do Garrettów, przeniosłem się z piekła do raju.

Alice na podjeździe myje garbusa. W górze od białego bikini i krótkich spodenkach. Oj, będzie ciężko, kiedy zaczną się chłody. Teraz ten widok osładza mi wszystko: egzaminy, globalne ocieplenie, a nawet kilka ostatnich dni mojego życia.

Alice ociera czoło wierzchem dłoni, przy czym kieruje węża w moją stronę.

— Hej!

Podskakuje i obraca się. Widzi mnie ociekającego wodą, uśmiecha się tak szeroko, że mógłbym umrzeć na miejscu. Ze szczęścia. Kciukiem zakrywa wylot węża i powoli przesuwając go w górę i w dół. Już jestem przemoczony. Rozglądam się za jakąś bronią — wylanie na nią wiadra wody wydaje się zbyt brutalne. Ale zanim złapię leżący w trawie pistolet na wodę, ona unosi ręce w geście poddania, a ponieważ wciąż trzyma węża, oszczędza mi roboty, oblewając się dokładnie wodą.

— Tim, jak zawsze pakujesz się w kłopoty.

— Ty zaczęłaś. Kłopoty zwykle znajdują mnie, nie pytając o drogę.

Stoimy, ociekając wodą; na jej długich rzęsach błyszczą krople, we włosach migocze drobna mgiełka.

Jest niesamowicie cicho, oprócz szumu wody wciąż kapiącej z węża.

— Gdzie się wszyscy podziali?

— Szkoła się zaczęła — mówi Alice.

Przecież widziałem autobus. Racja. Pierwszy dzień szkoły.

Przełykam ślinę. Nie dla mnie. Po raz pierwszy, odkąd skończyłem pięć lat, pierwszego września nie wchodzę do żadnej szkoły.

— Czyli mówisz, że od dzisiaj jestem oficjalnie wyrzutkiem z liceum?

Alice wyciera mokre ręce, zawiesza ręcznik na szyi, mierzy mnie wzrokiem, zatrzymując się na moich oczach. Zagryza dolną wargę i mrużąc oczy, wpatruje się we mnie, po czym kiwa głową, jakby podjęła decyzję.

— Przebierz się i za pięć minut bądź tutaj, dobrze?

Po pięciu minutach zastaję ją tym razem w żółtym bikini i pomarańczowej spódnicy, która teoretycznie powinna zakrywać jej tyłek. Jednak przez materiał widzę zarys dołu bikini. Jakby czytając mi w myślach, niemal dotyka plastra nikotynowego, który teraz przykleiłem na boku i który widać pod koszulką jako kwadratowe wybrzuszenie.

— Jak sobie radzisz, Tim?

„Jeśli o to chodzi, to mam dla ciebie nowinę”. Otwieram usta, ale wychodzi

z nich tylko odrobina prawdy.

— Właściwie beznadziejnie.

Przygląda mi się przez chwilę, potem się odwraca i idzie do garbusa.

— Chodź. Po prostu... jedźmy.

Gdziekolwiek.

Wsiadam od strony pasażera. W tych samochodach nogi ma się pod brodą. Nic więc dziwnego, że zapinając pas, przypadkowo przesuwam palcami po gładkim, opalonym udzie Alice. Przebieram palcami po kolanie. Zamykam oczy. Głęboki wdech. Sól, morze, słońce, piasek.

Alice.

Alice

Garbus się skurczył. Wydaje mi się, że Tim zajmuje więcej miejsca i potrzebuje więcej powietrza, niż powinien. Wciska swoje długie nogi, kolanami uderza w deskę rozdzielczą, dłońią przesuwa po mojej nodze. Zgrzytając biegami, przerzucam na wsteczny. Szybko zerkam na niego, sprawdzając, czy błyska tym swoim irytującym uśmiechem, ale on częściowo wychylił głowę przez okno, oparł podbródek na dłoni, dłoń na ramie okiennej, zamknął oczy, a włosy powiewają mu jak rudy huragan.

Poprzednim razem — jedynym jak dotąd — jechaliśmy tym samochodem, kiedy Tim leżał bezwładnie na tylnym siedzeniu po samobójczej przejażdżce z Samanthą i swoją nerwową siostrą. Musieliśmy go zanieść do domu, bo był nieprzytomny. To się wydarzyło zaledwie trzy miesiące temu.

Tak naprawdę upłynęło niewiele czasu.

Otwieram usta, żeby powiedzieć: „Wracajmy, to kiepski pomysł”, ale wtedy wiatr się zmienia i niesie ku mnie zapach asfaltu, rzeźkiego powietrza oraz szamponu Tima.

Minęliśmy stary dom Reedów, przejeżdżamy krętymi uliczkami centrum, obok banku, uciekając od wszystkiego.

Tylko na razie. Tylko raz.

Docieramy do skrzyżowania ulicy Staromiejskiej i autostrady 17. Kciukiem gładzę wytarty plastik kierownicy, waham się, czy włączyć kierunkowskaz.

Tim się wierci i wyjmuje coś z kieszeni.

— Zdajmy się na los — proponuje i podaje mi ćwierćdolarówkę. — Za każdym razem, kiedy dojedziemy do skrzyżowania, będziemy rzucać monetą. Orzeł oznacza skręt w prawo, reszka — w lewo.

Rzucam mu monetę, on chwyta ją w powietrzu, szybki jak mewa, kładzie sobie na wierzchu dłoni, po czym wskazuje w lewo, przechyla się i włącza kierunkowskaz.

— Za kilka zjazdów znów ją rzucimy. W Stony Bay nie ma szans na

przygodę.

— Czyli dzisiaj szukasz przygody, Alice?

Wzruszam ramionami. Tim poprawia nogi, pociera się po udzie, krzywi.

— Skurcz? Trening wojskowy ci nie służy?

— Ciało pozbywa się słabości poprzez ból — odpowiada Tim z poważną miną. — Tak jak nikotyny. Według monety mamy tu skręcić w prawo.

W prawo, potem w lewo — i docieramy do plaży McNair, trzy miasta dalej, dobrej, bo znacznie mniej kamienistej niż te w naszych okolicach.

— A tak przy okazji — odzywa się Tim, kiedy zatrzymuję się na pustym parkingu — oszukiwałem. Chciałem jechać na plażę. Byłoby szkoda nie zmoczyć tego bikini.

Szczerzy się do mnie, bezwstydnie rzucając mi wyzwanie. Prostuję plecy i ramiona, uśmiecham się do niego. Potem nieruchomieję. Tysiące razy zachowywałam się w ten sposób i potrafię odczytać swoje ruchy, nawet jeśli Tim ich nie rozumie. „No dalej, ruszaj. Chcę, żebyś to zrobił”. Co ja sobie, do cholery, wyobrażam, podpuszczając go w ten sposób? Na niebie powinien się pojawić wielki napis albo billboard, albo dym ostrzegający: „Nie bądź głupia!”. I nie jestem. A jednak...

Tim

Alice zdejmuje klapki i bez słowa rzuca je na tylne siedzenie, po czym odchodzi krokiem dowódcy prowadzącego szarżę. Wlokę się za nią z rękami w kieszeniach.

Wciąż bez słowa idziemy ścieżką porośniętą trawą morską na szeroką plażę z kamiennym, nierównym falochronem w kierunku zabitej na głucho budki z hot dogami. Alice wciąż idzie przodem, a mnie nagle przychodzi do głowy, że drepczę za nią jak Brad czy inny z jej chłopaków nieudaczników.

Z łatwością ją doganiam, mam przecież dłuższe nogi.

— Nie jestem jednym z twoich neandertalczyków ani pieskiem kanapowym — mówię. — Nie będę chodził za tobą jak na smyczy.

Alice przystaje, osłania dłońią oczy i patrzy na mnie.

— Nie, Tim, nie jesteś pieskiem. Wiem o tym.

— To tak dla jasności — dodaję; moje spojrzenie wędruje do koleczka w jej pępku, migoczącego w słońcu późnego poranka.

— Jesteś zbyt duży na pieska kanapowego. Przypominasz raczej setera irlandzkiego — mówi, obraca się i biegnie ku plaży.

Śmieję się. To jaką rolę odgrywam w tym scenariuszu — może próbnego kumpla do ćwiczeń? Mimo skurczu mięśnia czworogłowego tym razem doganiam ją już po minucie. Przynajmniej nie dyszę jak wyjęty z wody dorsz. Łapię ją za ramię.

Alice odwraca się gwałtownie, ale ponieważ nie zdawała sobie sprawy z tego, jak blisko się znalazłem, wpada na mnie z całym rozpędem. Poważnieje, odsuwa się, ciasno składa ramiona na opalonej skórze brzucha, właśnie tam, gdzie miałem nadzieję ją dotknąć, trącić kciukiem małe srebrne kółko.

— A może... może...

— Tak? — pytam, podchodząc bliżej. Alice, ta nieustraszona Alice, która zawsze patrzy mi prosto w oczy, teraz nie wie, gdzie podziąć wzrok.

— Może tylko...

Zamykam oczy, czując pulsowanie krwi w uszach.

Po prostu połóżmy się na piasku.

Proszę.

Pozwól mi tylko...

...na tyle.

Przez moment Alice spogląda na mnie spod rzęs, z lekko rozchyłonymi ustami.

Potem...

— Boże! — Osłania dłońią oczy i wpatruje się w fale, potem omiata wzrokiem plażę. — To już naprawdę koniec lata. Tak szybko.

— Nieee — wskazuję. — Food truck Shore Shack wciąż tam stoi. W krainie lodów o kolorach niespotykanych w przyrodzie panuje wieczne lato. Chodź, kupię ci coś. — Wsuwam dłoń do kieszeni, brzęczę drobnymi, gniotę banknoty, które wcisnąłem tam w drodze do drzwi. — O ile nie kosztuje więcej niż cztery dolce dwadzieścia siedem centów.

— Szalejesz.

— No wiesz, wieczna młodość kosztuje. — Kładę jej dłoń na plecach, żeby poprowadzić ją w kierunku wózka, ale nie mogę, gdyż przy Alice nie potrafię zatrzymać dłoni. W tej chwili mógłbym zapytać tak jak Andy: „Gdzie można położyć ręce”.

Wybucha krótka dyskusja o tym, jakie smaki są najbardziej dziecinne.

— Neapolitański — upiera się Alice. — Waniliowy, czekoladowy, truskawkowy. To podstawa. Takie smaki dostają najmłodsze dzieci.

Cal.

„Nie myśl o tym”. Chcę wyciągnąć ten dzień z czasu i przestrzeni, tak jak magik wyciąga coś z kapelusza.

— To tylko podstępny sposób, żeby wykorzystać truskawki — mówię — bo komu smakuje to świństwo?

— Za dużo myślisz.

— To moja specjalność.

— Żyj chwilą, Tim — mówi pogodnie, nawet trochę przesadnie, ale ma absolutną rację.

W końcu ona kupuje sobie smak lukrowy — lody w kolorze różowym z drobkami lukru. Ja wybieram jaskrawoniebieski kolor i smak gumy balonowej, który faktycznie zawiera drobne kuleczki gumy. Obserwowanie, jak Alice oblizuje lód, napędza mnie szczęściem bynajmniej nie dziecięcym. Odgryzam końcówkę wafła.

— Wiedziałam, że jesteś tym typem — stwierdza na koniec.

— Jakim? — Przetykam końcówkę, celnym rzutem trafiam jedną zestarzałą gumą do kosza z zardzewiałej beczki.

— Tym, który musi zaczynać od niewłaściwej strony.

Istnienie Calvina, którego udało mi się pozbyć z myśli na całe dwie minuty, uderza mnie z całą mocą jak fala lodowatej wody.

Ale...

Biorę oddech.

„Żyj chwilą”.

Cała tu nie ma, jestem ja i jest Alice.

Alice

Nikt nie wygląda dojrzałe przy jedzeniu lodów, więc Tim ze smugą niebieskiej mazi na prawym policzku nie stanowi wyjątku.

Gdyby nie wybrał złego wyjścia, byłby w tej chwili w liceum.

Ja skończyłam rok temu, ale czuję się tak, jakby to było dawniej. Naprawdę dawno temu. Hokej na trawie, zespół muzyczny i Dzień Ducha, i zabawy... To życie innej dziewczyny, nie moje.

Tim wyrzuca do śmieci resztę wafelka, łapie koszulkę od pleców i zdjawszy ją, wyciera sobie twarz.

Nagle mam przed oczami bardzo dużo nagiej skóry.

Wskazuję na piasek.

— Połóż się.

Na moment szczęka mu opada.

— Eee... co?

— Połóż się — powtarzam.

— A jeśli posłucham, to dostanę ciasteczko? — pyta, ale jednak posłusznie kładzie się na piasku na plecach, a ja opadam na kolana obok jego biodra. Zaczynam go obsypywać piaskiem, najpierw na klatce.

— Tylko jak będziesz bardzo grzeczny. Nie wierć się, Tim, nie dam rady cię zasypać, jeśli będziesz się ruszał.

Tim gwałtownie unosi rękę i łapie mnie za nadgarstek.

— Ale zostawisz mi otwór, żebym mógł oddychać, prawda?

— Ja... ja... — Jego kciuk wciska się odrobinę mocniej akurat w miejscu, w którym czuję puls. Wyrывam dłoń i dalej zasypuję go piaskiem. — Kiedy

robiliśmy tak z Andy, zawsze na jej nogach rzeźbiłam z piasku ogon syreny.

— Taaak, ale teraz nie będziesz tego robić.

Zaczynam wygładzać piasek na jego udach, kiedy Tim się zrywa, zasypując mi piaskiem włosy, kostium i rozsypując go wszędzie. Potrząsa głową, dosypując na mnie kolejną porcję. Potem przysiada, kładąc dłonie na kolanach, dysząc, jakby biegał boso po plaży, a nie leżał nieruchomo pod moimi dłońmi.

Tim

Potrzebuję zimnej wody.

Natychmiast.

— Teraz już musimy popływać — mówi do mnie Alice, jakby czytała mi w myślach. Albo... no wiecie... w ciele.

— Ścigamy się do boi?

— Eee tam! — pryham. — To dla dzieciaków. Jeśli mamy się ścigać, to do falochronu.

— Przecież mamy się zachowywać jak dzieciaki, prawda? Poza tym nie wolno pływać do falochronu.

Wskazuję puste krzesła ratowników.

— Daj spokój, Alice, zaryzykujmy.

— Najpierw rozciągnij prawą nogę — radzi Alice.

— Zapomniałaś dodać „Simon każe”, jak w tej zabawie.

Dziewczyna się rumieni, spuszcza wzrok i poprawia ramiączko stanika od bikini.

— A co to ma znaczyć?

— Tylko tyle, że nie będziesz mi rozkazywać.

Kręci głową, jakby chciała, żeby wiatr zabrał ze sobą moje słowa i te dziwne przepychanki między nami.

— Nie mówiłam i nie robiłam niczego takiego.

— Nie?

— Nie. — Wraca do swojego rzeczowego sposobu bycia. — Biegając, oszczędzasz jedną nogę, pewnie dlatego w drugiej łapie cię skurcz. Ja tak robię, kiedy na to nie uważam, bo kilka lat temu złamałam nogę w kostce. Złamałeś coś kiedyś?

— Tylko mnóstwo zasad, takich jak powrót do domu i dozwolona prędkość. Oraz kilka serc po drodze.

Ostatnie jest absolutną bzdurą. Czekam, czy Alice mnie zaczepi, zapyta, kto aż tak się do mnie zbliżył. Ale zamiast tego ona się prostuje, kładzie dłonie na biodrach i staje na rozstawionych nogach. Jakby rzuciła mi wyzwanie.

— Nie bój się. Ja nie mam serca.

To także bzdura, ale nie mówię jej tego.

— No co mogę z tym zrobić? Z tym oszczędzaniem jednej nogi.

— Spróbuj wypadów w przód. — Pokazuje mi na swoim przykładzie: wysuwa przed siebie umięśnione, opalone udo, zgina je gładko w kolanie, zaciska szczęki, spogląda na wodę, silny podbródek, pełne usta, dwa drobne zagłębienia równo rozłożone u nasady kręgosłupa.

Och, Alice.

A ja staram się nie robić wypadu. Wielkie dzięki.

Alice

Ani śladu po Timie. Podskakuję w chłodnej wodzie za oślizgłą linią wyznaczającą koniec kąpieliska, łączącą boje — on był właśnie tam, wiele metrów przede mną, a teraz nie ma nic. Nie ma plusku, nad wodą nie unoszą się ramiona, nie ma nic oprócz przeraźliwego krzyku mew nurkujących w powietrzu nad głową.

Ani śladu.

W mojej głowie rodzi się panika, niemal widzialna, jakby ktoś zapalał białe światło w ciemnym pokoju. W twarz uderza mnie fala, tracę oddech.

Tylko nie to.

Nie tutaj.

Nie teraz.

I nie on. Gdzie on się podział?

Oślaniam oczy, rozglądam się w lewo i w prawo. Nad wodą ukazuje się głowa o włosach rdzawych prawie jak boje.

Niech go, jeszcze się śmieje.

— Do cholery, gdzie ty byłeś?

— Do falochronu i z powrotem. Pod wodą. Wygrałem.

— Myślałam, że się utopiłeś.

Przechyla głowę.

— Naprawdę? Należałem do drużyny pływackiej.

— A skąd miałam wiedzieć? Myślałam, że poszedłeś pod wodę — głos mi drży. — A tego akurat najmniej teraz potrzebuję, to znaczy, potrzebujemy, to znaczy... Co by się stało, gdybyś utonął? Gdybyś się poranił albo zginał, kiedy cię obserwuję?

— Obserwujesz mnie? Nie jesteś moją opiekunką — mówi i się rumieni.

— Nie o to mi chodziło. Mogłeś przecież uderzyć głową o kamień albo zostać porwany przez prąd, albo...

— Naprawdę silny prąd odpływowy jest na plaży w Stony Bay — przerywa. — Nie tutaj. Poza tym wiem, jak się z niego wydostać. Jestem duży, Alice. I nie odpowiadasz za mnie.

— Nie o to mi chodziło. Ale ty... — przerywam, nawet nie wiem, czemu się tak złościę.

Tim zaciska usta, przygląda mi się, porusza się z falą w górę i w dół, tak blisko, stopami młóci wodę, wywołując mały wir, rude włosy lśnią w słońcu.

— Nie pieprzę absolutnie wszystkiego, Alice.

Dźwięk rozlega się krystalicznie czysto jak po uderzeniu w butelkę koloru morskiej wody w jesiennym powietrzu, chociaż jest ciepło jak latem. Jego oczy też są krystalicznie szaroniebieskie. Nie ukrywają nic.

— Wiem. — Czasami mówi się coś odruchowo, a potem dopiero zdaje z tego sprawę. Oddech mi się urywa, w piersi czuję ucisk, który łagodnieje i odpływa z obmywającą nas falą, kiedy znów spoglądam na Tima.

Tim

— Co za cudownie ciepła skóra! Wspaniała! Zapomniałam zostawić ręcznik na siedzeniach — mówi Alice usadawiając się w fotelu kierowcy. — A niech to! Nigdy o tym nie zapominam.

— Zapewne rozproszył cię widok mojego umięśnionego męskiego ciała. — Wyciągam się nad siedzeniem, sięgam po ręcznik i rzucam jej. Alice go nie chwyta, podnosi z kolan, po czym wciska pod siebie. Odwraca się do mnie. Zaciska wargi, zaciska szczękę, przygotowuje się. Czekam, żeby mnie za coś ochrzaniła — za to, że napędziłem jej stracha w wodzie, a może już wie o dziecku, być może czyta mi w myślach i przeszukała wszystkie zakamarki mojego umysłu, o których zapomniałem w ciągu ostatnich dwóch godzin.

— Co się dzieje?

Marszczy brwi. Jej oczy przesuwają się po mojej twarzy.

— No co? — pytam znów, odruchowo i z zakłopotaniem drapiąc się po brodzie. Nie ogoliłem się.

Wciąż zmarszczona przykłada mi swój palec wskazujący między oczy, wygładza zmarszczki od zmartwienia.

Potem obejmuje mnie w pasie jedną ręką, drugą kładzie mi na szyi i pociąga w dół. Dotyka językiem mojej dolnej wargi, potem otwiera usta. Czuję smak słonego oceanu i tortu urodzinowego; spełniają się wszystkie życzenia, z jakimi zdmuchiwałem świece na tym torcie.

Całuję ją, kciukiem powoli zjeżdżam wzdłuż kręgosłupa, drugą dłoń z wahaniem kładę na jej talii, biorę wdech i mocniej przyciskam dłoń do jej miękkiej skóry, obracam jej twarz ku sobie i przeciągam ją sobie na kolana, wtulam się w nią całą i wtulam ją w siebie całą.

Siedzimy w volkswagenie, a ja mam metr dziewięćdziesiąt. Niemieccy konstruktorzy samochodu dla ludu nie przewidzieli takiej okoliczności. Ale i tak na pewno nie przestanę i nie poproszę o wygodniejsze miejsce, chociaż nogi mam niewygodnie wciśnięte pod schowkiem w tablicy rozdzielczej, a drążek zmiany biegów wbija mi się w żebra.

— Co ja wyprawiam? — szepcze Alice, przesuając dłonie w górę moich pleców. — To szaleństwo — mówi, przesuając biodra, żeby zrobić mi miejsce. — Jesteś dzieciakiem.

— Nie jestem dzieciakiem i dobrze o tym wiesz. — Wędruję ustami poza jej ucho, w dół szyi, w bok, jeszcze niżej. Potem bardzo powoli i delikatnie przesuвам koniuszki palców, wsuwam kciuk pod trójkąt jej stroju.

Boże, Boże, Boże.

Siedzimy w maleńkim samochodzie z zamkniętymi oknami na ogólnodostępnym parkingu — wydawałoby się, że rozsądek nas powstrzyma, ale nie ma takiej możliwości.

Odsuwam ramiączko stanika od bikini.

Przesuwam usta do jej obojczyka, na którym ramiączko zostawiło delikatny czerwony ślad.

Czuję jej ręce na sobie, moje usta na jej wargach, jej palce zaciskają się, zaczyna mi brakować tchu.

Ona dyszy lekko, czuję jej gorący oddech na ustach.

Przesuwam dłoń w poszukiwaniu dźwigni opuszczającej oparcie, ale zamiast tego moje palce zatrzymują się na czymś małym — plastikowym kółku i z miękką gumką; w pierwszej chwili nie rozpoznaję, co to, ale po chwili wszystko do mnie dociera: to smoczek. Dla dziecka.

Ten na pewno należy do Patsy, ale...

Alice znienawidzi siebie i mnie. Dlaczego to wszystko musiało się zdarzyć właśnie teraz?

— To... chyba nie jest dobry pomysł.

— Hmm? — Całuje mnie w obojczyk, kładzie rękę na mojej klatce piersiowej, tuż nad sercem.

— Alice.

Unosi wzrok.

— Musimy ochłonać — mówię jej. Czyżbym nagle odkrywał swoją dojrzałość?

Patrzy na mnie zamglonym wzrokiem.

— Musimy?

„Nie”.

— Tak.

— Tak, racja, masz rację — mówi, zsuwając się z moich kolan na siedzenie kierowcy. Bez jej ciepła nagle czuję chłód. Alice spuszcza głowę, pochylam się, całuję ją w czoło.

— Na wypadek, gdyby to nie było oczywiste: nie chciałem przestać.

— Aha — odpowiada, wciąż patrząc w dół.

— Alice, spójrz na mnie.

Dziewczyna powoli unosi głowę i przetyka ślinę. Jej oczy błyszczą, włosy ma rozczochrane, wygląda fantastycznie. Potem unosi dłoń, powstrzymując mnie przed powiedzeniem czegokolwiek.

— Daj mi moment.

Sięga na tylne siedzenie po bluzę, nakłada ją na siebie jak zbroję, przyciska dłonie do oczu na jedno uderzenie mojego serca. Potem na kolejne.

W końcu przekręca kluczyk w stacyjce, rzuca spojrzenie przez ramię i z piskiem opon wyjeżdża z parkingu. Przypaliłaby opony, gdyby nie to, że parking wyłożono połamanymi muszlami, które lecą spod kół na wszystkie strony.

Alice

Przez całą drogę do domu nie odzywamy się ani słowem. Tim otwiera okno, wysuwa głowę, bębni palcami w deskę rozdzielczą. Widzę go tylko z profilu, kątem oka.

Nogi się pode mną trzęsą, jakbym przebiegła kilka kilometrów, z trudem oddycham, czuję mrowienie w palcach u stóp, jakby mi niedawno zdrętwiały. I może tak było, przecież mocno je skuliłam. Kiedy sięgam do drążka zmiany biegów, dłoń mi się lekko trzęsie. Zatrzymuję się na stacji benzynowej, wtedy Tim zaciąga hamulec ręczny, przy okazji przesuwając kciukiem po mojej łydce.

Na chwilę spogląda na moją nogę, przetyka ślinę, jabłko Adama na jego szyi drży.

— Jest coś, co chyba... na pewno... muszę ci powiedzieć. Ale najpierw muszę wiedzieć. Co to było? — pyta cicho.

— Co? — Podpisuję się na paragonie, oddaję kartę pracownikowi stacji i wyjeżdżam na główną drogę.

Tim wskazuje kciukiem za siebie, na plażę, z której przyjechaliśmy.

— No wiesz. Czy ty... powiedzmy... bawisz się ze mną? Alice, jeśli tak, to po prostu mi powiedz.

Nie podoba mi się, że jest o tyle ode mnie wyższy — muska głową dach samochodu.

— Nie bawię się z tobą — odpowiadam, zatrzymując się na czerwonym świetle. — Boże! Czy kiedykolwiek bawiłam się ludźmi?

Tim patrzy mi w oczy.

— No dobrze, czasami tak. Ale nie w tej chwili. A przynajmniej... — Unoszę dłonie do głowy. — Nie wiem, co robię. Ale to nie zabawa w kotka i myszkę. Ani jakakolwiek inna.

— No to co to jest? Randki na próbę? Chociaż za pierwszym razem nawaliłem? Nagły atak szaleństwa? Nie wiem, co to jest.

— Ani ja — odpowiadam, patrząc na niego. — Poza tym... to ty nagle zmądrzałeś i wrzuciłeś na luz. — W moim głosie słychać urazę, co mnie drażni.

— Nie chciałem przerywać, na pewno to widziałaś. To było oczywiste.
Ale...

Macham dłonią, odsuwając od siebie to wszystko, odsuwając jego.

— Nieważne. To nie ma znaczenia.

— Alice.

Znów unoszę dłoń, próbuję się opanować, przyjąc z powrotem pozę żelaznej Alice, która nie ma serca.

— Alice, nie mów, że to nie ma znaczenia. To ma znaczenie. Na miłość boską, czy możesz na mnie spojrzeć?

— Prowadzę, muszę się skupić.

Tim wzdycha.

Jadę główną ulicą Stony Bay po rondzie w kształcie latarni morskiej, a potem zjeżdżam z niego, nie patrząc na Tima. Ale gdy tylko wjeżdżamy na naszą ulicę, wyciągam otwartą dłoń, a po chwili Tim wsuwa w nią swoją dużą rękę i ściska. Trzyma mnie.

Kiedy skręcam na podjazd i w końcu rzucam mu ukradkowe spojrzenie, Tim postukuje się po udzie kciukiem drugiej dłoni. Odwracam się ku niemu.

— Słuchaj, Tim. A może po prostu spróbujemy...

— Alice, muszę ci powiedzieć coś ważnego...

Przerywa i gapi się w kierunku mieszkania nad garażem.

— O cholera!

— Co? — Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem. Na stopniach do drzwi siedzi dziewczyna — ta ze srebrnego samochodu. Z wielką torbą na ramieniu. A obok niej dziecko w foteliku samochodowym.

Rozdział dwudziesty czwarty

Tim

Hester macha do mnie, rozpromieniona i radosna, jakbym wpadł do niej do domu z kwiatami i przekąską na kolację.

— Samochód mi wariuje, coś w nim stuka i chrzęści! — woła, podchodząc i zostawiając dziecko. — Stoi w warsztacie przy North Street. Podrzucili mnie tutaj. Dobrze, że wróciłeś. Cał dzisiaj marudzi, chyba trzeba go szybko zanieść do cienia.

Alice zamiera w bezruchu z dłonią na drążku zmiany biegów. Hester się uśmiecha. Cał śpi. W tej chwili oddałbym duszę za wiele rzeczy, ale przede wszystkim za ten głupi marynarski kapelusz. Albo jeszcze głupszy czepek. W tej chwili Cał nie ma niczego na głowie, a jego włosy świecą pełną czerwienią.

Do Hester właśnie dociera, że siedzę w samochodzie z oszałamiającą dziewczyną w bikini, a w tej samej sekundzie Alice ogarnia wzrokiem scenę przed sobą.

Uśmiech Hester blednie. Alice prostuje ramiona.

— Pasek klinowy jest pewnie do wymiany — mówi beznamiętnie. — Tak, lepiej będzie zanieść małego do cienia.

— Alice — mówię. — To nie... — „To nie to, co myślisz? Przecież to właśnie to, co myślisz”. — Mogę... — „Wyjaśnić? Właściwie nie”. — Ja...

— Chyba w tej chwili lepiej nic nie mów — odpowiada Alice, kopnięciem otwierając drzwi samochodu.

— Ale... — Schodzę z siedzenia i okrążam samochód.

— Nie... mów... nic! — Trzaska drzwiami, które odskakują, otwierając się, więc znów je zamyka. Cał podskakuje i zaczyna płakać. Alice rzuca mi ostatnie pełne niedowierzania spojrzenie, po czym sztywno idzie do domu.

*

— Mówiłeś, że nie masz dziewczyny. — Głos Hester unosi się nad przenikliwym wyciem dziecka. Dziewczyna wzięła go na ręce i huśta. Jej oczy przypominają spodki.

— Bo nie mam.

Hester spogląda na doskonały tyłek oddalającej się Alice. Walę pięścią w samochód, mocno, a potem do równego rachunku kopię w oponę.

— A to kto?

— Hester... — Zaciskam zęby z całej siły, aż dziw, że fragmenty szkliska nie lecą na asfalt. — To nie twoja sprawa.

— Gdybyś chciał o tym porozmawiać... — mówi uspokajającym głosem,

nie chce się odzepić. Dziecko, które na moment umilkło, znów się rozdziera.

— Nie obraż się, ale w ogóle mnie nie znasz.

Rozlegają się kolejne wrzaski Cala.

— Cholera. Podaj mi go, Hes.

Dziewczyna zagryza wargi i podaje mi dziecko.

— Samochód powinien być niedługo gotowy. Mógłbyś mnie podwieźć do miasta. Albo... — garbi się — chyba mogę pójść pieszo. Jak myślisz, to daleko?

Najlepiej idź się powieś. Kładę sobie małego na ramieniu i wtulam nos w jego kark. Chłopiec wierci się lekko, wtulając się we mnie dla bezpieczeństwa. Nie czuję się bezpiecznie, ścisła mnie w żołądku, jelita skręcają się w węże, więc zamykam oczy. Próbuję powtarzać sobie w głowie tę całą modlitwę o pogodę ducha albo coś w tym stylu, ale jedyne, co mogę zrobić, to wrócić myślami do plaży, chłodnej wody lśniącej na opalonych ramionach Alice, jej kolczyka błyszczącego w słońcu, jej uśmiechu.

— To na pewno nie jest twoja dziewczyna? — pyta Hester. — Przygląda nam się przez okno.

— Nieważne. Zanieśmy Cala do domu.

— On ma na imię Calvin.

Szukam okazji do zaczepki, jestem gotów do walki, na każdym gruncie, nieważne, jakim dupkiem się przy okazji okażę.

— Ja go nazywam Cal. Calvin to imię dla dupków.

Hester się krzywi; niebieskie oczy lśnią w bladej twarzy. Skrzywdziłem małego kociaka. Mamrocząc przeprosiny, idę schodami w górę, Hester podąża za mną. Rzucam tylko jedno szybkie spojrzenie za siebie, sprawdzając, czy Alice faktycznie nas obserwuje.

Nie.

*

W pokoju nalewam do szklanki wody z kranu, wypijam ją szybko, po czym odstawiam szklankę na blat i pakuję twarz pod kran. Próbując ochłonać.

Teraz Hester trzyma Cala, klepie go po plecach. Próbuje do mnie mówić, gada i gada, coś o rozmowie na temat adopcji, moich przeszłych chorobach i pochodzeniu etnicznym, papierach, papierach, papierach.

W skroniach mi pulsuje, robi mi się gorąco, potem zimno, potem znów gorąco.

— Jak długo mają ci naprawiać samochód? Teraz nie mam za dużo czasu — mówię. — Zadzwoń do nich i powiedz, że to pasek klinowy. Albo jeszcze lepiej jedźmy tam.

— Może to coś innego, chyba że ta dziewczyna jest mechanikiem, chociaż nie wygląda. Czy ona jest...

— Daj spokój — mówię, biorąc komórkę z blatu. — Który to warsztat?

— O nie, trzeba go przewinąć. Potrzymaj. — Hester nonszalanckim ruchem podaje mi dziecko, jakby to był stos ręczników, idzie do zlewu, myje ręce i rzuca przez ramię: — Możesz się tym zająć? Powiedzieli mi, że potrzebują historii twoich chorób. Masz jakieś choroby chroniczne?

— Nie — fukam, opierając Cala na piersi, z głową na ramieniu, schylam się i jedną ręką przrzucam zawartość torby w poszukiwaniu pieluszki wielkości znaczka pocztowego.

„Nie licząc delikatnej skłonności do alkoholu”.

I rozpasania. I bycia dupkiem.

Delikatne paznokcie Cala wbijają mi się w klatkę piersiową, jakby miało nagle ze mnie trysnąć mleko.

— Minuta — mamroczę do niego. — Najpierw trzeba cię wytrzeć.

Na rękę, którą go podtrzymuję, ścieka mi coś ciepłego i lepkiego; nawet nie patrząc, wiem, co to jest.

— Boże święty, Hes, czemu to ma taki kolor? Co się dzieje z tym dzieciakiem?

— Nic! Jest zdrowy. Wszystko dobrze. A dlaczego pytasz?

Przesuwam Calvina na drugą stronę i wyciągam dłoń — tę samą dłoń, którą trzymałem na plecach Alice, jej szyi, jej talii — mniej niż godzinę temu.

— To jest zielone. Nie mów mi, że to normalne.

— Wszystko w porządku — powtarza Hester, podając mi paczkę mokrych chusteczek dla dzieci oraz zwiniętą folię i, nie wiadomo dlaczego, małą wełnianą czapkę z pomponem. — Przepraszam, że się ubrudziłeś. Przewiń go na tym, żeby nie pobrudził kanapy.

— Uważasz, że tak mi zależy na kanapie? Bóg jeden wie, jakimi genami czy chromosomami, czy czym tam jeszcze go obdarzyłem. Przyznam ci szczerze: jestem zaskoczony, że moje plemniki w ogóle dotarły do celu, a nie płynęły wężykiem.

— Jest idealnie zdrowy. Uspokój się, denerwujesz go — przerywa Hester. — Słuchaj, Tim. — Jej głos łagodnieje. — Wiem, że to trudne. Dla nas obojga. Ale musimy się dogadywać jeszcze przez jakiś czas dla dobra dziecka.

Ręka mi podskakuje, kiedy odklejam taśmę z boku pieluszki; folia pryska razem z zielonym płynem — na kanapę i na mnie.

— Nie musimy się dogadywać dla dobra dziecka. Nie jesteśmy małżeństwem, a on na razie przypomina amebę. — Poza tym zabiorą go, zanim uda mi się to zrealizować.

Odwożę Hester do warsztatu Reynoldsa, praktycznie sam zmieniam pasek klinowy (tak, to pasek klinowy się zepsuł). Czuję się winny, gdyż porównałem swojego syna do jednokomórkowca jak najprawdziwszy dupek, więc zgadzam się

wziąć Cala na kolejną noc. Kiedy Hester wysiada w mieście, czuję się, jakbym zeskrobywał brud z buta.

Alice

Kiedy wpadam do domu, obsypana piaskiem, w kostiumie wciąż wilgotnym od wody morskiej, w domu panuje martwa cisza. Rzucam mokry ręcznik do kąta w kuchni wzorem moich braci bałaganiarzy. Potem kopię jeden ze stołków niedaleko wyspy, który upada z trzaskiem na podłogę. Ledwie wygojona kostka boli jak cholera, po tym, jak pokazałam swoją dojrzałość tym kopnięciem w drzwi.

Dobrze, że mamy nie ma.

Szkoda, że mamy nie ma.

Tylko mamy. I nikogo innego, kto by ją rozpraszał.

W gardle mnie drapie, jakbym nałykała się muszli z parkingu, w oczach czuję piasek.

Biorę telefon, żeby do niej zadzwonić, ale potem z hałasem rzucam go na blat. Co bym jej powiedziała? „Wiesz co, mamó? Na dzień ojca musimy kupić kartkę dla Tima Masona. Oprócz tego całowałam się z nim i nie umiałam przestać, ale teraz zapewne muszę, bo przecież, no wiesz. A, i jeszcze świetna wiadomość! Grace Reed przestała płacić rachunki taty, mamy kolejną okazję do świętowania”. Na tę myśl zalewa mnie poczucie winy, wręcz mnie przytłacza. Przecież jeśli sobie z tym nie poradzę, to tata i cała rodzina mają przerąbane. A ja tu sobie rozmyślam o Timie Masonie.

Znów kopię w stół, mocniej, tak, że przewraca się na kosz na śmieci, który ktoś musiał wyjąć do opróżnienia, a potem zapomniał wstawić z powrotem. Kosz się przewraca, wysypują się z niego skórki pomarańczowe, puszka po kawie i pieluszki Patsy. Wszystko to leci na podłogę, która już zaczynała się lepić.

Pozwolę sobie na płacz. Puszczę głośno muzykę. Wezmę prysznic. Pozbędę się tego.

Zrobił tej dziewczynie dziecko. Czy cokolwiek.

To jego typ?

Boże, nie znoszę, kiedy ludzie mówią o typach, jakby człowieka można było zaszufładować do smaku, jak lody.

Czy to dlatego rodzice go wyrzucili? Mieszka u nas od trzech tygodni, dziecko wydaje się starsze. Czy to dlatego wyrzucili go z liceum? Kim jest ta dziewczyna? Zamieszka z nim w moim mieszkaniu? Będzie spała w jego łóżku, jadła z nim płatki, chodziła na plażę i...

Jest bardzo blada. Na pewno dorobi się oparzeń słonecznych.

Jestem najgorszym człowiekiem na świecie.

Wlokę się na górę do swojego pokoju, chcę się rzucić na łóżko i płakać,

dopóki nie usnę. Albo zdemolować pokój, cokolwiek.

Niestety dzielę pokój z Andy — od dziś licealistką — która jest już w domu. Leży na plecach na moim łóżku (gdyż na jej łóżku leży pranie, którego jeszcze nie zdecydowała się schować). Siostra maluje paznokcie, co chwilę przerywa, żeby ugryźć wafelek nilla z wielkiego pudła opartego o moją poduszkę z *Doktora Who*.

Na mój widok Andy podrywa się pełna skruchy.

— Nie nakruszyłam na... Co się stało? Coś z tatą? Mamą? Boże, Alice nie patrz tak. — Przyskakuje i obejmuje mnie, odgarniając mi włosy do tyłu i przy okazji znacząc je różowym lakierem do paznokci. — Och, kochanie — mówi, całkiem udatnie naśladując mamę.

— Wszyscy mają się dobrze — odpowiadam niemal szlochem. W tej chwili łyzy przyniosłyby mi ulgę, gdyż oczy pieką jak oszalałe.

— Nie wszyscy, przecież widzę. Ty się czujesz fatalnie — mówi Andy, pociąga mnie na moje łóżko i klepie koldrę (na którą również spada lakier, ale w tej chwili mam to gdzieś). — Alice, porozmawiaj ze mną, proszę.

— Co, zapleciesz mi warkoczyki i pomalujesz paznokcie?

Mruga przez chwilę. Znów weszłam w skórę żelaznej Alice. Moja młodsza siostrzyczka z otwartym sercem i otwartymi ramionami.

— Jeśli chcesz — odpowiada po chwili. — Myślałam raczej o wysłuchaniu tego, co masz do powiedzenia.

Przełykam z trudem.

— To...

Nie potrafię. Nie potrafię wydobyć z siebie tych słów, gdyż wtedy... wtedy staną się prawdą. Że on jest tatą, a ja kompletnie się rozsypałam. Że mnie okłamał. Okłamał czynami, nawet jeśli nie słowami, gdyż akurat o to, czy ostatnio nie spłodził jakiegoś dziecka, go nie pytałam.

Myślałam... przez chwilę myślałam, że moglibyśmy — nic poważnego — ale myślałam....

Jak widać, nie możemy.

— Chodzi o faceta — odzywa się siostra. — Brad? Nie, to na pewno nie Brad.

— Dlaczego nie? — pytam natychmiast. Byłoby to naturalne założenie. Przecież właśnie zerwałam z Bradem; Andy przez miesiąc dochodziła do siebie po tym, jak rzucił ją Kyle Comstock, ten niewierny prosiak.

— Flip? — zgaduje siostra. — Lubiłam Flipa. Zabierał mnie na deskę.

— To było dwa lata temu. Nie chodzi o Flipa. Dlaczego myślisz, że nie o Brada?

— Brad nie mógł do ciebie dotrzeć, do samego wnętrza. Brakowało mu...

— Jaj?

— Poczucia humoru. — Andy się krzywi. — Nie. Brakowało mu... nie

wiem, siły czy czegokolwiek... głębi. Nie potrzebowałaś Brada.

Przesuwam dłonią po oczach suchych jak pieprz.

— To tego nie potrzebuję.

— Oczywiście, że nie — odpowiada Andy z niezachwianą pewnością siebie.

— Niech to szlag, nieważne, co to jest. Jesteś zbyt fajna i twarda na to, żeby cokolwiek lub ktokolwiek cię złamał.

Tak. Oprócz niezapłaconych rachunków, stanu taty, szkoły, byłych rudych ćpunów i alkoholików z dziećmi oraz całego mojego życia.

Nie panikuj. Nie skręcaj w tę stronę. Próbuję dać sobie chwilę, skupiam się na powolnym rysowaniu niewidzialnych kółek na udzie. Muszę to od siebie odsunąć, bo Andy spanikuje.

— Nie jestem aż tak twarda, Andy — mówię powoli. — To tak, żebyś wiedziała. Nie rób tego sobie samej. Nie myśl, że jestem twarda, więc ty już nie musisz. Ja tylko... ja tylko...

— Alice, daj spokój, możesz mieć gorszy dzień. Niekoniecznie musisz łapać facetów za jaja — widzisz, powiedziałam to! — albo mieć akurat okres, albo się wściekać na siebie lub się wyzywać. Chociaż, gdyby to pomogło, możemy wyzywać tego gościa. Znam sporo wyzwisk. Palant. Kutas. Złamas. Kreatura. Szuja. Świnia. A to tylko te ładniejsze. Zbieram je.

Wciąż obejmuję mnie kościstymi ramionami; głowę opieram na jej ramieniu. Pachnie wanilią i zmywaczem do paznokci oraz moimi perfumami o zapachu gardenii.

Zaczynam się śmiać, Andy mi wtóruje, objając się barkiem o moje ramię.

— Większości z nich nauczył mnie Tim. I tego, jak walnąć faceta kolanem w krocze. Nauczył mnie jeszcze dużo więcej, ale mogłabym cię zszokować.

— W tej chwili niewiele mnie zszokuje — mówię smutno. Ale to nieprawda. Jestem wstrząśnięta. A nawet znacznie więcej, praktycznie straciłam mowę. Wbiło mnie w ziemię. Ale dlaczego? Czy nie czegoś takiego ludzie się na ogół spodziewają? Chłopak z sąsiedztwa znów uderza?

Och, Tim.

„Zgodnie z oczekiwaniami, prawda, Alice? Chciałem, żeby poszło lepiej”.

Opadam na łóżko i opieram głowę na dłoniach.

— Tim nauczył mnie też, jak dać komuś w nos, od dołu, dłonią — Andy pociąga mnie za kosmyk włosów, unosząc mi głowę, żeby móc mi pokazać — i złamać go.

— Chcesz to pokazać na jakimś biednym czternastoletnim idiocie?

— Tylko jeśli będzie to naprawdę konieczne. Tim wygłosił mi cały wykład. Nie wolno się wyzywać na biednym palancie, który próbował tylko... nieważne. Tim był niesamowity. Jak brat.

— Ands, i tak masz już mnóstwo braci.

— Joel i Jase pobiliby gościa w mojej obronie, ale nie nauczą mnie przekleństw ani ciosów. Tim byłby dla mnie świetnym bratem.

— Nie sądzę — odpowiadam, nieco głośniejszym głosem, niż bym chciała.

— Pewnie nie znasz go tak dobrze jak ja — zauważa Andy. — A przy okazji wstrząsu, czy czułabyś się wstrząśnięta, gdybym ci powiedziała, że potrzebuję podwózki do Megan? Albo że spóźniasz się z odbiorem Jase'a z treningu? Aha, przydałoby mi się kilka dolców na Starbucksa.

— Nie, to by mnie wcale nie zszokowało.

— Alice, wszyscy cię kochamy. Jeśli ten facet cię nie docenia, ma skórę nosorożca, twarz konia i tyłek pawiana.

— To też wiesz od Tima?

— Od Duffa i Harry'ego — odpowiada Andy, uśmiechając się szeroko i błyskając aparatem na zęby. — Mam różne źródła inspiracji.

Tim

Wielkie gówno.

I to dosłownie. W czasie krótkiej jazdy z warsztatu, chociaż wydawałoby się, że w drobnym ciele już nic więcej się nie pomieści, Cal zdołał wypełnić po brzegi nie tylko swoją pieluchę, ale też całą koszulkę, a nawet część czapki! Jak to w ogóle możliwe?

Kucam przed nim, a on leży na kocu w pokoju. Już przy wysiadaniu z samochodu wiedziałem, że nie będzie dobrze, ale to... Mały patrzy na mnie z niepokojem, na rzęsach zbierają mu się łzy.

— Nie martw się, zajmę się tym. Poradzimy sobie — mówię męskim, głębszym niż zazwyczaj głosem, chociaż w rzeczywistości nie jestem pewny, czy w ogóle wystarczy mi mokrych chusteczek. Czy wystarczy ich w sklepie dla niemowląt. We wszystkich sklepach na świecie.

Cal gapi mi się prosto w twarz. „Sorki, tato. Chyba straciłem kontrolę”.

— Nic się nie stało, Cal. To się zdarza — mówię mu, chociaż nie jestem tego pewny. Czapka?! Może faktycznie to wszystko przez moje geny, które spaczyły mu osobowość. Przecież tak małe ciało nie może wyprodukować takich ilości. Zostały tylko dwie cienkie chusteczki i żadnych ręczników papierowych ani niczego innego.

Jedynym rozwiązaniem pozostaje prysznic. Ubranie już z niego zdjąłem, leży w koszarnej kupie na podłodze — będę musiał zająć się tym później. Szybko się rozbieram, kopię mokasyny na drugi koniec pokoju — i zanoszę małego do kabiny prysznicowej. Kiedy puszczam wodę, dzieciak tężeje z zaskoczenia.

„Cal, tylko nie zacznij mi znów wyc”.

— Wszystko w porządku, to prysznic. Faceci to lubią. Daj mu szansę.

Przywiera mi do piersi jak małpka — upaprana rudowłosa małpka. Głaszczę

go po plecach pod strumieniem wody. Twarz mu się marszczy — a niech to, trochę za ciepła. Przykręcam niemal do minimum, Cal zaczyna panikować jeszcze mocniej.

Splukuję go i znów namydlam, a potem unoszę tak, że nasze twarze znajdują się naprzeciwko siebie.

— Nic się nie dzieje, Cal. Wszystko dobrze — mówię stanowczo. Jego okrągłe niebieskie oczka wpatrują się w moje. Mały przechyla głowę do przodu, kładzie usta na moim nosie....

Zaczyna ssać.

Mimo woli wybucham śmiechem. Dzieciak nadal ssie.

— Mój nos nie da ci tego, czego szukasz, mały — mówię do niego.

Zapewne całe moje ciało mu tego nie da. Ale w tym piekielnie zimnym prysznicu, trzymając śliskie jak kostka mydła dziecko, kiedy oboje dochodzimy do siebie po szoku wywołanym pieluszkową katastrofą, jestem szczęśliwy. Przynajmniej przez chwilę mogę mu dać to, czego potrzebuje.

A przynajmniej może mu to dać mój nos.

*

Dziesięć minut później pukam do drzwi Garrettów z moim wielkim sekretem na ramieniu.

— Maaamooo! Tim przyniósł nam dziecko! Możemy je zatrzymać?

Pani Garrett myje naczynia w zlewie. Obraca się, spogląda na mnie, na Cala i znów na mnie.

— Och... no proszę.

— George, to Cal. — Schylam się do poziomu George'a. — On jest, hm, mój. Nie możesz go zatrzymać.

Ja też nie.

— Jeeezu! — stwierdza George. — Ile on ma futra!

Śmieję się. To prawda, gdyż włosy Cala, nawet mokre, sterczą jak rudy koguci grzebień.

Pani Garrett podchodzi i klęka obok mnie.

— O rany — odzywa się jeszcze ciszej.

Nie wiem, co myśli, więc mówię:

— Ups. Przepraszam, pani Garrett. Mówiła pani, że byłby ze mnie dobry tata, tylko trochę nie w porę mi wyszło. Alice jest w domu?

Pani Garrett wstaje.

— Pojechała po Jase'a. Na pewno masz o czym opowiadać, Tim. Daj mi dziecko, zjedz coś, a potem mów.

Rzucam się na ucztę i pozeram, co mi wpadnie w ręce, a między kęsami opowiadam całą historię. Tu nie ma starej pizzy. Pochłaniam trzy kanapki z szynką

z indyka, dwa pudełka jogurtu cytrynowego, torebkę precli i opróżniam praktycznie galonową butelkę kakao.

Jak wyjaśnić rolę Hester w tej całej historii? Trochę kłopotliwe, zwłaszcza przy George'u (do którego wkrótce dołączają Harry i Patsy), siedzącym tuż obok z okrągłymi z zaciekawienia oczami.

— Więc... poszedłem zimą na imprezę. Była tam dziewczyna... nie za dobrze ją znam... I tego... miała w torebce taką specjalną nagrodę. Ale ja dopiero kilka dni temu dowiedziałem się o tym, że tę nagrodę... przyznano mnie.

Pani Garrett kiwa ze zrozumieniem głową.

— To dopiero była impreza! — wzdycha George. — A ja dostaję tylko gumy, piłeczki, pistolety na wodę i inne takie badziewie.

— Tim pewnie też by się z tego ucieszył, George — stwierdza pani Garrett.

Z wprawą sadza sobie Cala na lekko wystającym brzuchu, wyciąga rękę i mierzwi mi włosy.

— Wiesz, mogłeś do nas przyjść od razu. Samemu naprawdę ciężko sobie z tym poradzić.

— Ale on jest mały! — mówi George. — Ja bym sobie poradził. Mógłby spać ze mną w łóżku. Na pewno on też sika do łóżka. I wtedy na pewno miałbym brata, bo nie wiadomo, czy nie urodzi się nam jakaś kolejna porąbana dziewczynka.

— Eee! — rozkazuje Patsy, wyciągając ku mnie ramiona i trącając uparcie w kolano, dając wyraźnie do zrozumienia, że to ona jest moim prawdziwym dzieckiem. Nie żadną porąbaną dziewczynką.

Biorę ją na ręce, przysuwam twarz do jej włosów i nagle, bez ostrzeżenia, oczy zaczynają mnie piec jak po tabasco. Cholera, tylko nie to.

Pani Garrett wzdycha.

— Piękny maluch, z czego oczywiście zdajesz sobie sprawę. Wygląda zdrowo.

Nie podnosząc wzroku, kiwam głową.

— Ale naprawdę masz dość na głowie. Przykro mi, Tim.

— W porządku — odpowiadam pośpiesznie, gdyż jej współczucie jeszcze utrudnia pozbycie się wilgoci pod powiekami. — Moja głowa wiele zniesie, zwłaszcza po dobrej wyżerce. Wie pani o tym, przecież wciąż tu jadam.

Unoszę wzrok; pani Garrett nie wygląda na przekonaną.

— A ta dziewczyna? — pyta ostrożnie. — Jaka jest?

— Jest seksy? — pyta Harry.

— Harry!

— No co! Joel cały czas o to pyta. I Duff też.

Pani Garrett wznosi oczy do nieba.

— Duff też już zaczyna?

Joel od zawsze był chodzącą burzą hormonów, ale Duff ma zaledwie

jedenaste lat.

Patsy miłośnie gładzi mnie po ramieniu i co chwilę powtarza swoje dźwięki.

— Nawet nie wiem, jaka ona jest. Jest bardzo... hm... czysta. Kiedy chodziliśmy razem do szkoły, zbierała same celujące. I zawsze robiła zadania dla chętnych. A notatki o dziecku pisze mi w formie punktów.

— To nie brzmi seksy — mamrocze Harry.

— Harry, bądź cicho. Zjedz coś. — Pani Garrett sięga do miski z owocami i podaje mu jabłko. — Zatem... poznajesz ją równolegle ze swoim synem.

— Tak. Mówiłem, zawsze wybieram sobie po... — zerkam na George'a i Patsy — porąbany moment na działanie.

Pani Garrett ma smutek w oczach, ale jej głos brzmi rześko i rzeczowo.

— Na pewno potrzebujesz wielu drobiazgów, ubrań i innych rzeczy. Kawalerka Joela nie jest wyposażona w artykuły dla dzieci, a my mamy tego mnóstwo. Chodźmy do piwnicy.

Na dole pani Garrett otwiera wielkie plastikowe pojemniki z napisami CHŁOPIEC i DZIEWCZYNIKA i SPRZĘTY, wyjmując po kilka sztuk i układa w stosy. Żadne z dzieci nie zeszło tu za nami, wołały zostać na górze i robić miny do Cala, więc mogę powiedzieć więcej niż wcześniej.

— Nie potrzebuję wiele. Dostałem od niej mnóstwo rzeczy. To i tak tymczasowe, Hester planuje szybko oddać go do adopcji. — Idealnie by było, gdyby go oddała przed dzisiejszym porankiem.

Pani Garrett zatrzymuje się w połowie składania puchatego niebieskiego kocyka. Twarz ma spokojną. Potem znów zaczyna składać koc, nie patrząc na mnie.

— I jak się z tym czujesz?

— Niestety, nic nie pamiętam. — Po czym wzdrygam się, przypominając sobie ostatni raz, kiedy użyłem tych słów.

Pani Garrett na moment wyciąga rękę i wierzchem dłoni gładzi mnie po policzku. Nie odzywa się ani słowem. Potem podaje mi stos koców i małych podkoszulek złożonych na wierzchu. Jeden z kocyków ma na sobie imię DUFFY wyszyte krzywo czerwoną włóczką.

— A pani sama nie będzie potrzebować tego gówna? Znaczących rzeczy.

— Nie wygładzę ci języka, Tim. Słyszałam już to słowo, a nawet go używałam. Niedawno. I nie, nie będę ich potrzebować jeszcze przez jakieś pół roku. Przez ten czas Cal wyrośnie albo trafi do adopcji. Na razie je weź.

— A coś na teraz? — pytam. — W tej chwili nie odróżniam swojego tyłka od łokcia. — Opowiadam o tym, co się stało z czapką. I o zielonym płynie.

Pani Garrett się śmieje.

— To normalne. Dopóki będziesz potrafił odróżnić łokieć Cala, poradzisz sobie. Nikt z nas na początku nie wie, co robić, Tim. Będziesz się uczył razem

z małym.

Wlokę się na górę z torbą rzeczy na rękach, łącznie z siłownią dla niemowlaków czy co to jest („A faktycznie, tato, muszę popracować nad kaloryferem”) i nakręcanym misiem, który śpiewa „Mrugaj, mrugaj, mała gwiazdko” oraz czymś, co przypomina długie, puchate gacie.

Kiedy wdrapuję się na górę, zastaję w kuchni Alice, wciąż w żółtym bikini i narzuconej bluzie, z rozczochranymi włosami, zarumienioną twarzą i wbitym we mnie spojrzeniem.

Jase i Sam stoją obok niej. W jej ramionach znajduje się moje dziecko.

No to wtopa na całego.

Rozdział dwudziesty piąty

Alice

Tim patrzy na mnie znad ogromnego stosu rzeczy dla dzieci, potem upuszcza to na swoje stopy, przekrzywia głowę i rzuca mi swój uśmieszek.

— Widzę, że poznałaś Calvina. Zatem już się rozniosło: nie jestem prawiczkim.

— Tim... — zaczyna Samantha.

— Co to prawiczek? — pyta głośno Harry.

— Coś po prawej — odpowiada George głośnym szeptem.

— To... — Potrząsam dzieckiem; mama, która właśnie weszła za Timem, wydaje zatroskany okrzyk. — To nie żart. Tylko tobie mogło się to przytrafić!

— Technicznie rzecz biorąc — mówi powoli, opierając się o ścianę — mogło się to przytrafić każdemu facetowi, któremu działa...

— Co ty masz w mózgu, do cholery?! Masz siedemnaście lat!

Tim gładzi się po kieszeni koszuli i spogląda na swoje buty.

— W grudniu skończę osiemnaście. A ty masz pieprzone dziewiętnaście, jakbyś zapomniała. Za mało, żeby być moją mamą, mała, więc odpuść sobie te pierdoły. Poza tym nie przeszkadzało ci...

W kuchni zapada nagła cisza.

Jase, który się schylił, żeby zawiązać sobie trampki, nieruchomieje.

Sam unosi dłoń do ust.

Nawet mały wydaje się ogłuszony.

— Tim zaklął. Dwa razy. I to mocno! — ogłasza pogodnie Harry.

Tim spogląda na George'a, który patrzy na nas z przerażoną miną, niemal w łzach. Tim przesuwając dłoń po twarzy, wydobywa z siebie krótki, niepewny śmiech.

— Eee... przepraszam, maluchy.

Otulam głowę malucha jedną dłonią, przenoszę wzrok z niego na Tima i z powrotem na dziecko.

— Chociaż widziałam... wiedziałam... to musiało być... niewiarygodne.

— A jednak to prawda. A dlaczego właściwie tak się wściekasz? To nie twoje życie się rozpadło. Nie musisz się nim zajmować, ono jest moje, mała.

— A może określenie „mały” zachowasz dla niego? On faktycznie taki jest. Poza tym uwaga: zajmowanie się własnym dzieckiem to rzecz normalna, wiesz?

Jase i Samantha wymieniają gorączkowe spojrzenia. Jase odchrząkuje.

— Słuchajcie...

— George, Harry — przerywa mama, biorąc na ręce Patsy, która kopie jak oszalała, wykręca się i wyciąga dłonie do Tima. — Chodźmy znaleźć jakieś

pluszaki dla naszego gościa. Coś miękkiego, czym się już nie bawicie.

Chłopcy idą za nią rzędem w kierunku schodów.

— Nie dam mu Szczęściarza — mówi wojowniczo George.

— Co to za dziewczyna? Najwyraźniej nie jest twoją dilerką. Niesamowicie, że przez dziewięć miesięcy trzymałeś taką bombę w tajemnicy. Nie wspominając o...

— Nie wiedziałem! Dowiedziałem się dopiero kilka dni temu. Nie wiedziałem! — powtarza Tim. — Nawet nie pamiętam, żebym ją poznał. Mam czarną dziurę.

— Jezu — mamrocze Jase.

— I co, to ma cokolwiek naprawić? Zrujnowałeś jej życie i mówisz o „czarnej dziurze”? To jest twoja przepustka do wolności? — Dziecko zaczyna się wiercić, opieram go sobie o ramię, gładzę po plecach, automatycznie zaczynam je kołysać. Dziecko na pokładzie uruchamia instynkt Garrettów.

— Podaj mi go — proponuje Samantha, kiedy kwilenie nie ustaje.

— Nie, pewnie jest głodny. Znów — mamrocze Tim. — Ja to zrobię. Podaj mi go. — Sięga po dziecko, zabiera je ode mnie, opiera dłoń na miękkich fałdach jego karku. — Później po to wrócę. — Zmierza w kierunku drzwi, otwiera je kopnięciem bosej stopy i puszcza, żeby się za nim zamknęły.

Jase wydaje przeciągły, niski gwizd pod nosem.

Samantha schyla się po ubrania i kocyki.

— O rany — mówi. — Jego rodzice muszą... Nawet sobie nie wyobrażam.

Fuj. Tym razem Chłopak z sąsiedztwa naprawdę przeszedł sam siebie. Jeśli Masonowie wykopali go z domu za rzeczy związane z pracą, to co teraz? Deportują go?

— Ten chłopak naprawdę specjalizuje się w papraniu sobie życia. A kiedy budzi się rano, jeszcze przed prysznicem, jeśli w ogóle bierze prysznic, układa listę wszelkich możliwie durnych, za to twórczych sposobów ściągnięcia na siebie kolejnych katastrof.

Z tymi słowami otwieram gwałtownie drzwi. Jase kładzie mi rękę na ramieniu.

— Al, to nie twoja bitwa — mówi, ale ja mu się wyrywam.

— Ja z nim porozmawiam — odzywa się Samantha, niemal zastępując mi drogę. — On...

— Nie ma mowy, oboje jesteście za mili.

*

— I co teraz? — odzywa się Tim, kiedy go doganiam na progu mieszkania. Otwiera drzwi łokciem. — Alice, jestem odrobinę zajęty. Mam pełne ręce i tak dalej.

— Wchodź. — Otwieram drzwi, kładę mu rękę na plecach i wchodzę za nim. W pokoju stoi otwarta torba z pieluchami, bujak, w zlewie kilka butelek, oprócz tego koszyk dla dziecka — no i normalny stos brudnych ciuchów i misek z zaschniętymi płatkami.

Tim spogląda na mnie i się prostuje, jakby gotów przyjąć cios ode mnie. Jakby wszystkie te okropne rzeczy, które chcę powiedzieć, już wisiały w powietrzu jak trujący dym. Zaciskam wargi, jakbym w ten sposób mogła powstrzymać cisnące mi się na usta słowa. Tim przesuwa się obok mnie, zachowując większy odstęp, niż to konieczne, otwiera puszkę z mlekiem, z chlupotem napełnia butelkę i wkłada ją do mikrofal, gwizdząc pod nosem. Głowa Cala chwieje się nad jego ramieniem, okrągłe niebieskie oczy gapią się na mnie.

— Jak to się dzieje, że wszystko pieprzysz?

Tim zakręca butelkę, potrząsa nią, opada na kanapę, kładzie nogi na podrapany stolik do kawy i opiera sobie głowę dziecka na udzie.

— Czasami pieprzę. Jak widać.

— Nawet nie próbuj! — Dziecko kicha, prychając mlekiem na wszystkie strony. Tim wyciera mu twarzą dolną częścią swojego T-shirta. — Nie próbuj na mnie swojej sztuczki pod tytułem: „Przecież wszystko jest zabawne, jeśli się na to spojrzy we właściwy sposób”.

— A co mam robić? — odpala Tim z nagłą gwałtownością.

— Rany, nie wiem, Tim. A jaki masz plan?

— Cholera, nie mam żadnego planu, Alice. Nie minął jeszcze nawet tydzień.

— Musisz wymyślić coś lepszego. Nie załatwię tego za ciebie.

— Zaraz, a kiedy to prosiłem cię o coś takiego?

Zaczynam chodzić po pokoju. Cal znów kicha, tym razem prosto w twarz Tima.

— To możliwe. Jak się wydaje, masz talent to zapominania kluczowych momentów w swoim...

— Czemu on tak kicha? — przerywa Tim, wycierając dziecku twarz. — Myślisz, że jest chory?

— Nie, chyba trzymasz go za nisko. Podnieś mu głowę.

Tim zgina mocniej kolano.

— Tak. — Biorę go za rękę i przesuвам tak, że Cal mieści się w zgięciu łokcia. — I przechylił butelkę w ten sposób, żeby nie łykał za dużo powietrza.

— Dobra jesteś — stwierdza Tim z rezygnacją.

— Chyba nic w tym dziwnego? — Robię krok do tyłu. Dziecko się wierci, jedną dłonią wali Tima w oko. Chłopak unosi rękę do oka, a Calvin — tak ma na imię, prawda? — najwyraźniej w obawie, że zaraz spadnie, zaczyna podskakiwać i się prężyć, usztywnia szyję, machając rękami, otwierając szeroko przerażone oczy.

— Daj mi go — mówię, praktycznie wyciągając go Timowi z rąk.

Chłopak blednie.

— Co to było, do licha? Dlaczego on to zrobił? Dostał jakiegoś ataku? Zrobiłem mu krzywdę?

Zdejmuję koc z kanapy — czerwony w przerażające małpie głowy, przewracam go, zawijam spód, jedna ręka w dół, zawijam, druga ręka do góry, owijam. Dziecięce burrito. W tej chwili to umiejętność ratująca życie.

— Zawijaj go w ten sposób — mówię znużona. — Wtedy poczuje się bezpiecznie. I, na miłość boską, umyj ręce.

Omiatam wzrokiem pokój.

— Kiedy ostatnio robiłeś pranie? Przyniosę ci dwa kosze — jeden dla niego, drugi dla ciebie. Masz jakąś kartkę? Zrobię ci listę. Zapewne wszystko dostaniesz w Targecie, ale...

Tim mierzy mnie wzrokiem.

— Nie chcę tego — mówi cicho.

— Masz pecha — odparowuję krótko. — Jest twój. Gratuluję.

Mały to faktycznie wykapany Tim. Rude włosy, niebieskie oczy, jaśniejsze niż u Tima, długie, chude ciało. Nie widzę w nim za dużo z tej dziewczyny, ale to niemowlę, wciąż niezapisana karta. Poza tym ledwie na nią spojrzałam.

— Nie chodzi mi o niego — odpowiada Tim. — To. Nie chcę tego.

— Sorry, kolego. Jeśli nie zadbasz o opakowanie... tak się to kończy.

Krzywi się, otwiera usta, jakby chciał się sprzeciwić, po czym odzywa się cicho:

— Nie musisz mnie pouczać, Alice. — Przełyka ślinę i patrzy mi prosto w oczy. — Nie tego chciałem. Z nami.

— Nami? — odpowiadam z westchnieniem. — Nie ma nas. Jesteś ty i jestem ja.

— A z dzieckiem trójka? — podsuwa.

— Bardzo śmieszne. Na razie zabiorę twoje pranie i wrzucę z naszym, ale na pewno ci go nie poskładam.

— Opuść, nie jestem twoim bratem. Nie będziesz prała mi gaci.

Mówię dalej, jakby się nie odzywał.

— Opracowałeś sobie plan...

— Możesz go trzymać jeszcze przez chwilę? Muszę walnąć w coś głową. Albo się porzygać. Albo coś innego.

Podnosi się z kanapy, powoli, jakby ruch przyprawiał go o ból żołądka.

Calvin gapi się na mnie, jego ledwie widoczne rudawe brwi marszczą się na pół ze zmartwienia, na pół z irytacji. Cały Tim. Wyjmuję małą rączkę z koca, kładę na niej palec.

— O rany, bocian naprawdę zostawił cię na niewłaściwym progu.

Za pół roku będę miała kolejną siostrę. Albo brata. Dziewięcioro. Patsy nie ma jeszcze dwóch lat. Gdzie będzie spało nowe dziecko? Patsy wciąż dzieli pokój z mamą i tatą. Czy Andy i ja będziemy musiały je przyjąć na dodatkowe łóżko, skoro Tim i Calvin zajmują mieszkanie, które miało się stać moją ucieczką?

Cholera.

— Najmniej nam potrzeba kolejnego dziecka do opieki — mówię na głos.

Nie zauważyłam powrotu Tima, dopóki nie dobiega mnie jego ciche pytanie.

— Mówisz o Calu czy o mnie?

Podaję mu dziecko.

— Sam się domyśl... mały.

Rozdział dwudziesty szósty

Tim

Nie mogę spojrzeć w oczy Jase'owi, mojemu najbliższemu przyjacielowi. Ani Samancie, mojej najstarszej przyjaciółce. Nie mogę spojrzeć w oczy sobie.

Przyznać się Nan? Mojej rodzinie? Tak, jasne.

Ledwie mogę patrzeć na Cala. Wszystkie czynności higieniczne wykonuję, nie patrząc mu w oczy. Na szczęście on nie bardzo może skupić na mnie wzrok.

Dom wypłynął na dziesięciodniowy połów ze swoją załogą, więc dzwonię do Jake'a. Pracuje do późna w Hodges z drużyną piłkarską. Pierwszy dzień szkoły, pierwszy dzień treningów. Jake wpuszcza mnie tylnymi drzwiami sali gimnastycznej. Kiedyś wchodziłem tędy wielokrotnie. Zanim nie zapaliłem jointa w schowku na instrumenty muzyczne, wybiegłem w pośpiechu, nie zauważyłem iskry z mojej charczącej zapalniczki spadającej na tanioczę, z której uszyto stroje dla chóru — i o mało nie spaliłem Hodges razem z jego krenelażami i przyporami.

— Wpisałem cię na tablicy — mówi. — Możesz wziąć moją rakietę.

Nawet nie czeka, aż się odezwę, wyjmuje mi z ręki fotelik samochodowy i mruga.

— Poradzę sobie z tym gościem. Idź odreagować, a jak ci trochę przejdzie, przyjdź do mojego biura. Wiem, że znasz drogę. Tuż obok pokoju, w którym odrabia się szlaban.

Alice

SMS od Brada: „Ally-baby, w zeszłym tygodniu mnie poniosło. Nie gniewasz się? Pobiegamy? Mogę cię przynajmniej trenować. Będę rozmawiał!”.

Do wiadomości dołączone jest zdjęcie samego Brada robiącego *burpees* na siłowni.

Tata mawia: „Czasami najlepszym rozwiązaniem jest brak rozwiązania”.

Przez co ma na myśli: „Nie śpiesz się do podjęcia decyzji, na które nie jesteś gotowy”.

A nie: „Zdecyduj się nie podejmować decyzji”.

Odpisuję: „Ładna koszulka”.

Mój telefon pika. „Ładniej wygląda na podłodze :)”.

Brad. Żadnych wielkich niespodzianek. Żadnych ciemnych zakamarków.

Tata mawia również: „Mniej dramatów oznacza więcej całych talerzy”.

Moje palce poruszają się szybciej niż moje myśli. Brad nie interesuje, czy ja myślę. Co ja myślę. „Będziesz miał siłę, żeby się przejść na plażę?”.

W odpowiedzi przesyła zdjęcie błagającego szczeniaka.

Przypominam sobie słowa Tima: „Nie jestem jednym z twoich neandertalczyków ani pieskiem kanapowym”.

Mój kciuk zamiera nad telefonem, ale tylko na moment. Po czym przesyłam mu emotka — uniesione kciuki.

*

Kiedy dołączam do Brada na plaży, na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Chłopak przebiera nogami w piasku.

— Nie myślałem, że przyjdiesz. Zachowałem się jak krety, prawda?

— Owszem. — Padam na plecy i zaczynam rozciągać ścięgna kolanowe. Brad owija mi dłonią kostkę, nieco ją zgina, pomagając mi się rozciągnąć.

— Myślałem... — zaczyna, po czym kręci głową — myślałem, że mnie rzucasz dla innego, na przykład dla tego kumpla twojego brata, który wciąż się tu teraz kręci. Byłem zazdrosny, wiesz? Ale zastanowiłem się trochę i porozmawiałem z człowiekiem ze ściany i uświadomiłem sobie, że nie o to chodziło. Przecież ledwie znajdujesz czas dla mnie, kiedy więc miałabyś się spotykać z kimś innym?

Wieje wiatr, na wodzie ukazują się bałwany, odległe boje podskakują gwałtownie, na wydmach kołyszą się krzaki dzikich róż. Ocean jest ciemnozielonoszary. Niebo jest szare. Powiew wiatru sprawia, że mam piasek na twarzy i w ustach. Zaczynam kasłać.

Brad otwiera butelkę pomarańczowego napoju Gatorade i wręcza mi ją gestem doświadczonej pielęgniarki podającej skalpel.

Po kilku głębokich wdechach spoglądam mu w oczy.

— Mówiłam prawdę. Nie możemy się więcej spotykać. Nie robimy sobie przerwy ani niczego takiego. Z nami koniec, jeśli o to chodzi.

— Słyszałem — odzywa się Brad po sekundzie. — Ale myślę, że zmienisz zdanie.

— Nie zmienię.

— Uparciuch z ciebie, Alice — upija łyk Gatorade. — Ale mylisz się. Poczekam, dopóki nie przemyślisz wszystkiego.

— Słuchaj, nie chcę cię podpuszczać...

— Zobaczymy, kto kogo podpuszcza. Na razie ruszaj pierwsza, a ja dam ci fory, dobrze?

Mrużąc oczy i zaciskając zęby, spoglądam na niego.

— Nie traktuj mnie jak dziecko.

Mała. Dziecko.

Potrząsam głową, żeby zimny, niosący piasek wiatr wywiał mi z niej wszystko — chłopców i dzieci.

— Nie potrzebuję forów. — Opuuszczam sobie resztę rozgrzewki, siły

dodaje mi rozdrażnienie; odbiegam spory kawałek i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że jednak Brad dał mi fory.

Ponieważ uważa, że lepiej ode mnie wie, czego mi potrzeba.

1 Człowiek ze ściany — aluzja do postaci z filmu *The Wall Man*.

Rozdział dwudziesty siódmy

Tim

Puk. Puk. Pukpukpukpukpuk.

Ledwie się rozwidnia. Zanim otworzę drzwi, wiem, że to Jase. Kto inny mógłby wstać o tej porze, jeśli nie przedsiębiorczy nastoletni tata jak ja lub facet o nieludzkim planie treningowym, na dodatek roznoszący gazety. Kiedy z rozmachem otwieram drzwi, opiera przedramię o ościeżnicę i masuje sobie biodro.

Ja trzymam dziecko na ramieniu.

To jedna z tych chwil, kiedy jestem przekonany, że to musi być sen, bo to nie moje życie. Chcę je przewinąć i zacząć od nowa. W tej chwili Cal zaczyna się wiercić, Jase wyciąga rękę, żeby go podtrzymać, patrzy mi w oczy.

— Jedziesz ze mną?

To dlatego przypuszczała, że już nie śpię. Po wypadku ojca, kiedy Samantha na trochę się od niego odsunęła, wyrobiliśmy sobie pewien zwyczaj: raz lub dwa razy w tygodniu Jase podjeżdżał pod dom moich rodziców i zabierał mnie ze sobą w trasę, po której rozwoził gazety. Ja wrzucałem gazety po swojej stronie. Często w ogóle nawet nie rozmawialiśmy. Jeśli nawet, to o strachu George'a przed tsunami lub nowej dostawie farby do sklepu żelaznego, lub o tym, jak się pozbyć stopy atlety.

Wyjmuje fotelik z mojego samochodu, wpina go do swojego. Podjeżdża na stację benzynową i zamawia dwie duże czarne kawy dla mnie; nawet nie musi mnie pytać. Rzuca mi paczkę ciastek i jabłko.

— Mama się martwi, że nie dojadasz.

— Jasne, a skoro karmię piersią, muszę dbać o odżywianie.

Jase szczyrzy się i skręca w prawo na wyjeździe ze stacji.

— Boże, Tim. Czy miałeś zamiar wspomnieć mi o tym, zanim ja albo mały pójdziemy na studia?

Wjeżdżamy na ulicę Caldicott; Jase wskazuje głową moje okno — moja kolej na wrzucanie gazet. Celuję w ganek; gazeta ześlizguje się i o mało nie spada na bok.

— Zbierałem się. Nawet nie chodzi o to, że bałem się waszej reakcji, tylko...

— Jestem już tak zmęczony udawaniem.

Mruży oczy, celuje gazetą w ganek po drugiej stronie, rzuca znacznie dalej niż ja. I owszem — idealnie trafia w wycieraczkę.

— Gdybyś pozwolił mi użyć rakiety tenisowej, też bym tak trafił.

Zeszłego wieczoru tyle się namachałem rakieta w Hodges, że ramię mnie rozboleło i nie byłem w stanie go unieść. Poszedłem za Jakiem na spotkanie, potem

do niego i zjadłem jakieś dziesięć talerzy makaronu z pulpetami, podczas gdy Jake i jego partnerka na zmianę podawali sobie Cala, jakby to była najbardziej pożądana karta z baseballistą (podobno to karta z portretem Honusa Wagnera z 1909 roku — Jase to fanatyk baseballa).

— Na pewno. — Jase podjeżdża pod kolejny dom. — W dzieciństwie Samantha, Nan i ja nazywaliśmy go Domem Białej Czarownicy, gdyż całe podwórko przed domem wypełniają posągi lwów, koni wspinających się na tylne nogi i jeźdźców, poza tym stoi tam fontanna z sikającym chłopakiem.

Mijając kolejne cztery domy, nie odzywamy się ani słowem. Jase strzela gumą cyjankową. Ja trzema wielkimi łykami kończę pierwszy kubek gorącej kawy, pochłaniam jedno ciastko, wciskam guziki radia, przerzucam stacje, aż w końcu Jase wyciąga rękę i wciska wyłącznik. Taki mały rytuał.

Jase nie ma zbyt wielu nerwowych nawyków, teraz jednak zagryza wargi i poprawia się w fotelu, jakby pod postrzępioną skórą krył się drut kolczasty i rozżarzone kamienie.

— Co tam? — pytam, wbijając wzrok w przestrzeń przed sobą.

— Chciałbym, żeby życie bardziej przypominało piłkę. — Rzuca kolejną gazetę.

— Ale wtedy szłoby mi jeszcze gorzej.

— Tak, ale... no wiesz, zasady byłyby jasne — śmieje się nieprzekonująco.

— To chaos, ale pod kontrolą. Masz trochę dyscypliny, używasz mózgu, przede wszystkim myślisz o drużynie, i wtedy wszystko się układa — wzdycha. — Od wypadku taty wszystko się kompletnie rozsypało.

Szukam jakichś mądrych słów.

— Owszem, kiepsko wyszło.

Fatalnie.

— Ale — dodaję — chyba się jakoś układa. Zobacz: trenujesz, grasz, chodzisz na zajęcia. Reszta rodziny... jakoś idzie, prawda?

Boże, teraz ja go proszę, żeby mi potwierdził, że wszystko jest w porządku.

— Mama i tata powtarzają tylko, żeby robić dalej to, co zwykle. Codziennie po obudzeniu staram się ustalić, co jest najważniejsze. — Jase trochę zbyt mocno naciska pedał gazu, przejechaliśmy obok domu, do którego mamy dostarczyć gazety. Jase wrzuca wsteczny, cofa i ciska gazetę na werandę.

Kolejne genialne trafienie.

— Stypendium? Samantha? Sklep? Oceny? Próba zapanowania nad tym, co się dzieje w domu? I co będzie za rok, zakładając, że dam radę pójść na studia. Czy do tego już się w domu poukłada? A jeśli nie, czy naprawdę będę mógł sobie po prostu pójść?

— Rozmawiałeś o tym z tatą?

Jase podaje mi dwie gazety i wskazuje najbliższy dom.

— Para, która tam mieszka, kłóci się o gazety. Kiedyś stali na werandzie i praktycznie wrywali ją sobie z rąk. Teraz dają im jedną za darmo. Tata i mama mówią, żeby się skupić na szkole i piłce. Ale sklep jest...

I nagle zaczyna mówić: sklep Garrettów ma olbrzymie kłopoty, które narastają w szybkim tempie. Pożyczki z banku do spłacenia, za małe przychody, brak pieniędzy, żeby zatrudnić pracownika na zastępstwo. Gdzie jest Joel? Problemy medyczne pana Garretta. Sprawy piłkarskie Jase'a. Alice, co planuje Alice?

W połowie ostatniego, urywanego zdania unoszę dłoń, czego Jase nawet nie zauważa, gdyż zatrzymał samochód i wyrzuca z siebie zdania z głową opartą o siedzenie, z zamkniętymi oczami, jakby wypowiedzenie tego wszystkiego było paskudnym lekarstwem, które jednak musi przełknąć.

— Chwytam, Jase. Mogę popracować w sklepie, nie ma problemu. W końcu i tak nie mam nic innego do roboty.

Jase wybucha śmiechem.

— Pewnie. Dla ciebie życie to jedna wielka impreza... a fakt, z wyjątkiem jego — kciukiem wskazuje tylne siedzenie.

— Przecież mogę go zabrać do pracy. On jest przenośny i waży mniej niż twoja torba na siłownię. Poza tym będzie tu tylko kilka tygodni, może miesiąc. A potem zniknie. — Przy tych słowach słyszę lekki szelest z tyłu; Cal się wierci, zawiadamiając o swojej obecności.

Jase przygląda mi się przez moment.

— Miesiąc, co? A po co tak długo czekać? Można go podrzucić gdziekolwiek.

Śmieję się.

— To ty musiałbyś go podrzucić, ja na pewno nie trafiłbym we właściwe miejsce.

Rzucam okiem za siebie. Mały strącił sobie koc z nóg. Nie lubi być przykryty. Zaraz pozbędzie się skarpetek.

Jase wylicza kolejne sprawy, którymi powinienem się zająć: spotkania, przygotowanie do egzaminów — a ja strącam je jak cele w tych grach wideo, za którymi Andy i Duff tak przepadają: *Asy przestworzy* czy jak się to nazywa.

— Nie musicie mi płacić. Wciąż mam kieszonkowe, a naprawdę mocno ograniczyłem wydatki, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

W każdym razie do grudnia będę je dostawał. A na długo przed nowym rokiem Cal zniknie z mojego życia i będę mógł zapomnieć o tym rozdziale. A może zrobię wrażenie na ojcu swoją inicjatywą... samodzielnym uratowaniem upadającego sklepu — na pewno to będzie wyglądało lepiej niż „nie zaczął pić” albo „spłodził syna”.

— A tamtej nocy? — pyta Jase, schylając się do moich stóp, gdzie leży

kolejny stos spakowanych gazet. Wyciąga scyzoryk, żeby przeciąć taśmę.

A, to. No tak.

— Spięprzyłem — przyznaję. — Ale nie całość.

Zaciska usta i przez moment dziwnie przypomina Alice. Wrzuca bieg i powoli mija kilka kolejnych domów. Usiłuję się czegoś domyślić z jego profilu, ale ma teraz twarz pokerzysty i minę mówiącą: „Ja jestem tylko sportowcem”. Rzuca kolejną gazetę — kolejny idealny rzut nawet bez starania — i cholera wie czemu, ale wyraźnie widzę w nim wściekłość rozgrzaną do białości.

Kulę się w siedzeniu, mamrocząc:

— Ciężko wyjaśnić to wszystko komuś, kto nigdy nie popełnia błędów. Facetowi, który naprawia wszystko. „Napisz, jeśli przepychacz się zepsuje”.

Jase zwija w pięść dłoń na kierownicy i zaciska zęby. Przez moment patrzy prosto przed siebie, a potem zaczyna mnie opieprzać, cicho i ze złością.

— Przestań. Nie potrafię nawet z tobą rozmawiać, kiedy pieprzysz takie bzdury. Mam wtedy wrażenie, że chowasz się do jakiegoś kąta poza czasem i robisz z siebie biedne stworzenie, którego nikt nie rozumie. Chyba znasz mnie na tyle dobrze, żeby nie wciskać mi tych kitów. Uważasz, że ja zamieniam wszystko w złoto? Boże, Tim, chciałbym.

Mam wypieki na twarzy.

— Przepraszam, ja...

— Nie przepraszaj. Tylko bądź... tutaj. A nie w jakimś bagnie w głowie. — Przesuwa dłońią po twarzy. — Chcesz przykłady moich błędów? Proszę bardzo, mam ich mnóstwo. — Obraca się ku mnie, opierając łokieć na zagłówku. — Jak się okazuje, już parę miesięcy temu powinienem był zrobić filmik z moich najlepszych zagrań i wrzucić na YouTube, żeby trenerzy mogli je ocenić. To procedura stypendialna. Nie zrobiłem tego. Nikt mi o tym nie powiedział, a ja byłem za głupi lub miałem za dużo na głowie lub nie wiem co, ale sam na to nie wpadłem. Przecież wszystkie szkoły, które mogłyby mnie przyjąć, nie przyślą skautów do Stony Bay w Connecticut. Ale nie myślałem o przyszłości. A przy okazji... Sam i ja niemal... eee... — Jego twarz przybiera odcień głębokiej, ciemnej czerwieni. — Byliśmy na ognisku i... nie miałem...

— Aha — podsuwam. — Okropne.

— Mama Sam na pewno bardzo by się ucieszyła, prawda? Gdybym nie mógł pójść na studia, a następnym razem dziecko na tylnym siedzeniu byłoby moje? W głupi sposób zaprzepaściłbym przyszłość swoją i Samantha — mówi gorzko.

Zapewne właśnie tego się spodziewa. Dla matki Samantha jest tylko jednym z „tych Garrettów”, jak ja dla swojej rodziny jestem Timem, który zawsze coś zmaluje.

Zapada cisza, podczas której próbuję znaleźć słowa na wypowiedzenie tego, jak mi przykro, ale w taki sposób, żeby to miało znaczenie. Jase zwija z dziesięć

kolejnych gazet i z trzaskiem spina je gumkami.

— Mam rację, prawda? — odzywa się w końcu. — Znasz ją lepiej niż ja, ale...

— Masz rację, zapewne tego się spodziewa — przyznaję. — Dam ci radę: jeśli już masz coś spieprzyć, przynajmniej nabij sobie punktów za twórcze podejście. Zrób to w sposób, jaki starej dobrej Gracie nawet by nie przyszedł do głowy. Nie dawaj jej tej satysfakcji.

Uśmiecha się szeroko; jego gniew znikł bez śladu. Jak on to robi?

— To było naprawdę fatalne. Czuję się winny, Sam też. Kiepski tydzień za nami. Poza tym mama nad nią pracuje, ciśnie o coś, nie wiem jak, gdzie i dlaczego. Kiedy tylko pytam, Sam zmienia temat.

— Na pewno masz sposoby, żeby z niej to wyciągnąć — mówię łagodnie. Jase się krzywi. — Nawet jej nie powiedziałem tego, co tobie. W tym tygodniu ma kwalifikacje do drużyny...

— Garrett, te brednie o chronieniu się nawzajem nie sprawdzają się między wami. Daj spokój.

Podaje mi gazetę, a ja rzucam ją na oślep — ląduje w krzakach. Muszę wysiąść i ją przenieść. Trzaśnięcie drzwi samochodu budzi Cala, który zaczyna wrzeszczeć.

Jase zjeżdża na bok, wyciągam dzieciaka z samochodu i zaczynam głaskać po plecach. Oby nie był głodny, bo zapomniałem zabrać butelkę, torbę z pieluszkami i całą resztę. Wsuwam mu w usta kostki palców, mały zaczyna ssać, wydając z siebie głośny bulgot.

— Alice rzuciła się na ciebie pewnie dlatego, że wszystkie te problemy z tatą zaczęły ją przytłaczać — mówi Jase, posyłając mi spojrzenie z ukosa. Cal zaciska pięści na mojej koszuli i znów je rozluźnia, a ja skupiam się na prostowaniu jego drobnych palców i uwalnianiu się od niego. Twarz zalewa mi nagle fala gorąca, uszy mi płoną.

— Eee... co? — Alice na pewno nie opowiedziała bratu, co się stało na plaży... prawda?

Cholera, a czy ja powinienem mu powiedzieć? Ale nie ma o czym mówić. Ja i Alice — w tej chwili nie ma czegoś takiego.

Wsadzam Cala do samochodu i wsiadam sam.

— Zaatakowała cię też z powodu Cala. — Jase przerzuca biegi, wjeżdżamy w Shore Road, robimy pętlę wzdłuż rzeki. — Zazwyczaj nie obarcza ludzi poczuciem winy. Ostatnio jest mocno rozdrażniona.

To nie jest moment, żeby myśleć o Alice. W jakikolwiek sposób.

Jase skupia się na drodze, chociaż jest prosta jak drut, a my wleczeni się trzy kilometry na godzinę. Odchrząkuje.

— Może to nie najlepsza pora, żeby... żeby coś z Alice zacząć.

— No co ty?! A ja chciałem zaciągnąć twoją siostrę do łóżka, zrobić jeszcze jedno dziecko i wprowadzić się razem do mieszkania nad garażem. Czy to nie jest świetny pomysł?

— Mase, odpuść sobie bycie palantem. Znam Al na tyle dobrze, że wiem jedno: nikt nie zbliży się do niej bez pozwolenia. Zresztą dajmy spokój. Nie wiem, po co w ogóle zaczynałem.

— Dobra, nic wielkiego się nie stało. Ale Jase, rany, opowiedz Samancie, co się dzieje. Ukrywanie naprawdę złych rzeczy to sposób na życie Masonów, a wierz mi, to bilet w jednym kierunku do krainy po drugiej stronie lustra, w której góra to dół, a złe to dobre.

I jakby na potwierdzenie tego, co właśnie powiedziałem, zauważam postać stojącą na trawniku trzy domy dalej; ma na głowie kaptur, ramiona zgarbione w ochronie przed podmuchami wiatru od rzeki, jedna ręka zakręca kosmyk włosów, nieco jaśniejszych, lecz niewątpliwie podobnych jak u Cala. Nano. Tuż przed nią, niedbale oparty o starego quada plażowego, z długimi włosami rozwianymi przez wiatr — stary dobry Troy Rhodes.

Widzę, jak klepie ją po plecach dłonią od mojej strony, ale nie widzę — czy drugą ręką wsuwa jej coś do kieszeni kurtki? Cholera, cholera, cholera.

Schylam się.

Jase spogląda na mnie nieco zdziwiony.

— Chcesz się położyć na podłodze i poprosić, żebym przejechał obok? Co się stało z proklamowaną otwartością?

— Rób, jak mówię, a nie jak robię. Jedź.

Rozdział dwudziesty ósmy

Tim

Przez kolejny tydzień udaje mi się uniknąć Alice, a w ekstremalnych przypadkach, kiedy już musimy, mijamy się jak dwoje obcych sobie ludzi — na przykład wtedy, kiedy zastawię jej samochód lub wychodzę pomóc jej wyładować zakupy, chociaż mówi, że sama sobie poradzi. W dni, kiedy nie opiekuję się Calem, biegam po plaży i widzę ją z dala — pewnie przychodzi ochłonać. W głowie przewijam sobie wciąż filmy godne największego palanta: ona się przewraca, ja muszę zanieść ją do samochodu i... tutaj moja wyobraźnia się zatrzymuje, gdyż w chwili, kiedy docieram do garbusa, przewijam film i przypominam sobie ten dzień na plaży, myślę o wszystkim tym, co mógłbym zrobić — albo nawet powiedzieć — gdybym na pewno wiedział, że to moja jedyna szansa.

Alice

Przez kolejny tydzień prawie nie natykam się na Tima. Manewry wymijające to moja nowa ulubiona rozrywka. Nie liczy się nauka, zmiany w szpitalu, tony papierów, które idą za tatą przenoszącym się na oddział rehabilitacji, kumulujące się i niezapłacone rachunki za szpital. Uciekam, jakby goniło mnie stado gepardów, z zaskoczonym Bradem gram w baseball, jakbym trenowała do zawodów, zajmuję się rodzeństwem jak Mary Poppins¹ na amfie. Czekam, aż pojawi się Tim z Calem i poprosi o pomoc, ale go nie widać. Czekam, czy przyzwyczaję się do widoku Tima wchodzącego po schodach z fotelikiem, ale nie. Kiedy przy zmywaniu naczyń wyglądam przez okno w kuchni, mam wrażenie, że widzę go na schodach, ale ponieważ nigdy nie zapala światła nad drzwiami, a nie widzę ognika papierosa, może to być tylko cień. Nastął pochmurny, deszczowy wrzesień, chłodny jak na Connecticut, i czasami mam wrażenie, że ostatnio słońce świeciło tamtego dnia, który spędziliśmy razem na McNair Beach.

*

— Al — odzywa się Andy; jej głos płynie w ciemności naszej sypialni, ledwie oświetlonej nocną lampką, jedną z kilku rzeczy, na które obie się zgodziłyśmy w trakcie remontu dwa lata temu.

— Mhm?

— Kiedy widzę Kyle'a na korytarzu...

— No nie, Ands, tylko nie Kyle.

— Kiedy widzę go na korytarzu — ciągnie uparcie — czy powinnam go ignorować? Tak wyraźnie? Odwrócić wzrok i zrobić minę albo patrzeć na niego

wyzywająco?

Szczerze, naprawdę nie pamiętam, na jakim odcinku skończyła się saga o Kyle'u — pamiętam tylko, że albo gra, albo o niczym nie pamięta. Nieważne, i tak to nie jest chłopak dla Andy.

— Po prostu zajmij się swoim życiem. Nie gap się na niego, bo uzna, że ci na nim zależy.

Siostra wzdycha.

— No bo chyba mi zależy.

— Nie wkładaj mu broni do ręki. Naprawdę. Nie warto.

Własnej siostrze udzielam mądrych porad, a co sama robię z Timem?

Chyba jednak mi zależy.

*

— Kochanie, wróciłem.

Chciałam tego, obawiałam się, wiedziałam, że nie można tego uniknąć — no i proszę: razem z Timem pracuję w sklepie Garrettów.

Wchodzi Tim, udaje się na zaplecze, niosąc dużą filiżankę herbaty z nałożonym na nią muffinem jagodowym. Oprócz kawy ma z sobą rzeczy dla dzieci, Cala w foteliku i zatłuszczoną torbę z brązowego papieru. Podaje mi ją, a resztę zwała na ladę — oprócz Cala.

A ja, to kompletnie bez sensu, na jego widok czuję zalewającą mnie falę czystego szczęścia. Tim ma krótsze włosy, świeżo przystrzyżone. Ma na sobie oliwkowy T-shirt, który wydobywa blask jego włosów, oraz znoszone dżinsy. Wygląda na nieco mniej zagubionego; stawia fotelik Cala z dziwną wprawą i pewnością siebie.

Macam w poszukiwaniu okularów taty do czytania, których używam, siadając za biurkiem, dodając liczby i tworząc listy. Kiedy wsuwam je na nos, Tim staje się zamazaną plamą; widzę tylko jego szelmowski uśmiech.

— Hej, Alice.

Fala szczęścia nadal mnie omiata, odbiera mi oddech, gdyż nie mogę wypowiedzieć ani słowa. Spuszczam wzrok. Bazgrzę „uzg. wiz. u okulisty” na liście rzeczy do zrobienia.

— Wegańskie burrito śniadaniowe z Doane's. Nie miałem pojęcia, że je robią. Oni chyba też byli zaskoczeni.

Na szczycie listy wpisuję datę. Nie podnoszę wzroku, jestem przecież bardzo zajęta.

— No i przyszedłem ocalić świat. Możesz iść. — Przygląda mi się z przekrzywioną głową, uśmiech poszerza się na widok okularów. — Aha, image bibliotekarki. Klasyka musi mieć swój powód.

Fala szczęścia opada, zostawiając za sobą mieszaninę gniewu i smutku, gdyż

znów wystarczył jeden drobiazg — stłuczka samochodowa, dziecko — by zmienił się cały krajobraz wokół. Wciąż się potykam o sprawy, które znajdują się w innym miejscu, niż się spodziewałam.

Spoglądam na niego znad okularów.

— Czyli pogrywamy w ten sposób?

Tim podaje mi kawę — jak się okazuje, to największa mokka z cynamonem, moja ulubiona.

— Gość w Doane's chyba pamiętał, że to lubisz. Miał swoje powody. Założyłem, że będziesz chciała największą.

— Nie próbuj mi tu stosować uników. Jestem odporna. — Hipokryzja na całego, ale chyba nie potrafię przestać. Pod biurkiem zaciskam dłonie w pięści.

Tim wzdycha, opiera się biodrem o krawędź biurka, po czym przesadnie cierpliwym tonem mówi:

— W co pogrywamy, Alice?

— Czy możemy się zachowywać tak, jak przedtem? Jakby on... Calvin... nie istniał.

— To by było trudne, nawet z moją wprawą w wypieraniu rzeczywistości, bo przecież Cal siedzi tu, pod nosem. Masz jakiś lepszy plan? No to wal.

Prawda sama wylatuje mi z ust.

— Chętnie bym walnęła ciebie.

— Wiem, czułem to podczas naszej ostatniej rozmowy. Na pewno. No to ustawiaj się w kolejce, do cholery. — Wciąż wyluzowany opiera się na biurku, ale głos ma ostrzejszy.

Zdejmuję okulary, przecieram dłonią oczy, wbijam wzrok w listę przed sobą, jakby w moim świecie tylko ona się liczyła.

— Alice, jeśli na to liczysz, to nie zniknę w obłoku dymu, gdy zamkniesz oczy. Jestem tutaj. Czyli... tutaj. Ale ty nie musisz tutaj być. Idź się ucz. Stosuj sztuczne oddychanie. Wbijaj szpilki w moją lalkę wudu. Cokolwiek musisz robić. Jesteś wolna, dzisiaj ja pracuję.

— Ja też.

— Alice — mówi — nie musimy tu być oboje.

— Ale jesteśmy. Więc zachowujmy się jak cywilizowani ludzie, dobrze? — Znów wsuwam okulary na nos i unoszę podbródek, żeby mi nie zjechały.

Tim wybucha śmiechem i mi salutuje.

— Jak pani sobie życzy, pani profesor.

Nie zwracam na niego uwagi, chociaż policzki mi płoną, a dłoń nagle zaczyna swędzieć, żeby go walnąć. Nigdy dotąd nikogo nie uderzyłam, nawet Joela.

— W sumie masz rację — wydobywam z siebie z trudem. — W tej chwili w sklepie nie potrzeba dwóch osób. Możemy opracować grafik i jakieś zasady.

— Znów zasady. Żyjesz zasadami. To skutek bycia pielęgniarką czy najstarszą córką?

— To kwestia praktyczna — odpowiadam. — Zakładam, że ułożyłeś sobie z Hester jakiś grafik?

— Jeśli zasada „bierz dziecko, kiedy ja mam wszystkiego dość” się liczy, to tak.

— Skoro nie masz nic innego...

Tim rozkłada ręce.

Szkicuję plan, uwzględniając zajęcia i praktyki — może ktoś zgodzi się robić dla mnie notatki — wtedy dam radę to wszystko pogodzić. Potem planujemy dni pracy Tima.

— Czyli cztery dni w tygodniu, zmiany ranne i popołudniowe — kończę. — Dostawa jest w poniedziałek i piątek, więc gdyby ci się udało nie brać wtedy Cała...

— Godziny pracy się nam nie nakładają, Alice?

— Chyba nie jest to potrzebne?

— To zależy, o jakiej potrzebie mówimy. — Znów ten durny uśmiezek.

— Zawodowej, ty dupku.

— Alice powiedziała brzydkie słowo! — śpiewa.

Rzucam długopis, pochylam się i kładę dłonie płasko na blacie, żeby nie uderzyć Tima.

— Powiedz mi coś, chłopcze z sąsiedztwa. Dlaczego zamieniasz się w kompletnego idiotę i plujesz sarkazmem akurat wtedy, kiedy całkowicie się mylisz?

W chwili, kiedy wypowiadam te słowa, uświadamiam sobie, że posunęłam się za daleko.

Tim otwiera usta, zamyka je, spogląda na sufit, odwraca się, by odejść. Zatrzymuje się, wraca, schyla nad biurkiem i ciężko opiera o nie łokcie.

— Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, zgadza się. Ale ty nie jesteś moim sędzią ani sponsorką, ani ojcem. Chcesz poprzestać na kontaktach zawodowych? W porządku. Nawet nie jestem pewny, co przez to rozumiesz, ale dla mnie to oznacza unikanie przytyków osobistych. Nie tobie to zrobiłem, nawet nie sobie. Zrobiłem to Hester i temu dzieciakowi, a zwłaszcza jemu. Więc moją pokutą czy też moją karą — jeśli tego właśnie szukasz — jest zajmowanie się nim. I to właśnie zamierzam teraz zrobić. W sklepie od frontu. I tam mnie znajdziesz, jeśli zechcesz podjąć naszą zawodową rozmowę o dostawach. Zresztą już o nich wiem, gdyż przepracowałem tu całe lato, a zapominam tylko wtedy, kiedy się spiję, co w tej chwili akurat nie wchodzi w grę. Chociaż jeśli chciałabyś zabrać mi kluczyki, to proszę bardzo.

Bierze fotelik i idzie sztywno do drzwi.

— Już mi dałeś swoje kluczyki! — wołam za nim.

*

Trzy godziny później w sklepie wciąż panuje martwa cisza. A między nami wisi ciężkie powietrze. Wydawałoby się, że nie można tak całkowicie unikać drugiej osoby na przestrzeni siedemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych, ale nam się to udaje. Na zapleczu otwieram pudła z dostawą nowych produktów, macham nożykiem do rozcinania pudeł, machnięciem ręki odpędzam Tima.

Chłopak cofa się z kamienną twarzą.

Podczas gdy ja wykładam towar na półki, on siedzi za ladą, ucząc się trygonometrii, karmi Cala, bębni pokrytymi bąblami palcami o udo, przewija Cala, gryzie kciuk, jedną stopą kołysze fotelik samochodowy — ma na sobie buty ode mnie — i jednocześnie marszczy brwi nad podręcznikiem, a co jakiś czas podskakuje, żeby dolać sobie kawy do kubka.

Powtarzam sobie w myślach i przerabiam kilka prostych słów, które chcę powiedzieć, lecz one jakoś nigdy nie wychodzą z moich ust. Trzy słowa: „Myliłam się. Przepraszam”. Za każdym razem, kiedy odwracam się w stronę Tima, on od razu zaczyna się zajmować czymś innym. A przecież tutaj naprawdę nie ma aż tyle do roboty, uwierzcie.

Gdy wracam po tym, jak zupełnie niepotrzebnie poszłam po pocztę, zastaję go, jak śrubokrętem próbuje podważyć szufladę naszej zepsutej kasy i ją otworzyć — co nie ma sensu.

— Nie przejmuj się tym.

Mamrocze coś pod nosem.

— Mogę przynajmniej to naprawić.

Znów wsuwa śrubokręt. Naprawdę próbuje. Cal popiskuje, Tim z roztargnieniem kołysze siedzisko, wciąż walcząc z kasą.

Próbuje.

— Słuchaj — mówię — byłam...

Spogląda na mnie, potem odwraca wzrok, mięśnie na szczęce drgają mu tym ruchem, który tak się podoba w rozgniewanych chłopakach. Potem odwraca się do mnie plecami — i to dosłownie plecami — i dalej wpycha śrubokręt do kasy. Dobrze, że nie wbija mi go w głowę.

— Tim... — zaczynam znów.

Dalej grzebie w kasie odwrócony do mnie plecami.

— Nieważne.

*

Brad wpada do sklepu po ostatnie wskazówki przed rozmową o pracę jako instruktor na siłowni na część etatu. Tim rzuca mu wrogie spojrzenie znad książki

do wiedzy o społeczeństwie, w której zakreśla fragmenty różnymi kolorami, podczas gdy ja podaję Bradowi grzebień, czyszczę mu płamę na rękawie i tak dalej. Tim tak mocno zjechał w fotelu, z nogami opartymi na ladzie, że Brad nawet go nie zauważył.

— Cmok na szczęście, Liss? — mówi, unosząc kołnierzyk koszuli.

Odwijam ją z powrotem.

— Pamiętaj, żeby zwracać się do szefa pełnym imieniem, w czasie rozmowy nie jesz big maca.

— Zapomniałaś włożyć mu kartkę z uśmiechem do pudełka z lunchem — odzywa się Tim, nie unosząc wzroku znad książki, kiedy za Bradem zamykają się drzwi.

Tim

— Nans, potrzebuję cię — mamrocze do komórki, wyszedłszy na przerwę i przycisnąwszy się na ganku od tyłu.

Moja bliźniaczka natychmiast zaczyna piszczeć.

— Po co? Mam ci wpłacić kaucję?

— Jezu, Nan, kiedy dotąd potrzebowałem kaucji?

— No nie wiem. Od tygodni cię nie ma, ledwie się odzywasz. Pomyślałam... nie wiem — wzdycha.

— Ja też się stęskniłem. Boże! Słuchaj, czy możemy się spotkać?

No tak, ale gdzie? Nie jestem gotowy puścić rodzicom kolejnego odcinka telenoweli *Masonowie: nowe pokolenie rodziców*.

— A co porabiają mama i tata?

— Kto wie. Mama cały czas coś sady z tym swoim klubem ogrodniczym. A tata... wciąż jest zajęty. O szóstej wraca do swojego biura domowego i kima w fotelu. Możesz bezpiecznie tu przyjechać, chyba że wolisz się spotkać w garażu podziemnym czy podobnym miejscu.

Śmieję się.

— Nie tylko nie potrzebuję kasy na kaucję, ale też nie zostałem agentem wywiadu. Mogę wpaść na chwilę w czasie obiadu?

— Dlaczego? Po południu mam spotkanie w Key Club, chciałam iść do biblioteki i... — Te wszystkie gadki o telepatycznej łączności między bliźniakami to bzdury, ale jej głos znów nerwowo się wspina na wyżyny. Czyżby wyrzuty sumienia?

— Odpuść Key Club, to naprawdę ważne.

Zapada cisza, w której słyszę jej lekko przyśpieszony oddech.

— Jestem w domu — mówi po prostu. — Wejdz, kiedy chcesz.

Alice

Kiedy Hester wchodzi do sklepu, nawet nie słyszę dzwonka, jakby zmaterializowała się nagle w środku, obok narzędzi ogrodniczych.

Kiedy unoszę wzrok i rzucam na nią spojrzenie, widzę, że przypatruje mi się spod ściągniętych ciemnych brwi.

— A, to ty. Nie rozpoznałam cię bez bikini.

Mierzymy się wzrokiem jak przed egzaminami śródsesemestralnymi. Jest wysoka, ma dość długie, jasnobrązowe włosy, nosi raczej zwykłe, staromodne ciuchy: niebieską spódniczkę, biały T-shirt z długim rękawem i jasnoniebieski sweter. Prawie jak mundurek szkolny. Ma też staromodną urodę, twarz w kształcie serca, słodką, jak ze zdjęcia w starym medalionie. Usiłuję ją sobie wyobrazić z Timem, ale nawet na tym nie potrafię się skupić. A właściwie po co ja to robię?

Co dziwniejsze, ona zagryza wargi i w myślach przerabia to samo co ja?

Przerwa.

— Gdzie Tim? Gdzie dziecko? — Rozgląda się wokół nieco gorączkowo, jakby przed chwilą sama ich zabiła.

— Cał jest tutaj.

— To Calvin — poprawia. — Tak mu dałam na imię. Od Calvina O'Keefe².

— *Z Faldki czasu* — odpowiadam. — Mój pierwszy chłopak książkowy.

— Też go kochałam — odpowiada Hester. — To oczywiście. Był takim mózgowcem, poza tym podobała mu się ta niezręczna dziewczyna. I jeszcze...

— Miał rude włosy — kończę.

O Boże, czyżby zakochała się w Timie?

Hester unosi dłoń do gardła i pociąga za naszyjnik — prosty złoty łańcuszek z jedną perłą.

— Czy... czy ty i Tim...

— Jestem jego koleżanką. — Chociaż nie wiem, czy w tej chwili to prawda. — To wszystko.

— Ja... — jąka się. Nic dziwnego. — Jestem matką Calvina. Jak widać. To znaczy... oczywiście już o tym wiesz. Myślałam, że Tim na mnie czeka, spóźniłam się tylko pół godziny.

Obie rzucamy okiem na zegar, co przynajmniej przerywa nasze wzajemne wpatrywanie się w siebie.

— Właściwie to on też się spóźnia. — Czuję, jak po kręgosłupie przebiega mi dreszcz niepokoju. Zostawianie Cala samego na dłuższy czas jest niepodobne do Tima, który najwyraźniej postawił sobie za cel nie prosić o pomoc przy dziecku. Przed przerwą na lunch musiałam go przekonywać, żeby zostawił w sklepie śpiącego Cala.

Wtedy jednak Tim zaczął mi tłumaczyć, co zrobić, jeśli mały się obudzi — gadał więcej niż przez cały dzień.

— Słuchaj, skoczę szybko na zakupy, potem muszę jeszcze coś załatwić, ale

to potrwa niedługo. Hester może tu być w każdej chwili. Mały zawsze trochę panikuje, kiedy się obudzi i nie widzi nikogo obok, musisz go od razu wziąć na rękę, bo zacznie marudzić i... — przerywa. — Na pewno wiesz, co robić.

Czy mam powiedzieć Hester, żeby obudziła Cala i sobie poszła? Czy mam nalać jej kawy i zacząć pogawędkę o książkach?

— To... od dawna znasz Tima? — Dziewczyna znów bawi się naszyjnikiem.

Przerywa w pół zdania, a zza lady rozlega się zachłyśnięcie, jakby ktoś gwałtownie wciągał powietrze, a potem przeszywający krzyk. Dziewczyna prawie podskakuje do sufitu.

Śpieszę do Cala, który już poczerwieniał, oczy ma we łzach, a nogi usztywnione.

— Pssst... już cię biorę — szepczę mu do ucha. Mały niucha, objając mi policzek główką, potem opiera się o mnie i wkłada mi piąstkę we włosy. Trzymam go, kołyszę się do przodu i tyłu, a on szlocha cicho, po niemowlęcemu, trzęsąc się przy tym. Hester patrzy na nas przez chwilę.

— To norma. On płacze na okrągło.

Mnie się wydaje dość spokojny, ale to nie ja przebywam z nim dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Hester bierze dziecko z westchnieniem, jedną ręką zaczyna grzebać w torbie z pieluchami, kiedy wraca Tim, pogwizdując, z białym tekturowym pudełkiem jedzenia z Esquidero's. Pudełko ma tłuste plamy i rozsiewa wokół ciężki, ostropikantny zapach charakterystyczny dla tej knajpy.

Hester podaje mi Cala.

Biorę go na rękę, szczerze mówiąc, ogłupiała. Dziewczyna po prostu podrzuciła mi go jak gorący kartofel.

Teraz zalewa słowotokiem Tima.

— Bardzo ci dziękuję, że tak długo się nim zajmowałaś. Naprawdę uratowałaś mi życie, a przynajmniej rozum.

Tim kiwa głową, nie odzywając się ani słowem, spogląda na mnie, twarz ma nieodgadnioną.

— A przechodziłeś kiedyś choroby weneryczne? Zapomniałam zapytać, jak ostatnio rozmawialiśmy — mówi dalej Hester.

Brwi podjeżdżają mi aż do włosów. Tim, który wyciągnął z pudełka frytkę, zanosi się kaszlem.

— Eee... nie? — odchrząkuje i powtarza już nie jak pytanie: — Nie.

— Skończyłeś wypełniać formularz o przebytych chorobach? Jak najszybciej musimy go przesłać.

— Wysłałem ci go e-mailem wczoraj wieczorem. Ja zrobiłem już wszystko, więc powinniśmy być w stanie z tym ruszyć, prawda?

— Aha. Dobrze. To dobrze. Tak.

Rozmawiają jak uprzejmi nieznajomi w windzie. Ale w tym wszystkim jest jednak Cal z włosami Masonów i szeroko otwartymi, niewinnymi oczami Hester.

— Włóż go do koszyka. Dzięki, Alice — mówi szybko. Głos ma ochrypły, jakby codziennie wypalała paczkę papierosów, chociaż wątpię, żeby w jej przypadku była to prawda.

Następuje chwila dziwnego zamieszania: Tim, przenosząc zirytowane spojrzenie z Hester na mnie, zabiera mi Cala, podaje go Hester, ona wkłada go do koszyka, prostuje się, spogląda na nas kolejno, po czym skupia się na Timie.

— Mój dziadek naprawdę chce cię poznać. Czy mógłbyś przyjść do nas na kolację jutro wieczorem? Albo pojutrze? Albo może... masz plany... z kimś? — Przy ostatnich słowach jej głos się podnosi, słowa zlewają się w jedno.

— Nic nie planuję, zupełnie nic.

— To dobrze. Dziadek świetnie gotuje. Więc... — Waha się, jakby czekała, aż Tim wypełni ciszę, sprawi, że nie będzie tak niezręczna.

Ale on tylko otula Cala kocem, ściera mu łzę z policzka, trąca go delikatnie kostkami palców i uśmiecha się lekko.

Hester macha mi z wahaniem, drepcze do drzwi i schyla się po fotelik samochodowy. Potem próbuje otworzyć drzwi nogą, z koszykiem w jednej ręce, fotelikiem w drugiej, oboma wali w ścianę. Cal zaczyna piszczeć najpierw cicho, potem coraz głośniejsze.

— Ożeż... — mamrocze Tim, podchodzi do koszyka, biodrem otwiera drzwi i wypuszcza dziewczynę.

Tim

Dom rodziców z zewnątrz wygląda pogodnie. Zwykle nie używam tego słowa, ale tutaj żadne inne nie pasuje. Żółte kwiaty zasadzone przez mamę kwitną wzdłuż chodnika prowadzącego do drzwi. W ogródku stoi mała figurka dziewczynki w sukience w kropki pochylonej nad konewką, innego dzieciaka w drelichu opartego o naszą latarnię, z idiotycznego powodu grającego na rogu. Figury stoją tam, odkąd pamiętam, ale farba na nich wciąż lśni. Czy mama je maluje na nowo? Cholernie dołująca myśl.

Otwieram drzwi frontowe.

— Mała?

Z salonu wypada moja siostra.

Nan wygląda całkowicie inaczej niż kilka dni temu. Nigdy się nie malowała, a teraz ma oczy pociągnięte ciemną kredką, krwistą szminkę na ustach, nosi czarny T-shirt i białe dżinsy. Włosy ma ścięte krótko, do brody.

— Nans, zmieniłaś się.

— Na lepsze, prawda? Wyglądam niewiarygodnie szykownie i wielkomięsko, a nie jak dziewczyna z zapyziałego miasteczka w Connecticut?

— Tak, jasne. Wyglądasz... — Uczciwie mówiąc, wygląda na winną. Ale to już jej przekleństwo, że zawsze ma taką minę. Mogłaby powiedzieć najszczerzą prawdę z miną największego na świecie winowajcy. Dom pachnie tak samo, stęchlizną, którą próbuje się przykryć odświeżaczem o zapachu tropikalnej bryzy. Te same fatalne stare obrazy Thomasa Kinkadego na ścianach. Siostra prowadzi mnie do salonu jak gościa.

Tutaj wszędzie widać zdjęcia bliźniaków Tima i Nan, co jedno, to gorsze.

— Na tym polega ten pomysł: nowa Nan, nowy rozdział w życiu, idę dalej — szczebiocze. Klepie poduszki, poprawia podkładki pod piwo i cały czas rozmyśla, czym się zająć.

Niemal jej nie słucham, gdyż myślę przede wszystkim, że jestem gościem we własnym domu. Jakby moje życie odsunęło się już daleko, jakbym odwiedzał muzeum, starał się nie trącać welwetowych sznurów porozstawianych wszędzie figurek Hummela, siedzenie pod oknem z obrazkiem wioski i lustrem, które ma być jeziorem, oraz kilkoma domami i oknami, które mama podłącza wieczorem do prądu, żeby zaświeciły. Zimą kładzie na dachy watę, żeby wyglądały jak przysypane śniegiem. Teraz wokół domów leżą miniaturowe dynie oraz maleńka bela siana. Może moja mama, podobnie jak ja, jak Nano, nie ma co zrobić z rękami?

— Co się dzieje? — pyta Nan.

Opadam na kanapę, opieram nogi na ławę, zrzucam na ziemię stos książek z serii *Rosół dla...* albo *Kto mi zabrał ser?*

— No, właśnie o to chodzi.

W miarę jak opowiadam kolejne szczegóły, szybko i nie szcędząc przekleństw, Nan metodycznie obdziera sobie skórki z paznokci. Kiedy kończę, wzdycha długo, z wyczerpaniem, jakby to ona musiała wszystko opowiedzieć i jest tak straaasznie zmęczona.

— Powiedz coś. No co, wołałabyś zbierać na kaucję, niż się dowiedzieć, że jesteś ciocią mojego syna?

Siostra splata palce i opiera na nich czoło.

Widzę w niej cień ojca.

Kiedy w końcu się odzywa, mówi coś, czego absolutnie bym się nie spodziewał.

— Skąd wiesz, że on jest twój?

1 Mary Poppins — bohaterka serii książek dla najmłodszych autorstwa Pameli L. Travers, opiekunka dzieci państwa Banksów, która sprawia wrażenie srogiej, oschłej i niezbyt sympatycznej, ma jednak magiczne umiejętności, dzięki którym jej podopieczni przeżywają niesamowite przygody.

2 Calvin O'Keefe – postać fikcyjna z serii książek *Time Quartet* autorstwa Madeleine L'Engle.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Tim

— Coo?

— Tim — mówi Nan z rozpaczą. — Przecież nie jesteś jedynym rudym chłopakiem w Ellery Prep. A ten Mike McClasky, z którym mieszkałeś jesienią w jednym pokoju? Ten z kolczykiem w brwiach. Skąd wiesz, że ta cała Hester mówi prawdę?

— Zaraz... myślisz, że mnie nabiera, bo jestem... nie wiem... idealnym kandydatem na ojca? Ha.

— Nie wiem. — Nan opada na sofę i sięga do szklanej miski, do której mama zawsze wrzuca gummy i żelki. Zaczyna wybierać żelki jedną po drugiej, wyliczając jednocześnie: — Nie pamiętasz imprezy. Pamiętasz ją tylko z lekcji. Nie słyszałeś nic o jej ciąży, nie rozeszły się żadne plotki.

— Wtedy nie trzeźwiałem. Skąd niby miałbym się o nich dowiedzieć?

— Z nikim nie utrzymujesz kontaktu? Ani jedna osoba nie przekazuje ci najnowszych wieści z pola walki w Ellery?

— Nie. Z tych, z którymi się spotykałem, prawie nikogo nie pamiętam, oni na pewno też mnie nie kojarzą. Nie siedzimy na czatach.

Zmartwiona mina Nan po sekundzie zmienia się w głęboko podejrzliwą.

— Tim, próbuję cię chronić. Ta dziewczyna... nie wiem, o co jej chodzi, ale coś tu mi się nie podoba.

Wrzuca do ust kilka rybek, po czym podaje mi miskę.

Kręcę głową i się wzdrygam. Żelki, fuj — wolę stare peeps albo słomki pixy stix.

— A skąd masz pewność — ciśnie siostra — że ta dziewczyna nie miała jakiegoś innego faceta, który nie chciał wziąć odpowiedzialności, więc zdecydowała się na ciebie?

— Bo to nie ten typ? Bo to by już było nienormalne? Bo raczej nie słynę z odpowiedzialnego stosunku do życia? — Rozglądam się po pokoju, jakby jedna z figurek miała sposób, żeby przekonać moją cyniczną siostrę, że jestem ojcem Cala. Chociaż właściwie przecież powinienem podskakiwać na samą myśl, że może jednak nim nie jestem.

Moje spojrzenie zatrzymuje się na biblioteczce obok kominka, gdzie oczywiście stoi zdjęcie Nan i mnie w niemowlęctwie — w nasze pierwsze Boże Narodzenie — opartych o siebie w puchatym różowym fotelu z pluszowym Rudolfem u naszych stóp. Ja mam na sobie strój Świętego Mikołaja, a Nan — pani Mikołajowej (miłe, mama z rodzeństwa zrobiła męża i żonę). Oczywiście mam na sobie czapkę Mikołaja, więc nie widać moich włosów, ale i tak mam ten dołeczek,

który Dominic zauważył u Cala.

— Jest do mnie podobny — odzywam się w końcu.

Wciąż nie czuję więzi krwi z dzieciakiem, ale kiedy już się spało obok kogoś (ja na kanapie, Cal w koszyku, ale przez pół nocy trzymałem dłoń na jego brzuchu), kiedy się po nim sprzątało i go karmiło i, cholera, nosiło na sobie, jakoś się do niego zbliżyłem.

— Timmy, wszystkie niemowlęta są do siebie podobne.

Pełna cierpliwość.

Cierpliwość przyprawia mnie o wysypkę. Jest jak wiadomość: „Wiem, co się tu dzieje, podczas gdy ty błędzisz w ciemności”.

— Od kiedy to znasz się na dzieciach? „Wszystkie niemowlęta są do siebie podobne” — naśladuję jej wysoki, piskliwy głos. — Jasne, pani ekspert od niemowląt. Ostatnim razem znalazłaś się obok niemowlęcia, gdy sama byłaś niemowlęciem.

Spodziewam się, że się wkurzy i zacznie krzyczeć. Chcę, żeby wkurzyła się tak bardzo jak ja i rzuciła mi swój gniew prosto w twarz. A ona zamiast tego obejmuje mnie ręką w pasie; ostry podbródek wbija mi w obojczyk. Nan nigdy nie je tyle, ile powinna, jak większość dziewczyn mających obsesję swojej wagi.

Czy może teraz to narkotyki?

Wzdycham i rozluźniam pięści.

— To moje dziecko. Znaczący... nie chciałem tego. Odkąd jesteś taka cyniczna? Przecież to była zwykle moja działka, Nan.

— Zawsze udawałaś — odpowiada.

— Bzdura! — mówię poprzez zaskoczony śmiech.

Nan bierze do ręki nasze zdjęcie wielkanocne, na którym siedzimy obok kurczaka, który przy nas ma rozmiary Godzilli. Na zdjęciu Nan krzyczy, a ja wydaję się tym zupełnie niezainteresowany. Teraz Nan marszczy piegowaty nos i palcem przesuwam po naszych strojach króliczków — najpierw moim, potem swoim.

— Ile mieliśmy lat, kiedy mama przestała nas przebierać?

— Jakieś piętnaście. Mała, nie masz czterech lat. Opuść sobie teksty mamy, w wyższym towarzystwie to naprawdę nie robi wrażenia. W twoich ustach brzmią niedorzecznie, wierz mi.

Nan zaczyna się śmiać i jeszcze mocniej mnie obejmuje.

— Nie masz pojęcia, jaka to różnica, kiedy nie ma cię w domu. — Unosi głowę; powinienem był odgadnąć z jej głosu, że płacze.

— Hej! — Niezgrabnie klepię ją po plecach, przebierając palcami. — Wiem, że jestem prawdziwym promykiem słońca w twoim życiu, ale co to za różnica?

— Nie ma nikogo, kto by mnie rozśmieszał. Nie ma drobnych w pudełku na kary za przekleństwa, żeby w razie czego móc się zaopatrzyć, bo nie płacisz za

przekleństwa. Nie ma nikogo, kto by ustawiał figurki w kompromitujących pozycjach. — Pociąga nosem i nadgarstkiem wyciera sobie twarz.

— No tak, faktycznie oddawałem ci wielkie przysługi.

Spogląda na mnie wielkimi szarymi oczami, policzki ma mokre, a jej dolna warga drży. Jej mina zdaje się mówić: „Pomóż mi”. Od czasu pojawienia się Cala to już tak nie działa. On naprawdę nie ma nikogo, kto by mu pomógł, a sam sobie nie poradzi.

— Skoro mówimy o przysługach... Chcesz może wymienić, jakie przysługi oddaje ci stary Troy Rhodes?

Nan odskakuje ode mnie, jakby poraził ją prąd.

— Kto ci powiedział? Samantha?

— Nieee. Skąd miałyby wiedzieć? Odniosłem wrażenie, że ze sobą nie rozmawiacie.

Nan łapie garść żelków i wpycha je wszystkie w usta.

— No to kto?

— Wyśledziłem cię. Czyli... jak myślisz, Nan?

Siostra wciąż przeżuwa rybki żelki i wskazuje na swoje usta gestem: „Nie mogę mówić”.

Kiedy kończy przeżuwać, przełyka, krzyżuje ramiona i przeszywa mnie wzrokiem.

— No to kiedy poznam Cala?

— Nan, nie próbuj mnie łapać na takie teksty. Nie zmieniaj tematu.

Ten pełen gniewu, twardy głos... jakbym słyszał ojca.

— Dlaczego rozmawiamy o mnie? To ty masz dziecko!

— Co tu się dzieje? — pyta spokojny głos od drzwi.

Nie mam czasu na przybranie odpowiedniej miny, więc oboje z Nan zapewne wyglądamy na winowajców, kiedy odwracamy się w stronę ojca.

Cholera, zapomniałem, która to godzina — dochodzi szósta. Ojciec ma poluźniony krawat, ale wciąż jest w marynarce. Chwała Bogu, jeszcze nie pił whisky. No tak, ale nie ma mamy, która przynosi mu wiaderko z lodem — chyba nigdy w życiu nie widziałem, by zrobił to sam.

— Cześć, tatusiu... tato — mówi Nan, rzucając mi ukradkowe spojrzenie.

— Jak leci, tato?

Ojciec przenosi spojrzenie ze mnie na Nan i znów na mnie — tak samo jak wtedy, kiedy byliśmy mali i coś knuliśmy.

— Nie widzieliśmy cię tu ostatnio, Tim. Jakież kłopoty?

— Nie, wszystko dobrze. Tylko już tu nie mieszkam, wiesz? Wpadłem do Nan.

— Prosić ją o pieniądze?

— Nie, tatusiu — mówi Nan.

— Nie, tato – odzywam się jednocześnie. Po czym dodaję: — Kariera dilerka to dla mnie wymarzone zajęcie. Dorabiam jako alfons i radzę sobie wzorowo.

— Czy to żart? On sobie żartuje? — zwraca się ojciec do Nan, która na wzmiankę o narkotykach czerwienieje i zaczyna nerwowo bawić się palcami. — Nie widzę w tym nic śmiesznego — mówi znów do mnie.

— To nie jest zbyt śmieszne — mówię. — No dobra, muszę lecieć. Mam... coś do zrobienia. — Podbródkiem wskazuję na siostrę. — A o tym twoim nowym projekcie pogadamy później. Możesz być pewna.

Nan zaczyna skręcać na palcu kosmyk włosów. Teraz zauważam, że z drugiej strony już skręciła kosmyk tak, że zaczyna przypominać to, co noszą rastamanie. Nie za bardzo pasuje do jej nowego stylu. Nan się nie odzywa.

Ojciec klepie mnie po plecach, bardzo lekko popycha w kierunku drzwi. Niemal oczekuję, że chwyci mnie za kołnierz i wyrzuci na trawnik. Ale on mówi tylko:

— Odprowadzę cię do samochodu.

— Żeby sprawdzić, czy na pewno sobie pójdę?

Faktycznie prowadzi mnie podjazdem; czuję się na pół jak więzień prowadzony przez strażnika, a na pół jak w scenie ze starych filmów, w której ojciec udziela synowi ojcowskiej porady. Ale założę się o wszystko, że nie wsunie mi nic do kieszeni, żebym mógł zabrać Mary Lou do knajpy na koktajl mleczny.

Docieramy do jetty; ojciec przystaje na chwilę, rzucając spojrzenie na ulicę. Mam wrażenie, że z krzaków przed domem Crosbych wyskoczą nagle gliniarze, założą mi kajdanki na ręce i wrzucą na tylne siedzenie mojego własnego samochodu.

Cisza.

Ojciec starannie omija mnie wzrokiem.

A ja czekam na to, co ma mi do powiedzenia.

Nie jesteśmy jednak u niego w biurze, a ja nie jestem pod jego dachem. Opieram się o samochód i splatam ramiona. Jeśli on może poczekać, to ja też.

No to czekam.

Ojciec wyjmuję z kieszeni komórkę, rzuca na nią okiem, wkłada z powrotem — to raczej odruch niż faktyczna konieczność sprawdzenia czegośkolwiek. Ja drapię się kciukiem w bąbel na dłoni. Nad ulicą wiatr porywa opadłe liście. Trawa rośnie. Gdzieś daleko rodzi się gwiazda.

Ojciec znów sprawdza komórkę. Ile ważnych telefonów może odebrać kierownik oddziału banku Stony Bay Building and Loan?

— Tato, muszę wracać do pracy. Wziąłem godzinę wolnego, żeby wpaść do Nan, ale się zasiedziałem. Skończyliśmy?

Ojciec zaciska usta i patrzy na mnie, ale się nie odzywa. W końcu mówi:

— Nigdy cię nie rozumiałem, Tim. Nawet przez jeden dzień w życiu.

Co można odpowiedzieć? „A czy kiedykolwiek próbowałeś?”

— Skończyliśmy — stwierdzam, siadam za kierownicą, wrzucam jedynkę i odjeżdżam.

Alice

— Zatem.. tylko przyjaciele — mówi Andy, opiera łokcie na ladzie obok rozsypanych części kasy. — To cokolwiek znaczy czy może to jakiś szyfr? Czy to kiedykolwiek znaczy to, co powinno?

— Potrzebuję kontekstu — odpowiadam, unosząc wzrok znad palet z próbkami farb, które układam na nowo.

— To pożegnanie — odzywa się Tim, nie unosząc wzroku znad książki do chemii i przerzucając stronę.

— Naprawdę? Nawet nie dostanę wstążki za drugie miejsce? Tak po prostu mam spadać? — Andy wygląda na zdruzgotaną. Tim unosi wzrok, spogląda jej w twarz i mówi: — Czekaj, nie. Nie zawsze. Eee... ważny jest kontekst. Potrzebuję go. Może w ogóle źle to zrozumiałem.

— Widzisz, ten facet... — zaczyna Andy.

— Kyle. Odpuść go sobie — mówię.

— Nieważne który, nie o to chodzi. Kiedy jest z kumplami, w ogóle się do mnie nie odzywa. Ale kiedy tylko zostaje sam, jest bardzo miły, gada, żartuje i chce się ze mną zaprzyjaźnić.

— Złamas. Odpuść go sobie — powtarzam. — Ma nadzieję na korzyści dodatkowe.

— Niczego nie robiliśmy — mówi Andy. — Nawet się do tego nie zbliżyliśmy. Ledwie wyszliśmy ze spotkania w grupie. To były takie... spotkania z potencjałem na przyszłość. I trochę całowania. Na pewno miało to potencjał.

Tim znów całkowicie skupia się na kasie, próbując podłączyć kółko od paska do wału, z mocno zmarszczonymi brwiami. W środku wyjaśnień Andy rzuca mi szybkie spojrzenie, po czym znów się schyla, wyciera smar z džinsów i skupia uwagę na rozrzuconych wokół elementach.

— Jeśli przy kumplach zachowuje się inaczej, to daj sobie z nim spokój. Hipokryta, pogrywa sobie z tobą. Spuść go na drzewo.

— Nie muszę go spuszczać — odpowiada Andy. — Nie spotykamy się, a nawet wcześniej nie byliśmy przyjaciółmi, zamieniliśmy, nie wiem, ze trzy zdania. A właściwie to on je wszystkie wypowiedział, bo mnie zawsze zatykało. On ma naprawdę niesamowity uśmiech. Kiedy się uśmiecha, mam ochotę polizać go w policzek. W pierwszym miesiącu obozu żeglarskiego trzy lata temu powiedział: „Odwiążesz kliwer?”, a w zeszłym roku powiedział, żebym wybrała szoty, poluzowała fał i...

— Czyli nie byliście przyjaciółmi — podsumowuję. — A potem zrodził się

potencjał.

— Właśnie. Byliśmy sobie właściwie obcy. Ale ciągnęło nas do siebie. Albo nie. Chyba... wydawało mi się, że tak. I przynajmniej przez chwilę czy dwie jego też ciągnęło, bo przecież zaprosił mnie na randkę. No i wiesz... pocałował. Trochę. Ale potem nam nie wychodziło. Chociaż mnie się wydawało inaczej, ale najwyraźniej się myliłam, i dlatego teraz wątpię w swoją intuicję.

— Co sprowadza się do tego — przekładam — że w ogóle się nawzajem nie znaliście.

— Tak. No więc nie ma kontekstu... żeby go przetłumaczyć. I dlatego potrzebuję waszej pomocy. Razem mieliście chyba z pięćdziesiąt chłopaków i dziewczyn, prawda?

— Ja nie miewałem dziewczyn — odpowiada bezpośrednio Tim.

— A ja miałam znacznie mniej niż pięćdziesięciu — odpowiadam.

Andy unosi wzrok do nieba.

— Nie rozumiecie, o co mi chodzi. Potrzebuję porady kogoś doświadczonego, ponieważ JA NIE WIEM NIC. Czy on chce wznieść naszą znajomość na inny poziom? Bo teraz nie jesteśmy... niemożliwe... teraz nie ma potencjału, więc może chce mnie poznać?

— Raczej nie — mówię.

Wargi Andy drżą.

— Więc on mnie nabiera?

— Niekoniecznie — odpowiada Tim.

— No daj spokój, nie wkręcaj mnie, Tim.

— To ty nie wkręcaj Andy, Alice. Może chłopakowi naprawdę jest przykro. Może zdał sobie sprawę, że spieprzył sprawę. Może to jeden z tych frajerów, którzy dopiero gdy coś tracą, potrafią to docenić. Może widzi, że Andy to superdziewczyna i naprawdę chce ją poznać. Nie każdy, kto popełnił błąd, na zawsze zostanie dupkiem. — Swoje słowa podkreśla machnięciem ręki, a kiedy to robi, odrywa się wyświetlacz, który właśnie przyklejał. Element spada z hukiem na kafelki i znika gdzieś w pobliżu tubki z uszczelniaczem asfaltowym.

— Ten gość owszem — odpowiadam. — Po prostu sobie pogrywa.

— Czyli, podsumowując, „zostańmy przyjaciółmi” to w najlepszym razie obelga, w najgorszym puste słowa — stwierdza Andy. — Super. Wspaniale. Dzięki, naprawdę mi pomogliście. Nigdy dotąd poczucie własnej wartości tak mi nie skoczyło.

— To nie chodzi o ciebie — mówię. — Jakiś facet, który okazuje się dupkiem, niczego ci nie ujmuje.

— Zabiera mi potencjał — odpowiada Andy, unosząc brwi i szerzej otwierając oczy, jakby odpowiedź była całkowicie oczywista. — Innymi słowy: nadzieję.

— Ands — mówimy Tim i ja, jednocześnie ruszając ku niej. Tim pierwszy do niej dociera, obchodzi ladę i obejmuje dziewczynę ramieniem.

— Może się mylimy ...

Tim powinien się zająć naprawą dzwonka nad drzwiami, gdyż znów ktoś wchodzi bezgłośnie; jednak kroki ojca Tima rozlegają się na tyle głośno, by przerwać mu w pół zdania.

— Przejdę do sedna — mówi od razu, z chmurą gradową na twarzy. — Rozmawiałem z twoją siostrą. Mamy kilka spraw do omówienia.

— Właśnie miałyśmy wyjść — odzywam się, kiwając gwałtownie do Andy, która pyta bezgłośnie: „Dlaczego?”, po czym rzuca jedno spojrzenie na twarz pana Masona i wychodzi za mną.

Tim

Ojciec ledwie zajarzył, że z pomieszczenia uciekły dwie osoby. Chociaż raz jego oczy spoglądają prosto na mnie, a nie na biurko lub telefon.

— Jak mówiłem, rozmawiałem z Nan. Słyszałem o twojej najnowszej...

Aha, Nan. Zawsze taka szczerą, jeśli chodzi o moje grzechy.

— Eskapadzie?

Długie westchnienie ojca.

— Sprawie. Wiem o tej dziewczynie i dziecku. Nie podoba mi się to, ale nie o to w tej chwili chodzi.

Już się przyzwyczyłem, że mam pełne ręce roboty przy dziecku. Teraz ciągnę się za ucho, przesuwam nimi po włosach, wkładam do kieszeni. Patrę przez długi korytarz na zapleczu w kierunku otwartych drzwi biura. Alice siedzi z nogami na biurku pana Garretta. Powoli przesuwam wzrokiem od jej skrzyżowanych kostek do dołu spódniczki nad kolanami, wzdłuż długiej linii jej ciała, przez twarz, do tych wariackich okularów. Może szczęśliwym trafem nie usłyszała tych bzdur. Drzwi zaplecza trzasnęły minutę lub dwie temu, więc przynajmniej Andy poszła.

— Nie powinieneś się w to wplątywać — mówi dalej ojciec, wskazując mnie telefonem, jakby mógł mnie nim porazić niczym paralizatorem.

— Na to chyba za późno, tato.

— Byłoby miło, gdybyś nie strzelał od razu ciętymi ripostami, a zamiast tego spróbował rozsądnie porozmawiać.

— Nie oczekuję, że załatwisz to za mnie. — Alice krzyżuje i rozplata kostki, wierci się. Słucha?

— Nie załatwię, ale również nie o to chodzi. — Ojciec wsuwa telefon do kieszeni. — Masz dość spraw do załatwienia bez tej dodatkowej komplikacji.

— A jednak ona też istnieje. Ups.

— Cholera jasna, Timothy. — Zaskoczony podnoszę głowę. Ojciec na ogół

nie przeklina. Przynajmniej nie przy mnie. — Chodzi mi o to, że nie powinieneś tracić czasu na coś takiego.

— To mój syn. Przecież mam się uczyć odpowiedzialności, prawda?

Znów bawi się telefonem. Powinien kupić sobie na niego pokrowiec.

— Musisz się skupić na uporządkowaniu własnego życia i siebie samego. To podstawa. No, chyba że planujesz się z tą dziewczyną ożenić, co...

Jezu Chryste! Chyba nie chce, żebym to zrobił? To by było ekstremalne ultimatum.

— Nie. Mamy zamiar... oddać go do adopcji, gdy tylko razem z Hester pozałatwiamy formalności.

— To twój pierwszy inteligentny plan od lat. Ta dziewczyna jest gdzieś zatrudniona?

Nie cierpię tego korporacyjnego żargonu.

— Taaa, razem z tą dziewczyną próbujemy wyjść poza schematy, preferujemy innowacyjność, chcemy stworzyć zespół, działać skutecznie, wykorzystując atuty... — Ale on gada równo ze mną.

— ...Wyplątać się z tego — kończy rozdrażniony.

— To ja wpadłem. To mój problem do rozwiązania. Rozumiem. Coś jeszcze powinienem wiedzieć?

Wkładam dłonie do kieszeni i pobrzękuję kluczykami.

Ojciec sięga do kieszeni marynarki, wyjmując portfel, w którym banknoty są wygładzone i ułożone schludnie, zapewne pod linijkę. Wyjmuje pięćdziesiątkę.

— Wyplącz się z tego. Masz.

— Dzięki, ale nie wezmę. Kup mamie shake'a.

Przez sekundę wpatruje się we mnie, po czym odwraca się do drzwi. Zatrzymuje się przed wejściem.

— Tim.

Chryste, wystarczy.

— To nie zmienia niczego, jeśli chodzi o grudzień.

Alice

— Hej — mówię cicho, podchodząc do Tima od tyłu.

Chłopak nalewa sobie kolejną kawę. Nie odwraca się. Wiem, że mnie usłyszał, jedynie po tym, że ramiona lekko mu zeszywniały. Patrzy w dół, coś w jego postawie — jego kark zgarbiony jakby pod ciężarem porażki — sprawia, że mam ochotę wyciągnąć ramiona i go objąć. Ale przecież my ledwie ze sobą rozmawiamy, więc jedynie obejmuję ciasno ramionami własne żebra.

Jego ojciec to człowiek, którego zna najlepiej, z którym dorastał. W banku wydawał się tylko nieprzystępny i biurokratyczny. Ale to?

— Tim.

— Jeśli przyszedł mi wypominać, że miałaś rację i że nie naprawię kasy...

— „To nie zmienia niczego, jeśli chodzi o grudzień”? Co to, do cholery, było, Tim?

— No wiem. — Wreszcie odwraca się z uśmiechem, który jednak nie dociera do jego oczu. — Też jestem wstrząśnięty. Byłem przekonany, że teraz już na pewno wykreśli mnie z listy łobuzów.

— Przykro mi...

— Nie musisz — wpada mi w słowo. — Nie chcę tego, tej całej litości. Bo... — Przesuwa dłonią po włosach na karku i odzywa się zażenowany: — Bo chyba czasami brałem ludzi właśnie na litość. Znaczą... widzę, jak moja siostra to wykorzystuje. Hester też. To... nie wiem. Ja tylko... nie chcę tego. Dobrze? Więc jeśli masz dla mnie tylko tyle, to daj sobie spokój. — Znow odwraca się plecami, zbiera wnętrzności kasy i wrzuca je do śmieci.

Na pewno istnieje coś, co można w tej chwili powiedzieć lub zrobić — tylko ja po prostu nie mogę na to wpaść.

*

— Mamo, gdzie dodatkowy klucz od mieszkania w garażu? — Pytam, wycierając nogi i zdejmując kurtkę przeciwdeszczową.

Mama, która siedzi przy stole w kuchni z Duffem, Harrym i zbieraniną piłek różnej wielkości, nawet nie unosi wzroku.

— Powinien wisieć na haczyku.

— Nie ma go tam. Są jeszcze jakieś?

— Duff, chyba nie uda ci się naszyć żyłki na piankę. Andy próbowała, ale to się za szybko łamie.

— Mamo, Boże, znow projekt Układu Słonecznego? Duffy, spróbuj owinać piłkę folią samoprzylepną, może wtedy uda ci się ją przyszyć. Gdzie może być ten klucz? Może Jase go ma?

— Sprawdź w torebce Patsy.

— Stare łóżecko wciąż jest w piwnicy, prawda?

— Tak, przy ścianie naprzeciw wejścia. Duff, przywiąż żyłkę do wieszaka po tym, jak zawieszysz na niej planetę. Harry, masz jeszcze trzy zdania z ortografii do napisania. Potem możesz nam pomóc zrobić pierścienie Saturna.

— Nie cierpię tego głupiego projektu! — mówi gwałtownie Duff. — Dlaczego nie możemy sami zdecydować o tym, czego model zrobimy? Dlaczego musimy robić dokładnie to samo co reszta klasy?

— I klasa w zeszłym roku, i poprzednia, i tak dalej w głąb historii. Trzeba było zachować projekt Joela — mówi mama zmęczonym głosem.

Zgubione klucze rzeczywiście znajdują się w torebce Patsy z wizerunkiem Elmo. Otwieranie jej przypomina przecinanie brzucha wielkiego białego rekina,

tylko zamiast foczych kości i nadtrawionych tratw ratunkowych znajdują się tam matchboxy, klocki Lego, karty kredytowe, łyżeczki, pokruszone krakersy i tak dalej.

Mama przygląda się zdziwiona, kiedy wynoszę z piwnicy części łożeczka, torbę nakrętek i śrubek i dno łożeczka pod pachą.

— Rozumiem, że to dla Calvina. Tim pomoże ci to poskładać?

— To akurat moja robota. — Chrząkam, wynosząc za drzwi jedną z części łożeczka. Przenoszę je w stronę mieszkania nad garażem. Kiedy oglądam się za siebie, przez drzwi z siatki widzę Duffa, jak unosi największą planetę. Wszystko wydaje się prawie normalne, typowy dla nas chaos. Drobiazgi, które kiedyś były wielkimi problemami. Po raz pierwszy od długiego czasu — może wreszcie — katastrofa zostaje poza nami.

Tyle że całkowicie ignoruję jedną wielką górę lodową na naszej drodze.

Rachunki.

*

Czterdzieści pięć minut zajmuje mi złożenie łożeczka... Praca, której nadal nie może wykonać tata, mimo całego doświadczenia. Po wsunięciu dna łożeczka na miejsce idę do kuchni umyć ręce. Mijam lodówkę. Lista na drzwiach.

„Chłopak z sąsiedztwa, który najprawdopodobniej...” — zniszczy sobie życie na różne sposoby.

Ja rzuciłam mu to w twarz. Te same słowa. Blaszana Alice.

Biorę do ręki długopis i wpatruję się w kartkę. Nie mam odwagi, żeby to wszystko przekreślić, więc dopisuję pod spodem:

„...ma w lodówce więcej mleka dla dziecka niż jedzenia”.

„...wciąż chce coś naprawiać”.

Zagryzam wargi i dopisuję ostatnie:

„...zasługuje na...” — długopis zawisa nad kartką. Na drugą szansę? Na wiele drugich szans? Na innego ojca? Na przeprosiny?

Tim

Wchodzę do domu, kiedy ciemne chmury nad głową wreszcie pęcznieją i zaczyna mocno padać. Dach jest blaszany, więc dźwięk deszczu to czysta muzyka. Jednak jestem zbyt wykończony, żeby ją docenić. Zrzucam spodnie, zdejmuję koszulkę i rzucam wszystko na podłogę.

Bardzo potrzebuję zapomnienia. Jestem zbyt wyczerpany, żeby brać prysznic, nogi mam jak z waty — zdejmuję bokserki i rzucam się na łóżko.

Padam prosto na ciepłe, miękkie, bardzo kobiece ciało.

— Co, do cholery?! — parska dziewczyna, podrywając się gwałtownie i tak szybko, że czołem wali o moje czoło. Przed oczami rozbłyskują mi gwiazdy,

a w tej samej chwili jej kolano wali mnie w miejsce, w którym akurat najbardziej boli.

Nie czuję bólu.

Zero bólu.

Ale znam tę chwilę przerwy, a potem...

— Auć! — Kulę się na swoim boku łóżka, oczy napędniają mi się łzami.

— Co ty tu robisz? — pyta Alice, zaskoczona, ale zadziornie.

— Na pewno przez bardzo długi czas nic nie zrobię. Gdzie jest poduszka?

Daj mi poduszkę.

— Boże, przepraszam! Zapalę światło — Alice chyba maca ręką po stoliku nocnym, gdyż słyszę łomot książek spadających na podłogę.

— Nie! Podaj mi tylko poduszkę. I woreczek z lodem. I... przejdź do ostatniego namaszczenia albo czegoś w tym stylu.

Przesuwa w moim kierunku kilka poduszek, potem zaczyna chichotać.

— No jasne, jasne, ubaw po pachy — mamrocze, starając się powstrzymać jęki. Albo wymioty. — Może teraz uda ci się usunąć mi widelcem wyrostek albo coś w tym stylu.

— Lód? — pyta. — To naprawdę pomaga?

Jęcze.

— Daj mi umrzeć w spokoju. Ale najpierw powiedz, co robiłaś w mojej pościeli. I czy masz coś na sobie, bo wtedy miałbym po co żyć.

Chyba przewraca się na brzuch, gdyż nagle jej twarz znajduje się tuż obok mojej.

— Niestety w pełni ubrana. Sorry. Zamknęłam oczy tylko na sekundę, nie chciałam zasnąć.

Próbuję odpowiedzieć, ale z ust wyrywa mi się tylko jęk. Łóżko trzęsie się od jej stłumionego śmiechu. Macham niezdarnie dłonią w jej stronę, chcąc ją poklepać, mocniej przyciskam do siebie poduszkę.

Auć.

— Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro — mówi Alice. — To był instynkt... No i lekcje samoobrony.

— Czy możesz mi podać...? — Jestem zupełnie nagi, ale nie wyobrażam sobie w tej chwili ucisku jakiegokolwiek ubrania na ciele. Ale nie mam też szlafroka ani czegokolwiek w tym rodzaju. Przesuwam drugą poduszkę i zakrywam sobie goły tyłek. Już ten gest sprawia, że zaciskam zęby.

— Zaraz wracam.

Słyszę, jak otwierają się drzwi na dwór, potem głośniejszy szum wiatru i deszczu — drzwi znów zamykają się z trzaśnięciem. Stylem komandosów powolutku podciągam się w górę łóżka, kładę na brzuchu i klnę. Próbuję przewrócić się na plecy, ale to nie pomaga. Przetaczam się. Opieram ciężar ciała na

kolanach i łokciach, a głowę na poduszce. Nie jest lepiej. Padam. Podciągam na siebie prześcieradło, pod którym czuję się jak nakryty dachówkami obciążonymi dodatkowo ołowiem. Całe ciało mi pulsuje.

Skoro jestem sam, mogę zakląć na głos — i to robię, potem jednak czas mija, a wokół mnie rozlega się tylko szum wiatru, w mieszkaniu panuje cisza.

Czyżby zostawiła mnie w takiej sytuacji?

Znów trzaśnięcie drzwi. Alice wnosi do pokoju zapach deszczu.

— Mam lód — szepcze. — I motrin. Żyjesz jeszcze? Mogę zapalić światło?

Ciemność, figura Alice podobna do ósemki widoczna w przyćmionym świetle z salonu, poczucie, że dziewczyna wnosi ze sobą cały świat zewnętrzny — z zapachem wilgotnych liści, wyjącego wiatru i pluskiem rzeki — do tej dusznej sypialni.

— Nie. Zostawmy tak, jak jest.

Materac się ugina, kiedy Alice siada obok mnie. Tłumię jęk bólu, chwytając poduszkę i ją gryząc.

— Proszę — mówi, sięga po moją rękę, odwraca ją dłonią do góry i kładzie na nią tabletki, po czym stawia obok mnie chłodną butelkę wody. Przetykam, zachłystuję się, po czym głowa opada mi z powrotem na łóżko.

— Czy mogę... — Zagryzam wargi. Ból wydaje się ustępować. Tak jakby.

Pochyla się niżej. Nie, wciąż boli jak cholera.

— Czy mogę cię zapytać, co robiłaś w moim mieszkaniu, Złotowłosa? Nie wspomnę już o łóżku...

Cisza. Westchnienie.

— Ja... nie miałam racji — mówi Alice. — Słusznie mi to wypomniałeś, Tim. Rzadko przepaszam. I kiepsko mi to wychodzi. No więc... więc... pomyślałam... czyny mówią więcej niż słowa i tak dalej. — Słowa wylatują z jej ust w pośpiechu; dziewczyna jest tak blisko, że czuję jej oddech na policzku. — Złożyłam łóżeczko. Okropnie dużo czasu mi to zajęło. Pewnie myślisz, że mogłabym to zrobić po ciemku i z zamkniętymi oczami, ale nie. Wieczorem miałam zajęcia, poza tym... w sklepie było dużo pracy, wiele emocji... więc położyłam się na chwilę, żeby uciąć sobie drzemkę na odzyskanie sił.

— Zdecydowanie odzyskałaś siły, już nie musisz się martwić.

— Nie, słuchaj. Nie żartuj. Słuchaj. Naprawdę. Przykro mi.

— Wybaczam ci. Nie rób tego więcej. Ani jednego, ani drugiego.

— Obiecuję — mówi poważnym i uroczystym głosem, tak blisko mnie, że gdybym się obrócił, dotknąłbym jej ciała.

Tylko że przewrócenie się na bok skończyłoby się moją śmiercią.

— Nie tak sobie wyobrażałem wciągnięcie cię do łóżka.

— Ja też nie wyobrażałam sobie, że w ten sposób się w nim znajdę.

— Ty... — próbuję usiąść. O rany.

— Pst — mówi Alice, kładzie się obok mnie na plecach, na prześcieradle, którym jestem przykryty. Owija palce wokół moich, przesuwa mi dłoń na woreczek z lodem. — Psst — powtarza, ale nie w taki sposób, jak ucisza się marudne dziecko. Raczej ma się wrażenie, że w ciemności widać wyraźniej. Czyściej. Ostrzej. Nie ma zamazanych krawędzi.

Alice przysuwa nos do mojego ramienia i wciąga powietrze. Włosy ma mokre; drży lekko. Deszcz bębni o dach, nagle wiatr wyje głośno i zacina w okno kroplami deszczu tak mocno, jakby ktoś rzucił garścią żwiru, żeby zwrócić naszą uwagę. Zaczynam powoli przesuwać rękę w kierunku Alice, żeby ją objąć, ale ten prosty ruch powoduje kolejne ukłucie gwałtownego bólu. Nie poruszam się, Alice też leży nieruchomo, tylko przysuwa się bliżej i przestaje drżeć.

Palce mamy wciąż splecione — jej dłonie są ciepłe w topniejącym lodzie. Napięcie mięśni — właściwie całe napięcie — powoli znika pod wpływem jej drobnego ciężaru na moim ciele.

— Tim?

— Mhm...

Alice opiera się na łokciu, ledwie ją widzę, tylko błysk w szeroko otwartych oczach, lekkie lśnienie włosów, w których odbija się światło odległej latarni ulicznej.

— Kiedy miałam dwanaście lat... — przerywa.

— Mów — szepczę.

— Po powrocie z wakacji nagle odkryłam, że mam... — spogląda na swoją klatkę piersiową i dotyka jej — ...to. — Przesuwa dłonią, którą trzyma mnie za rękę, przyciska ją do piersi, więc jej pierś... Boże.. wypełnia moją dłoń, zapewne lodowatą po tym, jak leżała na worku z lodem. Palce mi się zaciskają. Potem odsuwam rękę tylko i wyłącznie siłą woli. — Byłam chyba pierwszą dziewczyną w naszej klasie, której wyrosły piersi. To się zdarzyło prawie z dnia na dzień i nagle wszyscy ci ludzie, te dzieciaki, które znałam od zawsze, zaczęły mnie wysmiewać. Niektóre dziewczyny mnie znienawidziły, też praktycznie z dnia na dzień. Faceci pytali, czy zrobiłam sobie implanty i czy tata musiał wziąć kredyt, żeby za nie zapłacić. — Alice znów spogląda na mnie. — Joel akurat przeszedł do liceum, więc nie miał pojęcia o tych kpinach. Jase wciąż chodził do podstawówki. Nie chciałam mówić rodzicom, bo mama była w ciąży z Harrym, a ojciec taty był bardzo chory. Nie mam pojęcia, dlaczego ci to mówię — kończy.

Spojrzenie Alice napotyka mój wzrok; jej oczy czegoś szukają. Nawet w tym przyćmionym świetle chyba to znalazły, gdyż dziewczyna mówi dalej:

— Dlatego postanowiłam to odwrócić i wykorzystać. Skoro ludzie mają zwracać uwagę tylko na mój wygląd i według niego mnie oceniać, postanowiłam... no nie wiem... zapanować nad tym. Zaczęłam nosić ubrania, które podkreślały moją sylwetkę, wybierałam chłopaków słabszych ode mnie i... tak właśnie sobie

z tym poradziłam.

Muszę przyznać, że nigdy nie postrzegałem Alice jako „zarządzającej swoim wizerunkiem”, jak by to ujęli politycy. Zawsze uważałem, że ma doskonałe ciało i swobodnie się z nim czuje. Przyciągam ją do siebie i zanurzam usta we włosy obok lśniącego jasno przedziałka. Jej ciało sztywnieje, potem się rozluźnia. Alice mruczy coś, ale zbyt cicho, żebym usłyszał.

— I tak właśnie zrób. Z ojcem. Odwróć to. Po prostu przejmij na własność, cokolwiek to jest; i nie tylko od niego. Zresztą często tak robisz. „Wszystko jest zabawne, jeśli się na to spojrzy we właściwy sposób”.

— Hm — mrużę oczy, czując w nich piekącą wilgoć. — Prawda? Tak jest.

W odpowiedzi Alice przytula się mocniej.

— Możesz wejść pod prześcieradło, wiesz? — szepczę.

— Lepiej nie — mówi niskim głosem.

Uśmiecham się.

— Nigdy nie byłeś przy mnie tak bezpieczna jak w tej chwili.

Jej cichy śmiech wstrząsa łóżkiem, ale już nie przyprawia mnie o ból. Alice przesuwa się, jej faliste włosy łaskoczą mnie w policzek. Ciepła skóra, mydło, wilgotne włosy pachnące deszczem i liśćmi.

Konar drzewa na dworze drapie w okno, poruszany wiatrem. Deszcz pada równo i gęsto... jakbyśmy byli w kokonie, otuleni zasypiamy.

Alice

— Hmm... — mruczy Tim, po czym ziewa w poduszkę, wyciąga ramiona nad głowę i znów ziewa.

— Muszę iść. Będiesz w stanie znów wpaść na noc?

— Mało prawdopodobne.

Podciągam prześcieradło i koc pod samą jego szyję. Szybko gładzę go po plecach, zanim zdążę pomyśleć, schylam się, żeby dotknąć ustami miejsca, gdzie włosy mu się podwijają, ale w ostatniej chwili się odsuwam.

— Zamknę drzwi na klucz.

Dopisuję jeszcze jeden punkt. „Chłopak z sąsiedztwa... Potrzebuje trochę czasu, żeby dojść do siebie”. Wołam: „Słodkich snów!”. Ale nie ma odpowiedzi.

Już śpi.

Mogłam go jednak pocałować.

Tim

Wydawało mi się, że w żaden sposób nie zdołałbym zasnąć z Alice siedzącą obok, trzymającą rękę na moich plecach, a drugą dłonią odsuwającą mi włosy z czoła. Jednak kiedy się budzę, jest już rano — deszcz dawno przestał padać, a słońce zagląda przez okno, więc jednak zasnąłem.

Alice

Dopiero później, w kuchni, kiedy siorbię kawę i rozpląuję sznurówki George'a, przyklejam pęknięte noski okularów Duffa i odpytuję Harry'ego z ortografii, a w końcu wstaję, żeby się rozprostować, zdrętwiała od twardego materaca Tima, wiem, co się stało.

Leżałam obok niego, oddychaliśmy równym rytmem. Przyglądałam się, jak sny odbijają się na jego pozbawionej wszelkich osłon twarzy. Czułam, jak przytula mnie mocniej, leżałam z głową pod jego podbródkiem, bezpieczna przy jego sercu i w jego ciepłe.

Przez okno kuchenne obserwuję, jak Tim schodzi po schodach — długie nogi, ręce w kieszeniach. Schodzi na trawę, kieruje się do swojego samochodu, umytego i lśniącego po nocnym deszczu, z przednią szybą pełną poprzyklejanych liści. Potem osłania dłońią oczy i spogląda w kierunku domu. Jego twarz rozpromienia się szczęściem tak czystym i niekłamany, jakiego jeszcze u niego nie widziałam.

Jakby cały wielki świat oślepił potencjałem.

Który jest tylko inną nazwą nadziei.

Rozdział trzydziesty

Tim

Facet, który otwiera drzwi domu Hester trzy dni później, wygląda jak chudy Jerry Garcia¹. Ma na sobie spłowiały T-shirt farbowany metodą tie-dye i luźne spodnie ze sztruksu. Jest bosy, łysieje i ma brodę.

— To pewnie ty jesteś Tim — mówi.

„A pan na pewno nie jest dziadkiem Hester” — myślę. Beznadziejnie go obsadzili; to człowiek z zupełnie innego filmu.

— Tak — odpowiadam. — To ja.

— Waldo Connolly. Wejdz. Lubisz tajska kuchnię?

Wnoszę Cala i cały jego osprzęt; rozglądam się. Nie spodziewałbym się, że Hester pochodzi z takiego domu. Tony dużych, jasnych obrazów abstrakcyjnych, jedno wielkie okno na całą ścianę wychodzące na tył zamienia pokój w rodzaj szklarni — wszędzie rośliny, duże plecione dywaniki, pełno mebli wyglądających tak, jakby wyrzeźbiono je z drzew, czasami jeszcze pokrytych korą. Hobbit² czułby się tu jak u siebie.

Ale ja na pewno nie.

Waldo Connolly stoi, uśmiecha się do mnie, kciuki założył za szlufki spodni. W końcu przypominam sobie jego pytanie.

— Ee, hm, tak, proszę pana. Tajska kuchnia. Uwielbiam. Chyba. Nigdy nie jadłem.

— Hester, przyszedł! — woła dziadek do kogoś na górze.

Zatem nie grozi mi sąd wojskowy.

Rozglądam się po stolikach i biblioteczkach. Mnóstwo zdjęć Hester z przyjaciółmi, samej Hester, Hester z Waldem, Hester z Waldem i starszą panią — być może babcią. Nie ma zdjęć dziecka.

A skoro o nim mowa: właśnie gwałtownie wgryza mi się w palec swoimi miękkimi bezzębnymi dziąsłami. Wydobywam jego butelkę.

— Chodź do kuchni. Tam je podgrzejesz — odzywa się Waldo, przechodząc pod wyłożonym ceglami łukiem do kolejnego pokoju.

Kuchnię też urządzono w stylu Śródziemia. Miedziany czajnik, wielka, czarna żelazna kuchenka, ściany obwieszane tkanymi dywanikami i szklane kule czarownicy zawieszane w oknie, wielki, puszysty, czerwony fotel, duży stół, który wygląda jak wyciosany ze stuletniej sekwoi przez Johny’ego Henry’ego³ lub kogoś takiego.

— Mikrofalówka jest tutaj. — Waldo wskazuje ruchem ręki kątem blatu.

Jestem zaskoczony, że mają tu mikrofalę, a nie wielki żelazny czajnik nad paleniskiem.

Duszne powietrze pachnie przyprawami. Waldo bierze do ręki gigantyczny nóż podobny do maczety i stoi, spoglądając na mnie, podczas gdy butelka Cala obraca się w środku. Opieram się chęci, żeby zasłonić sobie klejnoty. W tej chwili jednak Waldo się obraca i zaczyna siekać na blacie jakieś wielkie zielone warzywo.

— Lubisz sałatkę z zielonej papai? — pyta przez ramię.

— Uwielbiam. — Wpycham smoczek w usta Cala, którego głowa natychmiast opada mi na przedramię, a powieki w ekstazie opadają na oczy. Ten dzieciak uwielbia pić. Mogę tylko mieć nadzieję, że jest równie entuzjastycznie nastawiony do innych rzeczy.

— To mamy dzisiaj na kolację. A do tego zupę *tom yum kung*.

— Super! — Nieważne.

— No to już, zaczynasz. Opowiedz mi o sobie. — Waldo wskazuje maczetą wielki czerwony fotel.

„Mam na imię Tim i jestem alkoholikiem” nie byłoby chyba najlepszym wstępem. „Jestem strzelcem? Na ogół lepiej sobie radzę z antykoncepcją, niż pan myśli? Chociaż od jakiegoś czasu nie uprawiałem seksu. Właściwie od wieków. Chyba odkąd uprawiałem seks z pana wnuczką. Tyle że tego nie pamiętam”.

— Cześć, Tim, cześć, dziadku! — W tej chwili do pokoju wskakuje Hester w zaskakująco obcisłej niebieskiej sukience — nawet z dekoltem. Włosy ma mokre i nawet niespięte w kucyk, tylko rozpuszczone. Szminka, makijaż na oczach i cała reszta.

— Ładnie wyglądasz — mówię, wstając.

— Dzięki. Ee, dzięki, Tim. Dziadku, dałeś mu coś do picia?

Rzucam spojrzenie na Walda, który nagle wygląda znacznie mniej przyjaźnie niż jeszcze sekundę temu. No świetnie, idioto. Zapewne podejrzewa, że znów chcesz ją zaciągnąć do łóżka.

Odpuśćmy sobie szarmanckie zachowanie, zresztą i tak mi to nie wychodzi, kiedy nie jestem napalony.

— Proszę pana, wiem, co pan o mnie myśli... No dobrze, tak naprawdę nie wiem, ale chcę przeprosić. Ten rok musiał być przerypany także dla pana. To znaczy... pewnie nie było panu łatwo. Więc... — Przechodzę przez kuchnię i wyciągam dłoń, którą nie trzymam Cala; przy tym gościu zabieram mu butelkę. Cal wydaje z siebie rozzłoszczony skrzek. Rzucam okiem na Hester, wyobrażając sobie, że wyciągnie po niego ręce, ale ona się nie rusza.

Nawet nie porusza palcami, jakby musiała się powstrzymać. Tylko wbija we mnie nieruchome spojrzenie.

— Bardzo dojrzałe podejście, Tim — mówi Waldo, ostentacyjnie nie podając mi ręki. — Ale chyba to Hester zasługuje na przeprosiny. Ja musiałem jedynie przyglądać się jej cierpieniu.

Cholera, po prostu niech użyje tej maczety.

— Ale on to zrobił. Przeprosił mnie, dziadku. Mówiłam ci już — odzywa się Hester szybko.

Cał wierci się na moim ramieniu, znów próbuje sięgnąć po butelkę.

„Tato? Tato! Pomóż! Przecież jest tu obok. Tato!”

Opuszczam dłoń i podaję mu butelkę. Przynajmniej jego mogę zadowolić.

— Masz ochotę na *nam dang-mu pan*? — pyta Waldo uprzejmie, jakby przed chwilą nie zmieszał mnie z błotem i nie zostawił w niepewności. Co prawda w tych okolicznościach to chyba zrozumiałe.

Mimo to.

— To napój chłodzący z arbuza — tłumaczy Hester. — Będzie ci smakował. Jest naprawdę pyszny. W czasie wojny dziadek był kapłanem w Wietnamie, a potem razem z babcią mieszkali w Tajlandii.

Kapłan. Coś w rodzaju pastora. To by tłumaczyło brak żądzy zemsty.

— Poproszę, proszę pana. — Stoję przed nim wyprostowany i usztywniony, omal nie salutuję. Albo klękam.

— Tim, wyluzuj! — Hester przyciąga dla mnie z kąta duży fotel bujany, popycha, żeby się zakotłosał, klepie siedzenie. Jej dziadek rzuca jej ostre spojrzenie znad okularów babci, po czym wraca do siekania czegoś w dużej drewnianej misce tym wielkim maczetopodobnym nożem.

Cał już prawie twardo zasnął, usta mu drżą.

Waldo stawia obok mnie dużą dmuchaną szklankę pomarańczowoczerwonego napoju.

— Proszę, to dla ciebie.

— To nie alkohol, prawda? — Mierzę wzrokiem szklankę, modląc się, by odpowiedź brzmiała „nie”, gdyż w tej chwili chyba bym to wypił, nawet gdyby to był alkohol.

— Tylko arbuza z lodem. Wiem, że jesteś na odwyku, szanuję to.

Hester, która przed chwilą wyszła z pokoju, czego nie zauważyłem, właśnie wraca ze zdjęciem.

— To moja babcia — mówi, niezgrabnie przyciętym paznokciem postukując w twarz atrakcyjnej, roześmianej brunetki z głową odchyłoną do tyłu. — Tu jest Waldo. A to moja mama.

Aha, mama Hester, której nie ma. Zastanawiałem się, co się z nią stało, jak umarła i tak dalej. Mrużąc oczy, wpatruję się w zdjęcie. Przypomina Madonnę w fazie *Like a Virgin*: sztuczne perły, nastroszone włosy, błyszcząca koszulka na ramiączkach odsłaniająca sporo biustu. To jest mama Hester?

— Kiedy twoja mama, eee... — żeby tylko nie powiedzieć „wykitowała” — umarła? — pytam.

Hester i Waldo wybuchają śmiechem.

— Mama żyje i ma się dobrze — zapewnia mnie Hester.

— Mieszka w Vegas. Wciąż może pracować jako tancerka — dodaje Waldo z odcieniem dumy. — Ma nogi i poczucie rytmu po matce. Niczego nie odziedziczyła po mnie, szczęściara.

Nie podejrzewałbym Hester o taką rodzinę, jeśli w ogóle miałbym sobie cokolwiek wyobrażać na jej temat. Prędzej podejrzewałbym ją o podwójne sznury pereł i niebieskie sweterki. Żadnych tancerek. Żadnego Vegas. Rzucam Hester krótkie spojrzenie. Jest taka uporządkowana, opanowana. Nic dziwnego. Jej dziadek to wykapany frontman Grateful Dead, a matka to Madonna. Jedyna pozostała droga buntu to upodobnić się do Nancy Drew⁴.

Ostrożnie popijam napój arbuzowy, starając się nie obudzić Cala.

— Chyba powinienem położyć go do łóżka.

— Tędy. — Hester wstaje i prowadzi mnie na górę... do swojego pokoju.

Jego widok prawie łamie mi serce.

Mogę powiedzieć tylko tyle: to pokój dziecięcy. Powiewne różowe firanki, na łóżku narzuta w kwiaty, bilety z koncertów i filmowe, małe automatyczne zdjęcia po cztery sztuki w rzędzie, które robi się w kabinach w centrach handlowych — Hester i jakieś dziewczyny — wszystko wsunięte za lustro. Wyplwiała, chyba bardzo kochany miś na żółtej poduszce. Mnóstwo dziewczęńskich książek: *Dziwne losy Jane Eyre*⁵, *Zmierzch*⁶ — i tak dalej.

— Tu śpi Calvin.

Nie w jej pokoju. Przechodzimy przez jej pokój na korytarz. Stoi tam przenośne łóżeczko — nie przypomina rodzinnej kołyski wydłubanej w starym dębie. Gładka pościel, gładki niebieski kocyk, żadnego pluszaka — nawet małpki ze skarpetki. Pewnie w moim mieszkaniu Cal nie ma luksusów, ale wiecie — ma swoje plastikowe klucze, pluszową kaczkę, którą znalazłem, ten dziwaczny kocyk w misie pożyczony od pani Garrett. Ten kocyk Cal lubi najbardziej, zawsze wkłada jego róg do buzi. Tutaj z kolei ma niemowlęcy odpowiednik Motelu 6⁷. Wszystko wydaje się krzyżeć: „Jestem tu przejazdem”. Kładę małego na plecach. Cal macha rękami, marszczy twarz, jakby gotowy wybuchnąć na nas, ale pogrąża się we śnie szybciej, niż zdołam strzelić palcami.

Wychodzimy na czubkach palców z powrotem przez pokój Hester. Dziewczyna idzie przede mną. Dotykam jej ramienia.

— Wiem, że już przeprosiłem. Ale naprawdę mi przykro. Jest mi cholernie przykro, że zmarnowałem ci życie.

Hester opada na swoje łóżko.

— Tim — wzdycha ciężko. — Nie wiem, jaką różnicę zrobi moje wybaczenie w tej chwili. Nie winię cię za to, co się zdarzyło. To była w równej mierze moja wina.

— To ja się zalałem, Hes.

Jej oczy napełniają się łzami.

— Cholera, nie rób tego. — Rozglądam się gorączkowo po pokoju w poszukiwaniu chusteczek. — Nie płacz. Hes... przestań. Proszę, przestań.

— To takie dziwne. Tak się do mnie zwracałeś tamtej nocy. Cały czas mówiłeś do mnie „Hes”. — Jej podbródek drży. — Podobało mi się to. Hester brzmi tak sztywno. Wydaje mi się dziwne, że nie pamiętasz niczego więcej, ale wciąż wyrywa ci się to przezwisko. Wciąż mam wrażenie, że kłamiesz i jednak pamiętasz, co się wtedy działo.

W totalnej pustce nie pojawia się nawet przebłysk światła. Czasami miewam takie przebłyski wspomnień straconych dni i nocy, ale teraz...

— Niczego nie pamiętam — mówię najłagodniej, jak potrafię.

Hester pociąga nosem i wierzchem dłoni szybko wyciera oczy, po czym znów pociąga nosem.

— Ani jednej chwili? Nawet koloru mojego stanika? Zdjąłeś go bez problemu. Może chociaż to pamiętasz?

— Ee... był różowy?

— Granatowy. — Otwartą dłonią klepie się w czoło.

Pocieram swój kark i spoglądam przez okno na samochód.

— Nie wiem, dlaczego to jest dla mnie ważne. Tylko... zanim, no wiesz...

Przerywa, a ja czuję się jak dupek, ale również mocno wkurzony. „No wiesz”? Słowo „seks” nie chce ci przejść przez gardło, Hester? Masz dziecko. Wszyscy wiemy, skąd się wzięło.

— Zdałam sobie sprawę, jak jesteś pijany, powiedziałam, że nie powinniśmy... bo nie będziesz pamiętał. A ty powiedziałeś... powiedziałeś... — Przerywa, bierze chusteczkę leżącą na brzegu łóżka i wyciera nos. — ...że na pewno będziesz pamiętał. „Dlaczego mam nie pamiętać? Jak mógłbym?” Jakbym była naprawdę wyjątkowa, niezapomniana. A ja... uwierzyłam. A ty... ty... i tak zapomniałeś.

Zaczyna chlupać, robi to coraz głośniej — za chwilę albo obudzi się Cal, albo Waldo wpadnie ze swoją podręczną maczetą. Nie mam pojęcia, co zrobić oprócz tego, że siadam obok niej na kwiecistej narzucie. Nie za blisko.

— To nie miało nic wspólnego z tobą, Hester. Tylko... z moimi kłopotami. Jestem alkoholikiem, wtedy czynnym, więc mam dziurę w pamięci z powodu tego, kim jestem... byłem... a nie z powodu ciebie. Mogłabyś być... Marilyn Monroe... i tak niczego by to nie zmieniło.

Jej szloch cichnie. Hester patrzy na mnie spod wilgotnych rzęs, potem opuszcza wzrok. Przysuwa się nieco bliżej. Odrzuca ciemne włosy, które spadły jej na twarz.

Jej spojrzenie wędruje do moich ust.

Całowałem się z wieloma dziewczynami, które nic dla mnie nie znaczyły. Ja też nic dla nich nie znaczyłem. Nie znaczyłem nic nawet dla samego siebie.

Wiem, do czego zmierza Hester... Próbuje uwierzyć, że to, co między nami zaszło, nie było czystym przypadkiem. Chce wierzyć, że pojawiło się jakieś uczucie, a nie tylko biologia. I rum bacardi. Ale ja... nie mogę. Jestem palantem, ale nie aż takim. Już nie.

Odsuwam od niej rękę, przesuвам nią po włosach i zrywam się na nogi.

— Rany, umieram z głodu. Czy twój dziadek dobrze gotuje? Zapach jest odlotowy.

Hester nie unosi głowy. Przedziałek ukazuje fragment jej jasnego karku. Nagle przypomina mi się, co powiedział George Garrett: że pokazanie karku lub brzucha jest „oznaką największego poddania” w świecie zwierząt, gdyż pokazuje się wtedy swoje najbardziej miękkie, najdelikatniejsze części ciała. Nienawidzę siebie bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

— Hester! — dobiega z dołu głos Walda. — Zejdźcie na dół, kolacja!

— Jest świetny. Świetnie gotuje.

*

Kiedy wchodzimy, Waldo spogląda na nas spod krzaczastych brwi.

— Dziecko długo zasypiało?

— Nie, wręcz przeciwnie — odpowiada Hester, podczas gdy ja mówię:

— Eee, tak. Tak jakby.

— Hm... — Przysuwa sobie drewnianą tacę i zaczyna przekładać na nią okrągłe kromki chleba. Trzask. — A co do Calvina... — Trzask. — Omówiliście podstawowe sprawy? — Wskazuje nożem mnie, a potem Hester.

— Mówiliśmy... — zaczyna powoli dziewczyna.

— Raczej o tym, jak mały się tu znalazł, a mniej o tym, co z nim zrobić, skoro już tu jest — wywalam. Waldo ciemnieje na twarzy, Hester czerwienieje.

Na talerze trafia rodzaj potrawy, w której pływają krewetki z ogonami. Waldo dziwnie grzebie w zupie, po czym przesuwa drewnianą miskę w moim kierunku.

— Wy dwoje jesteście na progu. To miejsce pomiędzy pytaniami. Jak zamierzacie go przejść i doznać oświecenia? — Rzuca ciężkie spojrzenie mnie i Hester, jakby mógł to oświecenie wyciągnąć z nas siłą i postawić na stole obok potrawy.

Ech... zanurzam łyżkę parującego ryżu w misce i przetykam, grając na zwłokę. Hester wzdycha i się garbi. Mijają minuty, wszyscy wbijamy wzrok w swoje talerze. Waldo zaczyna jeść, potem unosi wzrok i przygląda się nam spod krzaczastych brwi.

— No i?

— Ja chcę wrócić do normalności — mówi Hester.

— Ja mam tylko nadzieję, że pozostanę trzeźwy — dodaje.

— Normalność. Trzeźwość. — Waldo przełyka kęs potrawki. — To na pewno są punkty docelowe. Ale teraz macie przed sobą drzwi prowadzące w znane i nieznane.

Hester z hałasem upuszcza łyżkę.

— Super. Boże, dopomóż, jeśli jeszcze raz usłyszę cytaty z Jima Morrisona⁸. Nie chcę tego słuchać. Był tak samo zakręcony jak Tim.

Mówi cicho, drżącym głosem. Waldo na sekundę otwiera szerzej oczy i przestaje przeżuwać.

— Nawet bardziej — mówię. — Ja nie dałbym się znaleźć martwy w skórzanych spodniach.

Waldo chichocze, Hester znów ujmuje łyżkę.

— Nooo to... co z urzędem adopcyjnym? — pytam.

Hester znów przypomina wzorową uczennicę, jakby już zapomniała o swoim wybuchu.

— Raczej nie będziemy mieli problemu ze znalezieniem dla niego rodziny. To rodzice adopcyjni muszą się nam zaprezentować z najlepszej strony, a nie my im. Przechodzą wizyty domowe, badania lekarskie i tak dalej. To ich zadanie. — Nabiera chlebem potrawkę, ostrą jak diabli. Biorę łyk, oczy zachodzą mi łzami, przełykam haustem całą szklankę napoju z arbuza. Hester nawet nie mrugnie. Waldo wręcz ujął miskę w dłonie i z niej pije.

— Zatem pozostaje pytanie o kolejny krok — odzywa się Waldo. — Droga przez las.

— Nie śpieszymy się — zapewnia go Hester.

My? Jest jakieś „my”? Zaczyna mi pulsować w skroniach.

— Jeśli o mnie chodzi, jestem za tym, żeby to maksymalnie przyspieszyć, najlepiej załatwić od razu — mówię. — Wziąć byka za rogi i zmierzyć się z rzeczywistością.

Nigdy w życiu nie użyłem żadnego z tych wyrażeń.

— Dlatego dobrze było zaangażować w to Tima — zwraca się Hester do Walda. — Jako para jesteśmy w tej samej sytuacji.

Waldo spogląda na mnie i potem znów na nią.

— Oboje jesteście bardzo młodzi, Hester. I właściwie nie jesteście parą. — Uśmiecha się do mnie, ale ten uśmiech przypomina raczej wyszczerzenie zębów.

— Właśnie — potwierdzam. — Nie jesteście parą.

— Jesteś jego ojcem — mówi Hester, spoglądając na swoją miskę, jakby miała w niej fusy do wrózenia. — A ja matką.

— Tak, ale...

— To nasze dziecko. Nasza decyzja. Rozumiesz, dziadku? — Znów spogląda na niego, nie na mnie. — Musimy to załatwić z Timem.

Waldo kiwa głową, chwytając się palcami za kark, przechyla głowę w jedną

stronę, potem w drugą, przeciągając szyję.

— I dlatego tak mi zależało, żebyś go przyprowadziła.

— No i przyprowadziłam — mówi do niego Hester.

Czasami naprawdę mam wrażenie, jakbym przez te wszystkie wysoki uszkodził sobie mózg. Słyszę, co mówią, ale nie rozumiem, co się dzieje. Co powiedzieli? Hester mnie przyprowadziła, ale czy ja tu naprawdę jestem? Czuję się jak dawca spermy, co przypuszczalnie jest niedalekie prawdy.

— Jakoś to załatwimy. Razem. Prawda, Tim?

— Jasne — mówię, wbijając wzrok w zegar. Rozlega się pisk, najpierw cichy, później przybierający na sile.

„Dzięki, Cal”. Zaczynam wstawać z krzesła. Hester wzdycha ciężko.

— Nie... teraz ja się nim zajmę. W końcu to moja kolej. — Prostuje się, jakby szła do walki, a nie do siedmiotygodniowego dziecka. Upija napoju i prostuje ramiona.

Na miłość boską.

— Sprawdź, co się dzieje — odzywam się, wyprzedzając ją w drodze do schodów. To nie jest trudne, gdyż dziewczyna porusza się tak, jakby miała na nogach ołowiane buty. — Zabiorę go na noc! — wołam. — To żaden problem, co to jest jedna noc więcej!

Kolejna noc nieprzespana. I bez późnej wizyty Alice. Niech to — mam swoje mieszkanie, bez rodziców, bez opiekunów, bez monitoringu, no to trafił mi się monitoring w postaci niemowlęcia.

Cal jest mokry, przeciekło mu też na te długie spodnie dla maluchów.

— Mam świeży becik — odzywa się Hester zza moich pleców. O mało nie wyskakuję ze skóry. Dziewczyna potrafi się poruszać całkowicie bezgłośnie, jakby jej stopy w ogóle nie dotykały ziemi. Byłaby doskonałym mordercą na zlecenie.

— Dzięki — odpowiadam, wycierając go. Mocuję się z pieluszką, zakładam ją mniej zręcznie niż zwykle, gdyż Hester patrzy mi na ręce, po czym mały nagle sika. Prosto w moje oko.

Fuj. To mój dzieciak i w tej chwili już nawet uważam, no wiecie, że jest prawie słodki i tak dalej, ale sikanie w oko?

Hester wybucha śmiechem.

— To nie jest zabawne — warczę, wycierając się chusteczką dla niemowląt, po której oko mnie piecze i łzawi. Hester chichocze jeszcze bardziej, teraz już śmieje się otwarcie, trzymając za brzuch.

— Przepraszam, przepraszam. Już przestaję. — Z wysiłkiem próbuje spoważnieć, podaje mi futrzane coś, co wygląda jak poszewka na poduszkę z rękawami.

— Co to?

— Becik. Wkładasz go do środka i zapinasz.

Zapinam Cala, który przestał marudzić, i patrzy na mnie z obawą. Potem kładę go sobie na ramieniu i biorę torbę z pieluszkami. Jeszcze kilka tygodni temu nie musiałem niczego nosić przy sobie, wsuwałem do tylnej kieszeni prawo jazdy i kartę do bankomatu. A teraz chodzę jak juczny osioł.

*

Po nieskończonych podziękowaniach i pochwałach kolacji wyciągam dłoń do Walda na pożegnanie. On ujmuje moją rękę w swoje owłosione dłonie i kołysze nimi, jednocześnie patrząc mi w oczy, jakby próbował odczytać moją aurę, zajrzeć mi w duszę albo sprawdzał, czy nie mam powiększonych źrenic.

Głos, który wciąż dotąd powtarzał zachwyty nad kolacją, nagle mnie zawodzi i utyka w gardle.

— Przywiązałeś się do Calvina — stwierdza Waldo. To nie pytanie.

— Ee... — odpowiadam — nie za bardzo. — Cal się wierci, podnoszę go wyżej, podtrzymuję dłońią za pupę. Mały pachnie kremem dla niemowląt i proszkiem do prania. — Nie wiem, co to znaczy — dodaję — proszę pana.

— To właśnie pytanie, prawda? — mówi Waldo, opuszczając głowę i spoglądając na mnie sponad babcinych okularów, marszcząc siwe, krzaczaste brwi. W końcu puszcza moją dłoń. — Zatem do zobaczenia wkrótce, Timothy.

— W porządku — odpowiadam, zaciskając i rozluźniając pięść. Trochę ją ścisnął.

„W porządku?” Boże!

*

Już mam wyjeżdżać, kiedy Hester puka w okno. Otwieram, ona kładzie łokieć na ramie.

— Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się to z inną?

— Eee, masz na myśli seks? — Byłem aż tak fatalny?

— Nie, to, że niczego później nie pamiętałeś.

— Co mam ci powiedzieć, Hester?

„Tak, jesteś jedyną, której tak zupełnie zapomniałem. Nie, jesteś jedną z wielu”. O ile wiem, prawdą jest to pierwsze. W tej chwili w głowie pojawia mi się obraz. Drążek zmiany biegów wysuwa mi się z palców, a przed oczami staje tłum dziewczyn, które zostawiałem w pokojach gościnnych, na tylnych siedzeniach samochodów, w pustych klasach — ze zmierzwionymi włosami, w poprzekręcanych spódniczkach, z oskarżycielskimi minami — wszystkie idą w moim kierunku, wyciągając do mnie rudowłose niemowlęta.

Dopiero po trzech próbach drżącą ręką udaje mi się wrzucić bieg.

— Nieważne — mówi Hester.

W drzwiach widzę chudą sylwetkę przyglądającego się Walda.

Z pośpiechem wyjeżdżam na ulicę.

*

— Widzisz — mówię, padając na plecy na kanapę z Calem na piersi — dlatego właśnie nie wolno ci się motać z żadną nieznaną osobą z niewiadomego powodu w nieznanym miejscu. No pewnie, mogła być chora, mogła zajść w ciążę. To już poważna sprawa. Ale tak naprawdę i przede wszystkim okazuje się, że wchodzisz w życie kogoś, kogo nie znasz i kogo nie rozumiesz, ten ktoś wchodzi w twoje życie i za żadną cholere nie możesz się wyplątać.

Cal objima mi się głową o obojczyk.

Czuję wibrację telefonu — przyszedł SMS. Znów Hester. Jeśli mnie zapyta, jakiego koloru lakier miała na palcach rąk czy nóg, to zwariuję.

„Jeszcze nie wiem, jak ci dziękować”.

„Podziękuj mi, załatwiając jak najszybciej formalności adopcyjne. Mówię poważnie” — odpisuję, trzymając telefon nad plecami Cala. Czuję lekkie ukłucie winy, gdyż jednocześnie jego miękkie włosy łaskoczą mnie w podbródek. Ale kiedy ojciec będzie mi wystawiał ocenę pod koniec roku, Cal musi już być przeszłością i odbiciem w tylnym lusterku.

„Dobrych snów” — odpowiada.

To chyba ironia.

Na podjeździe Garrettów pojawia się samochód; po sekundzie wyglądam przez okno. Z tego co wiem, Jase uczy Sam prowadzić, a teraz oboje stoją obok mustanga. Chłopak ma ręce w jej włosach, ona obejmuje go w pasie, kładzie mu głowę na piersi. Tego właśnie chcę. Czuję się jak dziwaczny podglądacz, ale... to takie spokojne i wyluzowane. Nie śpieszą się, nie pędzą, poruszają naturalnie i powoli. I chociaż zachowuję się jak menda, gdyż podglądam ich w takiej chwili, staram się nie hałasować, nie chrząkam, żeby dać im znać o mojej obecności — jeszcze gorszą mendą czuję się za to, że tego chcę. Mam wrażenie, jakby imadło ścisnęło moje ramię, to silniejsze niż jakakolwiek ochota na alkohol lub zapomnienie. To coś, co właściwie... boli, a nie gryzie jak komar, którego nie mogę odpędzić. Jase coś mówi, Samantha się śmieje, wtula w niego głowę, wtula się w niego cała. Pasuje do niego, chociaż ona jest prawie tak niska jak Alice, a on niemal dorównuje mi wzrostem.

Palant ze mnie, bo chcę tego samego, co ma mój najbliższy przyjaciel. On kocha ją, ona kocha jego... reszta może poczekać. Nie ma żadnych obłąkanych komplikacji, żadnej koleżanki z klasy, którą się przeleciało, a potem całkowicie zapomniało, żadnego dziecka, które się spłodziło, nawet o tym nie wiedząc.

Chcę dla Jase'a — i Sam — wszystkiego najlepszego, oni na to zasługują. Ale jednocześnie pragnę, by moje potknięcia można było wymazać chwilami, w których postąpiłem właściwie. Można je zapewne policzyć na palcach jednej

dłoni.

A może wystarczyłby jeden palec?

*

Mniej niż tydzień temu w moim łóżku leżała Alice, a teraz mam tu niemowlaka z piekła rodem.

Niebieskie oczy są czerwone, mały wygląda, jakby potrzebował egzorcyzmów, oddycha głęboko i z trudem, kolana podciąga wysoko do piersi. Ledwie się rozwidnia, Cal cierpi, a ja nie mam pojęcia, jak mu pomóc. Nie chce niczego od mojego nosa, ale kiedy tylko odkładam go do łóżka, żeby sięgnąć po butelkę albo coś w tym rodzaju, wrzeszczy jeszcze głośniejsze. Uszy mi pękają, marzę o tym, żeby go położyć i pójść do drugiego pokoju, zamknąć za sobą drzwi. Wyjść na dwór, na trawnik, potem na ulicę i iść na plażę. W końcu nikt jeszcze nie umarł od płaczu, prawda? Może w końcu się zmęczy?

*

No to... nie wychodzę. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Noszę go dalej, podczas gdy on rzuca się jak ryba złapana na haczyk.

I płacze. Bez końca. Okropnie głośno.

— Cal. Nie wiem, co kur... Nie wiem, czego chcesz. Czego potrzebujesz. Chcę ci pomóc, mały. Pomóż mi zrozumieć. — Przerywa na sekundę, jakby chciał przemyśleć moje słowa, po czym znów zaczyna wrzeszczeć desperacko.

Proszę o poradę kogoś, kto żyje na tym świecie krócej, niż ja spędziłem na odwyku. Biorę go na ręce i kładę sobie na brzuchu, mocno przytulam jego naprężone, wijące się ciało. Mały opada cały spocony, zwilgotniałe rude włosy opadają mu na twarz, nie sterczą jak zwykle. Po długiej chwili, jakby musiał odzyskać siłę, podnosi dużą, ciężką główkę i spogląda mi prosto w oczy.

Uśmiecha się.

Ten bezzębny, niemądry uśmiech, głowa opadająca jakby pod ciężarem emocji, które dodają jej wagi, całkowicie zmienia całą tę małą twarz — nagle zamienia się w radosnego Buddę. „Cześć, Cal. Cześć, mały” — uśmiecham się do niego.

„Tata. Cześć, tato”.

To coś, ta cała wspólnota krwi, to „Luke, jestem twoim ojcem”⁹... Nie wiem, może faktycznie powoli to do mnie dociera. Odrobinę.

Potem, jakby uśmiech wyczerpał całą jego energię, mały opuszcza głowę na bok, łapie mnie za włosy na piersi, chrapie głośno i zapada w sen.

Lewą ręką wciąż przykrywam cały jego tyłek. Drugą dłonią mogę bez problemu zasłonić bok głowy Cala. Ledwie oddycham, ale na pewno się nie poruszę, żeby go nie obudzić. Leżę więc tak, nasłuchując jego poświstywania,

niemal je licząc, oddychając tym samym powolnym rytmem. On jest częściowo mną. Z mojego powodu. Ja to zrobiłem.

Po raz pierwszy ta świadomość nie przyprawia mnie o mdłości, poczucie winy albo świadomość, że zrobiłem coś złego. Po raz pierwszy naprawdę wiem, że jest mój.

1 Jerry Garcia — amerykański gitarzysta i wokalista, lider zespołu Grateful Dead, cieszącego się dużą popularnością, począwszy od drugiej połowy lat 60. do połowy lat 90. XX wieku.

2 Hobbit — postać fikcyjna, przedstawiciel jednej z ras występujących w powieściach J.R.R. Tolkiena, mieszkający w świecie zwanym Śródziemiem, w domach składających się z sieci tuneli wykopanych pod ziemią.

3 John Henry — bohater amerykańskich legend, jeden z budowniczych linii kolejowej z zatoki Chesapeake do doliny Ohio, wyróżniający się swoją posturą i siłą, często wyobrażany w trakcie drążenia otworów w skałach.

4 Nancy Drew — bohaterka książek i filmów dla młodzieży, nastolatka rozwiązująca zagadki kryminalne.

5 *Dziwne losy Jane Eyre* – napisana przez Charlotte Brontë historia osieroconej dziewczyny wychowywanej przez ciotkę i wuja.

6 *Zmierzch* – cykl powieści autorstwa Stephenie Meyer o przygodach Belli Swan, która po przeprowadzce do niewielkiego miasteczka w stanie Waszyngton zakochuje się w Edwardzie Cullenie, który jest wampirem.

7 Motel 6 – sieć tanich hoteli w USA i Kanadzie.

8 Cytat z Jima Morrisona — aluzja do słów: „There are things known, and things unknown, and in between are the Doors”, których autorem jest Aldous Huxley, cytowanych później przez Morrisona, lidera grupy The Doors.

9 „Luke, jestem twoim ojcem” – słowa wypowiedziane przez Lorda Vadera do Luke’a Skywalker’a w piątej części *Gwiezdnych wojen*, pt.: *Imperium kontratakuje*.

Rozdział trzydziesty pierwszy

TIM

— Mama zawsze pozwala mi siadać na przedzie — mówi Harry, wbijając chudy, siedmioletni tyłek w to samo siedzenie, podczas gdy ja się pocę, wpinając fotelik Cala do wnętrza vana Garrettów. Cal się wierci i usiłuje mnie walnąć swoją pluszową kaczką. George wybucha śmiechem.

Czuję zapach słonego powietrza, który zapowiada Alice, zanim jeszcze zobaczę ją stojącą obok mnie jak fatamorganę. Całe szaleństwo wokół mnie i we mnie ucicha. Dociera do mnie zapach mięty — miętowe mydło lub cukierek, który przed chwilą jadła.

— Lepiej? — pyta. — Brak stałych efektów ubocznych?

— Mama nigdy nie pozwala ci siadać na przedzie — odzywa się Duff z tyłu. — Pieprzysz, Harry.

— Tim, powiedz mu, że nie wolno się tak wyrażać. To złe — mówi George.

— Uważaj na słowa! — wołam przez ramię. „Hipokryci to nasze drugie imię”. Spodziewam się, że Duff mi to wypomni, ale on tylko kopie tył fotela George’a.

— Całkowicie doszedłem do siebie — odpowiadam na pytanie Alice. — Wszystko działa.

Koncentruję się na polerowaniu butelki wody. Alice nie musi wiedzieć, że dzisiaj rano była ze mną pod prysznicem.

Ale ona błyska swoim zabójczym uśmiechem i nie mówi nic.

— Masz zajęcia dzisiaj wieczorne? — pytam, kiedy Andy wybiega z domu.

— O rany, dzięki, Tim, że zaczekałeś! Możesz się pośpieszyć? Jestem spóźniona na próbę zespołu i przysięgam Alyssie, że przyniosę jej grę przed meczem. Zatrzymasz się na chwilę przy Dunkin’, co? Masz jakąś kasę? Czy moje włosy bardzo źle wyglądają? Nałożyłam za dużo mascary?

— Dobrze wyglądasz — odpowiada stanowczo Alice. — A Tim nie jest twoim bankomatem. — Odwraca się z powrotem do mnie. — Nie, miałam nocny dyżur, ale na razie skończyłam. Wrócisz po meczu?

Zanoszę się kaszlem, o mało nie wypluwając wody.

— Yhm, czy mamy jakiś plan?

Po co o to pytam? Kogo to obchodzi?

Powietrze jest rześkie, wyszło słońce. Alice się przeciąga i odsuwa włosy z karku.

— Możemy iść na spontan.

— Możemy ruszyć? Proooszę! — jęczy Andy z przedniego siedzenia. Harry siedzi z tyłu.

— Harry beknał mi prosto w twarz, i to specjalnie! — mówi Duff. — To obrzydliwe.

— Po meczu? Będziesz tutaj? Ja... też będę.

Chryste.

— No to fajnie.

Alice spuszcza wzrok, wpycha palec stopy w miękkie podłoże na podjeździe.

— Tim, proszę! Wiem, że jesteście zajęci sobą, ale miej trochę litości!

Sprawdzam lusterko wsteczne w vanie, gdyż samochód jest wielki.

Cal, który na moment przysnął, otwiera oczy, we wstecznym wydaje się całkowicie rozbudzony. Wytrzeszcza oczy na Alice, a potem uśmiecha się szeroko i radośnie.

— O rany! — mówi Alice. — Patrzcie! — Kładzie palec na kąciku ust Cala. Oboje patrzą na siebie przez sekundę, jakby się nawzajem poznawali. Potem uśmiech małego się poszerza.

— Tak, właśnie się tego nauczył.

Alice pochyla się bliżej i odsuwa włosy.

— Patrz, Tim.

— Co?

— Masz swój brakujący dołeczek. Cal dorobił się kolejnego. — Dotyka palcem małej fałdki na policzku Cala.

Boże, nie zauważyłem, ale to prawda.

Alice się cofa, zarzuca na ramię ciężką torbę i odchodzi w stronę domu, rzucając mi szybki uśmiech przez ramię.

— Nareszcie! — stwierdza Andy, kiedy wsiadam do samochodu.

— Buuuu! — wrzeszczy Patsy na próbę. Kręcę głową pod jej adresem. Mała odsuwa się do tyłu z głęboko urażoną miną.

— Dlaczego faceci nigdy nie używają emotków w SMS-ach? Skąd mamy wiedzieć, co oni w ogóle czują?!

— Na ogół sami nie mamy o tym pojęcia, Andy — mamroczę.

Uwielbiam dzieciaki Garrettów, ale w tej chwili moje myśli błądzą zupełnie w innych rejonach. Poza tym przez całą drogę pasażerowie walczą między sobą jak banda marcujących kotów. Zanim dotrzemy na szkolny parking zastawiony vanami i SUV-ami, czuję lodowate szpilki wbijające mi się między oczy.

HESTER, PROSZĘ. MUSISZ GO ZABRAĆ NA NOC. ODBIERZ GO Z LICEUM SB. NAPISZ, JEŚLI POTRZEBUJESZ ADRESU — TWÓJ TAK ZWANY WSPÓLRÓDZIC.

Ostatnie słowo nie brzmi za dobrze, wiem, ale niech to. Pomijając już Alice, mógłbym paść i zasnąć na miejscu. Espresso i wielka puszka napoju nie pomogły ani odrobinę.

— Co słyhać? — pyta znajomy głos, kiedy razem z maluchami wbijamy

tyłki w krzeselka drugiego rzędu. — Kopę lat, Timie Masonie.

— Co ty robisz z moją siostrą? — pytam od razu.

Troy osłania dłonią ucho i bezradnie wzrusza ramionami. Podobno kiepsko na nie słyszy, gdyż ojciec bił go trochę za mocno i trochę za często.

Potem się przysuwa i wyciąga ramiona, chcąc mnie objąć, ale nie zauważył, że mam na piersi nosidełko z człowiekiem. Kiedy dociera do niego to, co mam przed sobą, i zauważa tył puszystej głowy Cala, odsuwa się, a potem unosi ramiona i obejmuje mnie za szyję.

— Brakowało mi ciebie! Co się dzieje, robisz za nianię?

— Co? Nie — odpowiadam, po czym uświadamiam sobie, że właściwie to owszem.

— Cześć! — odzywa się George radośnie. — Jesteś kolegą Tima? — wyciąga rękę. — George. To ja.

Troy uderza pięścią w otwartą dłoń George'a, która nie grzeszy czystością, potem rzuca spojrzenie na Harry'ego i Patsy, z ciekawością przyglądających się tej scenie. Cal ssie swoją dłoń, mlaskając głośno.

— Nie rozmawiaj z nim. Jest obcy — mówi Harry scenicznym szeptem do George'a. Nagle zaczął się przejmować zasadami, chociaż niedawno całkowicie nielegalnie wpychał się na przednie siedzenie.

— Nieee. Znam Tima, zresztą dość długo — odpowiada swobodnie Troy, odrzucając włosy z oczu. Jak zawsze, wygląda jak nastoletni diler narkotyków z hollywoodzkiego filmu. Nigdy nie potrafiłem się domyślić, czy to ironia, czy czysta głupota. Wybieram bramkę numer dwa.

— Potrzebujesz czegoś na uspokojenie, Mason? Wydajesz się cholernie spięty — mówi Troy. — Nic dziwnego, mam rację? Podobno siedzisz w domu na czas nieokreślony.

— U mnie wszystko w porządku — warczę. Troy się wycofuje, unosząc dłonie.

— Dobra, dobra — mówi. — Bez urazy. Priorytety się zmieniają i tak dalej.

— To dziecko Tima — mówi dalej George konwersacyjnym tonem. — Ma na imię Cal. Tim dostał go na imprezie.

— Jeez... — odpowiada Troy znaczącym tonem, przenosząc spojrzenie z głowy Cala pokrytej zdradzieckim rudym puszkciem na mnie. — Słyszałem co nieco, ale jednak... nawiedzają cię błędy młodości, co?

— Błędy mojej młodości stworzyły twoją, Rhodes.

— Racja — odpowiada Troy z zadziwiająco zadowoloną miną. — Ale ja idę na studia bez obciążeń. Chyba jesteś w czarnej dziurze.

— Zaczekajcie tutaj — mówię do Garrettów, potem ciągnę Troya za ramię na tył trybuny.

— Ha. Wiedziałem, że się zdecydujesz, Mason — mówi zadowolony. —

Ukrywasz się przed dziećmi, co? Jaki towar cię interesuje?

— Prawda. Co sprzedajesz mojej siostrze? I tak jest wystarczająco zakręcona.

— Twojej siostrze? — odpowiada z namysłem, otwierając szeroko oczy z wyrazem skrzywdzonej niewinności, który tyle razy wydobywał go z kłopotów od czasu gimnazjum. — Masz na myśli Nan?

— Opuść sobie nawijkę, Troy. Tak. Nan. Co się dzieje?

Jego leniwy głos udawanego surfera nagle twardnieje jak stal.

— Nie wtrącam się w dramaty rodzinne. Chcesz wiedzieć, co się z nią dzieje, to sam ją zapytaj.

Z dolnego rzędu podbiega do nas George z butelką Cala w wyciągniętej dłoni. Szarpie mnie za rękaw.

— Pośpiesz się! Drużyna już wychodzi! Szybko! — rzuca i zaczyna ciągnąć również kurtkę wojskową Troya. — Ty też chodź. Jesteś żołnierzem?

— Tak jakby — odpowiada raźnie Troy.

— Bojownik o wolność przeciwko walce z narkotykami? — pytam. Chłopak ze śmiechem mierzy do mnie palcem jak z pistoletu.

— Właśnie tak. Prowadź, mały.

— W każdej wojnie ginie więcej cywilów niż żołnierzy — informuje George. — O, popatrzcie, już wyszli!

W tej chwili na boisko wybiegają dwójkami drużyny Stony Bay i Maplecrest i ustawiają się w kole.

— Aaaach! — odzywa się Cal, wierząc się z gniewem w nosidełku. — Aaach. Aaaagaaach.

— On płacze, Hon. Złób coś. Cal płacze — mówi Patsy tonem wkurzonego tirowca, który kontrastuje z jej kitkami.

— Tam jest mój brat! — mówi George do Troya. — Ma numer dwadzieścia dwa, o tam, właśnie zatrzymał tego wielkiego gościa w pomarańczowej koszulce.

George, Harry i Duff nie spuszczaają wzroku z boiska.

— Ładny wślizg, chociaż i tak stracili punkt! — woła Duff. — Maplecrest High, bierzcie i udławcie się, śmierdziele!

— Duff znów przeklina! — śpiewa George.

Przychodzi mi na myśl kilka przekleństw, którymi na pewno bym go zawstydził.

Patsy przygląda się, jak próbuję nakarmić Cala, po czym spogląda na mnie z takim wyrazem twarzy, jakbym ją zdradził. Jej dolna warga drży.

— Hon... — mówi z takim smutkiem, jakby to był mój pogrzeb.

— Może mógłbym się z nią na przykład przejść wokół boiska — podsuwa Troy. — Mam przyrodnią siostrę. To niemowlę. Chodzenie może się przydać, wiem coś o tym.

— Brałeś? — pytam go.

Marszczy się zirytowany.

— Człowieku, owszem, handluję tym, ale sam nie biorę.

„No jasne, jesteś człowiekiem z zasadami, Troy”. — Patrę mu prosto w przejrzyste oczy o zdrowym kolorze. Skopałem sprawę, bo nigdy go nie zapytałem ani się nad tym nie zastanawiałem. Ale zaczynajmy od podstaw.

— Dobra, pochodźcie przed trybunami tam i z powrotem, ale tak, żebym cię widział — nakazuję.

Zatem znalazłem się w świecie alternatywnym: mój zaprzyjaźniony diler z sąsiedztwa uspokaja dziecko, którym się opiekuję, podczas gdy ja próbuję zmienić pieluszkę własnemu dziecku na swoich kolanach — kiepski pomysł — podczas gdy Harry, Duff i George kibicują bratu, jakby to wszystko było całkowicie normalne i zwyczajne.

— O rany — mówi Duff pod nosem — Jase chyba ucierpiał przy tym podaniu.

Cał odrywa usta od butelki, jakby ta świadomość osobiście go dotykała. Wsuwam mu butelkę z powrotem w usta.

— No już, jedz, mały.

Troy posadził sobie Patsy na barana, kręci się w pobliżu, wskazuje na Jase'a na boisku.

— Patrz, mała. Widzisz, jaki inteligentny? Został z boku po wybiciu piłki, żeby drugi zawodnik nie mógł go wyprzedzić.

— Nie zauważyłem — odpowiada poważnie George, przysuwając się do Troya. — A czy to dobrze?

— Zarąbiście, mały. Twój brat rządzi.

*

Gra dobiega końca, kiedy Hester podchodzi do mnie i klepie w ramię. Odpinam nosidełko i odsuwam Cala, po czym wpycham go bezceremonialnie w jej ramiona tak szybko, że dziewczyna o mało go nie upuszcza. Maluch patrzy na mnie, dolna warga mu drży, uśmiecha się do mnie tym swoim niepewnym uśmiezkiem. „Tato?”

Biorę go z powrotem i opieram o ramię.

— Przepraszam, przepraszam, przepraszam, mały — mruczę mu cicho do ucha.

Hester przygląda mi się, mrużąc oczy, z dłonią przy ustach, ssie paznokiec.

— Jesteś gotów go puścić?

Stoję nieruchomo przez minutę, podkładam mu dłoń pod głowę, tam gdzie skóra się marszczy, jakby tworzyła zapas na rośnięcie. Trochę to boli.

— Dbaj o niego, dobrze?

Rozdział trzydziesty drugi

Tim

Skaczę do drzwi w jakichś trzech krokach; stoję przed nimi w butach od Alice, unoszę dłoń do kołatki, kiedy dziewczyna otwiera mi, zanim zdążę zapukać.

Mózg mi nieruchomieje, gdyż Alice ma na sobie tylko krótki, ciemnozielony ręcznik. Włosy ociekają jej wodą, właśnie wyszła spod prysznic. Pachnie szamponem dziecięcym i wilgotną skórą. Jest opalona, czysta i mokra.

W miarę jak cisza się przedłuża, patrzy na mnie nieruchomo, a brwi powoli podjeżdżają jej w górę czoła.

Po obojczyku spływa jej strużka wody i znika między piersiami, zakrytymi zielonym materiałem. Alice poprawia ręcznik, podsuwa go wyżej, ale wtedy materiał opada z boku.

Mam problemy ze sformułowaniem zdania.

— Ja tylko....

— Akurat przechodziłeś?

— No właśnie.

— Wchodź.

Alice

Już w kuchni, świeci się tylko lampka nad kuchenką i trochę światła wlewa z ulicy. Jest cicho, z któregoś z pokoi sączy się muzyka i kotka Jase'a o imieniu Mazda głośno narzeka na pustą miskę.

Tim się schyla, żeby ją pogłaskać, a ona trąca go w łydkę, po czym od razu staje na tylnych łapach i zaczyna mu ugniatać udo i uderzać w nie głową. Jego dłoń wydaje się duża, a przecież Mazda nie należy do drobnych kotów.

Kotka usiłuje wskoczyć mu na kolana, ale jest zbyt tłusta, więc z pogardą opuszcza ogon, typowo kocim sposobem dając do zrozumienia, że Tim i tak jest stworzeniem niższym od niej, po czym odchodzi leniwie.

Tim unosi na mnie wzrok i się uśmiecha. To taki sam olśniewający uśmiech jak ostatnio.

Blask latarni ulicznej na początku naszego podjazdu rysuje ostre kontury wokół przedmiotów, zapala błyski na włosach Tima i wydobywa z nich głębsze, cieplejsze tony.

Tim przesuwa dłonią po twarzy. Ziewa, przeprasza, mruga i znów się uśmiecha.

— Słuchaj, masz ochotę... się przejść? Tylko coś na siebie narzucę.

„Nie wyjdę w ręczniku, jeśli nawet miałeś taką nadzieję”.

— Cholera — odpowiada Tim, ale chyba automatycznie, odruchowo, jakby

uważał, że tego właśnie od niego oczekuję.

— Ja tylko... pójde się ubrać

Kiwa głową i wstaje, bezcelowo podchodzi do stołu. Bierze do ręki mój kubek do herbaty ze smugą czerwieni na brzegu, obraca go w dłoniach i odstawia. Bierze pałeczkę do perkusji zostawioną przez Joela, uderza nią lekko w róg stołu i odkłada.

Kiedy otwiera lodówkę, by chwilę się w nią pogapić i znów zamknąć, powtarzam po raz kolejny:

— Założę coś... na siebie.

— Dobry plan — odpowiada Tim z roztargnieniem.

*

Po powrocie, już w moich ulubionych dzinsach i bluzie Jase'a, zastaję Tima przy stole kuchennym z głową złożoną w ramionach.

Dotykam jego pleców; podrywa się, przeciera oczy i patrzy na mnie nieprzytomnie.

— Aż tak długo mnie nie było? — pytam z rozbawieniem. — Na pewno masz siły na... cokolwiek?

— Tak. Minuta. — Odkręca wodę, opryskuje sobie twarz, marszcząc brwi, spogląda na ekspres, w którym zostało jeszcze trochę porannej kawy, po czym unosi dzbanek do ust i wypija prawie połowę.

— Nie chcesz kubka?

— „Chcemy dostać to, czego chcemy, akurat w chwili, kiedy tego chcemy”, pamiętasz, Alice?

Wierzchem dłoni ociera usta, uśmiecha się lekko, przy czym ukazuje się na moment jego jeden dołeczek.

— No to dokąd?

Jego samochód zastawił mój, więc wsiadamy i jedziemy bocznymi polnymi drogami w Maplewood, do wesołego miasteczka w Hollister, już przygotowanego na doroczny piknik jesienny, który przypada w ten weekend. Teraz jednak panuje na nim ciemność rozjaśniona jedynie latarniami na parkingu.

Diabelski młyn rysuje się nierealną pętlą na niebie, beczka śmiechu, karuzele stoją nieruchome i ciche.

— Od lat nie byłem na czymś takim — odzywa się Tim, wysiadając z samochodu i wpatrując się w diabelski młyn. — Mama zawsze próbuje sił w konkursie przetworów, ale zawsze wygrywa Gracie Reed. Wtedy mama się wścieka.

— Grace zapewne przekupuje sędziów.

„Ale nie płaci rachunków. Jutro znajdę jakiś sposób, żeby to załatwić ” — obiecuję sobie. Dzisiaj w skrzynce znalazłam dwa kolejne grube pisma

z rachunkami, obstawione pieczęciami z napisem PILNE i DO NATYCHMIASTOWEJ ZAPŁATY.

Tim rzuca mi ostre spojrzenie, ale wydaje tylko nieartykułowany pomruk. Wiem, że od dzieciństwa zna mamę Samantha, ale czy naprawdę może jeszcze teraz jej współczuć?

Dotarliśmy w pobliże diabelskiego młyna, jeden z wagoników stoi akurat przy metalowej platformie do wsiadania. Wchodzę do niego.

— Chodź.

Tim bierze mnie za rękę i zaciska ją mocniej, kiedy wsuwa się do wagonika obok mnie. Potem, nie puszczając mojej dłoni, spogląda w dół, wciskając mi kciuk w kostki palców.

Otula nas nocne powietrze niosące zapach suchych liści i czyjś ogniska.

Przerywam milczenie. Bardzo poetycko.

— Andy zawsze tu wymiotuje. Za każdym razem. Taka tradycja.

— Nan też — odpowiada Tim. — Boi się wysokości. Kiedyś przekupywałem faceta, który to prowadzi, żeby zatrzymywał akurat wtedy, kiedy Nan była na samej górze, żeby ją jeszcze upokorzyć. Oczywiście mnie też często zdarzało się puścić pawia, ale raczej z nadmiaru piwa.

Kopię stopami metalową podpórkę, wagonik zaczyna się lekko kołysać, zgrzytając metalicznie.

— Ile miałeś wtedy lat?

Wzrusza ramionami.

— Ze dwanaście.

Był o rok starszy od Duffa, który czuje się na haju, jeśli wisi akurat na szczycie diabelskiego młyna, ale innych sposobów na odlot nie zna.

— Hej, Tim...

— Ehm. — Teraz Tim oparł głowę o popękane plastikowe oparcie, patrzy na księżyc, niemal niewidoczną srebrną podkowę. Przeciąga się; koszulka podjeżdża mu do góry, odsłaniając granatowe bokserki z małą białą kotwicą wyglądającą spod dżinsów.

Po chwili unosi wzrok; ja nieruchomo wpatruję się w gumkę.

— Ładne szorty — odzywam się.

— Odjazdowe, co? — Odciąga gumkę i puszcza ją z trzaskiem. — Mają nawet hasło Ellery: „Żyj czysto i staraj się być prawy”.

Zanoszę się śmiechem, Tim szczerzy się do mnie, jak wcześniej przesuwa dłonią po twarzy, a potem otacza mnie ramieniem, jego ciepłe palce lądują lekko obok mojego łokcia.

— Co za nietypowy gest — mówię.

— Klasyka, ale mam swój powód. Poza tym jesteśmy na diabelskim młynie, więc to odruch, praktycznie jak u Pawłowa.

— Po prostu nie możesz się powstrzymać — docinam. — Motto na twoich szortach w ogóle cię nie powstrzymuje.

— Może powinnaś je zdjąć — podsuwa Tim. — Skoro motto i tak nie działa...

Daję mu sójkę w bok.

Wagonik kołysze się do przodu i do tyłu, skrzypiąc głośno, w końcu nieruchomiejemy przechyleni do tyłu w nienaturalnej pozycji, z uniesionymi nogami.

— Szkoda, że się nie kręci — odzywa się Tim. — Albo że to nie jest kino dla zmotoryzowanych. Mielibyśmy lepszy klimat.

— Niż teraz? Faktycznie, prawie jak u dentysty. — Przechyłam się do tyłu, zamykam oczy; czuję wokół siebie jego stabilne ramię, palec wskazujący przesuwając się powoli do góry i w dół zagięcia łokcia. Ten gest powinien mnie uspokoić, a wręcz uspić. Ale po skórze przebiega mi dreszcz. Noc jest bezchmurna, chłodna, powietrze ostre i słodkie jak jabłko. Księżyc przypomina rogalik, gwiazdy migoczą jak brokat rozsypany w czerni. Jestem daleko, unoszę się w przestrzeni, wolna od wszystkiego i wszystkich oprócz Tima.

Jego ramiona się unoszą. Tim wyciąga drugą dłoń, przesuwając ją po mojej, nakrywa mój nadgarstek i splata palce z moimi. Ścisną je. A potem nic.

Tylko my.

Jego dłoń, moja dłoń.

Powinno to być niewinne. Jak w gimnazjum.

Ale nie jest.

Tutaj, po ciemku, widzę to wyraźniej... nie jest to niewinne, ale jest proste.

*

— Kolejny ruch? — odzywam się po kilku minutach. — Chyba to.

Udaję, że drzę, przysuwam się bliżej do niego. Tim wydaje cichy, wychodzący głęboko z gardła pomruk zaskoczenia, po czym przytula mnie mocniej.

Jednym palcem przesuwam w górę i w dół po jego spodniach, zataczam kółko wokół rzepki, czuję, jak wstrząsa nim dreszcz. Zamyka oczy i krzywi się lekko, jakby to było ostatecznie, na co ma ochotę, ale nie może się powstrzymać.

— Zimno?

— Absolutnie nie. A tobie?

Kręcę głową, on opuszcza dłoń, kostkami palców przesuwając po moim boku, w górę i w dół, w górę i w dół, po bocznym szwie stanika, potem po żebrach, powoli, bardzo, bardzo powoli.

Nagle rozbłyśka światło, zatacza koło niedaleko nas, potem wraca w naszą stronę i omiata nasz wagonik.

— Kto tam? Kto tam jest? — odzywa się szorstki głos.

Tim klnie pod nosem i wyskakuje, ciągnąc mnie za sobą tak szybko, że nie zdążyłam nawet złapać powietrza. Potykając się, biegniemy po trawiastym zboczu i przykucamy za wielką tablicą reklamową ogrodów Hyman z rajskimi jabłkami, najlepszymi w Connecticut. Oglądam się, widzę sylwetkę białego samochodu z niebieskim paskiem, migoczącego koguta na dachu, rzucającego jaskrawe, rubinowe światło na wesołe miasteczko.

— Policja? — mówię z niedowierzaniem. — Niemożliwe.

— Psst. — Tim kładzie mi na ustach dwa palce.

— Nie było żadnych zakazów wstępu. Przecież nawet nic nie robiliśmy!

— Gdyby dali nam jeszcze pięć minut, moglibyśmy zacząć.

— Kto tam jest, do jasnej cholery?! — wrzeszczy głos już coraz bliżej.

— Mogą nas za to aresztować? Poważnie?

— Ciiicho — mówi znów, unosząc dłoń. — Lepiej nie próbujemy się przekonać. Gliniarze ze Stony Bay nudzą się jak mopsy, więc rzucają się na każdy kęs, wierz mi.

— Wiem, że tam jesteście! — mówi uparcie głos. — Podajcie swoje nazwiska i wyjdźcie.

Wciąż trzymając mnie za rękę, Tim przykuca i przemyka od billboardu do kępy krzewów. Snop światła z latarki gorączkowo omiata przestrzeń wokół, słyszę szum radiotelefonu.

— Podejście wejścia na teren prywatny, jedna osoba lub więcej. Odbiór.

Głośny trask i niezrozumiała odpowiedź.

Zaczynam się podnosić, otrzepuję bluzę, gotowa zacząć dyskusję. Tim pociąga mnie z powrotem na trawę.

— Chodźmy, przecież to absurd. — Szarpie się z nim, próbuję wyrwać dłoń.
— Za kogo oni się uważają?

— Alice — syczy Tim — tutaj nic się nie dzieje, no, może trzeba czasem zdjąć kota z drzewa. Naprawdę zabiorą nas na posterunek, a wtedy Joel będzie się miał z pyszna.

Na te słowa nieruchomieję i cichnę. Mój brat w akademii policyjnej.

Znów trask z radiotelefonu.

— UTL, powtarzam, UTL. Odbiór.

Smuga światła powoli zatacza koło. Przyciskam głowę do piersi Tima, kulę się, żeby moje stopy nie wystawały z krzaka jak stopy martwej Wiedźmy ze Wschodu, po czym nieruchomieję, nasłuchując.

Promień światła porusza się powoli, wydobywając z ciemności zarys billboardu, sunie do góry, a potem w dół. Czego ten gość się spodziewa — że wdrapaliśmy się na reklamę sadu? Niby po co? Żeby się zwiesić głowami w dół i wymalować graffiti do góry nogami?

Kolejne trzaski.

— Brak śladu po sprawcach. Powtarzam, na razie wynik negatywny. Odbiór.

— Sprawcy? Niczego nie sprawiliśmy! — szepczę. — Nie było żadnej taśmy ani znaku z zakazem wstępu.

— Alice, BĄDŹ CICHY.

W końcu skrzypiące kroki się oddalają. Zaczynam się ześlizgiwać z Tima, który łapie mnie za biodra i zatrzymuje.

— Nie ruszaj się.

— Co, on tam jeszcze jest? Próbuje nas przetrzymać? Znasz tego gliniarza?

— Znam ich prawie wszystkich. Nie, już poszedł. Nie ruszaj się, możesz się co najwyżej wiercić. — Przesuwa ustami po moim uchu, zniża głos niemal do szeptu. — Alice... pocałuj mnie.

— Tim...

— Jestem tutaj.

Ja też i nie da się udawać, że tak nie jest.

Prześlizguję się, jakbym chciała zejść z jego kolan, ale tylko łapię go za rękaw i przyciągam do siebie, aż jego twarz znajduje się nad moją, a za jego głową widzę sierp księżycy.

Przesuwam dłonie w górę, powolutku, centymetr po centymetrze, palcem wskazującym przeciągam po jednej ciemnej brwi, potem po drugiej. Po jednej wysokiej kości policzkowej, potem zjeżdżam na środek górnej wargi, w końcu na dolną krawędź dolnej wargi.

W przyćmionym świetle widzę błysk jego oczu. Obserwuje mnie. Jego skóra jest ciepła w chłodnym nocnym powietrzu.

Wykręcam się trochę pod jego ciężarem i odwracam spojrzenie.

Próbuję się roześmiać, ale prawie nie mam czym oddychać, Tim tak mocno przycisnął się do mnie, że niemal się zachłystuję. Uśmiecha się, unosi łokcie po obu stronach mojej głowy, lewym lekko dotykając tak, że muszę się obrócić i spojrzeć mu prosto w twarz.

— Alice.

Zamykam oczy.

— Bezwstydnie wykorzystujesz sytuację.

— Cholera, tak. Zachęcam cię do tego samego — mówi lekkim tonem, ale oczy ma poważne.

Przesuwa dłonią po moim karku, za ucho, kciukiem dociera do zagłębienia w mojej szyi, tam gdzie mocno bije puls. Oczekuję, że dotknę go ustami, ale zamiast tego czuję jego policzek oparty tak lekko, że prawie mnie nie dotyka.

Czuję, jak jego pierś unosi się i opada przy mnie, jego noga dotyka moich nóg. Potem nieruchomieje.

Na jeden oddech. Jeszcze jeden.

Kiedy nasze usta się dotykają, przez moment Tim nieruchomieje, jego ramię i kark się napinają, ale potem pochyła się nade mną.

Słyszę dźwięk, jaki narasta mi w gardle; przyciągam go bliżej, wtulam się w niego. Drzę, trzęsę się i wydaję dziwne dźwięki... nie wiem.. Gdybym na chwilę przestała, zapewne czułabym się nimi zakłopotana. Ale nie potrafię przestać.

Na moment odsuwamy się od siebie, dysząc.

— To może być wielki błąd. — Zsuwam dłonie do jego bioder i przysuwam je do siebie; przyciskam do moich.

— Nie. Pełniałem błędy, to zupełnie inne uczucie.

— Mam was! — odzywa się ktoś głośno. Oboje gwałtownie unosimy głowy, oślepieni reflektorem. Tim klnie cicho. Unoszę dłoń i osłaniam nią oczy. Tim przetacza się na bok, przede mnie, osłaniając mnie przed światłem.

— Wstawajcie powoli — mówi głos. — Dłonie przy bokach. Bez gwałtownych ruchów. Odsuńcie się od siebie.

— Pssst — szepcze Tim, odsuwając się ode mnie. — Będzie dobrze. Tylko nic nie mów.

— To absurd! — odzywam się. Dwóch policjantów rozmawia ze sobą cichymi, oficjalnymi głosami, radiotelefony wciąż trzeszczą, więc chyba mnie nie usłyszeli, ale wtedy jeden z nich nieruchomieje, osłania oczy i unosi latarkę.

— O cholera, to moja siostra.

Tim

W końcu nie mają za co nas zatrzymać, chociaż Alice o mało nie trafia na komisariat.

— Od kiedy to przetrząszasz krzaki jak zboczony ochroniarz z liceum, Joel?

— To element mojego patrolu, Al. Od kiedy to kryjesz się po krzakach z przypadkowymi facetami? — Joel kieruje latarkę na mnie. — Och. Cześć, Tim.

Unoszę dłoń.

— Eee, cześć, ziomek.

— Nie twoja sprawa, co robię — syczy Alice. — I nie jest to przypadkowy facet, więc...

— No dobra — wtrąca zwierzchnik Joela. — Dokończycie te przepychanki na placu zabaw, dzieciaki. À propos tego, wy dwoje... — Znow przesuwają snop światła rzucający przez latarkę z Alice do mnie, jakby chciał zapamiętać nasze twarze na wypadek późniejszej konfrontacji. — Niezbyt mądrze jest przebywać w sąsiedztwie tego ciężkiego sprzętu, kiedy wesołe miasteczko jest zamknięte. Łatwo o wypadek. Nie możemy jednak zatrzymać was za brak rozwagi.

— Masz szczęście, Alice.

— Zamknij się, Joel — mówi Alice. — Ledwie go znasz.

— W porównaniu z tobą zapewne nie. Ile on ma lat, tyle co Jase? Kiedy

radziłem ci, żebyś się wyluzowała i odpuściła, nie chodziło mi o romanse z Holdenem Caulfieldem₁.

Wzruszam ramionami. Ech, mogło być gorzej.

Mimo to oczekiwałem, że Alice się zarumieni, odsunie, stworzy między nami dystans. Ona jednak przysuwa się bliżej i bierze mnie za rękę. Wysuwa się nieco do przodu, częściowo zasłania mnie przed rozbawionym uśmiechem Joela — moja tarcza.

— Ledwie go znasz — powtarza.

*

W drodze do domu też trzyma się blisko, przesuwając się na siedzeniu, jakby wciąż chciała coś udowodnić i pokazać światu, chociaż oprócz nas nikogo tu nie ma. Kiedy skręcam na podjazd i wreszcie parkuję, nie wiem, co zrobić z rękami.

W wesołym miasteczku działaliśmy naturalnie. Teraz czuję się jak w filmie: nieruchomy samochód, chłodna ciemność wokół nas, włosy Alice błyszczące w świetle latarni. Spoglądam na nas z dystansu — czekam na odpowiedź typu: „Teraz odsuń jej włosy z twarzy, potem pochyl się blisko niej, ona wyda ten swój dźwięk, coś pomiędzy zachłyśnięciem a pomrukiem radości. Później ją pocałujesz i...”

No nie, gadam sam do siebie w myślach.

Alice przygląda mi się z przechyloną głową. Czekam, kiedy zrobi zirytowaną lub zdziwioną minę, ale tak się nie dzieje. Kiedy przejmie kontrolę, stawi mi czoło, zdejmie ze mnie ciężar decyzji i sama ją podejmie. Ale ona tego nie robi. Przygląda mi się jeszcze przez sekundę, potem kładzie mi głowę na ramieniu, oddycha w równym rytmie ze mną, ale nie dlatego, że się specjalnie stara. Samo tak wychodzi.

Nie emanuje z niej niecierpliwość ani zmieszanie. Mam wrażenie, że wszystko dzieje się tak, jak trzeba, jakby toczyło się we właściwym kierunku. Nie wiadomo czemu przypominam sobie, jak stałem pod strumieniem wody z prysznicą — ale nie wtedy, kiedy wyobrażałem sobie obok Alice, lecz podczas prysznicą z Calem, który akurat przyssał się do mojego nosa. Myślałem sobie wtedy, że akurat w tej chwili mam wszystko, czego mu trzeba, a on oddaje mi od razu wszystko, czego potrzebuję, po prostu będąc ze mną.

Alice

Opieram głowę o jego ramię. Przy moich braciach zachowuję się tak odruchowo, ale nigdy nie robiłam tego przy innym facecie. Niemożliwe, żeby Tim o tym wiedział, jednak ja zdaję sobie z tego sprawę. Kiedy Tim przytula mnie mocniej, owija sobie na palcach kilka kosmyków moich włosów, puszcza je, znów owija, jakby nie mógł się powstrzymać od dotykania mnie, kiedy już zaczął, ale

dopiero wtedy przyznaję się sama przed sobą: najprawdopodobniej się w nim zakochałam.

Tim

— Robię to po raz pierwszy w życiu — mówię kilka minut później.

Alice opiera się plecami o drzwi, przyciskając barki do siatki.

— To?

Wie, o co mi chodzi, ale i tak to mówię.

— Odprowadzam dziewczynę pod drzwi.

Alice zostawiła zapalone światło na werandzie, ale w kuchni panuje ciemność. W domu cisza, jakiej nigdy się nie uświadczy u Garrettów.

Po prawej mam długi płot oddzielający podwórko Garrettów od byłego ogródka Reedsów.

Wielki klon, którego konary uginają się na wietrze, szumiący liśćmi, które zaczynają już wysychać. Księżyc zakrywają chmury, znad rzeki nadlatuje powiew wiatru, pachnie trzcinami, szlamem, liśćmi i suchą trawą — początkiem jesieni.

Panuje większa cisza niż kiedykolwiek w moim świecie.

Spokój.

Prawie nie wiem, co zrobić z takim spokojem.

Alice opuszcza głowę, spogląda spod tych swoich niewiarygodnie długich rzęs. Kładę jedną dłoń na drzwiach, znacznie ponad jej głową.

— Powinienem był zestrzelić dla ciebie olbrzymiego miśka na strzelnicy albo kupić ci ogromnego lizaka.

— Na strzelnicy, mówisz? Chyba się zastanowię.

— A co z Joelem?

— On woli sprawdzać swoją siłę. Zawsze walił młotem i sprawdzał, jak daleko polecą mu kula.

— Wiesz, o co mi chodzi, Alice.

— Chcesz zapytać, czy przyjdzie się mścić na tobie, bo wsuwałeś mi ręce pod bluzkę? Nie mam trzynastu lat. Ale i tak się na mnie wyżyje.

Uśmiecha się i lekko drży.

— Powinnaś wejść do środka. — Głos nagle więźnie mi w gardle w środku zdania, a na ostatnim słowie się załamuje. Mówię to całkowicie wbrew sobie, ale i tak to chyba wystarczająca wskazówka.

Pochyłam się ku niej, Alice przysuwa się na czubkach palców, kładzie jedną dłoń na mojej piersi.

Jej usta ledwie dotykają moich, potem przesuwają się na mój podbródek i z powrotem na usta.

— Dobranoc, Tim.

Moje usta na jej czole.

— Dobranoc, Alice.

Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej, dostawszy coś, nie sięgał po więcej.

A jednak od niej odsuwam się z rękami w kieszeni.

Wystarczy.

Alice

— To teraz jesteś z nim? — W kuchni jest ciemno, ale Brad mówi jeszcze bardziej mrocznym głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszałam. — O niego chodziło?

— Gdzie jesteś? — W poszukiwaniu odpowiedzi pstrykam włącznikami świateł, jedno po drugim zapalam wszystkie. Ach, te komórki. Andy potrafiła dzwonić do kuchni z salonu. Ale Brad dzwoniący do mnie z mojego własnego domu to już scena wyjęta żywcem z horroru o opiekunce do dziecka i jej prześladowcy.

— Jechałem do ciebie z wydrukiem nowego planu rozgrzewki. Tego ze zmianą nóg. Cyn z CrossFit przysięga, że dzięki niej poprawiła sobie czas o całe pięć minut. I zastałem cię z tym rudowłosym dzieciakiem.

— Gdzie jesteś? — powtarzam, przechodząc przez salon, otwierając drzwi łazienki, wchodząc z powrotem do kuchni i zaglądnąjąc do piwnicy.

— Nie możesz być z tym gościem. — Przez telefon głos Brada wydaje się bardziej donośny, a może to dlatego, że właśnie go znalazłam — chowa się w piwnicy, zupełnie jak w filmach. Ale nie, Brad podniósł głos. — Jesteś ze mną.

— Zerwaliśmy — mówię, siadając gwałtownie pod ścianą przy drzwiach piwnicy. — Mówiłam ci, Brad. Nie jesteśmy razem.

— Alice. Nie możesz być z tym facetem — powtarza Brad. — To narkoman z dzieckiem. Daj spokój.

— Leczy się, a dziecko niedługo... — zaczynam, ale przerywam. Nie muszę bronić Tima przed Bradem. — To nie twój interes.

— Ty sama zakończyłaś naszą przerwę, Alice.

— To nie była przerwa, to było... — Nie mam ochoty kłócić się z telefonem. — Gdzie jesteś?

— Niedaleko.

Teraz już przestraszyłam się naprawdę.

— Przestań! Już się nie spotykamy. A teraz już nawet nie chcę z tobą ćwiczyć. To koniec, Brad. To nie w porządku.

— Właśnie to samo mówię — odpowiada Brad.

I się rozłącza.

1 Holden Caulfield — główny bohater powieści J.D. Salinger, *Buszujący w zbożu*, który rzuca szkołę i błąka się nocą po Nowym Jorku.

Rozdział trzydziesty trzeci

Alice

Zaczyna się, kiedy prowadzę.

Zawsze się tego bałam.

Obok mnie przemyka samochód, wyprzedza mnie prawym pasem, będąc trochę zbyt blisko, i trochę za szybko zjeżdża mi przed nos. Z całej siły naciskam hamulec, ale jestem akurat na moście nad rzeką, wysoko, znad zatoki wieje silny wiatr, przewody nad głową trzęsą się i podskakują. Garbusem trochę zarzuca, ale wiem, że potrafię go wyprostować, przecież to się zdarza co chwilę, to żaden problem.

Nagle jednak okazuje się, że to jest problem. Czarny sedan już dawno wyjechał do przodu, wyprzedza dalsze samochody, już od dawna mi nie zagraża, garbus znów jedzie prosto, już blisko do zjazdu z autostrady, ale ja szukam czegoś, czego nie mogę złapać.

Oddech.

Mogę tylko wypuszczać powietrze, nie jestem w stanie go zaczerpnąć. Niemal od razu ręce zaczynają mi drętwieć i ciężą, gdyż to się zdarza, tak się zachowuje ciało, kiedy przede wszystkim potrzebuje tlenu — odcina wszystkie funkcje, które nie są absolutnie niezbędne.

Tyle że ręce są mi akurat absolutnie niezbędne, gdyż muszę wrzucić kierunkowskaz i zjechać z drogi, bo inaczej ktoś wpadnie na mnie od tyłu, a ja wylecę za barierkę, wyłamię ją i stoczę się w dół albo...

Robi mi się gorąco, potem zimno, zaczynam się pocić na całym ciele.

Nie wiem, jakim cudem udaje mi się zjechać z autostrady na węższą drogę numer siedem, potem jeszcze kilkanaście kilometrów do zjazdu na Stony Bay. Nawet nie będę pamiętać, jak tego dokonałam.

Zjazd.

W dół.

Skręt w lewo.

Czynności znane na tyle, że wykonuję je odruchowo, ale coraz trudniej mi nabrać powietrza, zamknęła mi się w gardle jakaś klapka, zatkała mi tchawicę tak ściśle, że nawet nie mogę przełknąć.

Powinnam zjechać na bok.

Na pobocze. I to tutaj.

Ale na zakręcie, w pobliżu ronda, na końcu Main Street, nie ma pobocza, ulica jest wąska, bez parkingów, jadę więc dalej, starając się potrząsać dłońmi, żeby działały lepiej. Żeby w ogóle zaczęły działać. Lewą dłoń, w której czuję mrowienie, przyciskam na sekundę do lewego uda, potem do prawego.

Przejeżdżam zbyt blisko ronda, tylne koło obija się o krawężnik otaczający wyspę ronda, potem spada z niej głośno. Jakaś starsza pani, która chce przejść po pasach przed „Dark and Stormy”, rzuca mi gniewne spojrzenie, gdyż nie zatrzymałam się przed przejściem.

Nie mogę się zatrzymać, muszę dotrzeć do domu.

Teraz zaczynają mi drętwieć palce u stóp. Po chwili, kiedy wciskam hamulec i redukuję biegi — czwórka, trójka, dwójka — przestaję je w ogóle czuć. Już jestem na podjeździe, dzięki Bogu, tuż za samochodem Tima. Otwieram okno, ale nawet powietrze wpadające z zewnątrz nie pomaga. Próbuję wciągnąć do płuc płonący papier ścierny, czuję, jak palą mnie przełyk i oskrzela.

Łapię za klamkę u drzwi, ale nie mogę ich otworzyć, gdyż są zablokowane. To już dla mnie zbyt wiele. Chowam głowę w zagięciu łokcia, ramiona mi drżą, cała drzę.

Nagle za ramiona chwytają mnie czyjeś dłonie.

— Alice! Alice! — słyszę głos Tima.

Tim

Gdyby to był film, wyniosłbym ją z samochodu, wniósł po schodach, kopnięciem otworzył drzwi i położył na kanapie — a mój oddech nawet by nie przyspieszył.

W rzeczywistości jednak Alice, chociaż nieduża, jest tak spięta, że nie ma mowy, by wziąć ją na ręce, więc z trudem wywlekam ją na podjazd, pociągam na trawnik, opadam na tyłek, wciąż trzymając ją przed sobą, sztywną jak deska. Dziewczyna cała się trzęsie, a ja ze strachu niemal tracę głowę.

Oboje dyszymy, próbując złapać powietrze.

— Powiedz mi, co się dzieje! — Próbuję przemawiać spokojnym, neutralnym tonem, ale i tak na tym krótkim zdaniu głos mi się załamuje.

— A... atak paniki. — Alice unosi dłoń do twarzy, ale jej urywany oddech już jest nieco dłuższy.

— Czy masz...

„Coś, co ci pomoże? Ale co? Inhalator? To nie astma. Torebkę papierową, żeby w nią dmuchać? Nie rób mi tego, nie, nie”.

— Nic ci nie jest — mówię wreszcie. — Oddychaj. Wszystko jest dobrze.

Powolnymi okrężnymi ruchami gładzę ją po plecach, jakby była Calem.

— Jesteś bezpieczna. Nic się nie dzieje. — Alice ma oczy szeroko otwarte, gorączkowe. W piersi czuję ucisk, jakby i mnie zaczynało brakować powietrza. — Jest dobrze — powtarzam. Alice gwałtownie unosi rękę, łapie mnie za nadgarstek i ściska. Jest cała spocona. Drugą dłonią gładzę ją po ręce, spoconej, ale lodowatej. — Jest dobrze. Nic ci nie jest. Wszystko w porządku.

Alice

Trwa to jakieś dziesięć minut, najdłużej, jak dotąd. W końcu kładę się na nogach Tima, z głową na jego kolanach, wpatruję się w trójkąt jego podbródka na tle bladoniebieskiego nieba; przez czerwone liście klonu przebijają się promienie słońca.

„Jestdobrzejestdobrzejestdobrze”. Tim powtarza to bez końca, wreszcie do moich płuc dociera powietrze i zostaje tam na tyle długo, żeby je wypełnić. Wciąż się nie poruszam, on wciąż głaszcze mnie po plecach, po szyi, po ramionach.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Nie mam pojęcia, jak długo tak leżymy.

— Doszłaś do siebie? — pyta Tim ściszym głosem.

Kiwam głową.

— Chyba tak. — Głos mam piskliwy, wciąż brakuje mi powietrza, ale przynajmniej jestem w stanie mówić.

Jest to jakiś postęp.

— Możesz chodzić?

Kręcę głową.

— Chcesz może wody?

Znów kręcę głową.

— Pomoże ci, jak cię przytulę? Bez podtekstów.

— Podtekstów? — powtarzam.

— Nie mam pojęcia, skąd mi się to wzięło. Zapomnij, że to powiedziałem. Co to było? Możesz mi powiedzieć?

Kręcę głową; znów zaczyna mi brakować tchu.

*

Pięć minut później leżę na kanapie u Tima, on chodzi po kuchni, czekając, aż woda się zagotuje. Wciąż na mnie zerka.

— Wciąż dobrze?

— Przestań pytać, bo mnie stresujesz.

Przesuwa dłonią po włosach, kiwa głową krótko, gwałtownie.

— Oczywiście. Przepraszam.

Wdech, wydech. Zataczam powoli kółka na udzie, skupiając się na tej czynności ze wszystkich sił. Przy pierwszych takich atakach, jeszcze w gimnazjum, poradziła mi to nasza pedagog, pani Garafalo. Kółko, większe kółko, jeszcze większe kółko. Nastawiała mi też muzykę — dała mi płytę — lutnię albo sitar bądź gongi, coś wolnego, rytmicznego, bez słów.

— Masz jakąś muzykę? Instrumentalną?

Tim rozgląda się, drapie po głowie, po czym schyla i wyjmuję coś z koszyka, skręca i stawia obok mnie. To mały fioletowy słoik, najwyraźniej z pozytywką wewnątrz, gdyż zaczyna wygrywać melodyjkę, którą rozpoznaję dopiero po chwili.

— *Jestem morsem?*

— No wiem, a to jest słoń. Nie pytaj. Widocznie uciekł z Wyspy Niedostosowanych Zabawek. Zamknij oczy i słuchaj, Alice. I ćwicz te swoje oddechy.

Opieram głowę o kanapę, słucham, jak Tim krząta się po mieszkaniu. Po chwili czuję, jak staje obok mnie.

— Miałaś już takie ataki — mówi Tim. Nie jest to pytanie.

Kiwam głową.

— Często?

W głupim gardle znów mnie ściska.

— Dawno temu, miałam dwanaście lat.

— Aha, zanim zaczęłaś to wykorzystywać w drugą stronę.

— Wtedy miałam też inne problemy. Ale tak, od tamtego czasu nic się nie działo. Zaczęło się dopiero kilka tygodni temu.

Wsuwa dłoń do kieszeni pogniecionej niebieskiej koszuli gestem palacza sięgającego po papierosa, niczego nie znajduje, przez chwilę rozgląda się bezradnie, po czym z miski na stole wyjmuję ostrego snacka i wystrzeliwuje kulkę prosto do ust.

— A co się stało kilka tygodni temu? — Kulka wypycha mu policzek od środka, więc słowa wychodzą zabawnie zniekształcone.

Zaczynam mu opowiadać. Już po kilku niepewnych zdaniach Tim skacze na równe nogi i zaczyna chodzić po pokoju jak lew w klatce. Jednocześnie zarzuca mnie pytaniami:

— Próbowiałaś przez bank? Rozmawiałaś z prawnikiem? Próbowiałaś dojścia przez Samanthę?

— Myślałam o tym — przyznaję — ale przede wszystkim chciałam...

— Wiesz, że musisz porozmawiać z Gracie — stwierdza Tim, stawiając herbatę na ławie przy moich stopach. Ręką znów sięgam do gardła. Tim chwytą mnie za rękę, przytrzymuje i ściska. — Znam Grace Reed, Alice. Łatwo ją nastraszyć. Po prostu musi wiedzieć, że od początku do końca postępuje źle.

— Myślisz, że się tym przejmie? Przecież to ona usiłowała udawać, że nic się nie stało, kiedy rozwalila życie mojej rodziny!

— Dopóki Samantha nie przywołała jej do porządku. Razem z twoim bratem. Tak naprawdę Grace jest tchórzem, tacy zwykle lubią się znęcać nad innymi.

— Rachunki idą do windykacji, w banku niczego nie załatwiłam —

przyznaję. Nie mówię mu, z kim rozmawiałam, gdyż nie chcę jeszcze pogarszać sprawy.

— Czyli nie masz nic do stracenia — mówi Tim. — Wypij herbatę i jedziemy. Muszę odebrać Cala, ale dopiero o czwartej, czyli mamy mnóstwo czasu.

— Nie musisz jechać ze mną.

— Zawiozę cię, żebyś znów nie dostała ataku za kierownicą. Zaczekam w samochodzie na zewnątrz, na wypadek gdyby się pokomplikowało. Będę miał przy sobie telefon, żeby w razie potrzeby móc się zabawić w ninję i wskoczyć przez okno albo coś w tym stylu.

— Ale...

— Psst...

— Nie uciszaj mnie!

— Jesteś zła? Super. No to jedziemy do Gracie.

*

Grace Reed ma na sobie drelich, ale dizajnerski — na pewno nie marki Oshkosh — a w zadbanej dłoni trzyma wałek malarski.

— Tak?

Bardzo przypomina Samanthę, tylko włosy ma platynowe i proste, podczas gdy włosy Sam są płowe i faliste. Jednak twarz Samanthy w niczym nie przypomina gładkiej, pozbawionej wyrazu twarzy matki. Uczucia Sam zwykle wypisane są na jej twarzy i łatwo je odczytać. Gdyby Grace zrobiła jakąkolwiek minę, mogłaby się pomarszczyć. Mogłaby mieć zmarszczki od śmiechu, jak mama, która na pewno jest młodsza.

Sięgam do plecaka i wyjmuję stos kopert spięty recepturką.

— To dla pani.

Kobieta robi krok do tyłu, przesuwa wzrokiem po kopertach i znów spogląda na mnie. Otwiera drzwi szerzej.

— Chyba będzie lepiej, jak wejdiesz. Buty możesz zostawić na zewnątrz.

Z trudem przełykam ślinę i zsuwam adidasy. Grace kładzie wałek na tacy, wyciera dłonie o spodnie i prowadzi mnie do salonu.

Białe z białym i na białym plus kilka plam czerni: poduszki, ramy zdjęć Samanthy i jej siostry Tracy w stonowanych barwach. Jedyną plamą koloru jest wielki obraz nad białym murowanym kominkiem. Grace przy pianinie, z kilkunastoletnią Tracy i kilkuletnią Samanthą u stóp, wszystkie w ciemnozielonych sukienkach z różowymi satynowymi paskami. Sam ma grube loki i wielkie oczy. Tracy robi nieco pogardliwą minę — z tego, co wiem, to u niej typowe.

Grace Reed wskazuje na śnieżnobiałą kanapę, sama stoi na białym dywanie

jak góra lodowa.

— Masz ochotę na lemoniadę?

„Proszę, przecież nie jestem tu towarzysko”. Kręcę głową i znów wyciągam rękę z kopertami.

— To dla pani — powtarzam.

— Ja chyba wypiję kieliszek pinota — mówi, rzucając mi porozumiewawczy uśmiech. — Zawsze dotąd wynajmowałam kogoś do takich zajęć, nigdy nie uświadamiałam sobie, jak ciężką pracą jest remont! — I stukając obcasami sandałów po drewnianej podłodze, idzie prawdopodobnie do kuchni. Kroki słychać bardzo długo. To ogromny dom. Wysokie pokoje. Wszędzie białe. Czuję się mała, skulona na kanapie, z wielkimi puchatymi poduszkami, stopami ledwie sięgam do ziemi.

Czuję ucisk w piersi.

Oddycham głęboko, starając się uspokoić.

Rozkładałam koperty na ławie. Grace wraca z dużym kieliszkiem białego wina, ze szczękiem stawia go na stole, krzyżuje stopy i w końcu patrzy mi w oczy.

— Którą z nich jesteś?

Z jednej strony mam ochotę wznieść oczy do nieba — tak, dla niej „ci Garretci” to jeden tłum ludzi bez twarzy — a z drugiej strony — chlusnąć jej winem prosto w twarz. Czy ona w ogóle wie, jak Jase ma na imię?

— Alice, starsza siostra Jase’a. Zajmuję się rachunkami za leczenie. — Palcem stukam w koperty, siadam na kanapie, pochylam się i znów ich dotykam. Grace ściąga brwi. — To dla pani. Poszły już do windy. Moi rodzice tracą przez to wiarygodność finansową, gdyż wystawiono je na ich nazwisko. Pani bank zawiadomił mnie na piśmie, że nie będzie ich już płacił. Poszłam się dowiedzieć, o co chodzi, i usłyszałam, że to pani polecenie.

Grace Reed zajmowała się kiedyś polityką, a wyćwiczoną pozę zawodową widać przede wszystkim w jej twarzy. Uśmiecha się do mnie uprzejmie, ale jej oczy niczego nie zdradzają. Upija łyk wina, czeka, aż zacznę mówić dalej. Na twarzy ma wyraz co najwyżej uprzejmego zainteresowania.

— Pani je płaci. Taka była umowa — mówię. — Umowa zawarta między panią a moją mamą i ojcem. — Biorę do ręki jeden z rachunków, unoszę jak dowód. — Tata miał ostatnio trochę badań i wizyt u specjalistów, ponieważ... ponieważ ich potrzebował. Na razie ma do zapłacenia siedemnaście tysięcy dolarów. Może pani zapłacić czekiem.

— Nie miałam pojęcia, że leczenie okaże się tak kosztowne — odpowiada kobieta, pochylając się i odstawiając kieliszek, ale w ostatniej chwili jeszcze upija łyk wina. — Na szczęście twój ojciec jest stosunkowo młody. Powinien całkowicie wyzdrowieć. Na pewno lekarze wam to wytłumaczyli.

Wciąż mówi lekkim tonem, jakbyśmy wpadły na siebie na poczcie, jakby to

wszystko nie miało nic wspólnego z nią, jakby miała za chwilę powiedzieć: „No to powodzenia, pa”.

— Pod dobrą opieką wyzdrowieje. Ale jeśli zostanie wyrzucony z rehabilitacji na zbity pysk, bo nie może zapłacić rachunków, co wtedy?

— Zgodnie z prawem nie mogą tego zrobić — mówi, upija kolejny łyk, zostawia na kieliszku ślad koralowej szminki. — Wręcz poparłam projekt ustawy o...

— Nie jest już pani senatorem, tylko osobą, która to wszystko spowodowała.

Dłoń unosząca kieliszek drży tylko odrobinę, wino wylewa się na stół. Grace upija trochę, odstawia kieliszek, wyciąga rękę i ufnie kładzie mi dłoń na kolanie.

— Słuchaj, wiem, że twoja rodzina przechodziła ostatnio ciężki okres. Ale wiesz, dla mnie był on równie ciężki. Wszystko się zmieniło: moje stosunki z córkami, mój związek z mężczyzną... Wszystko poszło z dymem. Będzie mnie to przesładowało przez resztę życia. Może już nigdy nie będę w stanie służyć obywatelom Connecticut w jakikolwiek formalny sposób. Może się to nawet odbić na Tracy i Samancie. Nie uważasz, że już poniosłyśmy karę za błąd, który każdy może popełnić?

— Moi rodzice nie popełniliby takiego błędu. Moi bracia i ja, choć nie przysięgaliśmy na Biblię, że będziemy przestrzegać prawa, nie zrobilibyśmy czegoś takiego. Mój czteroletni brat jest za mądry, żeby to zrobić.

— Alison, musisz zrozumieć moje położenie. Większość moich pieniędzy pochodzi z majątku rodzinnego. Owszem, co kwartał otrzymuję hojną dywidendę. Hojną na moje potrzeby, jednak niewystarczającą na pokrycie astronomicznych rachunków szpitalnych. Po tej ostatniej porcji rachunków od twojej rodziny ledwie stać mnie na opłacenie czesnego Tracy w Middlebury.

— Pani senator, mam to gdzieś. Niech pani sprzeda akcje, obrazy albo buty marki Manolo. Niech pani sięgnie do oszczędności w skarpecie czy staniku. Niech pani zapłaci rachunki, żeby mój ojciec otrzymał opiekę, której potrzebuje, i żeby wierzyciele nie przejęli nam sklepu.

Kieruję się w stronę drzwi, ale zatrzymuje mnie jej głos.

— Nie mogę nawet zapłacić za semestr nauki Samantha w Hodges. — Kobieta wstaje. — Stąd widać budynek szkoły. Jak się będzie czuła Samantha, widząc z domu swoją szkołę i mając świadomość, że już nie może tam chodzić? Ma ogromne szanse na miejsce w najlepszych szkołach wyższych w kraju. To jej przyszłość. Czy twój brat wybiera się na studia? Czy od razu poszuka zatrudnienia?

Odpowiedź nieuprzejma tylko utwierdziłaby tę kobietę w przekonaniu, że to ona ma rację, a nie ja. Ale...

— Jase pracuje od czternastego roku życia w sklepie u ojca. Podobnie mój brat Joel i ja. I owszem, wybiera się na studia, jeśli dostanie stypendium. Albo pożyczkę. Jeśli uda nam się przejść przez to wszystko i nie zbankrutować. Moi

rodzice skończyli studia, nasz brat Joel też. Ja chodzę do szkoły pielęgniarstwa w Middlesex College w White Bay.

— Miałam tam imprezę dobroczynną. Piękny campus, w wiejskim stylu. Czy to szkoła gminna? Nie pamiętam.

Jakby szkoły gminne i państwowe były jakimś gorszym gatunkiem — no, chyba że potrzebuje się głosów.

— Tak. Poza tym... poza tym złożyłam podanie o przeniesienie do szkoły pielęgniarstwa Nightingale na Manhattanie od jesieni. Dostałam się pod sam koniec lata, z listy rezerwowej. Ale z powodu wypadku taty odłożyłam wyjazd. Nie jestem pewna, czy następnym razem też mi się uda.

O tych dwóch rzeczach nie powiedziałam nikomu oprócz Joela. Nie mówiłam nawet rodzicom, bo oni by się sprzeciwili. Kolejna sprawka Grace Reed: sekrety w naszej rodzinie. Do tej pory nigdy niczego przed nimi nie ukrywałam i ta świadomość przyprawia mnie o lekkie mdłości.

— To naprawdę niefortunny — mówi Grace Reed, chyba szczerze. — To doskonała szkoła. Bardzo wierzę w wartość dobrego wykształcenia.

„Jasne, na pewno wygłosiłaś na ten temat przemówienie”.

Teraz kobieta spogląda mi prosto w oczy i ścisza głos:

— Bronisz swojej rodziny, ja tak samo bronię swojej. Jestem samotną matką, Alison, jeszcze przed urodzeniem Samantha musiałam być dla córek i ojcem, i matką. Hodges to jedyna szkoła, jaką Samantha zna, to dla niej bezpieczeństwo i druga rodzina.

— To nie mój problem, pani senator.

— Dość oziębły komentarz, Alison. Gdyby to twój brat...

Rozlega się melodyjny dzwonek do drzwi. Kobieta podskakuje i gorączkowo rzuca spojrzeniem po pokoju, jakby sprawdzając, czy nie zostały w nim jakieś kompromitujące dowody w stylu odcisków palców na rachunkach czy resztek stłuczonego reflektora z samochodu. Ale jedynym dowodem jest moja zaczerwieniona twarz i łzy gniewu zbierające się w gardle.

— Samantha na pewno zapomniała klucza. Znów. Może chodź ze mną, przy okazji cię wypuszczę.

No i idę długim korytarzem za jej stukającymi obcasami. Nie załatwiłam niczego, zmieniło się tylko to, że nie znoszę jej jeszcze bardziej.

— Samantho, tyle razy ci mówiłam: pamiętaj, że ja...

— Hej, Gracie — odzywa się Tim pogodnie. — Piękna jak zawsze, widzę, że już się urządziłaś.

Grace wygląda tak, jakby próbowała się jednocześnie uśmiechnąć i zmarszczyć brwi. Nawet jej się to nie udaje, więc robi minę, jakby ktoś uszczypnął ją w tyłek.

— Eee... hm...

— Tim — podsuwa chłopak uczynnie.

Kobieta się śmieje.

— Nie spodziewałam się ciebie, Timothy.

Zza pleców matki Samantha rzucam mu gniewne spojrzenie. Tim zdejmuje okulary słoneczne, których nigdy u niego nie widziałam, i wyciera je brzegiem koszuli, wciąż się uśmiechając.

— Wciąż mogę wpadać, prawda, Gracie?

— Cóż... tak, chociaż Samantha jeszcze nie wróciła, ale... nawet myślałam, że to ona, mój gość właśnie...

— Właśnie przyszedłem po Alice. Dzisiaj jestem jej szoferem. Chwytam się różnych zajęć, w tej chwili pracuję dla Garrettów. Różne prace zlecane.

Jak inne kobiety w życiu Tima, Grace najwyraźniej nie ma pojęcia, co z nim zrobić. W końcu zdobywa się na słabe:

— To... znaczy, że jesteś przedsiębiorczy.

— Prawda? Chwytam każdą okazję. A właśnie, pamiętasz Brendana, menedżera twojej kampanii? Właściwie byłego menedżera... Zadzwoił do mnie w tym tygodniu, w twoim imieniu. Kolejna oferta wolontariatu.

Kobieta znów przekrzywia głowę z wyrazem lekkiego zainteresowania.

Tim unosi brwi i uśmiecha się szerzej.

— Chcesz startować na skarbnika?

— Tak tylko pomyślałam — odpowiada Grace. — Nieduża konkurencja, co prawda już dość późno, więc to mało prawdopodobne, ale...

— Ale lubisz ryzyko. Poza tym od twojego wycofania upłynęło kilka miesięcy, a w polityce to cały wiek.

Nie znam się na polityce, ale czuję wyraźnie, że pod powierzchnią wypowiedzanych słów kryje się znacznie więcej.

— No dobrze... — Grace rzuca spojrzenie w moim kierunku. Całe zakłopotanie, o jakie chciałam ją przyprawić, widzę teraz na jej twarzy.

— Gotowa, Alice? — Tim otacza mnie ramieniem i prowadzi do wyjścia. — Przepraszam, że wam przerwałem. Alice na pewno niedługo wróci do waszej rozmowy. I dzięki, że dałaś Brendanowi cynk, żeby do mnie zadzwonił. Cieszę się, że zapomniałaś już o tych wszystkich scenach z poprzedniej kampanii. To już przeszłość, prawda?

Grace stoi w drzwiach, podczas gdy szofer Tim prowadzi mnie po zadbanym trawniku do swojego samochodu.

Rozdział trzydziesty czwarty

Alice

— Cała Grace — odzywa się Tim w samochodzie po wysłuchaniu mojej relacji z koszmarnej wizyty. — Mogłem to przewidzieć co do słowa.

— Dlaczego więc namawiałeś mnie, żebym tam poszła, skoro wiedziałeś, że to nic nie da? Skoro wiedziałeś, że będzie mnie próbowała wziąć na litość i zachowywała się tak, jakbym to ja była tą wredną suką i nie chciała ustąpić? Poza tym co ty zrobiłeś? Co to za „Hej, Gracie” i cała ta gadka o kampanii?

— Uwierz mi, Alice, przydała się. Teraz Grace się poci, możesz być pewna. Albo raczej ma uderzenia gorąca, bo pocenie się jest zbyt nieeleganckie. Jeśli nie wywali się jej w oczy postępków, Grace uznaje, że nikt o nich nie wie. Teraz jednak już nie może na to liczyć. A ja? Po prostu wykorzystałem to, co wiem, i trochę z nią pograłem.

Wraca do mnie cały gniew, który został pod białym dywanem w higienicznym i odizolowanym od świata salonie Reedów.

— To nie jest gra, Tim!

Tim odwraca się do mnie z nagle stężałą twarzą. Przez moment widzę, jak będzie wyglądał za kilka lat, kiedy ostre zarysy kości i gładkie policzki złożą się na twarz mężczyzny.

— Chyba już to przerabialiśmy. Podchodzę do tego poważnie, Alice. Wszystko biorę na serio. Ale dzięki za przypomnienie, że w gruncie rzeczy jestem nieudacznikiem, już prawie o tym zapomniałem.

— Nie! — Łapię go za rękaw, kiedy sięga drążka zmiany biegów. — Wcale tak nie uważam. Wcale. Ja... ja...

Tim kładzie mi dłoń na nodze.

— W porządku. Wszystko dobrze. Oddychaj. Nie przejmuj się tym. Ale też nie mów mi tego więcej. Nie przeszkadza mi, że jestem na czarnej liście u ojca, ale na pewno nie chcę, żebyś ty mnie skreśliła. Jeśli ma się nam udać, to nie mogę wciąż czegoś pieprzyć.

Otwiera szerzej oczy, jakby sam zaskoczony tym, co właśnie powiedział.

— Naprawdę tak uważam.

Ma się nam udać.

Jest coś między nami i jesteśmy my. Tim właśnie wyłożył karty na stół.

— Chyba że to tylko chwilowa przygoda, Alice. Albo nawet nie. — Chłopak szuka wzrokiem mojego spojrzenia. Kiedy się nie odzywam, głos mu się załamuje i cichnie. — Czy możesz mi odpowiedzieć?

— Nie, to nie jest przygoda. A ty jesteś...

Nagle zarzucam mu ręce na kark i zaczynam całować, całować i całować.

Ramiona mu drżą ze śmiechu, a ja praktycznie wślizguję mu się na kolana.

— Hej, jesteśmy prawie na terenie szkoły Hodges. Jeśli znów nas zatrzymają za nieobyczajne zachowanie, to Joel nie okaże nam miłosierdzia.

Zsuwa mnie z kolan, ostrożnie przemieszczając na sam skraj siedzenia, jakbym była namagnesowana albo łatwopalna, mruga do mnie i odwraca się, kładzie łokieć na oparciu, po czym wycofuje samochód i wyjeżdża z zatłoczonego parkingu. Przyglądam mu się, jego podwiniętym rękawom koszuli, zaskakująco szerokim ramionom pod pogniecioną koszulą w paski.

— Od kiedy taka samokontrola?

— Żartujesz? Nie mam samokontroli. Żadnej — odpowiada tak, jakbym go oskarżyła o coś kompromitującego. — Zero.

— Kiedy się całowaliśmy, to ty za każdym razem przerywałeś.

Tim zaczyna odliczać na palcach.

— Tamtego wieczoru, kiedy się zgodziłaś, żebym u was zamieszkał...

— Wtedy się nie całowaliśmy.

— Ja bym spróbował, ale to ty się wycofałaś. No i wtedy jeszcze byłaś z Bradem. Na plaży... mało prywatności, poza tym wtedy miałem jeszcze spore zamieszanie w życiu. Na diabelskim młynie przerwało nam długie ramię sprawiedliwości w osobie twojego starszego brata.

— Ale w domu nikogo nie było.

— Pewnie. Mogliśmy skorzystać z pokoju Jase'a, to by dopiero było. — Tim wciska zapalniczkę samochodową, włącza klimatyzację, przesuwa lusterko, skupia się na włączeniu do ruchu.

— U ciebie też nikogo nie było.

— No tak. Rany, niech oni przestaną tak jeździć, muszę jeszcze odebrać Nano, zanim pojedę po Cala, a Hester zawsze panikuje, jak się spóźniam. Boże, ten gość przejechał na czerwonym. Widziałaś?

— Tim, czy ty się rumienisz?

— Nie. Nie rumienię się. Faceci się nie rumienią.

— Oj chyba tak.

— Gorąco tu, Alice. Czy możesz uchylić okno?

W samochodzie wcale nie jest gorąco, wręcz przeciwnie, jest chłodne, pochmurne, jesienne popołudnie. Poza tym Tim włączył przecież klimatyzację, zupełnie niepotrzebnie. Ale dobrze, otwieram okno.

Tim też otwiera swoje i kiedy zatrzymujemy się na światłach, wychyla się przez nie, żeby ochłodzić twarz. Na której nie ma rumieńców. Przecież faceci się nie rumienią.

Rozdział trzydziesty piąty

Tim

Niezależnie, gdzie przekazujemy sobie Cala — w sklepie, u Walda, w warsztacie — odbywa się to w pośpieszny, niemal ukradkowy sposób. Najpierw Hester i ja jesteśmy tak cholernie uprzejmi, że można by nas posądzać o mówienie szyfrem, gdyż nigdzie na świecie, może poza kursami językowymi dla początkujących, nie usłyszy się tak nudnych rozmów jak nasze. Tylko zamiast: „Gdzie jest długopis mojej cioci?” mówimy: „Skończyły się pieluszki Huggies, więc kupiłem paczkę” albo „Spał rano tylko cztery godziny, ale zdrzemnął się w samochodzie”. Poza tym można by uznać, że Hester jest kiepską agentką, gdyż za każdym razem wygląda inaczej: ma na sobie luźne bluzy, džinsy i T-shirty albo sukienki. Dekolt, bez dekoltu, golf. Czasami jest cała zagoniona i zdenerwowana, czasami opanowana i spokojna. Czasami ma dla mnie notatki o przebiegu dnia Cala, czasami zaskakuje ją moje pytanie o to, jak mu minął dzień. „Robił to, co zawsze” — odpowiada wtedy.

Tego popołudnia zakłopotanie sięga szczytu, gdyż jest ze mną Nan, która ma okazję zobaczyć zarówno moją jednonocną partnerkę, jak i rezultat naszej przygody.

Znów jesteśmy w cholernym parku, Nan nie może się nadziwić.

— To nienormalne. Kto tak robi?

— Nie wiem, siostra. Ze wszystkimi innymi matkami moich nieślubnych dzieci spotykam się w sądzie. A kogo to obchodzi?

Teraz Hester (model 2.0: džinsy i sweter, jedno i drugie czyste) wyciąga rękę, Nan ją ściska i mierzy wzrokiem dziewczynę. Hester wytrzymuje jej spojrzenie, zapewne spodziewała się podobnego badania. Spojrzenie Nan wędruje od czubka głowy Hester po czubki butów, potem opada na kolana przy Calu.

— Jest piękny — odzywa się do Hester, która stoi nieporuszona. — Kiedy ma urodziny?

— Dwudziestego dziewiątego lipca. Tim, niemal skończyło mi się mleko, będziesz musiał dokupić, żeby wystarczyło na dzień. Przepraszam. — Podaje mi zwiniętą dwudziestodolarówkę.

Odsuwam jej rękę. Co, do cholery? Nigdy tego nie robiła. Nan oczywiście patrzy na mnie z miną „Ty niewydarzony tatuśku” wypisaną na twarzy.

Przykucam tak, żeby znaleźć się na wysokości wzroku Cala, odpinam go, zdejmuję najnowszą durną czapkę z mysimi uszami i mierzwię mu delikatne włosy.

— Cześć, mały.

Hester mówi coś, że musi lecieć, bo dzisiaj jest jej kolej, by zrobić coś w pracy. Znów uderza mnie świadomość, jak mało wiem o tej dziewczynie. Czy

jestem jej to winien, tak jak jestem to winien Calowi, zanim oboje znikną z mojego życia? Trudniej niż zwykle skupić mi się na słuchaniu, co mówi, gdyż obserwuję zachowanie Nan. Poza tym Cal złapał mnie za włosy i próbuje wepchnąć je sobie do ust. No i jeszcze tkwi mi w głowie Alice. Zastanawiam się, czy u niej w porządku, czy martwi się Grace, czy zaczyna panikować...

Mały piszczy, znów szarpie mnie ostro za włosy, pociągając do tyłu.

— Au, Cal... — Wyplątnę jego dłoń, a on natychmiast łapie mnie za ucho i próbuje tego samego manewru.

— Pamiętaj, ośrodek adopcyjny, podpisujesz akt urodzenia, w przyszły czwartek o piętnastej! — woła Hester, kiedy się oddalamy. — Załóż krawat.

Chryste.

— Jasne! — odpowiadam zwięźle z Calem wessanym w moje ucho.

*

Nan bez słowa obserwuje, jak przypinam Cala do fotelika i grzebię po kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków, podczas gdy mały zaciska szczęki na moim palcu wskazującym. W końcu znajduję kluczyki. Nan wciąż mnie obserwuje.

— No i... co myślisz? — Wycieram ślinę z nogawki dżinsów.

— Hmm... — odpowiada Nan. Niezbyt to pomocne.

— Co? Nie jest do mnie podobny?

Nan jednak tylko przechyla głowę i spogląda na mnie, potem na Cala.

— No... może trochę.

— Nans, spójrz na niego. — Sięgam pod pierwszy podbródek małego, wskazując dołeczek, i macham dłonią w kierunku jego długonogiego ciała. — No daj spokój.

— Myślałam, że to będzie coś oczywistego, na przykład identyczne znamię. Wiesz, Tim, chyba chodzi mi o to, że nie potrafię się domyślić, o co jej chodzi. Dlaczego tak długo trzymała ciężę w tajemnicy i nagle tak wyskoczyła z tym dzieckiem. Dlaczego nie oddała go do adopcji od razu po porodzie?

Nie chodzi o to, że nie rozumiem, co mówi Nan. Mnie też to przyszło do głowy. Gdyby Hester na przykład napisała do mnie list, podając kilka abstrakcyjnych informacji, i przesłała papiery do podpisania, gdyby Cal był abstrakcyjny — czy zostawiłbym to tak, jak jest? Byłoby to znacznie łatwiejsze niż te niewygodne wymiany, to czekanie, kiedy Hester przyniesie dziecko, spędzane na dziwacznych rozmowach z Waldem. Ostatnio zapytałem go o drogę do łazienki, na co usłyszałem: „Ciało próbuje przekazać prawdę”. Niespecjalnie mi to pomogło w poszukiwaniach klopa.

— Łaaaah. Łaaa, łaaa. Łaa! — wtrąca się Cal w tej chwili.

Znajduję zestaw plastikowych kluczy od pani Garrett i podaję je małemu.

— Myślisz, że to wariatka, która porwała czyjeś dziecko i uznała, że

wciągnie mnie w swoje ciemne sprawy, by dobrać się do moich milionów?

— Nie wrzeszcz na mnie — mówi Nan spokojnie, wcinając się w moje coraz głośniejsze słowa. — Może chciałaby odzyskać... ciebie?

— To by oznaczało, że mnie w ogóle miała, że między nami coś było, a przecież to nieprawda. Zdecydowała się pokazać mi dziecko, bo przecież wszyscy wiedzą, że nic tak nie podkreca siedemnastoletniego faceta jak dziecko.

Cal wali się w oko kluczami, upuszcza je i zaczyna wrzeszczeć, wkurzony jak diabli. Uśmiecham się, rozpinam pas i biorę go na rękę. Mały wciska twarz w mój biceps, przestaje płakać i wzdycha długo, z drżeniem.

Nan zamyka oczy i opiera głowę o siedzenie samochodu.

— Mam dość martwienia się o ciebie, Tim.

— Zawsze możemy wstąpić do Troya Rhodessa, żeby ci kupić coś na uspokojenie.

Po raz kolejny, odkąd poruszyłem ten temat, Nan powtarza:

— To nie jest tak, jak wygląda.

— Tak dla twojej wiadomości: to najmniej przekonująca ze wszystkich możliwych wymówek. Na mnie nigdy nie działała. Co z tego wynika, Nan?

— Gdyby to było takie łatwe — odpowiada. — Wreszcie nie umieram ze strachu, że zapijesz się na śmierć albo zginiesz w wypadku.

— Dziwne, wydawało mi się, że rozmawiamy o tobie. Zatem przestań się martwić. A wracając do...

— W końcu odbudowujesz swoje życie i od razu musiałeś się wpakować w taką sytuację.

— Wiesz co? Mówisz dokładnie jak ojciec. Sytuacja. Okoliczności. Sprawa. Może spróbuj nazwać go dzieckiem. To twój... twój bratanek. — To słowo dziwnie brzmi w moich ustach. Siostra została ciocią. Ojciec i mama są dziadkami. Dlaczego znacznie trudniej mi to przyjąć niż fakt, że sam jestem ojcem? Nie wiem.

Nan robi dobrze mi znaną minę: „Tim, przestań się powtarzać”. Zalewa mnie gorąca, czerwona fala gniewu. Nie znoszę nawet dotykać Cala, kiedy jestem w takim stanie. On jednak wgryza się w moje ramię, nie zwracając uwagi na to, co pulsuje w moich żyłach.

Nan jednak wyczuwa, co się ze mną dzieje. Wtulona w siedzenie odsuwa się ode mnie ostrożnie.

— Widzisz, tego właśnie nie rozumiem, siostra. Może będziesz w stanie mi to wyjaśnić. Nawaliłem tyle razy, a ty i ojciec wciąż rzucacie się na mnie, kiedy próbuję postąpić słusznie. I to tymczasowo.

— No właśnie, Tim. Tymczasowo. — Nan wskazuje na Cala, na moją dłoń na jego plecach, jego policzek na mojej koszuli. — A tymczasem zamieniasz się w ojca.

— Nie zamieniam się w ojca — zauważam. — Po prostu się nim zajmuję.

A poza tym, czego ty właściwie ode mnie chcesz, Nan? Mam ci powiedzieć, że nie mam zielonego pojęcia, co robię? No to możesz uznać, że to powiedziałem.

— Nie boję się, że nie wiesz, co robisz, Tim. Boję się, że wiesz. Spójrz na siebie. — Nan wskazuje dłonią mnie i Cala. — To właśnie mnie martwi.

Telefony Nan i mój zaczynają wibrować jednocześnie, kiedy podjeżdżam pod krawężnik przed naszym domem. Wyrywam jej telefon, zanim zdoła go wyjąć.

CO USTALILIŚMY? MASZ WSZYSTKO, CZEGO POTRZEBUJESZ, WIĘC SIĘ ODCZEP! T.

— Nie wiem, jak możesz się mnie czepiać, Nano, kiedy to ty otrzymujesz zaopatrzenie od naszego znajomego sprzedawcy.

— Nie wiesz, o czym mówisz — odpowiada Nan rozogniona.

— Doskonale wiem, o czym mówię. Nikt nie wie lepiej. Zatem nawet nie...

Jestem tak zajęty sprzeczką z bliźniaczką, że nie zauważyłem samochodu parkującego za nami. Nie uświadamiam sobie niczego, dopóki Nan nie zachłystuje się z zaskoczenia. Obracam się i dostrzegam sylwetkę mamy schylonej nad bagażnikiem swojego samochodu, wyjmującej na podjazd niezliczone torby.

— Chyba nie przyjmie tego gorzej niż ojciec.

— Nie słyszałeś, co mówił, kiedy się dowiedział — odpowiada ponuro Nan.

Kiedy wysiadam, mama się obraca i wyciera czoło, zmrużonymi oczami wpatruje się w samochód.

— Timothy?

— Eee, hm, mama. — Nan osuwa się głębiej na fotelu i opiera głowę na rękach.

— No, no! — odzywa się mama. — Zaczynałam się zastanawiać, czy w ogóle cię jeszcze zobaczymy! Na miłość boską!

Podnoszę torbę, potem kolejną. Wszystkie ze sklepu z dekoracjami świątecznymi — nałóg mamy.

— Nanette! Czemu się kryjesz w samochodzie? Chodź i pomóż mi to wnieść. Kupiłam ci do pokoju przesłodka dywanik!

Nan wysiada z niespokojną miną. Bóg wie, jak może wyglądać „przesłodka” dywanik, ale założę się, że nie pasuje do jej nowego image’u. Zapewne przedstawia kociaki w koszyku. W kapeluszach.

— Spójrz na to! — mówi mama, wyciągając coś z torby. — Możesz to postawić?

To wysoki na metr dwadzieścia elf w fartuszku z napisem ELF Z POCZĘSTUNKIEM, trzymający miskę z napisem „słodkości”. Paskudny, ale nagle zalewa mnie fala — nie wiem — współczucia, litości, miłości, czegokolwiek i próbuję objąć mamę, ale w tej chwili słyszę przenikliwe „Łaaa!” z samochodu.

— Eee — powtarza Nan.

— Co to? — Mama wyciąga szyję, żeby dojrzeć, co się dzieje za moimi

plecami. — Co to za dźwięk?

— Daj, ja to wezmę. — Nan bierze z siedem toreb i przeskakując stopnie, mknie do domu.

— Timothy?

— Ee, tak, hm, to jest, eee...

— Łaaaa! — odzywa się Cal głośno, niespokojnie. Śpieszę do tylnych drzwi i sięgam po niego.

„Boże, tato. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteś! Nie rób tego więcej! Boję się. Jestem głodny! Łaaa!”

Mama unosi rękę do ust, a jej twarz, zawsze różowa, nagle blednie.

— Timothy Joseph, jak do tego doszło?

Pomyślmy. Jak brzmią możliwe odpowiedzi?

„Wiesz, mam, uprawiałem seks z obcą dziewczyną. Ale nie martw się, niczego nie pamiętam”.

„Boże, nie mam pojęcia. Wiem, trzeba było uważać na lekcjach wychowania do życia w rodzinie”.

„Cholera, jak się okazuje, od całowania jednak można mieć dzieci”.

W końcu mówię prawdę.

— To przypadek, mam.

Mama podchodzi do mnie sztywno.

— Jak wszystko inne w twoim życiu, Timothy! Wielki Boże, niewiarygodne! Co powie twój ojciec?!

Kołyszę lekko Cal, mały się uspokaja, potem obraca głowę z typową dla siebie miną, jakby ten gest wymagał ogromnej ilości energii i koncentracji — i skupia spojrzenie niebieskich oczu na babci.

Moja mama spogląda na niego; widzę, że ma tak samo intensywnie niebieskie oczy. Jej rude włosy siwieją, ale wciąż są tak samo faliste jak moje własne. Oraz włosy Cal.

— Jak mogłeś? — mówi cicho. — Nie tak cię wychowaliśmy.

„Wy nie, mam. To całkowicie moja sprawa”.

Na podjazd, zawsze zarezerwowany tylko dla samochodu ojca, wjeżdża jego jaguar. Ojciec rozmawia przez telefon. Mama cmoka.

— Nie wyobrażam sobie, co na to powie. Obawiam się, że będzie ostro, chłopcze.

Jednak wysiadając z samochodu, ojciec niemal nie spogląda w naszą stronę. Opuszcza rękę z telefonem, zasłania go i odzywa się:

— Tim, za chwilę poproszę cię do gabinetu. Podzwoniłem po ludziach w sprawie twojej sytuacji z dzieckiem.

Wstrząs, niedowierzanie i zaskoczenie uwidaczniają się na twarzy mamy wyraźniej niż zmarszczki i makijaż, pod którym je ukrywa.

— Zatem wszyscy już od dawna wiedzą oprócz mnie. — Mama się obraca i idzie do domu. Na pierwszym stopniu się potyka i zostawia za sobą torby z zakupami.

Ruszam za nią — żeby przeprosić, uścisnąć, może zrobić coś głupiego, Boże, nie wiem. Ale drzwi zamykają się za nią z trzaskiem. Stoję na stopniach, patrzę na Cala. Mały najpierw patrzy na mnie spokojnie, potem uśmiecha się tym swoim bezzębnym uśmieszkiem, jakby pewny, że sobie z tym poradzę.

Znów zwracam się o wskazówki do niemowlęcia.

Wnoszę torby jedną ręką, drugą podtrzymując Cala.

W domu nigdzie nie widzę mamy. Ani Nan. Już mam zapukać do drzwi ojca, kiedy ze schodów dobiega mnie znajomy rytm kroków. Twarz mamy jest zaczerwieniona, niebieskie tęczęwki oczu odcinają się od różowego tła, skóra jest zapuchnięta. Prawie mnie to załamuje. Owszem, nam, Masonom, bez trudu przychodzi płacz, ale nie sądzę, żeby te łzy popłynęły łatwo.

— No dobrze — odzywa się mama, z dzielnym uśmiechem stając prosto. — Teraz proszę, żebyś mi opowiedział te odcinki, które wszyscy inni już widzieli.

Wracają do mnie słowa Alice, te o rozgrywaniu. Typowe dla Masonów: idziemy dalej, tu nie ma nic do obejrzenia, proszę państwa.

Dalszy ciąg rozmowy przebiega mniej więcej według moich oczekiwań.

Ja: „No i potem...”

Mama: „Matko święta!”

Ja: „No i ona...”

Mama: „Wielkie nieba! Tacie znów skoczy ciśnienie!”

Ja: „I potem ja...”

Mama: „Panie Boże Przenajświętszy!”

Cal, w końcu znudzony siedzeniem w pieluchach i może też tymi okrzykami: „Łaaa!”.

Z wyjątkiem tego fragmentu:

— Wygląda dokładnie jak ty w dzieciństwie — stwierdza mama. — Jest do ciebie bardziej podobny niż Nan. Wielkie nieba!

— Nieba niewiele mają z tym wspólnego, mamo.

Ha, ha. Odpinam poduszkę do spania i przygotowuję się do przewinięcia małego.

Ku mojemu zaskoczeniu mama się uśmiecha i lekko kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Daj, ja to zrobię. Nie radzisz sobie. Typowy mężczyzna!

Jakby na wezwanie pan domu wychyla się ze swojej szarej jaskini, spogląda na nas i mówi:

— Skontaktowałem się z Gretchen Crawley, właścicielką agencji adopcyjnej w West Haven.

Uwolniony z kocyka Cal przebiera nogami, oczy mu lśnią. Ujmuję jego twarz w dłoń, kładę ją na rudych lokach.

— Słucham? Miałeś tego za mnie nie załatwiać, tato...

— To już zbyt wysoki poziom zaangażowania. To nie jest twoja najsilniejsza strona.

— Może nie, ale chyba się umawialiśmy, że z tego akurat poziomu miałeś się wyfiksować. I mama też. Tak mi się wydawało.

— Tim — wtrąca mama — nie musisz...

Nie patrząc na nią, ojciec unosi uciszająco dłoń.

— I co z postanowieniem, że nic się nie zmienia w umowie odnośnie do grudnia?

— Jakiego grudnia? — pyta mama, nie rozumiejąc.

Najwidoczniej o tym też nie ma pojęcia.

— Agencja chętnie się spotka z tą dziewczyną i porozmawia o znalezieniu rodziny.

Skupiam się na przewijaniu małego bardziej, niż to potrzebne, chociaż w tej chwili robię to już prawie automatycznie. Zachowuję się tak, jakbym musiał się wykazać niesamowitym refleksem i wykorzystywać każdy ułamek sekundy. Kiedy odklejam taśmę pieluchy, Cal łapie moje palce i przystawia je sobie do ust, przyglądając mi się z wyteżeniem.

— Spotka się również ze mną, tak?

— To nie jest potrzebne — mówi, a ja słyszę: „Nie jesteś potrzebny”.

Dlaczego tak mnie wkurza usuwanie mnie z układu, w którym wcale nie chciałem się znaleźć?

*

Dokąd uciekam prosto z domu? Na spotkanie poświęcone konkretnemu tematowi, a tym tematem jest „akceptacja”. Poruszając ten temat, ludzie albo zaczynają się popisywać elokwencją, albo wkurzają na ostro. Vince, który stracił rękę i nogę w Afganistanie, wrzeszczy i rzuca kulami po pokoju.

— Mam to zaakceptować? Za cholerę!

Inny facet opowiada o tym, jak to żona latami akceptowała jego picie i zdrady, a kiedy w końcu on przestał pić, ona dostała raka płuc i umarła, zanim zdążył „wymienić jej złe wspomnienia na dobre”.

Mówię o mamie i jej niespodziewanej akceptacji Cala, o Garrettach i o tym, że u nich akceptacja jest sprawą oczywistą... a potem słowo czy dwa o ojcu.

Po spotkaniu Jake siada koło mnie u szczytu długich schodów do kościoła Świętego Judy. Zębami otwiera torebkę z beczułkami czekoladowymi, wyciąga ją do mnie bez słowa.

Biorę jedną, wsuwam w usta i przesuвам pod policzek. Siedzę tak

z rozstawionymi nogami i rękami między nimi.

— Rzucam papierosy — mówi Jake. — Znów. Tym razem mam nadzieję, że na dobre. Dajesz naprawdę niesamowity przykład, młody. Nigdy się nie spodziewałem, że powiem ci coś takiego.

Zerkam na niego, zdobywam się na uśmiech i znów spoglądam na swoje dłonie.

— Wiesz — mówi dalej — kiedy mój partner przyznał się rodzicom, że jest gejem, oni zadzwonili do swojego rodzinnego pediatry z nadzieją, że istnieje jakaś szczepionka, która go wyleczy. Moi zaś zadzwonili do niego z pytaniem o ulubione danie, żeby mu je zrobić na kolację.

Jake spogląda na mnie znacząco. Potem wzdycha i się uśmiecha.

— Czasami... jeśli mamy szczęście... znajdujemy rodzinę w najbardziej nieoczekiwanym miejscu.

Alice

— To tak się bawią normalni ludzie? — pyta Tim, wysuwając głowę przez okno od strony pasażera. Mustang podskakuje na polnej drodze.

— Kto wie? — Samantha zbiera włosy w nieporządny kok. — Jakoś wydawało mi się, że warto gdzieś wyskoczyć. Ostatnio wszyscy wsiąkliśmy w pracę, zero zabawy.

— Oooo — włącza się Cal. Siedzi w foteliku między Sam a mną rozbudzony, chociaż jest dwudziesta trzecia. Oczy mu błyszczą, macha ramionami. Patrzę na niego, potem na Tima. Jego tatę.

Jego tatę.

Przez chwilę obracam w głowie te słowa.

W końcu się z nimi oswoję.

— Jesteśmy na szlaku patrolu Joela? — pyta Tim, przejmując moje spojrzenie w lusterku wstecznym.

Uśmiecham się szeroko, on w odpowiedzi ukazuje dołeczek.

— Jak się zdaje, najlepszy brat w Stony Bay nie przejmuje się labiryntem w zbożu na farmie Richardсона — mówi Jase z siedzenia kierowcy. — Zatrzymajmy się tutaj, zanim uszkodzimy podwozie.

Robi się trochę niesamowicie. Farmę Richardсона otacza ogromny obszar sięgający aż do słonych mokradeł na brzegu niedaleko Seashell Island, gdzie mokradła dochodzą do zatoki. Dzisiaj jest tu pięknie i pusto, nie widać nikogo oprócz nas.

— Jeśli nie zobaczymy Wielkiej Dyni¹, zażądam zwrotu pieniędzy — mówi Sam, gramoląc się z tylnego siedzenia i obejmując ramionami Jase'a, który się przeciąga, splata palce i spogląda na wodę.

Odruchowo wyjmuję Cala, przyciskam jego wijące się ciało do piersi,

sięgam po koc. Tim zakłada nosidełko, mamrocząc „Nie zaczynaj” w odpowiedzi na stłumiony śmiech Jase’a.

Wkładam Cala do nosidełka, poprawiam jego wierzgające nogi i je przypinam. Tim odciąga palce Cala od mojego ucha, mojej wargi, mojej bluzy, wszystkiego, co mały chce złapać. Działamy symultanicznie, w surrealistyczny sposób się uzupełniając, tak jak widziałam to u rodziców przewidujących nawzajem swoje ruchy i pomagających sobie.

Szaleństwo.

Robię coś takiego. Jestem z chłopakiem, który ma dziecko, a ja zachowuję się jak mamusia.

Potykam się o kamień ukryty w wysokiej trawie, ze świstem wypuszczam powietrze, a odgłos ten rozlega się dookoła.

Tymczasowo. To tylko tymczasowo.

Za rok o tej porze — właściwie do wiosny — Cal będzie już u innej rodziny, termin Tima na poprawę minie, ja może znajdę się na Manhattanie.

Ale nie czuję ulgi, której oczekiwałam. Zamiast tego z trudem łapię powietrze, płuca wydają się zbyt małe. Właśnie w tej sekundzie brzęczy mój telefon, ale nawet nie mam ochoty na niego spojrzeć.

„Ally, proszę. Nie możemy tego skończyć. Nie pozwolę na to. Gdzie jesteś? Znow z tym smarkaczem? Alice, nie jesteście?”

— Wszystko dobrze? — pyta Tim, kładąc mi dłoń na łokciu, zaglądając w oczy, a potem rzucając okiem na telefon.

Kiwam głową i wsuwam telefon do kieszeni. Wszystko w porządku, jeśli tylko nie muszę używać powietrza do rozmowy.

Tim zatrzymuje się na ścieżce.

— Alice.

Sam i Jase poszli przodem utwardzoną ścieżką, są już przy labiryncie, idą, obejmując się w pasie.

— Co się dzieje?

Pamiętam to z siódmej klasy: pamięć nagle zatrzymuje się na jakiejś sprawie, a wtedy cała reszta zaczyna się tłoczyć w głowie, narastając jak kula śniegowa. Zarówno dobre sprawy — Tim; złe — Brad albo po prostu paskudne — Grace Reed. W tej chwili wszystko to naraz pozbawia mnie tchu.

„Skup się na chwili obecnej, skup się na chwili obecnej, na tym, co się dzieje tu i teraz”.

Głęboki oddech.

— Ona naprawdę wraca do polityki? Grace? — pytam. — Faktycznie do ciebie zadzwonili?

— Widzę, że udziela ci się romantyczna atmosfera i mięknie. Tak, ten wazeliniarz Brendan zadzwonił do mnie. Nie ma za dużo czasu na zebranie ekipy,

już październik, do wyboru zostało mniej niż sześć tygodni. Nie martw się, nie będę już dla niej pracował, chociaż ojciec zapewne bardzo by się ucieszył i pewnie mnie pochwalił. Albo może chociaż lekko się uśmiechnął.

— Naprawdę by tego chciał? — głupie pytanie. Widziałam ojca Tima w akcji.

— Baaa! — odzywa się Cal. Weszliśmy już do labiryntu, otaczają nas ściany z bali słomy, oddzielają od pola schodzącego do oceanu.

— Cholera, zapomniałem smoczka. — Tim podaje Calowi swój kciuk, na widok mojej miny odsuwa dłoń. — No pewnie, że ojcu by się to spodobało. Nie wie, dlaczego Grace się wycofała, mało kto o tym wie. Twoja rodzina, ja, Samantha, bo była świadkiem wypadku. No i ten chłoptaş Grace, Clay Tucker, który ma swoje powody, żeby się nie wrywać z gadaniem. Jest tylko jeden faktyczny świadek.

Nie ma żadnego dokumentu podpisanego notarialnie. Grace Reed znów może się z tego wszystkiego wywinąć.

Klnę pod nosem.

— Na pewno jest jakieś rozwiązanie, znajdziemy je. Grace ma mnóstwo słabych ogniów w swojej zbroi.

— My znajdziemy?

— My. Masz do dyspozycji moją wiedzę polityczną oraz mój ciemny umysł manipulanta plus mój nieodparty urok osobisty.

Cal zaczął uderzać głową w pierś Tima, szukając jedzenia i popiskując. Skręcamy w lewo, potem jeszcze raz. Wiatr się wzmaga, jesienny chłód nasila się, w miarę jak zapada noc. Jeszcze jeden zakręt i praktycznie wpadamy na Jase'a i Sam obejmujących się ciasno pod kłującą ścianą siana.

— Igraszki na sianie to podobno tylko przenośnia, wiecie — odzywa się Tim, celowo trącąc ich ramieniem.

— Idź dalej — odpowiada Jase kątem ust, nie odrywając się od Sam.

Tim sięga po moją dłoń i ściska ją mocno. Ciepło. Idziemy długim korytarzem, mijamy kilka przeżartych przez mole strachów na wróble przypiętych do boków, potem przemoczonego Jacka Sparrowa² opartego o drewniany słup. Kolejne dwa zakręty. Tim stawia mnie w kącie i kładzie długie palce na moich policzkach.

— Prosiłaś o pocałunek?

— Nie prosiłam!

— Racja, to było raczej żądanie. Chciałaś, żebym stracił samokontrolę.

Słyszę śmiech Samantha całkiem niedaleko nas.

— To nie jest najlepszy moment, Tim.

— Czasami trzeba brać, co dają.

Całujemy się w labiryncie dwadzieścia kroków od mojego młodszego brata,

z dzieckiem wijącym się między nami.

A ja chciałam prostego układu.

Tim

— Za dużo myślę o seksie — mówię do Dominica, który chodzi ze mną po plaży ze swoim wielkim owczarkiem niemieckim. Dominic oczywiście musi mieć psa w typie macho, jak on sam. Ja mam Cala w nosidełku dla mięczaków.

— Jest jakiś limit? — Dom podnosi kawałek drewna i zgrabnie je rzuca. Sarge łapie, trzęsie nim gwałtownie, po czym upuszcza u stóp pana, jakby mówił: „Zabiłem to, próbujemy jeszcze raz?”.

— Co sekundę. Czasami dwa razy na sekundę. — Dupek ze mnie, bo nie myślę o seksie, lecz o Alice. O całej Alice.

— Hm... — Dom wkłada rękę do kieszeni kurtki, wyciąga piłkę tenisową i rzuca. — To chyba normalne, Tim.

— Ale cholernie niewygodne, poza tym przerażające jak diabli.

— Masz ochotę na seks czy na seks z matką Cala?

— O nie, Boże, nie. Tak ogólnie. Albo konkretnie. Tyle że bez przerwy — mówię, podnosząc płaski kamień i rzucając go do wody. Nigdy nie udaje mi się puścić kaczki, moje kamienie zawsze toną jak... jak kamienie. — Wiesz, jak mówią: po pijaku nie zrobisz niczego, czego nie zrobiłbyś na trzeźwo.

— Owszem, tak się mówi. Ale dla mnie to bzdura.

— Naprawdę? — czuję ulgę. — Siostra zawsze mi powtarza, że to jakaś skomplikowana manipulacja Hester. Wpadam w paranoję i zaczynam się zastanawiać, czy nie ma racji, bo na widok Hester w ogóle nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że mógłbym ją, no wiesz, podrywać. Nigdy. — Unoszę głos, Cal zaczyna się wiercić i wykręcać głowę, jakby chciał spojrzeć mi w twarz i sprawdzić, czy jestem spokojny.

— Jednocześnie zaś co sekundę myślisz o seksie — mruczy Dom. — Możesz mi go dać na sekundę? Dość dawno nie trzymałem dziecka.

— Czasami dwa razy na sekundę. Jasne.

Odpinam uprząż, Dom nieporadnie wyciąga ręce, jakby się zastanawiał, jak unieść coś gorącego tak, żeby się nie oparzyć. W końcu bierze Cala pod pachy, unosi go i zagląda mu w oczy. Niech to cholera, sam ma łzy w oczach.

Podnoszę kamyk, chociaż nie jest w ogóle płaski, pocieram kciukiem kawałek miki, skupiam się na migoczących w słońcu drobinkach, a nie na wilgotnych policzkach Doma.

— Zapomina się, jakie one są maleńkie — odzywa się w końcu Dom, wycierając twarz w ramię kurtki. Odchrząkuje raz, drugi — głucho, szczekliwie kaszlnięcia — spogląda na wodę, poprawia Calowi kołnierzyk, znów przesuwa dłonią po oczach. — Czego się boisz? — Sięga do swojej przepastnej kieszeni

i kładzie mi na dłoni płaski kamyk. — Wszystko zależy od ruchu nadgarstka.

— Nie wiem. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

— Jak nie chcesz skorzystać z okazji, to zachowaj celibat.

— Tak, skupię się na trzepaniu własnego fiuta, jakby był mi winien kasę.

— Coś pięknego. — Dom kręci głową. — Zatem... seks, ale z nikim szczególnym, tak? To w ogóle możliwe?

— A jeśli to ktoś, kogo, hm... znam od jakiegoś czasu? — pytam fałszywie swobodnym tonem.

— Na przykład? — pyta Dom.

— Nikt konkretny — mamroczę.

Dom rzuca mi spojrzenie typu „Nie ściemniaj” i wzdycha ciężko.

— Wrzuć na luz, Tim. Pracuj nad samokontrolą. Dopiero zaczniesz myśleć trzeźwo.

Właśnie o to chodzi...

Myślę trzeźwo, naprawdę — o Alice. Po raz pierwszy o niej, o kimkolwiek. Ale jestem...

— Rzuć ten kamyk — podpowiada Dom. — Nad tym możesz zapanować.

— Nie wychodzi mi.

— Spróbuj.

— Czuję się jak cholerny Karate Kid³. Próbujesz mi udzielić jakiejś lekcji o wyzwoleniu ukrytych lęków?

— Jestem Portugalczykiem, zwykle szukamy sobie zajęcia. Tobie też by to nie zaszkodziło. Próbuję więc nauczyć cię puszczania kaczek. To wymierająca sztuka, jak struganie figurek kozikiem.

— Tego na pewno się nie nauczę.

— Zawsze twierdzisz, że musisz coś zrobić z rękami — zauważa Dom. — Oprócz tego, co już robisz. Tego akurat możesz nauczyć swoje dzieci.

— On już będzie wtedy dzieckiem kogoś innego.

— Nie miałem na myśli tylko Cala, Tim. — Zerka na mnie. — Jak się z tym czujesz? Z nim? — Palcem wiercę dziurę w piasku, zaciskam dłoń na płaskim granitowym kamieniu na tyle mocno, że czuję, jak ostra krawędź wbija mi się w skórę.

— Dobrze. Świetnie. Nieważne. Nie wiem.

— To cztery różne odpowiedzi. Która z nich jest prawdziwa?

Podrzucam kamyk, który natychmiast tonie.

— Czujesz, że to twój syn? W sensie... że należy do ciebie?

Tak.

Boże, tak.

Hm. Cholera.

Niemile zaskoczony pochylam się i opieram dłonie na kolanach. Cholera,

zależy mi na tym dzieciaku. Nie zajmuję się nim tylko z obowiązku, czekając, aż jego pieprzeni rodzice wrócą do domu. Przecież on jest w domu właśnie u mnie. A co jeszcze bardziej przerażające: ja jestem w domu, kiedy jestem z nim. I z Alice. I tak się dzieje... wpuszczasz ludzi... i są obok. Stają się częścią ciebie. Tylko że w każdej chwili — w wypadku Cala już niedługo, w wypadku Alice może później — mogą się oderwać i polecieć dalej.

— Tim? — W mojej głowie odbija się głos Doma, nieco odległy. — Tim. Mów do mnie.

No dobrze, dobrze. Dobrze, że tak się dzieje. Że mi zależy na Calu. Dobrze, że tak jest. Mniejsze szanse, że coś spieprzę i zostawię go gdzieś przez przypadek. To dobrze.

Prawda?

Ale, na Boga, po co się tym przejmować? Miałem ojca, który się o mnie nie troszczył. Teraz dziecko, które wkrótce odejdzie. Czyli zostanę kolejnym ojcem, który zaniedbał swoje dziecko.

Dominic wkłada mi do ręki kolejny kamień, otacza mnie ramieniem i mocno klepie po plecach.

— Czy to teraz powinniśmy się objąć? — pytam.

— Wystarczy męskie poklepanie po plecach. Obejmowanie zachowaj dla „nikogo szczególnego”.

1 Wielka Dynia — postać z komiksu *Fistaszki*, w którą wierzy jeden z bohaterów.

2 Jack Sparrow — bohater serii książek *Piraci z Karaibów*.

3 Czuję się jak cholerny Karate Kid — aluzja do bohatera filmu *Karate Kid*, Daniela, który uczy się wschodnich sztuk walki od pana Miyagi.

Rozdział trzydziesty szósty

Tim

Samokontrola. Alice mi ją wytknęła, według niej za często się kontroluję, ale niemal na pewno oboje wiemy, że nie o to tu chodzi.

Niezależnie od przyczyn nie mam ochoty kontrolować się przy Alice.

Dwoma krokami przemierzam kuchnię. Za szybko, żeby zauważyć, co Alice ma na sobie lub chociażby zanotować jej minę.

Bardzo powoli wyciągam rękę, przesuwam kciukiem po miękkiej, głęboko różowej dolnej wardze Alice. Nie ma na niej szminki ani tego beznadziejnego klejącego się błyszczyku. To po prostu ona, Alice. Jej ciemne rzęsy opadają na oczy, dziewczyna bierze głęboki wdech. Mój kciuk zsuwa się po twarzy, unosi ją lekko, podczas gdy ja pochylam się do niej.

Ten pocałunek jest najspokojniejszy i najbardziej przemyślany ze wszystkich, jakie wspólnie przeżyliśmy. Inny niż wtedy, kiedy szybko przyskakiwaliśmy do siebie, jakby ciągnęci niewidzialnym magnesem. Ten jest celowy, jakbyśmy chcieli coś sobie powiedzieć. Rozchylenie jej ust oznacza zarówno deklarację, jak i zaproszenie.

Wdychając powietrze, czuję Alice, światło słońca, sól, słodycz i miętę. Nie zatracam siebie. Odnajduję ją.

Och, Alice.

Alice zaczyna mruczeć lekko z głębi gardła, wtula się we mnie. Zsuwam dłonie po jej plecach, do szczytu jej ud, przysuwam bliżej, podczas gdy ona wykonuje ruch przeciwny: wsuwa dłonie pod mój T-shirt i chwyta mnie za ramiona. Stała w smudze światła z okna, teraz pod palcami czuję ciepło jej nagrzaną słońcem skóry.

Nasze pocałunki są wciąż spokojne, zaskakujące, gdyż Alice przylega do mnie całym ciałem. Opieram się o ścianę, przytulając dziewczynę mocniej, palcami wodząc po jej plecach i po udach.

Powinienem przestać. Przestaną. Tylko jeszcze ta ostatnia minuta. I jeszcze jedna. I jeszcze kolejna i...

— O rany, mamó! Alice i Tim całują się w kuchni.

Alice odskakuje ode mnie, oboje obracamy się gwałtownie w miejscu i spoglądamy na George'a, który ma na sobie bluzkę z napisem „W ciuchci do Essex spotkałem Mikołaja”, a do tego, nie wiadomo czemu, różowe spodnie od dresu.

— Całowaliście się — informuje nas, na wypadek gdyby to był nasz pierwszy pocałunek.

— George... — Alice zatacza dłonią koło, wygląda tak, jakby gorączkowo

próbowała znaleźć jakieś wytłumaczenie.

— Całuuuuuuja! — powtarza George, kiedy wchodzi pani Garrett z siatkami zakupów, a za nią podążają Jase, Andy, Duff, Harry i Patsy. Brakuje jeszcze tylko kamerzysty.

— Cześć, Tim. — Pani Garrett stawia torby na stole kuchennym. — Jesteś głodny? Wszystko nam się skończyło, mieliśmy do wyboru płatki śniadaniowe lub głód, ale uzupełniliśmy zapasy.

Unoszę wzrok i napotykam spojrzenie Jase'a. Przyjaciel posyła mi szybki, smutny uśmiech, po czym skupia się z całych sił na opróżnianiu siatek. Niemożliwe, że nie słyszał słów George'a.

Alice

Nic dziwnego, że Tim szybko się zmywa. Mówi:

— Dziękuję, pani G., ale muszę lecieć, mam... sprawę. Jase, zobaczę się z tobą później. Eee... z tobą też, Alice. — I wychodzi.

— Dlaczego całowałaś się z Timem, Alice? — George nie uznaje owijania w bawełnę. Pociąga mnie za brzeg koszuli. — Najdłuższy pocałunek trwał pięćdziesiąt osiem godzin. Myślicie, że nie musieli pić? Przecież by umarli, prawda, Alice? I jak siusiali?

— Na pewno oni... ja nie... ja tylko, hm, mam, wiesz co, pomogę ci pochować zakupy.

Kiedy rozkładamy zakupy po szafkach, mama nic nie mówi — z poczucia taktu lub po to, żeby mnie pomęczyć. Jase, który zwykle pomaga — zresztą przecież pomógł jej wnieść zakupy — gdzieś się zmył. Inni zawsze znikają, kiedy jest coś do zrobienia, więc w kuchni zostałam tylko ja, mama, George i Patsy.

Patsy czepia się mojej nogi jak rzep psiego ogona.

— Gdzie Hon? — pyta żałośnie. — Dlaczego poszedł? Kocham na Honie.

Rzucam ukradkowe spojrzenie na mamę, bojąc się, że zapyta, jak ja bardzo kocham „na Honie”, ale ona wydaje się zajęta chowaniem mrożonek, wciskając wielkie paki jedzenia do naszego przeładowanego zamrażalnika.

Mruczę sobie pod nosem, kiedy mama kładzie mi rękę na ramieniu, kiwa głową w kierunku szafki pod zlewem, gdzie właśnie włożyłam pudełko lodów, wielką paczkę kotletów wieprzowych, dwa kartony jajek i puszkę kremu do golenia obok mydelniczki i płynu do szyb.

— Eee...

W końcu chyba bierze ją litość i każe mi iść na górę. Tchórzliwie słucham, zostawiając jej rozpakowanie przynajmniej czterdziestu pięciu siatek z zakupami — samodzielnie lub z wątpliwą pomocą George'a, który wyjmując pudełko i stwierdza:

— O, jak fajnie, mamy oreo! — I je otwiera. No i Patsy, wciąż w żałobie po

odejściu Tima.

— Chcę mojego Hona...

Och, Patsy. Ja też.

*

Kilka minut później siedzę na swoim łóżku, starając się zwalczyć pokusę, by pójść do Tima, kiedy drzwi się otwierają i wchodzi Jase ze swoim węzem zbożowym owiniętym wokół przedramienia.

— Chcesz mnie poszczuć Voldemortem? — pytam. Jase zawsze kochał zwierzęta, w pokoju ma istny zwierzyniec.

— Nie. Znów uciekł i schował się na półce na buty mamy. — Brat siada na skraju łóżka Andy, dziwnie męski na tle fioletowo-różowej narzuty.

Miałam kilka lat, żeby się przyzwyczaić do faktu, że mój młodszy braciszek wyrósł na ciacho, ale wciąż mnie to jeszcze zaskakuje. Jase wciąga powietrze, wydycha je, opiera się na łokciu, wąż Voldemort powoli wiję mu się po piersi. Brat kopie butem dywanik.

— No wal.

Jase przesuwa palcem wzdłuż Voldemorta.

— To twoja sprawa, Alice. Tylko...

Dziela nas z rodzeństwem jakieś dwa lub trzy lata, więc można by się spodziewać, że będziemy również bliscy sobie, jednak w życiu tak to nie działa. Nie cały czas. Układy się zmieniają. Jednak razem z Jase'em zawsze byliśmy sobie bliscy, odkąd tata zabrał Joela i mnie do szpitala, żeby odebrać mamę z nowo narodzonym Jase'em. Próbując zapobiec mojej zazdrości — jak głosi legenda rodzinna — mama włożyła mi go w ramiona i powiedziała:

— To jest twoje dziecko.

Uwierzyłam jej.

Przez pierwsze trzy lata nazywałam go „swoim Jase'em”. W nocy wchodziłam mu do łóżeczka i trzymałam za rękę, pewna, że przy mnie będzie spał lepiej i będzie czuł się bezpieczny.

A może nawet tak było. Nasza bliskość nigdy nie znikła.

Jego zielone oczy napotykają moje spojrzenie, po czym Jase spuszcza wzrok.

— Alice, nie rób z nim tego, co zwykle.

— „Tego, co zwykle”?

Jase nigdy nie próbował ostrzegać mnie przed facetem. Ja, owszem, robiłam to w stosunku do niego (oczywiście chodziło o jego dziewczyny) — raz, kiedy doszły mnie pogłoski o jego byłej dziewczynie Lindy, i potem, kiedy poprzedniego lata na krótko zerwał z Samanthą. Złapałam go za rękaw, kiedy szedł z nią porozmawiać i się pogodzić, przekonałam, żeby miał trochę dumy i żeby dał sobie spokój. Jak się okazało, myliłam się, a oni jednak się zesзли.

Zatem teraz on ma prawo mi doradzać.

Ostrzegałam Jase'a przed Samanthą, gdyż zbyt mocno się w nią zaangażował, niemal zanim jeszcze zamienili pierwsze słowa. Widziałam, jak Jase reagował, kiedy widział ją na podjeździe lub wyglądającą przez okno — przestawał wtedy słuchać, co się do niego mówi. Nie chciałam czegoś podobnego dla siebie.

Ale... to coś zupełnie innego. Całkowicie innego.

Krzyżuję ramiona na brzuchu i pochylam się, czekając na nieoczekiwaną prawdę.

Tak po prostu. Po prostu się zmieniałam.

— Zwykle — mówi brat — umawiasz się z nimi, dominujesz, a potem ich rzucasz. A Tim... — Voldemort zsuwa mu się z kolan i rusza przez kanapę Andy w poszukiwaniu naszej szafki i naszych butów. Jase zbiera go i owija sobie wokół nadgarstka. Zagryza dolną wargę i wzdycha.

— A Tim co?

— Ma w tej chwili dość na głowie, nie potrzebuje kogoś, kto mu w niej zawróci.

— A nie powinieneś przypadkiem dać mu w pysk, bo mnie pozbawił czci?

— Z tym sama sobie doskonale poradzisz. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, wcale bym się nie wtrącał. — Po schylonej twarzy Jase'a przebiega cień. Brat unosi wzrok na mnie. — A przy okazji, co z Bradem? W zeszłym tygodniu widziałem, że biegacie razem.

— Nie ma go. Na stałe.

— A on o tym wie? — pyta ostrożnie Jase, wieszając sobie Voldemorta na szyi i łapiąc go, kiedy zsuwa mu się po klatce piersiowej i po brzuchu.

— Nikogo za sobą nie ciągnę, Jase. Nie pogrywam. Byłam z nim szczerą. Nie był zadowolony, ale dał mi spokój.

— Daj mi znać, jeśli coś się zmieni. — Jase wstaje, tym razem owija sobie węża wokół ramienia. — Albo jeśli będziesz potrzebować wsparcia.

— J?

Jase zatrzymuje się w drzwiach.

— To nie to co zwykle. Z Timem. Nie to, co znam. Nie wiem, co robię, ale nie mam zamiaru go ranić.

Jase czubkiem buta unosi róg mojego dywanu, potem go kładzie.

— Alice...

— Co?

— Postaraj się bardziej. — I wychodzi z pokoju, zanim zdążę mu odpowiedzieć albo się bronić. Albo powiedzieć prawdę.

Rozdział trzydziesty siódmy

Alice

— Ja tylko...

— Przechodziłaś? — Tim szerzej otwiera drzwi. Opiera się ramieniem o framugę, odsuwa włosy z oczu, spogląda na mnie z uśmiechem najpierw słodkim, potem łobuzerskim. — Nie chciałaś znów się wślizgnąć w czasie mojej nieobecności i zabawić się w Złotowłosą?

— Ostatnio wyszło na jaw, że to może być niebezpieczne, więc staram się zachować maniery.

— Cholera, znów podejście profesjonalne i zasadnicze. Myślałem, że z tym już koniec.

— Masz na myśli wtedy, kiedy się rozstaliśmy? Jase powiedział, żebym trzymała się od ciebie z daleka, a nie grała w randki, dominację i rzucanie.

— No tak, też to przerabiałem. Ale przyszłaś, jak widzę.

— Przyszłam. Chodź ze mną. Na dwór — mówię.

Tim idzie za mną schodami, po naszej mokrej od rosy trawie na ciemnofioletowe podwórko, nie zadając pytań, chociaż widzę, że płonie z ciekawości. Prowadzę go za furtkę przy basenie, niedaleko domku na drzewie, który tata zaczął budować tego lata i który wciąż pachnie świeżo ściętą sosną.

— Będziemy biwakować? — Tim mierzy wzrokiem nieco oklapły zielony namiot z odsuniętą klapą, latarką ustawioną na przyćmione światło, kocami, poduszkami i śpiworami na podłodze.

Wzruszam ramionami.

— Nie musimy... miał tu spać Duff z kolegami, ale stchórzyli. Teraz już śpią, wszyscy. Pomyślałam...

— Będziemy sobie opowiadać historie o duchach? Grać w prawdę czy wyzwanie?

— Mniej więcej na tyle mi starczyło wyobraźni w planowaniu.

— Mnie pasuje. — Tim opada na kolana, wsuwa się między klapami płótna, zatrzymuje na moment, prawdopodobnie na widok opakowania prezerwatyw pod ścianą namiotu, na stosie książek Duffa z obrazkiem Lego Mindstorms. Potem wchodzi dalej, poprawia poduszki, żeby były blisko siebie, wygładza ciemnozielone śpiwory, przewraca się na plecy i wkłada ręce pod głowę.

Potargane ciemnorude włosy, bystre oczy, uśmiech w końcu pojawiający się na jego twarzy, żywy w przytłumionym świetle.

Przesuwa jedną rękę w dół, ostrożnie, powoli, w końcu kładzie ją otwartą dłonią do góry obok siebie na kocu. Bezślowe zaproszenie. Nie odrywa wzroku ode mnie.

— Muszę rzucać ci wyzwanie? — pyta cicho.

Jego dłoń na kocu. Przez chwilę wpatruję się w nią, żołądek podskakuje mi lekko i się ściska. Pęcherze. Drobne przecięcie na opuszcze kciuka. Oczywiście żadnego plastra.

Ta dłoń uosabia całego Tima.

— Nie — mówię. — To bardziej prawda niż wyzwanie.

Wyciągam się obok niego, wsuwam dłoń w jego rękę; zaciskam palce na jego nadgarstku, czuję szybki puls, który jeszcze przyspiesza, chociaż twarz chłopaka nie zmienia wyrazu: jest zamyślona, skupiona, zmianę widać tylko w szerzej otwartych oczach. Moje ciało jednocześnie się rozluźnia i spina.

— Mogę cię o coś zapytać? — pytam i zaczynam mówić pośpiesznie, zanim Tim zdoła potwierdzić lub zaprzeczyć: — Wiesz, całe to nasze flirtowanie... teraz, kiedy jestem... tutaj... to coś zupełnie innego. Mam wrażenie, jakbyś się powstrzymał. O co chodzi? Czy nie o to, że wolisz gonić niż złapać?

Jego kciuk przesuwają się po mojej dłoni, po każdej wypukłości kostki z osobna. Potem Tim unosi moją dłoń do ust i całuje jej grzbiet. Jego usta zatrzymują się na niej przez jeden oddech. Dwa.

Potem patrzy mi w oczy.

— Nie, skąd. Nie. Chyba chciałem... żebyś to ty przyszła do mnie. Chciałem być pewny, że jesteśmy w tym... razem... — Głos załamuje mu się lekko na ostatnim słowie, na policzki wypełza rumieniec. — Poza tym... eee...

Tim

„Powiedz to”.

— No, ja nigdy... — znów chrypię. Oczy Alice utkwione są we mnie, szerokie źrenice wydają się ciemne w bladym świetle latarni. Kręgi zielone, złociste. Niezmienne.

„Powiedz to”.

— Nigdy nie uprawiałem seksu na trzeźwo. Nigdy. Nie wiem, czy w ogóle sobie poradzę.

Oślepia mnie jej krzywy uśmiech; po chwili odwraca wzrok, jej twarz nie zdradza już niczego — cała otwartość i miękkość sprzed chwili zniknęły.

— Oczywiście wcale nie musimy niczego robić — dodaję szybko. — Tylko, no wiesz... ostrzegam...

Alice opuszcza spojrzenie na nasze splecione dłonie i kiedy się odzywa, jakby zwracała się do nich.

— Zawsze musiałam kontrolować sytuację. Nigdy nie...

Wyrzuca z siebie szybkie, niemal nonszalanckie słowa. Ale z jej twarzy mogę już odczytać, o co chodzi.

To nie nonszalancja, ale brawura. Alice się boi.

Ja też.

Alice

— Ja nigdy... — powtarzam. Nigdy się do tego nie przyznałam. Ani przyjaciółkom, ani mamie, ani pamiętnikowi, którego nie prowadzę.

— Nigdy nawet... hm... sama?

— Nawet to.

Tim wydaje się nieco zaskoczony. Po co mu się przyznawałam? Wywieram na niego większy nacisk... Co prawda Tim nie wygląda na przestraszonego, jest jedynie zaskoczony i nieco smutny.

Jąkając się, uspokajam go, zdradzając kolejne trudne do wypowiedzenia prawdy.

— Przy tobie już czuję to, czego nigdy nie oczekiwałam. Więc jeśli my... kiedy my...

— Nie musimy — odpowiada Tim natychmiast.

— Wiem. Wcale nie twierdzę, że cokolwiek musi się stać teraz i natychmiast. Chodzi mi o to, że... hm... niektórych rzeczy nie robiłam. Może nie będę umiała. To nie jest nic wielkiego, więc ja nie...

— Szczerze, Alice?

— Ee... — Jestem nastawiona tylko na mówienie prawdy. Co jeszcze?

— Nie udawaj. Obiecuj.

Co za chłopak. Znow patrzy mi w twarz, na wargach błąka mu się lekki uśmiech, ledwie unoszący kąciki ust. Unosi brwi, czeka. Może czekać, niezależnie od tego, ile to potrwa. Na ten widok czuję ucisk w piersi, ukłucie czegoś bliskiego bólowi, szybkie jak nóż — coś się uwalnia, wyzwala.

— Obiecuję — nie mówię, lecz szepczę to słowo.

Jego palce przesuwają się na moje ciało, nakrywają moje serce, jakby wiedział.

Przełykam ślinę.

— Poza tym... jeśli będziesz miała, eee... pomysły, jak można cokolwiek poprawić w trakcie, to...

— Boże, Tim, czy zostawisz coś niedopowiedzianego?

— Jeden czy dwa drobiazgi.

Tim znow szeroko się uśmiecha, uśmiech sięga mu do samych oczu i rozpromienia całą twarz. Zdejmuję sweter. Tim przewraca się na bok i przyciąga mnie do siebie.

Potem gładzi mnie po ramieniu, a chociaż dłoń ma ciepłą, pod jej dotykiem na mojej skórze pojawia się gęsia skórka.

Teraz zsuwa dłoń za moje kolano, naciska, nagle bardziej ponagłajaco, chociaż głos ma wciąż leniwy, niemal senny, w przeciwieństwie do żaru w oczach.

— Obiecaj mi jeszcze jedno, Alice.

— Zawsze tyle gadasz? — Zdradza mnie mój własny głos, oktawę wyższy niż zwykle.

— Gadam? — Zaczyna się śmiać.

Krzywię się i spuszczam wzrok. Jego dłoń wsuwa mi się pod podbródek i unosi ją ku jego twarzy.

— Przepraszam — mówi. — Znów muszę cię ostrzec. Chcę unieść twoją nogę w ten sposób do mojego biodra. Obiecuj, że mnie nie kopniesz.

— Chcesz mi objaśniać wszystko po kolei?

— Psst! — Pocałunek w kącik moich ust, kolejne słowo to tylko podmuch powietrza. — Nie.

Moja noga obejmuje jego biodro, kolano bokiem leży na jego pasie. Tim ledwie mnie dotyka, jego dłoń wisi nad moją skórą, tak blisko, niemal muska moje udo, zjeżdża na łydkę, na piętę, na wygięcie stopy. W końcu rzeczywiście mnie dotyka, naciska kciukiem mocniej, potem lżej, przesuwa nim wzdłuż mojej stopy, rysując jej kształt, na tył nogi, dotyka leciutko jak podmuchem powietrza. Pochyliła głowę na moje ramię, nie dotyka mnie, lecz jest na tyle blisko, że czuję jego nierówne wdechy i wydechy, czuję szybkie bicie jego serca.

— Będę potrzebował tamtego pudełka. Niedługo. Ale jeszcze nie teraz, bo muszę...

— Naprawdę chcesz mi to wszystko opowiadać, co?

— Nie opowiadać. Chcę się tym napawać. Musisz mi dać czas, żebym się przyzwyczaił do tego... do ciebie. — Delikatnie pociąga za moją koszulkę, podsuwa mi ponad brzuch, zsuwa ramiączka. Szorstkimi kostkami muska moją skórę. Ostro wciągam powietrze. On też. Potem kładzie mi dłoń na brzuchu, oczy ma poważne, na twarzy wyraz skupienia i determinacji.

Spogląda na mnie przez tak długi czas, że się kulę; on lekko przyciska dłoń do mojego brzucha.

— Niech popatrzę. Alice, jesteś wspaniała. — Jego kciuk dotyka kolczyka w moim pępku.

Tim unosi powieki i znów wpatruje mi się w twarz.

— Co się dzieje?

— Ja jestem... muszę wiedzieć, co myślisz. — Myśli skaczą mi po głowie, gonią jedna drugą. Wyraz jego oczu, jego ciężar obok mnie, jego schrypnięty głos.

— O tym, że nie sądziłem, że się tu znajdę. Że będę miał to... ciebie. Jak to się stało? I... i... jak jesteś piękna. Zwłaszcza to ostatnie.

Opieram się na łokciu, szarpię koszulkę, która zaczepia się o kolczyk.

— Au! — przyciskam dłoń do ucha.

Tim się nagle ożywia, porusza szybko, odczepia mi kolczyk od koszulki, rzuca ją gdzieś, całuje w ucho, łaskocząc przy tym. Jestem odkryta, owiewa mnie

chłodne powietrze, a on wciąż ma na sobie ubranie. Zaczynam chichotać — częściowo ze zdenerwowania, częściowo z podniecenia, częściowo z powodu innych uczuć, których dotąd nie znałam i nie umiem nazwać.

Wyciągam rękę, chwytam palcem pas jego dżinsów, dłonią przesuwając po skórze tuż nad nimi.

Drugą dłoń kładę mu na ramieniu, dla równowagi.

Oboje drżymy.

— Gasimy światła? Jestem przeciw. — Znów zagłębia kciuk w mój pępek, potem delikatnie trąca kolczyk, wreszcie się podnosi.

— Tak, proszę.

— Jak sobie życzysz. Nie ruszaj się.

Wyłącza lampkę, klnąc przy okazji — zapewne oparzył sobie kciuk gorącym metalem. Potem słyszę, jak z szelestem ściąga klapę namiotu i po ciemku szuka prezerwatyw. Przesuwam dłonią i znajduję je przed nim, podsuwam mu.

— No to do dzieła.

Tim się zachłystuje i zaczyna śmiać.

— Do dzieła? Mam to zakładać na czas?

Teraz jestem zbyt spragniona, żeby czuć zakłopotanie. Śmieję się również.

— Zapomnij, co powiedziałam, tylko się pośpiesz, dobrze?

— Boże, jak ty poganiasz. Minuta.

Trzask zamka, Tim zrzuca z siebie dżinsy, szelest.

— No dobrze, wracam. Proszę o powstrzymanie odruchów obronnych.

— Pośpiesz się — powtarzam, podczas gdy Tim opada na ziemię obok mnie, śmiejąc się na cały głos. Ja również wybucham śmiechem. Jego usta dotykają mojego ramienia, potem znajdują jedną pierś, ręka wsuwa się pod nią, Tim przyciąga mnie do siebie, ale tylko na moment.

Słyszę wydawane przez siebie w głębi gardła odgłosy nieomylnie świadczące o frustracji.

— Pośpieszyć się? Skąd to zniecierpliwienie?

— Chcemy tego, czego chcemy i kiedy chcemy — szepczę.

— Aha, więc czegoś chcesz, Alice? Może szklankę wody?

Jego palec wskazujący ześlizguje się z mojego podbródka i kreśli linię wzdłuż mojego ciała.

— Orzeszki? — Jego oddech porusza włosami zakręconymi przy moim uchu. Usta znów ześlizgują się w dół.

Podrywam się, za szybko czuję, że jest mi za dobrze.

— Czego potrzebujesz? Poproś.

— Byłoby dobrze móc oddychać.

— To przereklamowane. — Jego usta wracają do moich. — Zamknij oczy i po prostu odczuwaj, dobrze?

*

Dwadzieścia minut, godzin, tygodni później opadam głową na poduszkę.

— O rany.

— No właśnie. — Tim dotyka nosem mojego nosa. — I jak było naprawdę, Alice? Nie kłam i tak wiem — mówi lekko triumfującym tonem, ale nie mam mu tego za złe.

— Ja... — zaczerpuję głęboko powietrza, potem mogę już tylko je wypuścić. — To było...

To było naprawdę.

O rany.

Tim

Alice cichnie, ja też nic nie mówię. Włosy przy jej skroniach są wilgotne, przyklejają się do rozgrzanych policzków. Czuję zawroty głowy, chociaż to ona właściwie... Niemal obawiam się wypuścić powietrze, żeby nie spłoszyć uroku, boję się, że nawet w tej chwili Alice mogłaby wstać i odejść, a wtedy ja... nie wiem, co bym zrobił.

Ona za to się śmieje, niemal bezgłośnie, gdyż brakuje jej powietrza. Jej nagi brzuch drga przy moim i przez przerażającą sekundę obawiam się, że to płacz, co byłoby okropne. Ale nie, to śmiech. Alice unosi zgrabne ramię i owija mnie nim w pasie, jakby nie miała kości. Porusza się tylko po to, żeby się do mnie zbliżyć.

Próbuję się odsunąć, żeby zrobić jej miejsce i dać czas na dojscie do siebie, ale moje ciało w ogóle nie daje się przekonać.

Alice też nie.

Dzięki Bogu.

Alice

Naciskam dłońmi na jego ramiona, jednym kolanem przysuwam się do jego uda, tak że zmuszam go do przewrócenia się na plecy. Tim uśmiecha się do mnie szeroko, a ja uświadamiam sobie, że policzki mnie bolą od tego szerokiego i radosnego śmiechu.

— Tim? — Palcami przesuwam po jego piersi, po mięśniach na nogach, po rozwijających się zarysach mięśni na brzuchu, potem cofam się dłonią do jego podbródka i całuję go znów do utraty tchu.

— Mmm.

— Chcesz wykreślić kolejne „ja nigdy”?

Jego ręce zamierają przy moich bokach, zawisają w powietrzu, jakby nie mógł się zdecydować, co dalej.

— Tak. To. — Uniesione ramię zasłania mu oczy. Pod moimi dłońmi jego

mięśnie się naprężają.

— Ko...

— ...cham cię.

— Alice! Nie pozwoliłaś mi dokończyć, a to był mój pierwszy raz.

— Mój też. Przepraszam. Musiałeś się dowiedzieć. Albo raczej musiałam ci powiedzieć. Tim...

— Kocham cię — kończy za mnie. — Niech ja to powiem. Boże.

— No dobrze, skoro nalegasz.

— Bezwarunkowo. Zawsze nalegam.

Tim przewraca nas i zawisa nade mną oparty na łokciach.

— Kocham cię, Alice.

— Udowodnij.

— Skoro nalegasz.

Tim

Uprawiać miłość. Kiedy Hester używała tych słów, za każdym razem się krzywiłem. Wydawały się tak niedopasowane i niezwiązane z tym, co naprawdę rozgrywa się między dwoma ciałami. Można uprawiać ogród albo sport, ale miłość? Nie za bardzo. Teraz jednak rozumiem. To coś jak podlewanie rośliny i podsycanie ognia. Nie chodzi o wyczarowanie kwiatka z powietrza czy ognia z niczego, lecz o to, że wreszcie, kiedy się już nauczyło, można się cieszyć jego urodą lub ogrzać dłonie przy ognisku, które zbudowało się z pojedynczych patyków.

Rozdział trzydziesty ósmy

Alice

W kuchni, gwizdząc, nalewam płatki dla moich braci i gromady głupkowatych gości Duffa. Z tych, którzy spali u niego poprzedniej nocy, zostali Ricky McArthur, Jacob Cohen, Max Oliviera.

Harry jest skwaszony, bo przez większość nocy nie mógł przez nich spać. Ja też nie przespałam tej nocy, ale zdecydowanie nie jestem skwaszona. Joel, który wchodzi z wielkim pudełkiem pączków — co za banał policyjny — rzuca mi uśmiezek.

— Co?

— Nie wiem, Al. Nad twoją głową latają niebieskie skowronki i puchate kurczaczki. Po prostu podziwiam widok.

— Kurczaki nie latają! Nawet kury nie latają — mówi George z ustami pełnymi płatków. — Joel, głupio gadasz.

— Mówię poważnie. Miło widzieć cię taką rozpromienioną. Jesteś znacznie mniej dzika.

— Zamknij się, Joel — mówię, lecz brzmi to łagodnie, i nalewam sobie kawy. Udaje mi się zignorować żarty z puszczaniem bąków Duffa i jego kumpli, wrzaski wkurzonej Patsy, której Harry zabrał kubek niekapek i trzyma go tuż poza zasięgiem jej palców, oraz długie wyjaśnienie George'a dotyczące różnicy między dzikim a zdziczałym.

— Tęcza, jednorożce i kocięta — mówi Joel, chichocząc jeszcze głośniejsze. — O rany, Al.

Tim

Jestem z Hester w Breakfast Ahoy. Przy stoliku po lewej siedzą pływacy z Hodges, których jedynie mgliście kojarzę. Wszyscy obżerają się węglowodanami, poszturchują nawzajem, zakładają o głupoty, kłócą o to, kto będzie płacił, szydzą z siebie nawzajem i swojego ostatniego spotkania, podrywają kelnerkę i w ogóle zachowują się jak krety. Cztery lata temu to była moja drużyna — siedziałbym tam jako jeden z nich. Teraz obserwuję ich z daleka jak bardzo egzotyczne plemię.

Z bardzo, bardzo daleka. Moje myśli są tylko i wyłącznie w namiocie przy Alice, wdycham ją, obserwuję jej twarz. Przez cały czas nie odrywaliśmy od siebie wzroku, chyba że musieliśmy na chwilę przymknąć oczy.

— Eee... Co mówiłaś?

Nie mam pojęcia, od jak dawna Hester mówi.

— ...dlatego nie przyniosłam Cala. Uznałam, że łatwiej nam się będzie skupić. Jezu, Tim! — Hester strzela mi palcami przed twarzą. Strasznie to irytuje.

— Chyba się nie naćpałeś, co?

— Nie. Skupić się na czym?

Hester grzebie w swoim kolorowym plecaku, wyjmując stos papierów i mi je podsuwa.

— To twoja zgoda na to, żebyś nie miał praw rodzicielskich. Nazywa się zrzeczeniem praw. Wystarczy, że podpiszesz tutaj. — Postukuje palcem w linijkę oznaczoną krzyżykiem, potem rzuca przede mnie długopis.

Długopis jest błyszczący, ciemnobrazowy, z miedzianą końcówką i miedzianymi literami. Nie muszę się przyglądać, żeby wiedzieć, co to za napis: „WINSLOW S. MASON, KIEROWNIK ODDZIAŁU, STONY BAY BUILDING AND LOAN, STONY BAY, CT”.

— Widziałas się z moim ojcem — mówię głosem całkowicie wypranym z emocji. Właściwie w ogóle ich nie odczuwam. Chyba powinienem być zaskoczony, ale jakoś nie jestem. Trzeba mieć perspektywę, prawda? — Kiedy?

— Dwa dni temu — odpowiada Hester bez wahania. — Przyszedł wieczorem, rozmawiał ze mną i Waldem. Myślałam, że go poprosiłeś, żeby się tym zajął i wszystko przyspieszył.

Moje otępienie znika.

— Ustawiał cię, Hes? Zastraszał?

— Nie! Był całkiem miły i pewny tego, co trzeba zrobić. — Hester śmieje się lekko. — W przeciwieństwie do nas, bo my nie możemy się zgodzić w żadnej sprawie. Poza tym znasz dziadka, jego rady są trochę niejasne. Wszystko w formie przypowieści buddyjskich. — Uśmiecha się do mnie, a ja tylko patrzę na nią, niepewny, co zrobić z twarzą. Ojciec, szlag, nieważne. Niech robi, co chce, to już niemal koniec, a przecież na to właśnie czekałem, prawda?

— Tylko tyle? — Pstrykam długopisem, odwracam kartkę i kreślę kilka kółek, żeby długopis zaczął pisać.

— Tak. On to przygotował. Ty masz tylko podpisać, potem twój ojciec zawiezie to do sędziego, a kiedy znajdziemy kandydatów na rodziców adopcyjnych, doręczymy jeszcze kilka papierów, a oni szybko to przepchną jako zrzeczenie się praw dla dobra dziecka. Ale najpierw potrzebny jest twój podpis, bo nie ma cię na akcie urodzenia, więc sąd musi mieć pewność, że na stałe zrzekasz się praw do Cala.

Odwracam papiery. Przez uchylne drzwi do kuchni wpada kelnerka, skrzydła drzwi trzaskają, wydając dźwięk podobny do ognia.

Zamykam długopis. Otwieram. Zamykam. Drapię się w kark.

Mam zrzec się prawa do Cala.

Mam go oddać.

Wszystko się skończy, wszystko.

Wszystko.

Głowa mnie boli jak cholera, nagle czuję się całkowicie wyczerpany. Bez energii.

Nieprzespane noce, niekończące się pieluchy, momenty paniki, kiedy boję się, że przestał oddychać lub że samochód po przeciwnej stronie ulicy się nie zatrzyma i wbije w mój akurat od strony dziecka. Konieczność zabierania małego wszędzie jak wijącej się sześciokilowej piłki na sznurku.

Spocone paluszki ściskające moją koszulę. Krzyki, których nie potrafię zrozumieć.

Nawet jeśli potrafię, kiedy mały nagle cichnie i po prostu na mnie patrzy, jakby mówił: „No właśnie, tego szukałem”. To, jak całkowicie zmienia mu się twarz, kiedy się uśmiecha. Wtedy jest zupełnie innym dzieckiem, a właściwie nie tylko dzieckiem. Jest podobny do mnie.

Znów dopiero w połowie zaczynam rozumieć, co mówi do mnie Hester.

— ...Twój tata przyjedzie do mnie po te papiery i odwiezie je od razu rano. Potem już tylko kwestie urzędowe, ale ciebie to już nie dotyczy.

— Czyli to moja rezygnacja? Czy może to mnie zwalniają?

Hester się śmieje.

— Nigdy nie przypuszczałam, że tak się zachowasz. Jesteś... świetny. Najpierw papiery, potem rozmowy z kandydatami na rodziców, wybieramy najlepszych i wracamy do normalności. Rozdział zamknięty. — Odsuwa z twarzy ciemne włosy.

To nie jest zamawianie chińszczyzny na wynos.

— Hester, różnimy się absolutnie we wszystkim. Jak mamy wspólnie wybrać nowych rodziców?

Hester wzdycha.

— W tym wypadku mamy wspólny cel. Poza tym twój tata i Waldo wystąpią w roli mediatorów, chyba też osoba z ośrodka adopcyjnego. Ale twój podpis to kwestia techniczna, tak mówi pan Mason. Jeśli ojciec biologiczny niczego nie zrobi, i tak po zakończeniu sprawy adopcyjnej automatycznie traci wszelkie prawa. Więc jeśli nie chcesz, w ogóle nie musisz się angażować.

Znów to samo.

— Moglibyście wszyscy przestać zachowywać się tak, jakby moje zaangażowanie wynikało z jakiejś decyzji. Chodzi mi o to, że... on jest... ja... — Odsuwam krzesło. — Potrzebuję powietrza.

Wpadam na futrynę, jakbym był pijany, wychodzę do ogródka Breakfast Ahoy. Powietrze jest tak ciężkie od zapachu bekonu i syropu klonowego, że można je ułożyć na talerzu. Mewy pikują, nadlatują nad kontenery ze śmieciami, lekki wiatr znad rzeki przynosi tylko zapach mułu. Łapię dłońmi za barierkę, ale i tak czuję się, jakbym miał spaść.

Koniec wszystkiego.

Wszystkiego.

Siadam z powrotem przy stole; Hester pisze SMS-a.

— Masz w telefonie jakieś zdjęcia Cala? — pytam niespodziewanie.

Dziewczyna unosi brwi.

— Nie — odpowiada ostrożnie. — A ty masz?

Nie mam. Ale nie jestem fanem zdjęć. Jednak nie o to mi chodzi, mam tylko zbyt wielki zamęt w głowie, żeby dokładnie sformułować, o co mi chodzi. Ma to coś wspólnego z tym bezosobowym miejscem w jej domu, gdzie sypia Cal, z byle jaką małą maskotką, którą mu dała i której oczami z guzików mały z łatwością może się zadławić; z żelem antybakteryjnym, którym się smaruje, zanim go weźmie ode mnie i po tym, jak mi go oddaje, jakby miała się udać na salę operacyjną. Jakby któryś z nas, Cal lub ja, miał świerzb. Ma to coś wspólnego z tym, jak mały otwiera i zamyka dłonie, kiedy do niego podchodzę, jakby nie mógł się doczekać, kiedy złapie mnie za ubranie. Z tym, jak wrzeszczy „Baaa!”, kiedy przez jakiś czas nikt nie zwraca na niego uwagi. Coś wspólnego z „rozdziałem zamkniętym”, jakby był starym podręcznikiem szkolnym z ostatniej klasy, na który już nigdy nie będę musiał patrzeć.

Jednak nie potrafię sobie uzmysłwić, jaki kształt ma mi się ułożyć z tych wszystkich elementów kalejdoskopu.

Hester spogląda na moje dłonie.

— Co ty robisz?

Rozebrałem długopis na części, nawet nie zdając sobie z tego sprawy — i oto długopis leży przede mną: przycisk, skuwka, rurka na wkład, wkład, sprężyna, sama końcówka — osobne kawałki, jakby poddane sekcji na biologii.

— I jak to teraz podpiszesz? — Hester niby się śmieje, ale z rozdrażnieniem znów zaczyna grzebać w torbie.

— Nie podpiszę.

— Proszę. — Dziewczyna triumfalnie macha ręką z kolejnym długopisem z banku, nagle jej dłoń zawisa w powietrzu. — Co takiego?

— Słuchaj... słuchaj, nie możemy uzgodnić tej, jak to się nazywa, adopcji otwartej? Żeby rodzice przesyłali nam wiadomości i zdjęcia i całą tę resztę? No wiesz, żebyśmy wiedzieli, co się z nim dzieje, i sprawdzali, czy wszystko w porządku?

— Nie, nie chcę tego. Chcę, żeby zniknął. Całkowicie.

— Nie — mówię.

„Co takiego?”

— Co takiego?

— Nie. — W głowie rozlega mi się wrzask, który każe mi się zamknąć, próbuje ominąć kolejne słowa, które zamierzam wypowiedzieć, jakby to był korek na autostradzie. — Nie zgadzam się. Ja...

Niemal za każdym razem słowa, których nie potrafiłem powstrzymać, zmieniały moje życie, ale wtedy zachowywałem się jak niedojrzały, niezdolny dupek. Nie tym razem.

— On jest mój, Hester. Nie oddam go.

— Żartujesz?

— Nie zawsze. — Przetykam ślinę. — Nie.

Naprawdę tak myślę?

Tak.

Schylam się nad stołem, przytrzymuję krawędzi, oddycham ciężko, jakbym właśnie dostał w dołek. Jak Alice.

Boże, Alice. Co ona sobie pomyśli, jeśli ja...

— Tim? — Dobiega do mnie głos Hester, jakby przez mgłę. — Co się dzieje?

No dobrze, oddychaj głęboko. Wdech. Wydech.

Jeśli zabiorę Cala, jeśli zatrzymam go, to koniec z młodością. Będę musiał dorosnąć, nauczyć się odpowiedzialności, usunąć na drugi plan, zająć pracą, opieką nad małym, szkołą i cholera wie czym jeszcze... to zajmie lata. Do samej starości. Aż będę miał trzydzieści sześć lat albo więcej. Boże.

— Tim, pomyśl. To szaleństwo. Nie masz możliwości zająć się dzieckiem. Mieszkasz w pokoju nad garażem.

Z wszelkich możliwych powodów, dla których nie powinienem brać dziecka, ten chyba nie jest akurat najważniejszy.

— O co ci chodzi? — warczę. Płuca nagle zaczęły mi działać. — To ty zawsze do mnie dzwonisz, żebym go zabrał chociaż na chwilę albo na noc, bo już nie możesz wytrzymać.

— I przyznaję. Nie chcę tego. Nie chcę go. Poza tym odnoszę wrażenie, jakbyś miał do mnie pretensje o zrzucanie na ciebie odpowiedzialności. — Hester zagryza wargi. — Więc się zastanawiam, dlaczego chcesz jeszcze więcej.

Unosi dłoń; kelnerka bierze to za sygnał dla siebie — prośbę o dolewkę kawy. Hester przeczekuje, aż kobieta napłeni nam filiżanki i odejdzie.

— Nie mówisz poważnie. Calvin nie ma jeszcze czterech miesięcy! Jak sobie wyobrażasz opiekę nad niemowlęciem? Rzuciłeś liceum.

— Nie rzuciłem, to oni mnie wywalili — poprawiam, jakby to było lepsze. — Nie wiem, jak sobie z nim poradzę. Zapewne w taki sam sposób, w jaki usiłuję sobie poradzić, odkąd pojawiłaś się u mnie na progu.

Wraca kelnerka i stawia przed Hester tost zbożowy, a przede mną jajecznicę i frytki domowe. Hester wpatruje się we mnie niedowierzająco, w końcu podejmuje:

— Tim, oszalałeś. To egoizm. Cal mógłby znaleźć rodzinę, prawdziwą, z rodzicami, którzy się kochają, i... innymi rzeczami. Mieć poczucie

bezpieczeństwa, chodzić do dobrych szkół. Być otoczony wszystkim, co ważne. Myślisz, że możesz być lepszy jako siedemnastoletni tata, który mieszka nad garażem?

— Dasz już spokój z tym cholernym garażem? Nie próbuj ze mnie robić wymuskanego chłoptasia z miasta, który zrobił ci dziecko, jakby to w ogóle miało znaczenie. Oboje byliśmy w liceum, kiedy się to zdarzyło, nie zapomnij.

Hester rzuca mi gniewne spojrzenie.

— Nie zapomniałam niczego. Chodzi mi o to, że Cal nie powinien cierpieć tylko dlatego, że jest głupią wpadką. A ja też mam swoje plany.

— Zaplanowałaś to w każdym szczególe. Ja nie planowałem niczego.

— No właśnie. — Dziewczyna mierzy we mnie nożem do masła. — I dlatego nie ufam twoim zdolnościom ojcowskim. Nie wspominając już o twojej przeszłości alkoholika.

— Ale to przeszłość. Jestem trzeźwiejącym alkoholikiem, Hester. I już jestem ojcem.

Tym razem nie mam apetytu, a przyglądanie się, jak Hester smaruje masłem tost, tylko mnie wkurza. Nakłada masło na róg kromki, odgryza, smaruje kolejny kawałek i znów odgryza. Kto tak je? Jakby nie była pewna, czy zje całą kromkę. Kelnerka, którą najwyraźniej kręca rozzłoszczeni, trzeźwiejący nastoletni ojcowie nieślubnych dzieci mieszkający w garażu, ściska mnie za ramię przy kolejnej dolewce kawy.

Hester wzdycha i odzywa się tonem pełnym wystudiowanej cierpliwości:

— Nie chcę się z tobą kłócić. Jeśli potrzebujesz czasu, żeby się przekonać, jak się mylisz, zabierz te papiery do domu. Przejrzyj je. Następnym razem porozmawiamy o nich bardziej racjonalnie.

— Nie zmienię zdania — mówię.

Hester wstaje i przesuwając papiery w moim kierunku.

— W takim razie straciłeś rozum. Zobaczymy się we wtorek. Zadzwoń do ciebie i umówimy się na odbiór Cala. — Sięga do torebki i wyjmując nową pięćdziesiątkę. — Proszę, to powinno wystarczyć na zapłacenie rachunku.

— Zatrzymaj to sobie — warczę. Znów to samo. Czyżby ojciec dał jej napiwek?

— Nie, bierz. Zaczynaj odkładać na studia dla Cala. Może on będzie chciał studiować. — Hester rzuca banknot na stół, odwraca się i wychodzi. Jej spięte w kitkę włosy podskakują w rytm kroków.

Alice

— Na stałe? Czyli... od teraz? Na zawsze?

Tim z rękami w kieszeniach spogląda na ocean, nie na mnie. Unika mojego wzroku, odkąd mnie złapał, kiedy rozciągałam się po porannym biegu.

— Muszę ci coś powiedzieć – mówi Tim.

Od razu alarm, dzwonki, syreny, gwizdy. To moje słowa. Rozgrzewka przed następną kwestią: „Dotarliśmy do końca drogi. To nie wychodzi”. Ale przecież to między nami zaledwie się zaczęło. I jak dla mnie wychodzi, nawet bardzo dobrze. Czyżbym teraz ja grała rolę Brada błędzącego po omacku?

— Nie tutaj — dodał, kiedy Patsy przycisnęła nos do drzwi z siatki i zawołała go władczo.

Tim uparł się, żebyśmy poszli na plażę. Potem zaproponował spacer do latarni morskiej. Poleciał przodem, musiałam się wspinać na nierówne kamienie, żeby dotrzymać mu kroku, tak szybko szedł. Kiedy wreszcie odwrócił się do mnie, ramiona miał obwisłe, twarz nieprzeniknioną, jakby spodziewał się po mnie gniewu lub krytyki. Wtedy opowiedział mi, co się stało z Hester. Czego chce z Calem.

Głos mu drżał, na początku trochę się jąkał, ale potem, w miarę opowiadania, się uspokajał, jakby już podjął decyzję.

— Tylko to ma sens. On mnie potrzebuje. A ja muszę to zrobić. To znaczy właściwie już to robię. Właściwie... ja to zrobiłem. I nie mogę tak... po prostu... zachować się, jakby nic się nie stało, i żyć dalej. Mam szansę naprawić coś i postąpić właściwie.

— Ze względu na ciebie czy Cala?

W oczach Tima płonie determinacja.

— Widzisz... nas się nie da rozdzielić. On ma tylko mnie. Ja mam tylko jego.

Stoimy na poszarpanym gładzie, wciąż mokrym po ostatnim przypiływie, z kilkoma kępami sałaty morskiej zaczepionymi na wystających krawędziach. Nie da się po nim chodzić w kółko. I tak próbuję to robić, starając się wpasować ten nowy fakt w moje wyobrażenie na temat swojego życia.

Mój... chłopak. Mój... Tim — chce być tatą nie tylko w wolnych chwilach czy na kilka miesięcy, ale na zawsze. Być ojcem Cala, na dobre, ze wszystkimi konsekwencjami. Bez oddawania małego Hester. Łóżeczko zostanie w sypialni na stałe, do czasu, póki Cal nie dorośnie do normalnego łóżka. Tim będzie musiał zorganizować dla niego opiekę, jeśli uda mu się zdać maturę i iść dalej (A uda mu się? Jakim cudem?). Jeśli znajdzie inną pracę. Konieczność zorganizowania opiekunki, jeśli będziemy chcieli razem wyjść wieczorem. Odpowiedzialność za szczepienia, przestawianie Cala na pożywienie stałe, uczenie korzystania z nocnika i inne etapy, które znam tak dobrze, wszystkie obowiązki i zmartwienia, które uważałam tylko za element swojego życia, potrwają trochę dłużej — i tylko dlatego, że zastępowałam kogoś.

Tim został ojcem przed ukończeniem osiemnastu lat.

Ja.

Z dzieckiem to już troje. Ha.

Gwałtownie siadam na kamieniu, niemal nie czując, jak woda morska powoli moczy mi dżinsy.

Tim opada na skałę niedaleko mnie, nie za blisko; nogi zwisają mu z krawędzi kamienia. Przesuwa po szwie spodni.

— Wiem, co myślisz — zwraca się do swojego kolana.

— Wątpię. — Sama nie mam pojęcia.

— Wiedziałem, kiedy to mówiłem Hester. To za dużo. To ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz. Nie na to się godziłaś. Oczywiście chodziło o moją niespotykaną urodę oraz wylewający się ze mnie testosteron, a nie produkt uboczny ich obu. Rozumiem. Ale, Alice... co mogłem zrobić?

Próbuje zachować lekki ton, ale mu się to nie udaje. Oczy ma poważne.

Podsuwam kolana pod brodę, otaczam je ramionami, opieram na nich podbródek. Spoglądam na niego.

Prosty nos z kilkoma piegami, jego włosy, znów odrobinę za długie, ciemne rzęsy, teraz opuszczone, wysokie, szczupłe ciało... Już wygląda na starszego niż miesiąc czy dwa temu.

— Nie będę miał pretensji, jeśli odejdiesz. Mam nadzieję, że zostaniemy...

— Nie próbuj mi wciskać tego kitu o przyjaciółach.

— Nawet przyjaciółmi nie będziemy? Cholera, Alice. Okej. Okej. Rozumiem.

— Nie możesz tego zrozumieć. Sama jeszcze tego nie zrozumiałam. Musisz mi dać trochę czasu na przetrawienie tego.

Jego zaskoczone oczy wędrują w moim kierunku.

— Kolejna rewelacja. Trochę dużo. Daj mi czas, muszę się z tym oswoić. — Kolejna fala i kolejna zmiana krajobrazu.

— Dam ci tyle czasu, ile potrzebujesz — mówi. — Wszystko, co mam.

— Wiem — odpowiadam posępnie i szturcham go lekko w ramię. — Musiałeś, prawda? Musiałeś nagle zrobić się przy mnie tak bardzo odpowiedzialny.

— Nikt nigdy nie twierdził, a już na pewno nie ja, że jestem dobry w wyborze odpowiedniej chwili.

*

Jest po jedenastej, wszyscy śpią. Oprócz mnie i George'a. Małemu śnił się koszmar o clownach, a ja wciąż obracam w głowie sprawę rachunków, banków i Grace Reed. Skuliliśmy się więc razem w salonie pod wielką szydełkową narzutą od babci Alice; czytam mu ulubioną bajkę, *Królową śniegu*. Gerda to najlepsza baśniowa bohaterka. Nie czeka, aż przywiozą jej pantofelek do przymiarki, lecz sama wędruje na biegun, żeby uratować swojego bohatera.

George'owi Gerda też się podoba, podoba mu się to, że mieszka tuż obok

Kaja. „Tak jak Jase i Sam”. Przytula się do mnie i w tej chwili rozlega się ciche pukanie do drzwi i szcęk klamki. To musi być Tim, kto inny przyszedłby z wizytą o tej porze?

Ale to Samantha, z rozwianymi włosami, otulona w kurtkę, w której rozpoznaję własność Jase’a.

George obejmuje ją za kolana, wyznaje miłość i pyta, co sądzi o clownach. Samantha chyba nawet go nie słyszy. Jest zaczerwieniona, nie wiem — z zimna czy od wiatru — ale wtedy spoglądam jej w oczy, niemal lśniące własnym światłem. Ale nie od łez.

To gniew.

George pociąga ją za poję kurtki.

— Żeglarko, Jase śpi, sprawdziłem, kiedy miałem ten koszmar, ale on się nie obudził. Usta miał trochę otwarte, ale nie martw się, nie połyka pajaków przez sen, chociaż ludzie tak opowiadają. To wymyślone. Tak samo jak to, że jeśli połkniesz gumę do żucia, to w brzuchu wyrośnie ci gumowe drzewo.

— George, cieszę się, że z tymi pajakami to nieprawda, ale muszę porozmawiać z Alice. — Samantha uśmiecha się do niego, ale mówi tak szybko, słowa wylatują z jej ust jedno za drugim, jakby brakło jej tchu. Patrzy mi prosto w oczy.

Brat zgadza się wrócić do siebie, jeśli mu przysięgnę, że jutro będzie mógł obejrzeć dwa odcinki serialu o zwierzętach. I jeśli obiecuję, że nie będzie żadnych clownów. Wycofując się powoli, jeszcze dokłada żądań:

— I lody po śniadaniu? Nie, na śniadanie. Obiecujesz?

Kiedy tylko cichnie odgłos jego kroków, odzywa się Samantha:

— To moja mama. Odkryłam, że w moim imieniu wypełnia zgłoszenia na uczelnie. Oczywiście do szkół bardzo odległych stąd.

Ta wiadomość chyba mogłaby poczekać do rana, chociaż to kolejny punkt na liście dziesięciu powodów, dla których nienawidzę Grace Reed.

— Ale nawet nie o to chodzi. Jest jeszcze coś. Powiedziała mi, że byłaś u niej rozmawiać o rachunkach. Spytałam Tima, potwierdził, że w ogóle nie chce o nich słyszeć. Nie pozwolę na to. To nie w porządku. Wiem, co się stało z twoim tatą. Widziałam to. No owszem, spałam, ale wiedziałam, że coś się stało i nie... w każdym razie przyszłam powiedzieć, że... pójdę na policję albo gdzie trzeba. Niezależnie od tego, jakie będą koszty.

Już w połowie tej przemowy zaczynam chodzić wokół stołu w kuchni, unoszę ręce do włosów i ciągnę je, po czym biorę porzucony ręcznik papierowy i zaczynam drzeć na kawałeczki.

Sam patrzy na mnie z nagłym rozbawieniem.

— Może chcesz papierosa? Wyglądasz dokładnie jak Tim.

— Ha — odpowiadam.

— On też tak mówi.

— Sam, naprawdę chcesz to zrobić? Iść na policję, złożyć zeznania i tak dalej?

— Tak — odpowiada bez wahania. — Od wielu tygodni o tym myślę. Od wypadku. Nie... nie mogę o tym zapomnieć, Alice. I teraz jeszcze to. — Zamyka oczy i bierze głęboki wdech. — Ale Tim mówi, że lepiej, gdy najpierw porozmawiacie z nią sami. Bo jeśli... jeśli coś nie wyjdzie, jeśli dojdzie do procesu, prawnicy wystawią ogromne rachunki — Sam krzywi się i kręci głową — to rachunki waszego taty zostaną odłożone na później, może na zawsze.

— Rany, dobry jest — stwierdzam.

Sam się śmieje, już znacznie bardziej podobna do siebie.

— On pierwszy by ci to powiedział.

— Ale jako ostatni by w to uwierzył — odpowiadam.

Sam przekrzywia głowę, znów poważnieje.

— Rozumiesz go, Alice. Cieszę się.

*

Tak jak z Calem — nie widzę innego wyjścia. Nie ma innego wyjścia. Ale zamiast działać z głębi gorącego i otwartego serca, robię to, ponieważ jako jedyna potrafię zachować odpowiednio zimną krew. Muszę iść sama, Tim ma na głowie Cala i Hester.

Kiedy Grace Reed otwiera drzwi, przechodzę obok niej białym korytarzem. Nie zdejmuję butów.

Patrzę jej prosto w oczy, wpatrzone we mnie, idę z rachunkami do szklanego stołu i kładę je na blacie.

— To kopie. Więcej niż poprzednim razem.

— A ja widziałam to. — Biorę z wierzchu wycinek z gazety „Stony Bay Bugle” i jej podaję. — „Była senator podobno zamierza wrócić na scenę”.

— Tak, zaproponowano mi kandydowanie na skarbnika stanu. Alison, w polityce mogę wiele zdziałać. Pomagam innym. Nie powinnam odrzucać takiej możliwości. — Grace podchodzi do wysokiego, łukowego okna wychodzącego na zielony trawnik, wciąż soczysty, chociaż jesień już w pełni. Nie ma na nim ani jednego suchego liścia. — Nie proszę, żebyś zrozumiała, wciąż jesteś bardzo młoda. Trzeba patrzeć z szerszej perspektywy niż twoja, żeby dojrzeć dobro ogółu...

— Pani senator, nie przyszłam na debatę. Tu są rachunki. Chce pani być skarbnikiem? Idealny początek. Rozmawiałam z Samanthą. Jak się okazuje, pani córka ma duże wyrzuty sumienia, że ojciec Jase’a nie ma odpowiedniej opieki, której potrzebuje, a zmiana szkoły aż tak bardzo jej nie dotknie. Nie ma nic przeciwko pójściu do liceum państwowego.

Grace rzuca mi ostre spojrzenie.

— Wybór szkoły dla mojej córki to raczej nie jest twoja decyzja.

— Wiem, to ona musi wybrać. Tak samo jak ona pójdzie na policję jako świadek wypadku, w którym brała pani udział, po którym mój ojciec znalazł się w szpitalu. Zrobi to bez problemu.

Grace Reed jest blada jak sama Królowa śniegu. Wydawałoby się, że nie można już mieć bardziej pergaminowej skóry, ale jej się to udaje.

— Nie miałaś żadnego prawa jej w to mieszać.

— Nie miałam? — Śmieję się. — To pani przestała płacić rachunki. Gdybym nie przyszła, zrobiłby to Jase. Wszyscy jesteśmy w to zamieszani, cała moja rodzina. Potrzebuję pani słowa, a właściwie więcej. Podpisze mi pani zobowiązanie do zapłaty tych rachunków i kolejnych, dopóki będą nadchodziły. Jeśli nie, Samantha zmieni szkołę. Będzie miała znacznie więcej czasu dla mojego brata.

Ostatnie słowa wypowiedziałam pod wpływem impulsu. Naprawdę jestem lodowata.

Kiedy Grace odprowadza mnie do drzwi, w kieszeni mam czek złożony razem z podpisanym przez nią papierem. Obracam się do wyjścia, senator przelotnie kładzie mi dłoń na ramieniu. Ku mojemu przerażeniu na jej twarzy widzę niemal podziw.

— Byłby z ciebie dobry polityk, Alice — uśmiecha się do mnie czarująco.
— Jesteś podobna do mnie.

Boże broń.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Tim

Waldo Connolly otwiera drzwi w sukience.

Nie jestem pewien, czy zdołam to znieść.

Po bliższym przyjrzeniu się stwierdzam, że to jednak długa koszula sięgająca za kolana, luźna, z drobnymi lusterkami przy wycięciu szyi. Nie sukienka, ale jednak...

— Wchodź, Hester powinna niedługo wrócić. — Obraca się, powiewając koszulą, odsłaniając piekielnie owłosione nogi. Gdyby nie jego wzrost, naprawdę mógłby być hobbitem. Idę za nim, wlokąc fotelik samochodowy i Cala. Zaczynam mieć wrażenie, że lewe ramię od noszenia tych ciężarów trochę mi się wydłużyło.

„Przyzwyczajaj się”.

Nie tylko Alice potrzebuje czasu, żeby się przyzwycząić.

Ojciec dostanie amoku na wiadomość o mojej decyzji.

Nano na pewno przypadną pieniądze przeznaczone na moje studia.

Stawiam fotelik i opadam na miękki fotel obok. Unosi się chmura kurzu, drobinki wirują w powietrzu na tle wysokiego okna, gonią tak szaleńczo jak moje myśli.

Waldo nastawia czajnik, z lodówki wyjmuje coś, co przypomina liść palmowy, i bierze swoją ulubioną maczetę. Trzask, trzask.

— Chcesz być ojcem dla tego dziecka.

— Tak, proszę pana. Przecież już jestem. Ale chodzi mi o to, że chcę od teraz. Tak. Tylko potrzebuję trochę czasu, żeby się upewnić.

Trzask.

— Odważna decyzja. Może to i odwaga. Ale jak to ma wyglądać? Otworzysz swój świat i zorganizujesz go wokół dziecka? Calvin stanie między tobą a twoim horyzontem? — Trzask maczety. — Jesteś pewien, że chcesz postawić pieniądze tam, gdzie jest twoja miłość?

Czy ten facet mógłby przestać gadać tekstami wróżb z chińskich ciasteczek doprawionych kwasem?

Gardło mnie boli, żołądek też, właściwie cały czas od rozmowy z Hester. I od rozmowy z Alice. Może właśnie dorabiam się wrzodów? Waldo zsuwa posiekane kawałki i wrzuca je do czajnika, szybkim ruchem ręki podpala gaz. Wygląda to jak pokrojona trawa.

— Proszę pana — mówię — nie jestem pewien, o co panu chodzi, ale... może pan myśli, że... że potrafię narobić bałaganu i w ogóle się tym nie przejmuję, ale tak nie jest. Może Hester potrafi zapomnieć o tym i żyć dalej. Ja nie. Nie jestem tym typem. Właśnie. Nie muszę nawet na nią czekać. Przyszedłem tylko po resztę

rzeczy Cala.

Waldo opiera się o blat i spogląda na mnie z nieruchomą twarzą. Jedną ręką sięga za siebie, nie spuszczać ze mnie wzroku. Po maczetę? Nie, wyjmuję jakieś sitko do herbaty.

— Przywiązałeś się do tego dziecka.

— A pan nie? To pan poradził Hester, żeby go na trochę zatrzymała.

— Mam sześćdziesiąt cztery lata, Tim. Nauczyłem się, że takie nieodwołalne decyzje potrzebują czasu. Michelle, matka Hester, urodziła ją jako panna. Żałowała wielu swoich decyzji. Hester jest za młoda, żeby już żałować tego, co mogłoby być. — Obraca się, nalewa wrzątku i ścinków trawy do dwóch szaroniebieskich kubków z fajansu. Jeden podaje mi, unosząc go jak przy toaście.

— Za prawdę naszych serc, która może związać nas jak łańcuchem.

Stawia swój kubek na stole, opiera podbródek na dłoniach i spod krzaczastych brwi patrzy na mnie przenikliwie. Odpowiadam równie nieruchomym spojrzeniem. Niech on pierwszy mrugnie.

— Czy rozmawiałeś z Hester o Alexie Robinsonie?

O kim? A tak, to stary chłopak Hester, który rzucił ją na odległość. Ulubiony chwyt palantów i kutasów.

— Trochę.

— Może warto rzucić nieco więcej światła na tę jaskinię. — Waldo sięga po słoik miodu i częściowo nalewa, częściowo nakłada sobie miodu dziwną drewnianą łyżeczką.

Wydaje się poważny, mówi tonem, jakim ludzie przekazują sobie złe wiadomości. Nie wiem czemu czuję, jak zaczyna mi się robić zimno, lodowato, chociaż w kuchni wisi ciężka para o zapachu cytryny.

— Możemy przejść do rzeczy? — pytam. — O co panu dokładnie chodzi?

Waldo drapie się w siwiejącą gęstwinę włosów.

— Alex i Hester byli razem przez długi czas. — Teraz opuścił dłoń i z przesadnym skupieniem miesza herbatę. Oprócz stukotu łyżeczki o kubek panuje cisza.

No to co?

Czy to...

— Nie słyszałem o tobie ani słowa, dopóki dziecko nie skończyło paru tygodni.

Jeszcze raz: no to co?

— Na początku Hester upierała się, że to dziecko Alexa. — Waldo miesza herbatę dalej, łyżeczka postukuje o kubek. — Nie wspominała o tobie, dopóki Calvinowi nie zaczęły rosnąć włosy.

Serce mi wali jak młotem.

— No właśnie. On ma moje włosy i...

Waldo nie mówi nic, z trudem odsuwa się od blatu, jakby nagle nabrał wagi. Wychodzi z pokoju, po kilku minutach wraca ze zdjęciem w dłoni. Podaje mi je.

— Przyznaję, że dziecko jest znacznie bardziej podobne do ciebie. Ale to jest ojciec Hester, Mike Pearson.

Spoglądam na zdjęcie. Matka Hester wciąż wyglądająca jak Madonna z początków kariery, roześmiana, z jednym głębokim dołeczkiem w policzku, z wyraźnym dołeczkiem na podbródku, głową o natapirowanych, brązowo-blond włosach opartą na brzuchu faceta bez koszulki. Gość ma kędzierzawe włosy niemal tak długie jak ona — i rude jak ja.

— Mam mówić wyraźnie? Musicie z Hester poważnie porozmawiać.

*

Kiedyś złapał mnie prąd wsteczny — takie samo uczucie, jakby woda płonęła i przylegała do skóry jak smoła. Wszystko rozplywa się w fali gorąca.

Jest bardzo do mnie podobny.

Włosy. Dołek. Podbródek.

Wszyscy tak mówią.

Wszyscy oprócz Nan. Ale co ona wie, pewnie i tak jest na haju.

*

Waldo zabrał herbatę i poszedł na górę, nucąc pod nosem, jakby właśnie nie posiekał mnie tą swoją maczetą.

Wsuwam pięści we włosy, pociągamy mocno, opadam na krzesło, potem podskakuję do góry i gapię się na małego. Wbijam w niego wzrok przez jedną chwilę, drugą, potem jeszcze dłużej. Obserwuję ten jego szybki uśmiezek przebiegający przez jego twarz, kiedy przesuwam palcem po jego policzku, przyglądam się, jak się kuli i nie budząc, łapie mnie mocno za kciuk — chociaż zwykle śpi niespokojnie i budzi się szybko — tak samo jak ja — nachyla głowę w kierunku mojej ręki, pewien, że jestem obok. Teraz do mnie dociera samo sedno: on jest mój, ja go stworzyłem, kocham go.

Cholera, cholera. Rzucam się na krzesło, opieram nogi na podpórcie do książek stojącej obok, nie obchodzi mnie, że przewracam jakąś dziwną figurkę dziewczyny o zbyt wielu ramionach.

Słysząc lekkie trzaśnięcie drzwi wejściowych, korytarzem nadchodzi Hester tym swoim kocim krokiem, który usłyszałem tylko dlatego, że nasłuchuję jej, a wszystkie zmysły mam wyostrzone.

Przegląda listy, nie unosi wzroku, kiedy do niej podchodzę.

— Musimy porozmawiać.

Hester podskakuje, unosi dłoń do serca, listy spadają na ziemię.

— O... o adopcji? Zmieniłeś zdanie?

— Zaczniemy od czegoś innego — proponuję tym ostrym jak smagnięcie bata tonem, który przejąłem od ojca. — Na przykład od zeszłej jesieni. Musisz mi co nieco pomóc.

Hester nerwowo siada na podnóżku i wbija we mnie wzrok wielkich sarnich oczu. Ani razu nie spojrzała na Cala.

— Alex Robinson. Czy nie złożył ci przypadkiem wizyty gdzieś na początku listopada?

„Zrób zdziwioną minę i zapytaj, o co mi chodzi”.

Ale ona nie jest zdziwiona i nie zadaje pytań.

— Calvin jest twój. Tak myślę.

— Tak myślisz.

Zaczyna mówić, zalewając mnie potokiem słów, w którym tonę: „Tak, Alex przyjechał do domu na Dzień Weterana, ale on jest ostrożny, tak, myślałam, że to jego, chciałam, żeby było jego — oczywiście — na początku, ale potem te włosy małego...”

Żołądek ściska mi się mocno i szybko, jakby ktoś walnął mnie ognistą pięścią.

— Czy my w ogóle poszliśmy do łóżka?

— Naprawdę się kochaliśmy — odpowiada Hester ledwie słyszalnie. — Nigdy bym cię nie okłamała w takiej sprawie. Możesz zapytać moją koleżankę Michaelę i Jude’a, i Bucka. Powiedziałam im o tym tuż po imprezie.

— To nie miało nic wspólnego z kochaniem się. To było spotkanie plemnika z jajeczkiem, do którego doszło albo nie. Powiedz mi prawdę.

Hester łapie poduszkę z rogu kanapy i przytula do siebie, trzęsąc się od tłumionego szlochu.

— Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że jest twoje. Myślałam... cały czas myślałam, że to dziecko Alexa. Przecież byliśmy razem, chciałam, żeby to on był ojcem. Ale kiedy mu o tym powiedziałam, on tylko odparł, że na pewno wszystko się rozwiąże. Rozwiąże! Jakby to było zadanie z geometrii. I że cokolwiek zrobię, będzie dobrze. Dobrze! Nic nie było dobrze, Tim. Wiesz, że chcieli mnie wyrzucić z Ellery? Waldo nasłał na nich swojego prawnika, powiedział im, że to nielegalne, ale przez całą resztę roku do samego końca chodziłam do szkoły ze świadomością, że mnie nie chcą. Alex nie musiał tego przechodzić. Ty też. Wystarczyło tylko raz zaciągnąć mnie do łóżka.

Czuję, jak moje dłonie zaciskają się na jej szyi, zaciskają coraz mocniej, czuję pod palcami jej puls, ścięgną i szyję. Boże. Rozluźniam palce, zaciskam pięści, uderzam się nimi w uda.

— No tak, świetnie, spieprzyłeś to po raz drugi.

Odsuwam się.

— Dokąd idziesz?

— W bezpieczne miejsce. I zabieram Cala.

— Nie musisz. — Podchodzi do mnie i chwyta za ramię.

— Cal idzie ze mną. Nie ufam ci.

Dziewczyna unosi brodę i lekko kiwa głową.

— Dobrze, rozumiem. Może na to zasługuję. Ale jestem jego matką.

— Miło mieć taką pewność. Odczep się ode mnie, Hester.

1 Chcesz postawić pieniądze tam, gdzie jest twoja miłość — fragment utworu grupy Grateful Dead *Loser*.

Rozdział czterdziesty

Alice

Tim leży na plecach w trawie przed swoim mieszkaniem, nad nim unosi się spiralą dym. Ma w palcach papierosa, patrzy w niebo.

Kiedy siadam obok niego na dolnym stopniu schodów, nawet nie obraca głowy. Papieros prawie się wypalił. Pod moim wzrokiem Tim wyjmuję kolejnego marlboro z paczki, odpala go od poprzedniego, pierwszy niedopałek wrzuca do styropianowego kubka, rozlega się syk.

— Mama ci powiedziała, co się dzieje? — pyta głosem obojętnym, pozbawionym emocji, jakby nie obchodziło go, jaki będzie koniec.

— Przed chwilą. Cal jest pod opieką George'a, grali w pajaka, wszystko dobrze. Gdzie byłeś?

Tim znów się zaciąga.

— Na mieście. Pieluchy się skończyły. I papierosy.

— Chyba nie powinieneś palić, jak nosisz plaster.

Tim pokazuje mi zawartość kubka: na spodzie, zanurzony w resztkach kawy, obok sześciu czy siedmiu niedopałków, pływa plaster nikotynowy.

Wydmuchuje kółko dymu.

Potem nagle przewraca się na brzuch, gasi papierosa i patrzy na mnie przenikliwie.

— Tyle drobiazgów, tyle drobnych szczegółów jest w nim podobnych do mnie. Cały czas to sobie powtarzam. Ty pewnie lepiej znasz się na tej całej genetyce niż ja.

Z łatwością przywołuję wiadomości, jakbym odczytywała je z tablicy w klasie.

— Jeśli chodzi o wygląd, to nie jest takie łatwe. Nie dziedzicysz go po prostu w genach dominujących i recesywnych. Na przykład dołeczek w podbródku...

Tim kiwa głową, nie odwracając ode mnie wzroku.

— Może tak, może nie. Rude włosy, to samo. Za każdą z tych cech odpowiada więcej niż jeden gen. Kto wie? Dołeczek w podbródku to już rzadka rzecz.

— Matka Hester go ma. Mówisz, że nie da się tego ustalić? A badanie krwi? — Podciąga rękaw koszuli, jakbym miała tu i teraz wyjąć strzykawkę i pobrać mu krew.

— Ono może tylko wykluczyć ojcostwo, ale nie potwierdzić.

Tim przyciska dłonie do oczu, kręci głową i opuszcza ręce. Ta jego twarz... pogubiona, przestraszona, sfrustrowana. Pomimo wczorajszego zarostu

i podkrążonych oczu przypomina mi minę George'a w chwilach, kiedy na przykład nie umiem mu naukowo wyjaśnić, dlaczego asteroida nie uderzy w ziemię. Nie mogę mu powiedzieć: wiemy na pewno, że żadna z nich nie zmierza prosto na nas.

Tim patrzy na mnie, jakby nie rozumiał moich słów albo nie chciał ich zrozumieć.

Moja komórka zaczyna wygrywać melodyjkę *Eye of the Tiger*.

Zaczynam ją ściszać, ale Tim gwałtownie wyciąga rękę, szybkim ruchem wyjmując mi telefon z dłoni i warczy do niego:

— Odwal się.

Rozlega się gniewny dźwięk.

— Powiedziałem, odwal się. Daj jej spokój. Tak, zmuszę cię.

Praktycznie szczerzy kły do telefonu; w jednej sekundzie moje zmartwienie przeradza się w gniew.

— Przestań!

— To on musi przestać.

Wyrywam mu telefon.

— Brad, daj spokój, nie musisz się tak zniżyć. Jeśli nie odpuścisz, zgłoszę cię na policję. Mam już dość. — Rozłączam się, blokuję jego numer, kciukiem przesuwając szybko po ekranie, potem rzucam telefon na stopień. — Sprawa załatwiona. Radzę sobie. Nie potrzebuję, żebyś... „to załatwił”, chcę dokończyć, ale Tim obronnym gestem unosi obie dłonie.

— Chwytam. Nie jestem tu potrzebny. Wspaniale, Alice. Dzięki. To musi być świetne uczucie, kiedy tak sobie ze wszystkim radzisz. I zawsze wiesz, jak sobie poradzić.

— Wiesz, że nie o to mi chodzi. Przestań się zachowywać, jakbyś tylko ty miał uczucia. Damy sobie z tym radę. Jakoś...

— Tylko że to nie twój problem, Alice, prawda? Nie chcę, żeby ktoś za mnie załatwił. Nie chcę być kolejnym punktem na twojej liście ludzi do pomocy i spraw do załatwienia. Odpuszczam. Jak mam to niby załatwić? Mój syn... może jest, może nie jest... cholera... może nie jest moim synem.

Drżącą ręką znów chwyta zapalniczkę, potrząsa nią i stara się zapalić, ale płomyk się nie pojawia. Wyjmuję mu ją z rąk, pstrykam, przysuwam do papierosa, który trzyma w ustach.

Pomagam mu sobie szkodzić.

A potem jeszcze dokładam.

— Palenie nie pomoże Calowi, niezależnie od tego, czy jesteś jego ojcem.

— Ups, dzięki. Zapomniałem, że jesteś o tyle dojrzała i mądrzejsza ode mnie. Zapewne nawet na tyle dojrzała, by się z tego cieszyć. Nie potrzebujesz czasu — palcami rysuje w powietrzu cudzysłów — prawda? Do widzenia, mały.

— Tim, to ty zachowujesz się jak dziecko.

Śmieje się.

— Jasne, rozumiem. Dzięki za ogień.

Wciąż się śmiejąc, idzie do jetty, wsiada i odjeżdża.

Widzę go przez chwilę, potem znika.

Tim

„Będę taki sam jak on”.

Jeśli Cal nie jest mój, jeśli nie mogę go zatrzymać, to zostanę kolejnym Masonem, który na ścianach nie ma zdjęć syna.

Serce znów mi przyśpiesza — może z napięcia, może od nikotyny, gdyż zanim przypomniałem sobie o zdjęciu plastra, wypaliłem kilka petów. Mimo to zapalam kolejnego, chociaż robi mi się niedobrze.

Złamałem w życiu wiele zasad, ale przez lata nie wpadło mi do głowy, żeby wejść do sanktuarium ojca pod jego nieobecność, nie mówiąc już o tym, żeby się tam rozgościć. Teraz rzucam się na miękkie krzesło, obracam się na nim, wystawiając nogi. W dzieciństwie nigdy tego nie zrobiłem.

Kolejny obrót krzesłem i zatrzymuję je twarzą do biurka, na którym leży stosik kartek w niebieskie linie oraz pojemnik na ołówki pełen jego brązowo-miedzianych długopisów z banku. Kalendarz z wpisanymi datami meczów unihokeja Nan. Jeden wpis w dniu przypadającym pod koniec miesiąca: „Ośrodek adopcyjny Crawley, 15.30. Zabrać kartę zdrowia i akt ur.”.

W pokoju słychać jedynie delikatne bulgotanie z akwarium, w którym jednak nie ma ryb. Ojciec lubi ślimaki wodne. Wspinają się teraz na ściany, wyglądają spomiędzy liści sałaty, które ojciec im podaje co kilka dni. Te zwierzaki nie wymagają wielkiej troski. Ani ciągłej uwagi. Ani nawet perspektywy.

Znów obracam krzesłem, tym razem moje nogi zahaczają o zdjęcie ślubne: mama z bufiastymi rękawami, ojciec w lśniącej jedwabnej kamizelce — potem o pudełko na ołówki, potem zdjęcie Nan w birecie z zakończenia gimnazjum — to wszystko zsuwa się z biurka i łąduje prościutko w koszu na śmieci. Idealny rzut godny Jase’a.

A nawet się nie starałem.

W oddali jakby trzasnęły drzwi, ale potem zapada cisza.

Małe srebrne wiaderko jest gotowe; mój wspólnik stoi gotowy do użytku obok butelki i wysokiej szklanki z kryształ. Nie muszę nawet wrzucać lodu. Chcemy dostać to, czego chcemy od razu, prawda? Nalewam sobie do szklanki. Na wysokość palca, dwóch, trzech. Trunek chłapie mi na rękę i kalendarz. Rękę wycieram w koszulę, ale kalendarz sam się obroni.

„Wciąż może się okazać, że jesteś jego ojcem”.

„Nie rób niczego, czego nie będziesz mógł zmienić”.

Ale Cala tu nie ma, jest bezpieczny u Garrettów. Nic nie powstrzymuje

mojej ręki przed sięgnięciem po szklanę, uniesieniem jej, obróceniem w dłoni. Wpatruję się w nią ze zmarszczonymi brwiami.

To nawyk ojca.

W szklance nie ma wystarczająco dużo szkockiej, zwłaszcza że trochę wylałem. Czuję zapach odkażacza i tego czerwonego płynu, którym mama smaruje skaleczenia.

Mimo to przechylam szklanę i rozchylam usta, kiedy drzwi gabinetu się otwierają.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Tim

— Och, Tim.

Nan zamyka za sobą drzwi delikatnie, niemal bezgłośnie, bez zwykłego kliknięcia klamką. Potem staje przy nich i patrzy na mnie zaspanym, mglistym wzrokiem, jak zwykle tuż po obudzeniu, kiedy czeka, aż świat zacznie nabierać sensu.

Nie mogę jej w tym pomóc.

— Zdrowie!

Staje obok mnie z palcami uniesionymi do ust.

— Och, Tim — mówi znów.

Nawet chyba nie jest zaskoczona.

Szklanka znów unosi się do moich ust. Teraz Nan kręci głową — wyraz jej twarzy, kąciki ust opuszczone, oczy spaniela. „Znów to samo”.

Odpowiadam na słowa, których nie musi wypowiadać — tak często padały w tym pokoju, że chyba wiszą w powietrzu wokół. Wtedy jednak dociera do mnie zapach otaczający moją siostrę — mgiełka pochodząca z palonej słodkiej trawy.

— Nie osądźaj, Nano. Sama nie jesteś w tej chwili wzorem moralności — przesadnie głośno wężę.

Nan unosi rękę i obwąchuje swój wyprasowany granatowy mundurek z Hodges; rude brwi podskakują jej na czole, jakby z szoku — szoku! — z powodu zapachu. Potem jakby zapada się w siebie, oczy spaniela jeszcze się powiększają, twarz zamienia się w błądy trójkąt.

— To nie to, co ty...

Wybucham śmiechem, który roznosi się szorstkim echem w cichym pomieszczeniu. Nan czerwienieje.

— Wiesz co? Nie mam zamiaru ci się tłumaczyć. Usiłujesz zatrzeć to, co się tu naprawdę dzieje. Co trzymasz w ręce?

— Coś, co stanowczo zbyt powoli wlewa mi się do ust.

Znów przechyliłam szklankę, wciąż za bardzo oddaloną od twarzy — trochę whisky wylewa mi się na spodnie. Ups.

Nan wyciąga rękę; przypuszczam, że chce mi zabrać szklankę, ale ona niezgrabnym ruchem kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Wiesz, podobał mi się ten chłopak, w którego się zamieniałeś. Byłam z ciebie dumna. W ciągu dwóch miesięcy okazałeś się lepszym ojcem niż nasz własny tata kiedykolwiek był dla nas.

— Ponieważ kocham swoje dziecko. To znaczy... tego małego.

Teraz Nan wyjmuję mi szklankę z ręki; pozwalam jej, palce mam bezwładne.

Siostra odkłada alkohol na biurko obok kalendarza, starannie pośrodku, jakby na egzaminie, odwraca się do mnie.

— On nas chyba kocha, tylko mu to nie wychodzi.

— Nan, to nie jest wyższa matematyka. Po prostu okazujesz komuś, że ci na nim zależy. Robisz wszystko, co trzeba, żeby to okazać.

Siostra zsuwa dłoń z mojego ramienia do mojej dłoni, pociąga mnie do kanapy, na której siadamy, trzymając się za ręce jak zagubione w lesie dzieci z bajki.

— Pijany tata na pewno bardzo okaże Calowi miłość.

I wtedy wszystko się ze mnie wylewa; opowiadam jej wszystko o Hester, Alexie Robinsonie, o Alice.

— Co z tymi Garrettami? — Nan śmieje się krótko, ostro, jakby ktoś ją uderzył w dołek. — Najpierw zabrali Samanthę, teraz ciebie.

— Oni umieją zawalczyć o kogoś, a tobie i mnie średnio to wychodzi.

— Ty pomagasz — odzywa się Nan nieoczekiwanie. — Dobrze ci to wychodzi.

— No jasne.

Siostra spogląda mi w oczy.

— Dzięki tobie mam taką średnią i dobre oceny z angielskiego. I to — wskazuje wycięte z gazety i oprawione w ramki swoje zdjęcie z uroczystości z okazji czwartego lipca.

Wieki czekałem, aż to powie, aż przyzna — a teraz wydaje się to nic nieznaczącym drobiazgiem, jak prezent, o którym marzyło się przed świętami, ale który rzuca się w kąt od razu po odpakowaniu.

Jednak Nan patrzy na mnie tym swoim spojrzeniem, miną spaniela, jakby upuściła mi coś u stóp, a ja powinienem powiedzieć, że to coś wyjątkowego, i jak doceniam to, co mi przyniosła.

Wzdycham.

— Pewnie, Nan. Spisywałaś wszystko z moich prac, a ja nie odzywałem się słowem, nawet kiedy zdawałem sobie z tego sprawę. Jestem bohaterem.

— Pomogłeś mi, Tim. Pozwalałeś mi ściągać i nikomu nie powiedziałeś.

— A ty nikomu nie doniosłaś, że mam więcej towaru niż apteka. Hura. Na następnej paradzie niepodległości stanę obok ciebie i poczekam na oklaski. Masonowie rządzą.

Znów sięgam po szklanę, a ona trzepie mnie po palcach jak stara belferka.

— Pomogłeś mi — powtarza.

— Nan, co to za pomoc? Przeze mnie uważałaś, że nic nie jesteś warta. Straciłaś Samanthę, o ile dobrze się domyślam. Pomoc nie powinna cię osłabiać i tyle kosztować. Pomogłem ci akurat tyle, ile stary Troy, który zaopatruje cię w te świństwa.

— Nie mów tak — siostra unosi głos.

Nie jestem pewien, kogo broni — i czy to w ogóle ważne. Zamykam oczy. Chętnie znów sięgnąłbym po whisky, ale szklanka stoi niemożliwie daleko. Głowa mnie boli.

— Pomogłeś mi.

— Przestań to powtarzać. No to co, do cholery. Może dostaniesz się do Columbii. Może. Będiesz tam szczęśliwa? Nie jestem taki pewny.

Po jej twarzy zaczynają spływać gęste łzy, rozlegają się głośnie szlochy. Nan przypomina Cala, jest zagubiona, smutna i całkowicie pozbawiona nadziei na pomoc. Puszczam jej dłoń i obejmuję, gładzę, gładzę, zataczam koła na jej plecach. Robię wszystko, może oprócz przytrzymania, żeby jej się odbiło; łzy płyną cały czas, drżenie nie ustaje, trwa i trwa, jakby Nan czekała na magiczne słowo lub gest, których jakoś tak bardzo nie umiem znaleźć.

— Mogłaś poprosić — mówię wreszcie. W żadnym wypadku jej nie uspokajam. — Mógłbym, nie wiem, pomóc ci coś napisać, podpowiedzieć, nie musiałabyś ściągać za moimi plecami.

Nan wzdycha.

— Wtedy? Nie podałybyś mi szklanki wody, gdybyśmy się znaleźli na pustyni. Nie ściągnęłybyś mnie z drogi pędzącego meteoru. Tim, byłeś całkowicie nieobecny, nie pamiętasz?

Ściskam jej dłoń, przysuwam nieco bliżej, siostra opiera mi głowę na ramieniu.

— Raczej nie tak, jak ty pamiętasz. O to mniej więcej chodzi.

Nan trzęsie się lekko, ale tym razem od cichutkiego śmiechu.

— Pewnie tak. Dobra robota.

Odsuwam się i patrzę na nią. Włosy ma rozczochrane z wyjątkiem tych, które przylepiły się do twarzy, mascara spłynęła z rzęs, zamieniając jej twarz w maskę przerażającego błazna, brakuje tylko tła z czarnego aksamitu. Wygląda okropnie. Moja głupia, szalona siostra. Bardzo ją kocham.

— Mała... Nan... ja... nie narobiłem tego wszystkiego po to, żeby jeszcze pociągnąć ciebie. Wiem, tak wyszło. Przepraszam. Tak bardzo przepraszam.

Zdejmuję koszulę, podaję Nan jeden rękaw, drugi biorę dla siebie.

— Raz, dwa, trzy, dmuchamy — mówi Nan głosem stłumionym przez materiał.

Mama zawsze tak mówiła.

Przez kilka minut smarkamy i oddychamy jednocześnie, chyba po raz pierwszy jak prawdziwe bliźnięta.

— Nie tylko ty przyczyniłaś się do tego, co narobiłam, więc nie musisz przypisywać sobie całej zasługi albo winy. Sama świetnie sobie poradziłam, ale... ale... Tim. Razem z Sam byliście moimi najbliższymi przyjaciółmi. Ty mnie

zostawiłeś za sobą, ona też, chociaż w inny sposób.

— Dzieciaku, nie mogłaś mnie uratować przed głupotami, które wyczyniałem, ale Samantha... mieszkała ledwie ulicę dalej. Jeden telefon. Wystarczyło ją przeprosić.

— Nawet nie wiesz, co się stało — mówi Nan z powracającym śladem dawnego przekonania o swojej nieomyślności.

Pieprzyć to.

— Chyba jednak wiem. — Przechyłam się na oparcie, znów siedzimy obok siebie. Nan trzyma głowę na moim ramieniu, a ja dłoń w jej włosach. Jakbyśmy pozowali do naprawdę cukierkowej wersji jednego ze zdjęć dla mamy. — Wytknęła ci twoje wyskoki, a ty ją rzuciłaś. Mało oryginalne. Sam to robiłem milion razy.

— Samantha nie jest doskonała... — mówi Nan i ziewa, jakby miała już dość tego tematu i nie chciała go ciągnąć.

— Mimo tego napisu na koszulce?

Drżący chichot.

— Nie cierpię cię.

— No — stwierdzam, wstając, przy czym opieram się dla równowagi na jej szczupłym ramieniu. Nan łapie mnie za nogę, żeby mnie powstrzymać, ale ja dosięgam szklanki, siostra puszcza, jej palce zawisają w powietrzu. — Też cię nie cierpię, mała.

I wylewam szkocką do akwarium ze ślimakami.

Nan podchodzi do mnie i oboje wpatrujemy się w przezroczystą wodę, na której unoszą się liście sałaty i mali czarni pasażerowie. Czuję ukłucie winy.

— Czy właśnie zlikwidowałaś całą drużynę ślimaków?

— Może tak. I to z zimną krwią. Ha.

Nan rzuca spojrzenie na biurko ojca.

— Jakoś... samo ci to przychodzi.

Unoszę pustą szklankę w jej kierunku.

— Bingo. Tak trzymaj, a niedługo znikną stąd także twoje zdjęcia.

Rozdział czterdziesty drugi

Tim

Nan przesuwa dłonią po plamach z whisky, marszczy nos.

— Fuj, śmierdzisz.

— I kto to mówi? A od ciebie to czym zalatuje? A skoro już mamy godzinę szczerości, to co ty wyprawiasz, Nan? Mów prawdę.

Zanim w ekspresie zaparzyła się kawa, my zaszyliśmy się w pokoju Nan i opróżniliśmy szufladę jej biurka na łóżko. Zapasy słodczy ma większe niż Doane's, zmore miejscowych dentystów.

— Spotykam się z Troyem, ale nie kupuję od niego dragów — odpowiada siostra pośpiesznie.

— Zatem zioło? Tabletki?

Nan kręci głową.

— Początkowo tabletki, bo mój zaufany dostawca poszedł na odwyk.

Śmieję się posłusznie, pewien, że żartuje. Nagrzeszyłem sporo, ale nigdy nie wciągałem w narkotyki swojej siostry. Jednak jedno spojrzenie na jej twarz uświadamia mi, że Nan mówi absolutnie poważnie.

Nie.

Ignorowałem ją, szydziłem z niej, zawiodłem ją, ale nigdy, nigdy, nigdy nie namawiałem do brania. Jestem tego pewny.

Czy może nie? Przecież tego bym nie zapomniał. Na pewno?

— Odszczekaj to — mówię, jakbym wszczynał z nią bójkę.

— To nie przez ciebie! To nie twoja wina, Tim. Sama się w to wpakowałam.

Nan zamyka oczy i znów je otwiera.

— Nan, na miłość boską, dlaczego? Albo nieważne, co? Oxy? Percocet? Vicodin? Proszę, Boże, tylko nie E.

— Nie, Tim, nie to. Ritalin. Pamiętasz, jak poszedłeś do lekarza, który zdiagnozował ADHD, bo nie mogłeś się skupić?

— Ten, co znalazł mi też depresję dwubiegunową, bo zawsze przychodziłem na wizyty po innych dragach? Pamiętam. Genialny umysł.

— Nie wypełniłeś recepty, ale ja to zrobiłam. Myślałam, że będę mogła się lepiej skoncentrować. I chyba trochę mi wyszło. Skoncentrowałam się na tym, żeby mieć odrobione lekcje, ale ich nie odrabiać.

— O rany, Nan.

— Potem tabletki się skończyły, więc poszłam do Troya.

— Ten drań...

— Nie chciał mi nic sprzedać ani dać za darmo, ani napisać za mnie pracy, chociaż jeden z jego braci dorabia sobie na boku w ten sposób. Ich rodzina jest

jeszcze gorsza od naszej. Ale... — Siostra spuszcza wzrok, a potem zerka na mnie i się rumieni — umówił się ze mną. Nie osądzaj. Ta Alice jest milion razy większą podrywaczką niż Troy.

— Przyznaję.

— Mój brat się zakochał.

— Z pewnością. I jak zawsze mam lepszy gust od ciebie.

Rozlega się walenie do drzwi.

Nan podskakuje nerwowo jak przerośnięta chihuahua.

Chyba naprawdę muszę skończyć z tymi psimi skojarzeniami.

— To na pewno twoja dziewczyna — mówi Nan, trącając mnie w ramię.

— Nan... — Spoglądam na swoje dżinsy zalane whisky, czarną koszulkę śmierdzącą dymem i pogryzione paznokcie. — Kiedy się z nią ostatnio widziałem, zachowałem się jak totalny osioł.

Walenie w drzwi się powtarza.

— Otwórz, zanim przyniesie taran. — Nan otwiera drzwi pokoju i wypycha mnie na korytarz. Kiedy jednak otwieram z rozmachem drzwi wejściowe, ozdobione wieńcem z uśmiechniętymi dyniami, widzę kogoś zupełnie innego niż Alice.

To Samantha, zarumieniona, z potarganymi włosami, w mundurku z Hodges i pogniecionej plisowanej spódnicy, w przekrzywionym berecie na jasnych włosach.

— Wszyscy mówili, że na pewno tu nie przyjdiesz, ale... Och, Tim, Alice mi powiedziała. Będzie dobrze. Chwała Bogu, że nic ci nie jest.

Obejmuje mnie ramionami za szyję, zapewne chce uściskać, ale raczej dławi.

Potem robi krok do tyłu, trzymając za ręce tuż nad łokciami i mierzy mnie wzrokiem.

— Wszystko dobrze, prawda? Dzisiaj jakby wszyscy poszaleli. Moja matka panikuje...

— Z mojego powodu?

— Nie, tak jak mówiłeś, poradziłam Alice, żeby na nią naskoczyła. Ale Alice panikuje z twojego powodu...

— Co z nią?

— Naprawdę zaczęła się stresować, ale już się uspokoiła. Szuka cię. Wszyscy cię szukamy. Jase, Alice, ja, Andy i kompania jej znajomych. Mama siedzi w domu z Calem i telefonem. George rysuje ogłoszenia z twoim portretem. Boi się. Ale wszystko już dobrze, Boże, Tim.

— Wspaniale. George wie?

— Nie możesz zniknąć tak, żeby nikt tego nie zauważył.

— Ani ty — odzywa się cichy głos za moimi plecami. Samantha puszcza mnie, odsuwa się na bok i spogląda nad moim ramieniem w kierunku mojej siostry

stojącej niepewnie na schodach.

— Nan — mówi Samantha z lekką obawą, słusznie, gdyż Nan przypomina złego clowna Pogo.

Nan wyciąga rękę bez słowa, macha nią lekko, jakby odpowiadała na powitanie Samantha w Hodges, wiele tygodni temu.

Z telefonu Samantha rozlega się melodia *Life on Mars*.

— Rany, mama. Nieważne, co się dzieje, jej osobisty dramat musi być zawsze najważniejszy.

Nan parska lekko, ale nie obraźliwie.

— Pamiętasz, co mówiła twoja siostra: „Grace Reed: panna młoda na każdym weselu i zmarła na każdej stypie”.

— Kompletnie zapomniałam — przyznaje Sam.

— A ja pamiętam wiele rzeczy — mówi Nan.

— Czy możecie się we dwie na przykład uściskać? Ja muszę lecieć do Alice.

Alice

Widzę go w połowie drogi na plażę, idzie szybko, ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach. Zjeżdżam na bok i go wołam.

— Wsiadaj!

Na mój widok twarz Tima rozjaśnia uśmiech, który jednak znika równie szybko, jak się pojawił. Chłopak podciąga kołnierz bluzy i krzyżuje ramiona.

— Wszystko dobrze? — Wysiadam z samochodu. Tim odsuwa się dalej, ale łapię go za rękaw. — Tim, mów do mnie. To ja. Wszystko dobrze?

— Nie. Przepraszam, Alice, zachowałem się jak dupek.

— Nie, to ja nie powinnam była wchodzić w te wszystkie wyjaśnienia medyczne i genetyczne. — Obejmuję go i przytulam twarz do piersi. Czuję na policzku jego drżący oddech, niemal szloch. Tim się pochyla, a ja unoszę twarz, dotykam ustami jego ciepłych ust, które otwierają się na powitanie i smakują piwem korzennym. Tim podsuwa mi dłoń pod tył głowy, a drugą obejmuje mnie w talii.

Dopiero kiedy się od niego odsuwam, żeby zaczerpnąć oddechu, wyczuwam ten dymny, przypominający aptekę zapach...

Przełykam z trudem.

Tim rzuca mi smutny uśmiech.

— Tak, dobrze podejrzasz.

Przerabiam w głowie jego słowa, na razie dławiąc w gardle jakikolwiek komentarz.

— Zastosowałem tylko zewnętrznie. Ale wiesz co? To chyba nie jest najlepszy zapach rozpoznawczy, jaki chciałbym mieć. Potrzebuję czegoś bardziej piżmowego, z lekką nutą skóry i mydła.

— Nie piłeś.

— Zbliżyłem się do tego znacznie bardziej, niż powinienem. Ale nie.

Tim

Przez minutę lub dwie waham się przed drzwiami do kościelnej piwnicy. Nie tylko śmierdzą whisky, ale bez wątpienia ogólnie wyglądam bardzo nieciekawie. Stoję tak, przypominając sobie moje pierwsze spotkania, na samym początku jeszcze z panem Garrettem, kiedy przystawałem na parkingu, wygładzałem koszulę i przeczesywałem włosy i ogólnie się ogarniałem, jak to robiła mama, jakbym naprawdę szedł do kościoła. Jakbym musiał wyglądać naprawdę porządnie, gdyż w sobie miałem jeden wielki chaos. Po kilku takich seansach pan Garrett się roześmiał, wyjął mi grzebień z rąk i powiedział:

— Nie ma tu urzędowego fotografa, Tim. Do AA przychodzisz dokładnie w takim stanie, w jakim jesteś.

Tak, tu się nie osądza. Tak jak powiedziałem mamie: dlatego właśnie potrzebuję obcych.

Rozdział czterdziesty trzeci

Tim

Kiedy docieram do domu, u Garrettów palą się wszystkie światła; widzę panią Garrett, chodzącą przed oknem kuchennym z dzieckiem na ręce. To Cal. Niedaleko domu stoi zaparkowany krzywo motocykl Joela. Wysoka sylwetka Jase'a z galonem mleka na ramionach przesuwa się po pokoju. Duff, Harry i George siedzą na schodach z lodami w wafelkach.

I Alice. Ze skrzyżowanymi nogami siedzi przed moimi drzwiami, czeka, z małym, czerwono-niebieskim pudełkiem w rękach, podrzuca je w powietrze i łapie.

Przechwytuje moje spojrzenie, wstaje i schodzi ze stopni.

Rozkładam ramiona gestem „oto jestem”, ona podchodzi bliżej, bierze mnie za rękę i owija palce wokół pudełka. Domowy zestaw do badania genetycznego E-Z.

— Nie musisz tego robić — mówi. — Ale to sposób, żeby się upewnić. Jeśli się pośpieszysz, trwa tylko dwa dni.

— Na naszą kolejną rocznicę możesz mi kupić krawat — odpowiadam, siadając ciężko na stopniach i przewracając pudełko do góry nogami, żeby przeczytać instrukcję.

*

Następnego ranka wysyłam priorytetem za potwierdzeniem odbioru próbki komórek, które pobrałem z wnętrza swojego policzka, potem z policzka Cala. Wszystkie możliwe opcje oprócz konwoju pod bronią. Po oddaniu paczuszki urzędnikowi na poczcie muszę się całą siłą woli powstrzymać, by nie wyrwać mu jej z powrotem.

Niech szlag trafi E-Z Gene. To najcięższy egzamin w moim życiu.

Alice

— A z pozytywów — mówi Tim następnego dnia w sklepie Garrettów, unosząc w moją stronę kubek z kawą, podczas gdy ja wykańczam swoje wegańskie burrito. Chwyta mnie za rękę, kiedy chcę zlizać ostatnie krople guacamole z palca i sam to robi, spoglądając na mnie spod rzęs. — Chciałaś czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. Mamy czterdzieści osiem godzin. Przynajmniej.

— Słuchaj, jeśli chodzi o ten czas... — mówię — nigdy nie myślałam... nigdy... czegoś w rodzaju: „Niech on sobie już idzie” albo „Żegnaj, dziecińko”, albo czegoś w tym rodzaju.

— Zapomnij, że to powiedziałem. I tak miałaś rację. Do diabła z uzalaniem

się nad sobą. Zachowywałem się jak...

— Tim, niezależnie od tego, co się stanie, to... to się stanie. Poradzę sobie. Poradzimy sobie. Dopóki znów nie uciekniesz wykąpać się w whisky.

— Umowa stoi. Dopóki nie pójdziesz mierzyć się z Grace sam na sam. Kiedy zapytałem Sam, czy zostanie twoim asem w rękawie, nie podejrzewałem, że pójdziesz tam beze mnie.

— Musiałam sama się z nią rozmówić. Ty odwracałbyś naszą uwagę, ona chyba ma do ciebie słabość.

— Boże, skąd. Po prostu rozpoznaje we mnie ten sam amoralny typ. Pokrewną duszę.

„Jesteś podobna do mnie” — Boże. Żaden prysznic tego ze mnie nie zmyje.

*

— Alice, musimy porozmawiać o twoich możliwościach — odzywa się tata.

Unoszę wzrok z podłogi, na której znów pakuję rzeczy — tata zostanie niedługo wypisany z rehabilitacji.

Mówi poważnie. Wiem, o co chodzi. Mama weszła do sklepu w czasie obiadu, przyłapała mnie na całowaniu się z Timem, po raz kolejny. Nie odezwała się ani słowem, zaproponowała tylko, że zajmie się Calem, gdyż szła na plac zabaw z Patsy i George'em. Tata jednak na pewno już o tym usłyszał.

— Słuchaj, wiem, co mnie czeka, nie jestem aż tak ślepa. Tim ma przed sobą jeszcze długą drogę, musi dorosnąć, jest chodzącym znakiem ostrzegawczym dla dziewczyn, wiem, a jeśli znów zacznie pić lub brać, to kończę natychmiast. Nie mam zamiaru w to wchodzić. W każdym razie nie z nim. Oczywiście postaram się mu pomóc, ponieważ... ponieważ jest tego wart, ale nie mam zamiaru wprowadzać się do mieszkania nad garażem z dzieckiem i pijanym nastoletnim ojcem, jeśli tego się obawiasz. Tato, naprawdę umiem o sobie zadbać, przede wszystkim i najważniejsze — wiecie o tym...

— Alice, bardzo mnie to cieszy, ale nie o tym chciałem porozmawiać. To później.

— Och.

Co jeszcze zrobiłam?

— Jeśli chodzi o...

Tata unosi dłoń.

— O co, Alice? O sklep? Twoje lekcje? Opiekę nad braćmi i siostrami? To, że zajęłaś się domem? Walczyłaś z Grace Reed? Wszystkie bitwy, które stoczyłaś, i to na tyłu frontach? I to bez żadnego życia prywatnego plus to wszystko, co się dzieje z...

— Trzeźwiejącym alkoholikiem wyrzuconym z liceum i nastoletnim ojcem, w którym jestem zakochana?

Tata się uśmiecha.

— Nazywajmy go Timem. Tak, oprócz tego i wszystkiego, co z tego wyniknie lub nie... To nie są twoje bitwy.

Otwieram usta, żeby się sprzeciwić, ale tata ucisza mnie spojrzeniem.

— Żadna z nich — powtarza łagodnie. — Bez wyjątku.

— Ale to nonsens, tato. Jestem... jestem jedną z nas, to moje życie. Kiedy coś się dzieje z naszą rodziną...

— Al, oczywiście. Ale jesteś nie tylko jedną z nas. Czas, żebyś wróciła do bycia Alice, a nie obrończynią naszej rodziny. Możesz oddać odpowiedzialność w ręce moje i mamy.

Balansuję na linii gdzieś pomiędzy ulgą tak wielką, że zaczynam ze świstem wypuszczać powietrze, a całkowitym zagubieniem. To była moja bitwa. To moje zadanie. Spoglądając w zielone oczy taty, spokojne jak zawsze, kręcę głową.

— Tato, muszę to robić. Powinnam to robić.

— Nie, Alice, nie musisz. Nie ty postanowiłaś mieć dużą rodzinę, tylko mama i ja. Ale nie żyjemy w osiemnastym wieku, nie mamy dzieci po to, żeby pracowały na roli albo w sklepie.

— Nie ty pchałaś się pod samochód...

— ...i to nie ty go prowadziłaś. To... — Jedną dłonią przesuwam po twarzy, żebrach, swoim tułowiu. — To tylko niepowodzenie, niedogodność. Ale tylko czasowe. Jestem sportowcem, rozumiem, co to znaczy czas na dojście do zdrowia, wiem, kiedy od siebie wymagać, a kiedy odpuścić. Możesz się wycofać.

W oczach czuję teraz łzy i gorące pieczenie. Przełykam i mrugam.

— Wiem. To znaczy wiem, że nie poświęciłam swojego życia na zawsze, tylko do czasu, kiedy nasze życie wróci do równowagi.

— A kiedy to będzie, kochanie? Kiedy zupełnie wyzdrowieję? Kiedy urodzi się nowe dziecko? Kiedy Jase pójdzie na studia? Kiedy George i Patsy pójną na studia? Kiedy najmłodsze dziecko zacznie robić projekt Układu Słonecznego? Nigdy nie będzie równowagi. Wciąż musimy się dostosowywać. I dobrze, inaczej bym nie chciał.

— Ale, tato...

Tata kładzie mi dłoń na ramieniu i kręci głową.

— A przy okazji równowagi, proszę, podaj mi je. — Wskazuje na kule oparte o wózek z całą resztą przyrządów rehabilitacyjnych: balkonikiem, kijkiem do sięgania po przedmioty, laską na kółkach. Tata wsuwa sobie kulę pod pachę, staje na nogi, bierze drugą, robi kilka kroków, obraca się, bokiem idzie do łóżka, siada, spogląda na mnie, unosząc brew. Jest bielszy od moich szpitalnych drewniaków i spocony bardziej niż Jase po treningu. I idzie.

— Tato. — To słowo oznacza wszystko.

— Nic to — odpowiada ciężko zdyszany. — Zanim nasze nowe dziecko

zacznie chodzić, będę biegał sprint. A może nawet wcześniej. Podaj mi ten kij do sięgania, o ile Harry znów go nie zepsuł.

Podaję mu przyrząd, nie zwracając uwagi na to, że z trudem łapie powietrze. Tata zawiesza go za rączkę szuflady stolika przy łóżku. Pociąga. Kijek z łomotem spada na podłogę. Podaję mu go z powrotem. Tym razem tata powoli wysuwa szufladę, potem, zdyszany, unosi rękę, przez chwilę z trudem łapiąc oddech. Przypomina mi się Tim biegnący po plaży pod koniec lata.

— Podaj mi to, co jest na wierzchu, dobrze?

Na wierzchu leżą dwie paczki owinięte w papier kolorowy ozdobiony przez George'a. Na jednym rozpoznaję rodzinę Garrettów w postaci ludzików z kresek, którym towarzyszą rozmaite stworzenia. Niektórych z nich, jak centaury i rekina, właściwie nie mamy. — Najpierw to małe.

Mała paczka też jest ozdobiona rysunkami: wiaderko, miotła...

Unoszę wzrok.

— Nigdy nie uważałam się za wykorzystywanego Kopciuszka, tato. Naprawdę wszystko to robiłam z radością...

— Oraz poczuciem obowiązku, niechęcią, niecierpliwością i miłością oraz wszelkimi innymi uczuciami, Alice. Wiem. Otwórz tę małą paczkę.

Szelest papieru — w dłoni trzymam zawartość owiniętą chusteczką higieniczną: tekturowe serce ze złotą gwiazdą w środku, zawieszona na ciemnożółtym druciku do czyszczenia butelek. Tata wyciąga rękę i je unosi.

— Dobra robota George'a. Pochyl się.

— To...

Tata przypina mi order agrafką do koszulki, tylko raz mnie nią kłuje.

— Twoje purpurowe serce, Alice. Doskonale sobie poradziłaś. A teraz koniec.

Po twarzy spływają mi gorące łzy, strumienie łez, skapują mi z podbródka. Kładę ręce na tekturowym sercu, potem obejmuję tatę i przytulam mokry policzek do jego nieogolonej, spoconej twarzy.

— Prawie boję się zajrzeć do drugiego pudełka.

Dużą dłonią tata gładzi mnie po karku.

— Ach, to? To czekoladki Godiva, najbardziej podobne do twoich pralinek, jakie udało nam się znaleźć. A teraz idź, połóż się i zjedz je, podczas gdy reszta jest na meczu i w domu zrobiło się cicho. To najbliższy równowagi stan, jaki możesz mieć.

Tim

Przez kolejne dwa dni — czterdzieści osiem godzin — Cal próbuje, jak to jest być Garrettem.

Pan Garrett wraca ze szpitala Maplewood, ale codziennie będzie jeździł na

ćwiczenia do ośrodka Live Oaks, najlepszego centrum rehabilitacji w okolicy, jak twierdzi królowa wyszukiwarek, Alice.

— A czy to przypadkiem nie jest też najdroższe centrum? — zapytał Joel, kiedy razem z Jase'em, Samantha, Alice i ze mną wbijał ostatnie gwoździe w pośpiesznie postawioną rampę przy schodach wejściowych do domu Garrettów. Paskudnie ciężka robota, ale oprócz mnie wszyscy się nagle uparli, że chcą to zrobić własnymi siłami, a nie wołać fachowca. Chociaż Joel wpadł stopą w dziurę w jednej z desek.

— W tym wypadku tata nie płaci — odpowiada Alice z uśmiechem godnym Kota z Cheshire¹.

— Jest warte każdego centa — przytakuje Sam, ssąc kciuk, w który wciąż uderzała się młotkiem, dopóki Jase go jej nie zabrał. — I każdego funta ciała.

*

Zatem po południu przywozimy do domu pana Garretta. Wcześniej starannie zagrabilimy wszystkie liście na podwórku przed domem, a wszystkie młodsze dzieci zaczęły się bawić w usypanych stosach i w ten sposób nasza ciężka praca poszła w diabły. Joel zapala węgle w metalowym koszu. Pan Garrett gwizdem przywołuje dzieci i wysyła je na poszukiwanie chrustu. Dzieciaki zostawiają liście i zaczynają rzucać gałązki na węgle, sypiąc ich tyle, że dławią ogień i trzeba go rozpalać na nowo.

— Chcesz być strażnikiem ognia, Duff?! — woła pan Garrett. — Weź te długie zapalaki, świetlika.

— On zawsze zapala ogień, a ja nigdy! — jęczy Harry.

— Masz siedem lat, przed tobą lata zabawy w pirotechnika. — Jase klepie go po plecach i odsuwa dalej od skaczących płomieni.

Pani Garrett rozkłada koc na trawie, Cal kopie powietrze i się uśmiecha, a my pieczemy parówki i burgery. Patsy z żelazną determinacją wdrapuje mi się na kolana i tak się na nich rozsiada, jakby zamierzała zapuścić korzenie. Za każdym moim spojrzeniem w stronę Cala kładzie mi dłonie na policzkach i odwraca głowę. Potem zakładam na siebie uprząż — Cal może się z niej przyglądać otoczeniu — a reszta bawi się w berka z zatrzymywaniem. Kiedyś uważałbym wszystkie te gry za totalną stratę czasu, ale jakoś przestałem tak myśleć, jednak Patsy nie cierpi dziecka, które niosę przed sobą.

— Nie! — wrzeszczy na mnie, oskarżycielsko wskazując palcem. — Nie, nie, nie, Hon. Dzidzia nie! — syczy na Cala. Serce ściska mi się na moment, ale oddycham głęboko i się uspokajam. Jeszcze trzydzieści sześć godzin. Nie muszę o tym myśleć. Jeszcze nie.

Jeśli życie jest sprawiedliwe, to Cal to dostanie. Będzie miał coś podobnego.

— Nic sobie nie smażyysz — zauważa Alice, siadając tak blisko, że nasze uda

się stykają i wskazując opakowania pianek, krakersów i czekoladek Hershey's, które sprezentowała nam z tej okazji Sam.

— Idź. Pa, pa. Pa, pa, ty — mówi jej Patsy, nie chcąc kolejnej konkurentki do moich uczuć. — Mój.

— Nie — Alice wbija w nią swoje najgroźniejsze spojrzenie. — Mój.

Patsy robi niepewną minę i wsadza dłoń do buzi.

— Nie chcesz pianki? — powtarza Alice, odgryzając kawałek i żując.

— Teraz jest ten moment, kiedy powinienem ci powiedzieć, że wystarczy mi twoja słodycz?

— Teraz powinnam ci powiedzieć, że ten moment w ogóle nie istnieje.

Rozglądam się, sprawdzając, czy ktoś nie patrzy na nas potępiająco. Nikt. Właściwie nie zwracają na nas uwagi, oprócz Patsy, która równie gniewne spojrzenia rzuca Alice i Calowi.

Zatem przysuwam Alice do siebie, całuję w kącik ust, potem w brwi, potem wracam do jej ust, przytulam ją mocno, aż ściśnięty między nami Cal wydaje z siebie wściekły (i pozbawiony tchu) pisk. Odsuwam się, spoglądam nad ramieniem Alice, przechwytyjąc spojrzenie pana Garretta i czuję, jak krew napływa mi do twarzy. Pani G. to jedno, ale on? Jednak on tylko rzuca mi przelotny uśmiech, po czym odwraca się z powrotem do ogniska.

— Chyba nikt nie będzie do mnie strzelał — stwierdzam.

Alice unosi oczy do nieba.

— Tata nie ma chyba zamiaru stawiać przybudówki do domu, żebyśmy zamieszkali razem, ale nie, nie zastrzeli cię.

— No dobrze, to nie problem. Mamy luksusowe mieszkanie. A na lato przeniesiemy się do namiotu.

*

Tej nocy, naszej drugiej spędzanej razem w mieszkaniu, niebo na zewnątrz otwiera się i wylewa z siebie potoki deszczu — prawie jak huragan Nor'easter. Okna wyglądają jak przesłonięte szarymi firanami. Rozlega się grzmot. Alice trzyma Cala na ramieniu, podczas gdy ja zamykam okna.

— Jak się wydaje, muszę tu zostać.

Do domu ma dwadzieścia kroków, ale zgadzam się z nią.

— Dość porządnie pada, faktycznie.

Alice siada na kanapie, zrzuca buty, składa nogi pod spódniczką i opiera na nich Cala.

Deszcz szumi jednostajnie w tle, czasami widać nagły rozbłysk i słychać niski grzmot.

— Naprawdę nigdy nie umawiałeś się na randki, Tim? — pyta Alice, ruszając palcami u stóp. Na jednym ma mały srebrny pierścionek z turkusowym

oczkiem. Przesuwam po nim swoją stopą.

— Nie. To by wymagało zbyt dużego skupienia.

Kręci głową i spogląda na mnie. Ma w ustach orzeszka w ostrej posypce, jeden policzek wypchany jak u chomika, który właśnie coś zjadł.

— Hm... — Wyjmuje orzeszek i delikatnie trzyma go w dwóch palcach. — Jak możesz to jeść? Mnie już całe usta pałą.

Przysuwam się bliżej i kolanem trącam ją w udo.

— Lubię zabawy z ogniem.

Alice unosi oczy do sufitu, ale potem przybliży czoło do mojego czoła. Pachnie ciepłem i cynamonem.

— Dzisiaj lecą wszystkie trzy części *Martwego zła*. Masz ochotę zostać i obejrzeć?

Jej twarz się rozjaśnia.

— Uwielbiam *Martwe zło*! Masz popcorn?

Nie, gdyż mam problemy ze swobodnym pójściem do sklepu. Alice biegnie w deszczu do Garrettów i wraca z kilkoma opakowaniami popcornu schowanymi pod żółtą peleryną.

Wchodząc głośno, trzaska drzwiami i budzi dziecko. Mały zaczyna marudzić, Alice przeprosza, ale nic się nie stało. Daję mu butelkę, podczas gdy Alice wkłada popcorn do mikrofal.

W końcu Cal przysypia, ułożony w zagięciu kanapy obok mnie, Alice kładzie mi głowę na kolanach i układa się z drugiej strony. Jeszcze nie tak dawno temu nigdy nie spędzałbym czasu w ten sposób. Przebywając z dziewczyną, zwłaszcza z taką, która mi się podobała, nigdy nie ograniczylibym się do wplatania palców w jej włosy. Nie trzymałbym jednej ręki na dziecku, żeby nie stoczyło się przez sen z kanapy. Nie czułbym się zadowolony, po prostu słuchając deszczu i siedząc razem. Wtedy nawet nie wiedziałem, co to znaczy zadowolenie.

1 Uśmiech godny Kota z Cheshire — nieprzerwany uśmiech jest charakterystyczną cechą tej postaci z *Alicji w Krainie Czarów*

Rozdział czterdziesty czwarty

Tim

Następnego dnia większość Garrettów idzie do szkoły; państwo Garrettowie jadą do Live Oaks na pierwszą sesję rehabilitacji, zabierając ze sobą George'a i Patsy. Cal i ja już zaliczyliśmy poranne rozwożenie gazet z Jase'em. Alice ma zajęcia przez cały dzień, ale przychodzi się pożegnać. Zostaje tak długo, że niemal się spóźnia i musi się pośpieszyć, biega po mieszkaniu, jednocześnie popijając kawę, wkładając sweter tył na przód i przyczesując mocno rozwichrzone włosy. Cal śmieje się z głębi brzucha, siedząc w swoim siedzisku dla niemowląt, a ona rzuca we mnie kaczka, podczas gdy ja podnoszę ciężarki Joela.

Wszystko jest dobrze, dopóki nie robi się cicho. Zbyt cicho.

Wtedy idzie się na spotkanie. Ja też wychodzę, potem idę na kawę z Jakiem i na spacer plażą. Jednak nad morzem jest zimno i wietrznie, niebo ciemnoszare, w powietrzu wisi zapowiedź zimy, chociaż to dopiero październik. Gdzie Cal spędzi Boże Narodzenie?

Do świąt mam sobie ułożyć moje cholerne życie, według linii, którą ojciec narysował mi na piasku. W pierwszej chwili widziałem przed sobą przepaść bez dna. A przecież to było nic w porównaniu z tym, co się dzieje teraz — niedługo „zaledwie kilkoma kliknięciami” mam otworzyć wyniki badania na ojcostwo.

Robię listę spraw.

1. Egzaminy. W zeszły weekend pisałem test, wcześniej nie podchodziłem do testów próbnych w Internecie, ale chyba prawdziwy egzamin to najlepsza rozgrzewka. Mam wrażenie, że wciąż nie mam szans w matematyce, chociaż języki, przyrodę i nauki społeczne wykułem na blachę.

2. Muszę sprawdzić miejscowe szkoły pomaturalne, rodzaje kursów i opiekę dla dzieci. Może kiedy Cal podrośnie, uda mi się przenieść ze szkoły dwuletniej do czteroletniej. Jeśli wszystko będzie szło tak jak teraz.

3. Porozmawiać z Benem Christopherem. To przeciwnik Grace Reed w wyborach do senatu stanowego, dobry człowiek. Faworyt w wyborach listopadowych, odkąd ona się wycofała. W ogóle podobała mi się polityka, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że współpracując z Grace, musiałbym zaprzedać duszę.

Dobra, pieprzyć ich wszystkich i całą resztę spraw do załatwienia. Jest zbyt cicho, tylko w głowie nie chce mi się uspokoić.

„Nawet jeśli nie jest mój, to może mógłbym go adoptować?”

Jasne, na papierze jestem fantastycznym kandydatem.

Może moi rodzice...

Pewnie, wymarzona przyszłość dla Cala: bycie nikim z ojcem znikąd. Niemożliwe.

Może Garrettowie..

Wtedy miałbym go na co dzień, a jednocześnie siatkę ochronną, żebym niczego nie zepsuł.

Jakby Garrettowie potrzebowali dziesiątego dziecka.

*

W Hodges jest przerwa obiadowa, może Nan włączyła telefon.

— Nan, wpadniesz? Nie chcę być sam.

— Po południu mam tylko wuef, mogę odpuścić.

— Prawdziwa wagarowiczka. Dzięki.

— Robię, co mogę. — Głos bliźniaczki rozlega się w moim uchu tak głośno, jakby siostra już była w pokoju. — Poza tym chcę, żebyś na coś spojrział.

„Coś” okazuje się zeszlórocznym albumem pamiątkowym z Ellery, który Nan jakimś cudem wygrzebała w moim pokoju. Alex Robinson zapewne znał kogoś z personelu i pogadał z fotografem, gdyż pojawia się wszędzie, na ogół jako mała biała twarz w tłumie innych uczniów z dobrych domów. W najlepszym zbliżeniu siedzi w biurze gazetki szkolnej, twarz ma jak wyrzeźbioną, niezdecydowane spojrzenie, a Hester stoi obok jak sekretarka, chłopiec na posyłki czy ktoś w tym stylu.

— No nie wiem — odzywa się Nan powoli, trzymając zdjęcie przy twarzy Cala. — Tim, on jest jeszcze tak mały, ma takie miękkie rysy. Mógłby być dzieckiem każdego. Twoim, Alexa, Leonarda di Caprio...

— Chyba możemy wykluczyć Muhammada Alego1...

Cal nagle wyciąga ręce, jak mu się to zdarza, to zaciska, to rozluźnia pięści, ale się nie budzi.

— Mogę go potrzymać? — pyta Nan szeptem.

Kładzie album i niezgrabnie przesuwa sobie dziecko na kolana. Przez chwilę trzymam nad nim dłoń, sprawdzając, czy jest stabilny, po czym ją opuszczam. Nie będę jednym z tych tatusiów, co muszą kontrolować dokładnie wszystko.

Jeśli jestem tatusiem.

— Wiesz, tata nie pomoże z Calem. Nie i koniec. Chyba że zgodzisz się na adopcję. Mama... może. Powiedziała, że chyba później wpadnie. Ale, Tim... serce mnie boli za każdym razem, kiedy pomyślę, ile wysiłku będzie cię kosztowało zatrzymanie tego dziecka. Wiem, że ja bym nie potrafiła tego zrobić. Nawet bym nie chciała.

— Czułabyś się inaczej, gdyby był twój — mówię i nagle żołądek ścisną mi się boleśnie. Kto wie, czy jest mój.

— Heej! Hej! — odzywa się czyjś głos.

Mama nadal nie uznaje pukania.

— Mogę wejść? Wszyscy ubrani?

Dziwne pytanie, skoro siedzę w pokoju ze swoją siostrą, ale próba zrozumienia mamy przypomina wrózenie przeszłości z dna puszki piwa.

— Drzwi są otwarte! — wołam. Mama wpada z kartonem pełnym różności i kilkoma torbami ze sklepu z artykułami świątecznymi. Pomocy.

— Daj, wezmę to. — Biorę od niej pudło. Zawiera tony rzeczy dla dzieci: książeczki, pluszaki i krzeselko z gumowymi paskami. Jest różowe.

— Znalazłam tylko fotelik Nan — mówi mama. — Przypominam sobie teraz, tobie udało się swój zniszczyć. Ale znalazłam też trochę starych rzeczy, wszystko wyprane, oczywiście oprócz książeczek. — Sięga do pudła i wyjmuję podwieszaną huśtawkę czy siedzisko dla małego. Rozgląda się. — Trzeba ją powiesić w drzwiach. — Podchodzi do drzwi do sypialni, wyciąga rękę, rozpiną klamrę, próbuje ją przymocować do framugi. Jednak nie sięga, jest za niska, więc podchodzę i wyjmuję jej to z rąk. — Trzeba owinąć pas wokół listwy i bardzo dobrze zabezpieczyć — poucza mama. Po kilku minutach szarpaniny udaje mi się zawiesić huśtawkę. Mama natychmiast łapie Cala i wsadza go do środka. Mały robi oszołomioną minę i od razu łupie głową w stolik przymocowany z przodu.

— Mamo, chyba jest jeszcze za mały na coś takiego. Poza tym wiesz, może niedługo stąd odejdzie.

Jakby dzieciak był gościem hotelu z nieokreśloną datą wymeldowania.

— Nie, już bardzo ładnie trzyma główkę, prawda? — mówi mama piskliwie. Cal marszczy czoło, jakby usiłował ją zrozumieć. Powodzenia, mały. Potem dzieciak odpycha się stopami od podłogi — huśtawka podskakuje. Mały powtarza ruch i się rozpromienia.

Mama odpowiada mu uśmiechem. Zastanawiam się, czy tak się zachowywała przy mnie i Nan, kiedy byliśmy mali. Wydaje się... rozluźniona. Niemal spokojna. Szczęśliwa?

Czy to dlatego, że ojciec wziął sprawę adopcji w swoje ręce i to wszystko jest chwilowe?

— Mamo, może się okazać, że niedługo będę musiał go oddać... — zaczynam znów.

Już mniej niż dwadzieścia cztery godziny.

— Przyjdzie czas, będzie rada — odpowiada mama enigmatycznie. — Zobacz, co jeszcze przyniosłam; to twoja ulubiona książeczka z dzieciństwa. *Zajęty Timmy*. — Podaje mi małą żółtą książkę z rudym dzieckiem na okładce. Ponieważ dzieciak wygląda na jakieś trzy–cztery lata, mam nadzieję, że Timmy nie zajmował się tym, czym ja się zająłem w późniejszym wieku.

Nan zaczyna chichotać. Cal już prawie podskakuje na gumowych taśmach,

odpycha się nogami od podłogi i wznosi się coraz wyżej.

— Kupiłam mu też trochę ciuszków — mówi mama. — Twoje były bardzo brudne, więc nie mam zbyt wielu po tobie.

Oho, zaczyna się. Zniszczyłem swój fotelik bujany i garderobę. Niedługo się dowiem, że demolowałem pokoje hotelowe i rozbijałem zabawkowe gitary.

— Moglibyście nawet ubierać się w tym samym kolorze.

Cholera, nie.

— Dzięki, mamó. To... to fantastycznie, że przyniosłaś te rzeczy.

Mama mruga chwilę z zaskoczoną miną, po czym odzywa się żywo:

— Cóż... oczywiście. Przecież to dziecko. Nie jego wina, że pojawił się w taki sposób, prawda, Calvin? — znów do niego śpiewa. Calowi jednak się to podoba, gdyż mały przestaje podskakiwać, uśmiecha się do niej, po czym znów zaczyna się odbijać od ziemi i leci do góry, opada, znów do góry, znów opada.

— Pojawił się w sposób całkiem naturalny, mamó! — woła Nan z kuchni.

— Nanette Bridget! Nie musimy rozmawiać na takie tematy. Oboje dobrze wiecie, o co mi chodzi. Niewinne dzieci nie powinny cierpieć za grzechy ojców.

Jak się okazało, mama przyniosła też jedzenie, jakieś duże, zwinięte, kleiste naleśniki. W każdym kęsie zawierają po jakieś osiem kubków cukru, ale z kawą, którą zrobiła Nan, smakują całkiem dobrze. Cal podskakuje i śmieje się do nas, a my jemy. Jak rodzina.

Surrealistyczne uczucie.

1 Muhammad Ali — właśc. Cassius Marcellus Clay, ciemnoskóry bokser amerykański.

Rozdział czterdziesty piąty

Tim

Hester, jak to ona, nie daje mi w spokoju nacieszyć się Calem i dobrymi wydarzeniami. Pisze do mnie:

„Nie czuję się dobrze z tym, jak zakończyliśmy rozmowę. Rozumiem, jesteś zły, ale można na to spojrzeć z dwóch stron. Porozmawiajmy jak dorośli”.

Po tym ostatnim zdaniu odpisuję jej — z błędami, gdyż jestem wściekły.

„Dorośli? Nie widzę wielkiej młości macirzynskij”.

Telefon natychmiast dzwoni, akurat w chwili, kiedy wchodzi Alice z pudełkiem chińszczyzny.

— Jestem jego matką — mówi Hester niskim, drżącym głosem. — Nie masz prawa zachowywać się tak, jakby wszystko zależało od ciebie. Może nie masz tu nic do powiedzenia.

Rozłączam się bez słowa.

Ale po chwili dzwonię znów i przepraszam. Głupio byłoby robić sobie z niej wroga.

*

Zostało jakieś dwanaście godzin, jeśli laboratorium nie wybuchło albo próbka nie zginęła na poczcie.

*

We wtorek idę na trzy spotkania, co zajmuje cztery godziny, kiedy doda się czas na dojście i powrót (a ja dodaję).

*

Zawożę pana Garretta na fizjoterapię i potem na spotkanie. Pięć godzin.

Alice zastaje mnie, jak sprawdzam komputer, i zaciąga mnie pod prysznic. Nie wiem, ile czasu tam spędzamy, nie dość długo, chociaż ciepła woda kończy się na długo przedtem, zanim my kończymy. Ale mimo wszystko zużywamy dwie kostki mydła.

*

— Wiesz, nie musisz tego robić. Nikt cię nie zmusza — odzywa się Nan. Pożeramy lody w Doane's w centrum Stony Bay. Nan zamówiła sobie jakiś potwornej wielkości *banana split*, a ja podwójną kulkę czekoladowo-kawową.

— No i dobrze, prawda? Gdyby ktoś próbował mnie zmusić, na pewno bym tego nie zrobił. — Kładę Cala, garbiącego się na moich kolanach, tak żeby nie

widział największej pokusy w lokalu, czyli Vargasa — robota kurczaka z cukierkami przypominającymi ziarna kukurydzy. W dzieciństwie miewałem o nim koszmary, jeszcze gorsze później, kiedy się naćpałem. Cal wygląda nad moim ramieniem, wydaje z siebie mrozący krew w żyłach okrzyk, chowa się, znów wystawia głowę.

Nan mierzy we mnie łyżeczką.

— Naprawdę. Żaden sąd nie nakazuje testów. Jeśli się uparłeś, żeby go zatrzymać, jeśli nie musisz udowodniać ojcostwa dla żadnej agencji adopcyjnej, to jakie to ma znaczenie?

— Aaaa!

— Pssst. Cal, po prostu na niego nie patrz. Nan, to ty odegrałaś rolę węża w rajskim ogrodzie. Te twoje przypuszczenia, że każdy może być ojcem... Mam teraz przejść nad tym do porządku dziennego? Zresztą już za późno, wieczorem dostanę e-mail. Albo jutro.

Nan miesza łyżeczką w lodach, zamieniając je w błotnistą zupę.

— Możesz go usunąć, nie czytając.

Ale właśnie o to chodzi, że nie mogę. Głosy, które zawsze kazały mi iść po linii najmniejszego oporu albo unikać prawdy, zawsze okazywały się kłamstwem.

*

„Gratulacje! To E-Z! Kliknij dwa razy na link i postępuj zgodnie ze wskazówkami, by dotrzeć do faktów o twoim ojcostwie!!”

Dwa wykrzykniki? Poważnie. Co za entuzjazm.

Kursor zawisł nad linkiem.

Odsuwam mysz, zsuwam ją z podkładki. Gaszę monitor.

Jestem w mieszkaniu sam, jeśli nie liczyć Cala, który właśnie przysnął.

Jase w szkole, Nan też. Mógłbym do nich napisać i poprosić, żeby przyszli — ale to chyba zła karma.

Mógłbym podejść do Garrettów, usiąść z panią i panem G.

Mógłbym nawet zadzwonić do Hester, przecież ona jest w to zaangażowana tak samo jak ja, a może nawet znacznie bardziej.

Hm. A może nie.

Znów przesuwam myszkę. Sunę kursorem po ekranie. Klikam raz. Klikam drugi raz.

Alice

Kiedy wchodzę do mieszkania, jest w nim ciemno i zimno. Dochodzi dwudziesta trzecia.

— Tim?

Nikt nie odpowiada.

Tim śpi twardo, skulony na boku z wtulonym w niego Calem. Tim się nie porusza, ale Cal otwiera oczy i patrzy na mnie. Kładę dłoń na rudych loczkach.

— Dobra wiadomość — odzywa się Tim zaspianym głosem. — Jest twój.

Śmieję się cicho.

— I?

— Nie wiem jeszcze — chwyta mnie za rękę. — Pomyślałem, że przyda się czyjeś silne ramię, a Calowi jeszcze co nieco brakuje.

— Owszem, mam bardzo szerokie ramiona — mówię, siadając obok niego.

— Przerazająco szerokie. Joel mawiał, że sprawdziłabym się w futbolu.

— Ale oficjalnie jestem absolwentem liceum. Zdałem GED... chociaż tyle.

Całuję go, mówię, że to wspaniale — naprawdę wspaniale — ale on zatrzymuje mnie, kładąc mi palce na ustach.

— Muszę to po prostu zrobić, prawda, Alice?

Kiwam głową.

— Po prostu to zrobić — powtarza, podnosi się, siada obok mnie, podnosząc też Calą, potem wstaje i przechodzi do komputera. — Jedno kliknięcie. Proste. E-Z.

Siada na krześle, porusza myszką, żeby ekran się uruchomił.

Jego dłonie wsuwają się pod pachy dziecka. Cal wypręża się w jego stronę. Tim opiera czoło o czoło małego, bierze oddech. Podaje mi Calą.

— Chcesz, żebym ja to zrobiła? Ty go potrzywasz, a ja...

Tim kręcił głową, klika w link i czyta na głos:

— E-Z Gene, najlepszy i najtańszy zestaw do sprawdzania ojcostwa dostępny bez recepty zapewnia... i tak dalej... analiza pod kątem liczby odpowiednich alleli u potencjalnego ojca i dziecka... możesz być brany pod uwagę jako ojciec nawet przy zaledwie jednym pasującym genie... wyłączenie obejmuje... Boże, gdzie ten link?

Klika, zamyka oczy, otwiera je.

Ja zamykam oczy.

Cisza.

— Patrzyłeś?

Cisza.

— Tim?

Rozdział czterdziesty szósty

Tim

„Zajmowanie się własnym dzieckiem to rzecz normalna”.

— Chyba — przetykam ślinę raz, drugi — chyba jednak byłem tylko opiekunem.

Sięgam po Cala; oczy Alice lśnią od łez. Piękne kolory w tych oczach. Wycieram je rogiem kocyka Cala. Mały chwytą drugi koniec koca i próbuje wsadzić sobie do buzi.

— Aaaa? — Teraz sięga po mój nos.

Drobna zmarszczka między brwiami, zmartwione bruzdy, tak podobne do moich.

Ale najwyraźniej nie moje.

Mimo wszystko kładę na nich palec i je wygładzam.

— Ciiicho, Cal. Wszystko dobrze. Jestem tutaj.

Po twarzy Alice nadal spływają łzy, ale przynajmniej już nie szłocha. Wycieram je rogiem granatowego kocyka, jednej z niewielu rzeczy, które dla niego kupiłem, tak jak kaczuszkę, która zastąpiła powtarzające się wciąż małpki od Hester.

Jeśli Hester zatrzyma Cala — do czego ma prawo, to ja... ja... — nie — nie będę już w stanie chronić go przed głupimi małpkami. Nie będę mógł go chronić przed niczym.

Alice podaje mi dziecko, odwraca się na moment, wyciera oczy. Cal kiwa się w moją stronę, przytrzymuję go, może zbyt mocno, sądząc po gniewnym pisku.

Potem nagle znajduję się na łóżku, Alice stoi naprzeciwko mnie, dziecko między nami, jej ramiona obejmują nas obu. Byłoby miło móc zwymiotować albo coś zrobić, cokolwiek, ale nic się nie dzieje.

Cieszę się, że Alice nic nie mówi. Cieszę się, że nie mówi, jak jej przykro. Że wystarczają jej ramiona wokół mnie. Niemal wszyscy pozostali znajomi coś by powiedzieli, już słyszę ich głosy.

Nan: „Och, Timmy. Wiedziałałam, że coś tu nie gra. Ale nie musisz nikomu mówić”.

Jake: „Rodzinę można znaleźć w najmniej oczekiwanych miejscach”.

Mama: „To nie wina małego, że w taki sposób trafił na świat”.

Ojciec: „Dobrze, że uniknąłeś tej katastrofy. I tak byś sobie nie poradził”.

Jase, Samantha, państwo Garrett: „Jesteśmy tutaj”.

Dominic: „Chodź tutaj. Nauczę cię, jak rozebrać silnik harleya i znów go złożyć. Nad tym możesz zapanować”.

Waldo: „Wszystko zabrał wiatr w czasie długiej dziwnej podróży”.

Hester: „Nie miałam wyjścia. Teraz oboje możemy żyć dalej”.

— Więc... — odzywam się.

Alice bierze głęboki oddech, ale się nie odzywa, tylko obejmuje nas mocniej.

— Mogę skreślić z listy punkty „najprawdopodobniej nie zda matury” i „najprawdopodobniej zostanie nastoletnim ojcem”. Nieźle, prawda?

— Ale zostaw miejsce, żeby dopisać „najprawdopodobniej w końcu wszystko naprawi” — mówi Alice.

I wtedy zaczynają płynąć te przekłete łzy.

Rozdział czterdziesty siódmy

Tim

Czas, który włókł się jak ślimak, kiedy czekałem na wyniki badań genetycznych, teraz nagle przyspieszył.

Nie, Hester nie chce zatrzymać dziecka. Cala. Zapewne odtąd będzie już Calvinem czy jakie tam imię wymyślą dla niego nowi rodzice. Waldo, kobieta z ośrodka adopcyjnego znalezionej przez ojca i ojciec — który formalnie rzecz biorąc, nie ma tu już nic do powiedzenia, ale nigdy się tym nie przejmuje — siedzą w salonie Walda, a Hester i ja podajemy im przekąski i robimy herbatę lub po prostu trzymamy się z dala. Po całej tej gadaninie o byciu mężczyzną teraz mamy się zamienić w grzeczne dzieci i robić, co każą.

Alex Robinson musi podpisać dokument uznania dziecka, po tym, jak sam zrobił badania i dowiedział się, że wszystkie jego allele są tam, gdzie powinny być, żeby Cal był jego dzieckiem. Musi to podpisać, żeby potem załatwić kolejne formalności i zrzec się praw rodzicielskich, jak już znajdują się rodzice adopcyjni. Czy to tylko moje wrażenie, że to kompletny odpał? Coś jak małżeństwo z kimś tylko po to, żeby się rozwieść.

Jednak Alex nie widzi problemu, tyle tylko że ma przed sobą egzaminy i właśnie usuwa sobie zęby mądrości, więc załatwia papiery na odległość, bo tak łatwiej mu wpasować wszystko w swój grafik.

Lepiej też dla jego zdrowia, najwyraźniej.

Palant.

— Szkoda, że to nie ty... jeśli ci to pomoże — mówi Hester.

Kiwam głową, dziękuję, chociaż jej opinia, życzenia czy chęci nie robią mi wielkiej różnicy.

Stwierdzenie „nie rozumiem cię” będzie wracało jak refren w naszych rozmowach do samego końca.

Coś jak między mną a ojcem.

Kiedy rano wchodziliśmy do Hester, ojciec odciągnął mnie na bok.

— Eee... Tim.

Potem oczywiście, jak to on, sprawdził komórkę i zapatrzył się w przestrzeń. Wreszcie podjął:

— Jesteś zdolny przyznać, że to nie twój bałagan, nie ty musisz go sprzątać i potrafisz odejść. To dobrze. To oznaka dojrzałości.

Potem spojrzał mi w oczy z wyrazem, którego chyba nigdy u niego nie widziałem. Jakby faktycznie czekał na to, co powiem.

Co dziwne — nie miałem mu nic do powiedzenia.

Cały czas wydawało mi się, że gdyby był ze mnie dumny i mi to powiedział,

to by naprawdę dużo dla mnie znaczyło. Prawdopodobnie te słowa oznaczały coś w tym rodzaju, więcej nie mogę oczekiwać. Ale... to jak nagroda w konkursie, w którym się nie startowało. Tato, tak naprawdę dojrzałość wykazałem wtedy, kiedy nie odszedłem.

*

— Gdybym wiedziała tyle, ile teraz — odzywa się Hester — poprosiłabym cię o obecność przy porodzie.

Co za zmarnowana okazja.

— Przepraszam, że musiałeś cierpieć — dodaje. — Naprawdę nigdy tego nie chciałam. Dzięki twojej obecności w tym wszystkim czułam się mniej... samotna. Gdybym znów miała to przechodzić, nie wciągałabym cię w to wszystko.

— Tego bym nie chciał — mówię.

Hester skupia się na robieniu kawy; metodycznie, naukowo odmierza łyżeczki, ale po tych słowach unosi wzrok i patrzy na mnie badawczo.

— Naprawdę byś nie chciał? Gdybym mogła cofnąć czas, chyba bym nie powiedziała tego samego.

Mój automatycznie rodzący się gniew na Hester, który tak łatwo mnie przy niej ogarnia, najpierw zaczyna mnie zalewać, a potem ustępuje. Po raz pierwszy myślę, jak to dobrze, że Cal trafi do adopcji. Nie chce go ani matka, ani biologiczny ojciec. Nigdy się o tym nie dowie.

— Jakie to dziwne — mówi Hester. — Przez cały ten czas zdarzało mi się myśleć, że... że byłoby lepiej, gdybyśmy byli parą. Wtedy cała ta historia z nastoletnią ciążą byłaby mniej żenująca. Ale ty nie zakochałeś się we mnie, tylko w Calu. Naprawdę byłeś... jesteś... jego ojcem. We wszystkim, co najważniejsze.

Teraz zapewne powinienem ją uściskać albo zrobić coś podobnego.

— Ehm.. dzięki, Hester. Wiem, że dla ciebie to wszystko... było... cholernie trudne. I...

„Przepraszam?” To słowo utyka mi w gardle. Cholerny Alex Robinson powinien to z siebie wydusić.

Hester patrzy na mnie tymi dużymi, pytającymi oczami, tak podobnymi do Cala — przecież to jego matka. Oblizuję wargi, przetykam ślinę, znajduję właściwe słowa.

— Szkoda, że nie wyszło ci tak, jak planowałaś. Mam nadzieję, że dalej będzie ci się układać.

Przez moment moje dłonie zatrzymują się w okolicy jej ramion. Mój stary problem: co zrobić z rękami. Nie musiałem się tym przejmować, kiedy ręce miałem zajęte Calem.

Kiedy go dostałem, początkowo nie miałem pojęcia, co z nim zrobić. W ogóle nie rozumiałem, jak to działa. Zanim go oddałem, już wiedziałem.

Nauczyłem się, który płacz oznacza głód, gniew, zmęczenie, samotność. Wiedziałem, kiedy chce potrzywać coś w dłoni, a kiedy powinienem go odłożyć. Może nawet nie to, że ojciec nie próbował tego przy mnie — może po prostu zawsze nadawałem na częstotliwości, do której nie potrafił się przestroić. Nie jego wina i nie moja. Mam szczęście, że z Calem i ze mną wyszło inaczej, bo dużo bym stracił. I wolę tęsknić za nim przez długi czas lub nawet na zawsze, niż nigdy tego nie zaznać.

— Hester, przyjdź do nas, jeśli możesz — mówi pani Crawley, zaglądając do kuchni. — Dzień dobry, Timothy. Wciąż tu jesteś? Wszystko załatwiliśmy, możesz iść.

Wracać do swojego normalnego, codziennego życia.

Epilog

Alice

— Jestem na twoje rozkazy. Gdzie to tajemnicze miejsce, dokąd chciałaś nas zabrać? — pyta Tim, zacierając dłonie, gdyż oczywiście nie zabrał rękawiczek. W samochodzie jest włączone ogrzewanie, ale otworzyłam okno, więc Tim musi unieść głos, żeby się przebić przez szum opon.

— Gdybym ci powiedziała, nie byłoby już tajemnicze, prawda? Po prostu skręcaj w lewo i w prawo, kiedy ci każę.

— Jak sobie życzysz.

Zaplanowałam to — powtórzyłam kilka razy — tak jak to robiłam przy swoich pożegnaniach z byłymi, na przykład: „Było świetnie, ale to koniec”. Mimo wszystko. Przez większość drogi do plaży McNair spoglądałam na swoje rękawiczki, zdejmuję je, skubię skórki, zapinam i odpinam płaszcz, bawię się ogrzewaniem. Kiedy zaczynam bębnić palcami o nogę, Tim kładzie mi na nich dłoń.

— Alice, co się dzieje?

Przełykam ślinę.

— Muszę ci rzucić wyzwanie, jak w grze? Powiedz.

Spoglądałam na niego spod oka, potem znów na nasze ręce, na jego wystającą kość w nadgarstku i lekko podrapane kłykcie.

— Znów przełożyłam wyjazd do szkoły pielęgniarskiej. Tutaj skręć w prawo.

Tim patrzy na mnie, marszcząc brwi.

— Ale.. ale wybrałaś. Dostałaś się, już miałaś wyjeżdżać...

Po raz pierwszy, odkąd tam zadzwoniłam, czuję, jak zatyka mnie w gardle.

Ale... owszem. Ponieważ teraz mam wybór, własny wybór, nie jest to konieczność. Chociaż z zewnątrz wydaje się tym samym.

— Wciąż się tam wybieram, tylko dałam znać, że przyjadę za rok.

— Czy... czy ty to robisz... dla kogo to robisz, Alice?

— Dla siebie. Słuchaj, to najsensowniejsze wyjście. Szkoła nie zapewnia mi zakwaterowania, a w Nowym Jorku to już poważna sprawa. Pożyczka studencka mi przepadła, nie gwarantują mi jej drugi raz. Jeśli zostanę, to mam kolejny semestr w Middlesex na zdobycie doświadczenia w szpitalu, a kiedy powiększy się nam rodzina, będę w pobliżu. Tata doskonale sobie radzi, ale sam wiesz, że ma jeszcze sporo do zrobienia. Sklep sam się nie poprowadzi, więc to po prostu...

— Czy ja też byłem brany pod uwagę przy tej decyzji?

— Miałaś w tym swój udział.

— Miałem udział? A czy jest to dobre także dla ciebie?

— Tim.

Parking przy plaży McNair został zamknięty, więc zatrzymujemy się praktycznie w zaspie tuż przy wjeździe. Widać ocean — cienką kreskę w oddali nad ścieżką biegnącą między dwiema wysokimi wydrami, ze śniegiem pokrywającym piasek. Wydmy przypominają piramidy wznoszące się na tle cynowego nieba. Niskie chmury, z których już nie pada śnieg, unoszą się lekko, przepuszczając przyćmione ukośne promienie słońca.

Siedzimy tak bez słowa. Tim wciąż trzyma mnie za rękę. Głaszcze kciukiem po dłoni do nadgarstka, pochyla głowę, rude włosy spadły mu na czoło, a na karku lekko falują. Usta ma zaciśnięte, jakby chciał zagwizdać. Jednak się nie odzywa, a wokół panuje głucha zimowa cisza. Czuję tylko dotyk jego palca. Przechyliłam się do tyłu, uśmiecham, Tim uśmiecha się w odpowiedzi, pokazując dołeczki.

— Wiesz, że musimy iść na plażę — odzywam się w końcu.

— Musimy? Dobrze, ty wygrywasz wyścig do falochronu. Oddaję ci walkowerem.

Wysiada z samochodu, obchodzi go, otwiera mi drzwi, co wymaga nieco wysiłku przy tych zaspach. Śnieg sięga mi powyżej kozaków; idziemy z trudem, chwilami zapadam się powyżej kolan, wiatr znów się wzmaga, zwiewa nam włosy z twarzy. Tim wyciąga rękę — zatrzymuje się — potem brnie przez zasy, aż staje przede mną, schyla się, klepie po ramionach rękami — oczywiście wciąż bez rękawiczek. Chwytam go za szyję — „Tylko mnie nie uduś, Alice” — nogami oplatom go w pasie, Tim zarzuca mnie sobie na barana i idziemy w kierunku zatoki.

Przez kilka minut słyszę tylko szelest naszych kurtek. Tim oddycha z lekkim trudem (rozluźniam uścisk), ale potem, kiedy idziemy dalej, moje uszy napęlnia grzmot fal. Przypływ. Morze wygląda zupełnie inaczej niż latem, nie lśni turkusem. Docieramy na szczyt urwiska, przed sobą mamy rozgniewany ocean, fale uderzające mocno o brzeg, spienione, wodę ciemniejszą niż szare niebo, wściekle bijącą o piasek, potem cichy szum, kiedy fala się cofa, pociągając za sobą żwir, i kiedy potem znów naciera.

Zsuwam się z jego pleców, idę kilka kroków do przodu. Tim zdejmuje mi kaptur, obraca przodem do siebie, kurtkę ma mokrą od sypiącego śniegu. Oczekuję pocałunku, ale on tylko przykłada swoje zlodowaciałe ręce do mojej twarzy i mówi:

— Nie byłem tu od naszej ostatniej wizyty. To był dobry dzień.

— Owszem. — Szukam wzrokiem jego twarzy. Jego wpatrzony we mnie oczy mają kolor dzisiejszego nieba. Uśmiecham się. — To było również dokładnie dwa i pół miesiąca temu. Plus minus.

— Czyżby...? — mówi przeciągle i zamyka oczy. — Hm, możesz już wyjaśnić zagadkę? — ciągnie. — Historycznie rzecz biorąc, teksty dziewczyn wspominające o liczbie miesięcy... nieco mnie stresują.

— Nie! Nie o to chodzi. Boże, Tim, przecież tamtego dnia nie uprawialiśmy seksu na plaży.

— Niby nie, ale...

— To w ogóle nie o to chodzi. To raczej taka jakby nasza rocznica.

Tim zaczyna się śmiać, unosząc brwi. Potem poważnieje.

— Wiem, że trochę to naciągasz, ale też zdaję sobie sprawę, jaka jesteś sentymentalna. Kiciu... — Znow się uśmiecha, rozjaśniając całe niebo.

— Daj spokój. Masz.

Przesuwam ręce po jego ramionach, splatam je na karku, ciepłym pod zimnym materiałem kurtki, aż Tim się pochyła, wypuszcza powietrze w mój policzek, ustami znajduję jego wargi, które odsuwają się na moment; czuję ostry, cierpko-słodki zapach. Jego język smakuje dropsami cytrynowymi, od których ostatnio się uzależnił.

— Więc... — szepczę, kiedy udaje mi się złapać powietrze.

— Tak. Więc. Wiesz, nie jestem cierpliwy. — Jego dłonie zaciskają się na moich plecach, potem zsuwają niżej, unoszą mnie tak, że twarze mamy na jednym poziomie i idealnie dopasowujemy się ustami.

— Jak dotąd dałam ci plaster nikotynowy, buty i test na ojcostwo. Proponowałeś, żebym na rocznicę kupiła ci krawat, ale... uznałam, że powinnam dać ci coś bardziej romantycznego.

— Alice... całe to przełożenie wyjazdu to jak wszystkie prezenty choinkowe z całego życia. Wielki prezent. Ale... bardzo będę doceniał to, co mi dasz. Nieważne co.

Odsuwam się od niego, robię krok do tyłu, miażdżąc butami muszle pod śniegiem.

— Byłam tu raz po naszej wizycie, kilka tygodni temu. Rozmyślałam. Przeszłam aż tam. — Wskazuję odległy punkt plaży, gdzie ląd zatacza półkole.

— Imponujące.

— W każdym razie... — Nie zwracając uwagi na jego uniesione brwi, rozpinam kurtkę, wyjmuję coś z wewnętrznej kieszeni i zaciskam na tym palce. Jest nagrzane od ciepła mojego ciała. — Znalazłam to... — Wkładam mu w dłoń czerwony odprysk łupka, wygładzony przez ocean, kształtem przypominający serce. — Ma zagłębienie o tutaj, widzisz, możesz go obracać w palcach, jak chcesz się uspokoić, kiedy... kiedy musisz coś zrobić z rękami. Mówisz, że nadal masz z tym problem. A już wiem, że na pewno nie zajmiesz się struganiem figurek.

W końcu spoglądam mu w twarz. Usta ma lekko rozchylone — też lekko spierzchnięte — oczy spokojne i... czułe... jakich nigdy dotąd u niego nie widziałam.

— Dziękuję — mówi cicho i wkłada kamyk do kieszeni, jednocześnie pochylając się po kolejny pocałunek. Tym razem to lekkie muśnięcie warg,

spełniony potencjał, przypieczętowanie obietnicy.

— Chociaż, jak zauważyłem, nie opakowałaś go.

— Jestem zbyt skąpa, żeby kupować papier ozdobny. Po co chować prezent i jeszcze dokładać ci roboty? To przesada.

Tim

Niewiarygodne, ale prawdziwe: faktycznie zaznaczyłem ten dzień w kalendarzu. Może bardziej zrobiła to Alice niż ja, ale owszem, krzyżyk oznacza dzień w grudniu, kiedy oficjalnie upływa termin wyznaczony przez ojca.

X to data ważności.

Przypada dzisiaj.

Kiedy zakreślałem dzień w kalendarzu jedynym długopisem, jaki znalazłem, w którym kończył się wkład, jakże symbolicznie — tak to właśnie wyglądało: tego dnia miało się skończyć tykanie i bomba miała wybuchnąć.

Teraz stoję tutaj w ręczniku, prosto spod prysznic, staram się sprawdzać, jak funkcjonuje moje ciało; to nowa metoda Alice na opanowanie ataków paniki. Nie czuję wilgoci w oczach, chociaż ostatnio trochę się rozklejałem. Nie czuję drapania drutu kolczastego w gardle. Nie mam wrażenia, jakby poraziły mnie odłamki bomby, a moje tkanki i kości rozrywały się na kawałki. Oczywiście, czuję to wszystko, ale nie tak jak przedtem, nie jak zwykle; tym razem pomogłaby mi przekąska albo wspólny prysznic z Alice. I z wyjątkiem tego krzyżyka w kalendarzu dzień wygląda akurat tak samo jak reszta.

Kolejny zwykły dzień.

No może oprócz tego, że jest Wigilia. Czyli jednak coś jest.

Moja pierwsza wizyta w nowym mieszkaniu Cala, czyli jednak nie jest tak jak zwykle.

Wydaje mi się, że jak na adopcję ta poszła szybko. Mnie się tak nie wydawało, innym pewnie też, może oprócz Alexa Robinsona. Od razu wiedziałem, że to najlepsi kandydaci na rodziców adopcyjnych, ale Hester była... niezdecydowana, Waldo udzielał mglistych rad, a ojciec, który na początku wtrącał się dokładnie we wszystko, kiedy już przyszło co do czego, wymiksował się, gdyż jego część — jak twierdził — się zakończyła.

Im bardziej wszystko się zmienia... Prawda?

Po dniu, w którym oddałem Cala — nie chcę o tym myśleć, dzięki — spróbowałem dać nowej trójosobowej rodzinie czas, żeby mogli nawiązać więź i poczuć się ze sobą dobrze, stworzyć... no wiecie, rodzinę.

W kalendarzu ten czas zajął trzy odcinki — a jeśli mam być całkowicie szczerzy, to dwa i pół dnia. Wciąż pracuję nad cierpliwością. Ale — jak przypomniał mi Dominic — czyż nie wszyscy tak robimy?

Odwiedziny u Cala w miejscu innym niż mieszkanie nad garażem, z ludźmi,

którzy się nim opiekują, chociaż nie są mną?

Tak.

No cóż.

Trzy razy zmieniałem koszulę. Poważnie. Jakbym szedł na cholerną rozmowę o pracę. To dzieciak, który wypłuł mi na koszulę praktycznie wszystkie możliwe substancje, nawet krew, gdyż kiedy go unosiłem w dzień zamiany, walnął nosem w mój obojczyk, zaczęła mu się sączyć krew, pokazał się mały siniak — oddałem więc dziecko przypominające boksera po przegranej walce.

Po rozwiązaniu dylematu koszuli układam listę, częściowo po to, żeby mózg mógł się wyłączyć. Może po dniu ostatecznego terminu został mi w głowie jakiś odłamek szrapnela.

1. Zostawić prezenty świąteczne dla mamy, ojca i Nan. To pierwszy rok od cholera wie jak długiego czasu, kiedy w ogóle kupiłem prezenty, więc zapewne ucieszą się ze wszystkiego. Dla mamy zdjęcie Cala w stroju Świętego Mikołaja. Zdjęcie Cala i mnie strzelone przed sklepem Vargasa dla mojej siostry — Cal wrzeszczy, Nan śmieje się nerwowo. Zdjęcie Cala, Nan i mamy dla ojca, z kartką, która podpowiada, żeby powiesił je w gabinecie. Ponieważ wciąż jestem palantem.

2. Pójść na spotkanie. Będę tego potrzebował po odwiedzinach u rodziców.

3. Odwiedzić Cala u Jake'a i Nate. Będzie dobrze. Na miłość boską, przecież już u nich byłem.

4. Potem do domu. Wigilia u Garrettów. Nie wiem, co to w ogóle znaczy. Jeśli będzie mi sprzyjało szczęście, może Alice wpadnie na noc? A może za bardzo liczę na szczęście, skoro to noc przed świętami, ale co tam.

5. Potem kolejne kilka kwadracików kalendarza, a potem kolejny kalendarz, ale bez dziewczyn na motorach, jak w tym zostawionym przez Joela.

Alice

W produkcji ciasteczek świątecznych weszłam już w swoisty rytm. No dobrze, kilka dodatków się pokończyło — na przykład półsłodkie płatki czekoladowe, które kupiłam wczoraj — ale kluczem do sukcesu jest elastyczność i tak dalej.

Pracuję nad tym.

Harry zachodzi mnie od tyłu, łyżką sięga do mieszanki ciasta i wylizuje ją szybko, mlaskając.

— Spadaj! — Ledwie zdążę wymówić to słowo, a on już leci do zlewu,

wypluwa mieszankę i zaczyna oblewać sobie język wodą z kranu. — Przecież nie jest aż tak niedobre. Należy ci się za jedzenie surowego ciasta!

— Paskudne. Okropnie paskudne! — wyrzuca z siebie Harry, wycierając język ściereczką kuchenną.

— Na pewno nie aż tak — odzywa się mama ze swojego siedzenia przy stole kuchennym, gdzie próbuje naszyć bawełniane pomponiki na cielisty trykot Patsy, ponieważ mała jest owieczką w tegorocznych jasełkach w kościele. Początkowo nakleiliśmy pompony, ale Patsy wciąż znajduje kostium i je odrywa.

— Patsy będzie owieczką po strzyżeniu — stwierdził tata pogodnie, kiedy mama straciła cierpliwość. — Da radę.

Mama dłonią wytarła oczy.

— Mamy szczęście, że Patsy nie jest krwiożerczym kojotem.

— Grrrr! — włączyła się Patsy.

Teraz mała wali głową w moją nogę.

— Gdzie Hon? — powtarza. Telefon zaczyna mi dzwonić (Brad — nie odbieram), Duff spróbował ciasta i się zastanawia, czy to czekolada, czy ekskrementy, a Jase z Joelem wchodzi po braterskiej sesji ćwiczeń, roztaczając wokół zapach wody kolońskiej à la spocony chłopak, doprawionej odrobiną kawy i podbitej aromatem bekonu.

Joel bierze jedno z moich pierwszych ciastek pieczonych na próbę i jak frisbee rzuca Jasowi.

— Orientuj się!

Jednak Jase sprawdza telefon; ciastko uderza go w pierś i się odbija.

— Karny! Teraz musisz to zjeść! — podśpiewuje Duff.

— Histeria — kwituję ich. — Idę się przebiec. Sami sobie róbcie te cholerne ciasteczka.

Tim

Stoję przed drzwiami wejściowymi rodziców, które jak zawsze na święta zostały ozdobione stadem wypchanych głów reniferów. Te głowy wiszą na drzwiach, błyszczą czarnymi oczami i miękkimi białymi rogami. Zemsta Rudolfa: w te święta rodzina reniferów wreszcie się doigrała. Prostuję palce, pukam, a sekundę później porywa mnie huragan pod nazwą mama.

— Na miłość boską! Nie marznij na dworze, ale proszę, wytrzymaj nogi i nie rozrzucaj śniegu po dywanie.

Zakłopotanie narasta lawinowo już w ciągu pierwszych pięciu minut wizyty w tym pokoju z lśniącym jeziorem z lustra i lalkami świątecznymi, które z rozdziawionymi ustami wyglądają bardziej tak, jakby wrzeszczały, niż śpiewały. Kolejne lalki wiszą na choince.

— Nanette! — woła mama. Wchodzi Nan z Troyem, z kuchni, gdzie chyba

piekli brownie, bo właściwie czemu nie.

— Tylko do użytku nefarmaceutycznego, koleś.

Prostuję ramiona, czuję ogień w żołądku, czekam, aż mama lub Nan zapytają albo powiedzą cokolwiek o Calu lub jego nowych rodzicach. Ale nic z tego. Nan obejmuje mnie trochę tak, jakbym się dławił, a ona mnie ratowała, a mama prawie wpada w nerwicę na widok rozdarcia na ramieniu mojej kurtki. Oprócz tego jednak nie ma dramatów, niemal już mogę iść, ale wtedy...

— Tata chce cię zobaczyć w gabinecie.

Cholera.

Właściwie, to mogę... nie iść. „Sam wybierasz, dokąd nogi cię poniosą” — to znów Dominic, mój osobisty Świerszcz Jiminy₁ w kostiumie portugalskiego rybaka.

Ale idę. Ponieważ... bo tak.

Im bardziej wszystko się zmienia...

Zdjęcia znów stoją na biurku, ale w akwarium nie ma ślimaków (!). Ojciec sprawdza komórkę. Wygląda to tak, jakby w sierpniu ktoś zamroził tę scenę lub teraz przeniósł mnie magicznie do tamtego dnia.

— Hej, tato — odzywam się, nie siadając na kanapie. — Wesółych świąt.

Ojciec odkłada telefon, unosi dłoń w powietrzu gestem, jakim każe się psu usiąść.

„A jeśli usiądę, to dostanę ciasteczko?”. Już czuję, jak w moich żyłach krew krąży mocniej, zamieniam się w łobuza Tima.

Po raz pierwszy widzę, że z wysokości krzesła ojciec automatycznie góruje nad wszystkimi, którzy usiądą na kanapie. Ale i tak siadam, rozkładam ramiona na oparciu, zgiętą nogę kładę na kolanie drugiej.

Nieźle. Ojciec może sobie wygrać w konkursie na wielkich tego świata.

Chrząka.

Też chrząkam. Przesuwam palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka.

Przez moment nikt z nas się nie odzywa. Ojciec bierze do ręki długopis, parafuje jakiś dokument, potem postukuje długopisem o podłokietnik krzesła.

Stuk. Stuk, stuk, stuk. Stuk.

— Zrobiłeś to, co trzeba — odzywa się po wymaganym wieku milczenia.

Czy to ojciec ma jako jedyny wspomnieć o Calu?

— Fundusz na studia zostanie zapisany na ciebie. Będę ci opłacał składki zdrowotne i ubezpieczenie samochodu. Kieszonkowe się kończy, gdyż masz osiemnaście lat, ale resztę będziesz otrzymywał. Na stałe. Wesółych świąt.

Jeszcze nie skończył, kiedy ja już wstaję, a przy słowie „kończy” przysuwam się blisko jego fotela. W jego oczach widzę błysk — zaniepokojenie?

— Dzięki — mówię.

Zasługuję na półobrót krzesła i odłożenie telefonu.

— Ale nie trzeba. Nano może przejąć mój fundusz, przyda jej się na Columbii, jeśli się dostanie. „Niech ryczy lew”². Wesołych Świąt.

— Myślałem, Tim, że już nie podejmujesz pochopnych decyzji.

Ja jednak jestem już za drzwiami gabinetu; ojciec idzie za mną, chociaż ja z daleka pożegnałem się z mamą i Nan — oraz Troyem — po czym wychodzę na schody przed wejściem.

Znów pada śnieg, mokry, który przylega do ubrania i na nim zostaje; zawiewa wiatr, płatki wlatują mi za kołnierz. Drzewa się trzęsą, na ulicę spadają z plaśnięciem kupki śniegu z gałęzi. Zasy po bokach drogi mają już kolor brudnobrązowy.

Odwracam się do ojca, który akurat poślizgnął się na oblodzeniu — łapię go za rękę, żeby się nie przewrócił. Palce ma rozczapierzone, jakby wciąż spadał, nie trzyma się mnie. Odzyskuje równowagę, sięga do kieszeni swetra. Po komórkę? Pięćdziesiąt dolców? Ale wyjmuję pustą dłoń, przez moment przygląda się jej, podczas gdy ja wsiamam do samochodu i zapinam pas.

— Kup Nan wykształcenie wyższe, tato. A mamie koktajl mleczny.

*

Tak, owszem, mamy prywatność, chociaż nikt tak tego nie nazywa. Jake musi coś mieszać na kuchence, a jego partnerka Nate wisi na telefonie i musi odzwonić do jednej czy dwóch osób. Zostaję sam z Calem, Cal ze mną, w salonie z wielką choinką, menorą i przeszkloną serwantką pełną zniszczonych piłek baseballowych i staroświeckich rękawic.

Wychodząc z pokoju, Jake rzuca mi spojrzenie, po czym wkłada Cala do czegoś w rodzaju talerza. Może oddanie dziecka po tym, jak się już znalazło po drugiej stronie i poczuło rodzicem, jest równie ciężkie. Już ciężkie, nawet po tak krótkim czasie.

Cal zaciska i prostuje pięści, wyciąga ramiona gestem, jakim zwykle prosi o wzięcie na rękę.

— Bob!

— Już zapomniałeś, jak mam na imię, co?

Jego nos wygląda lepiej, siniak jest ledwie widoczny. Mały ma na sobie nowy strój, dzinsy i zapinaną koszulę z dużym owalnym śliniakiem. Ale bez skarpetek. Leżą obok kanapy jak ofiary wypadku na autostradzie. Dzieciak wciąż usiłuje zdjąć z siebie co popadnie.

Oczywiście próbuje wepchać sobie do buzi kołnierz koszuli. Wyjmuję mu go z ust, wtedy on wpija mi się w palec dwoma ostrymi dolnymi zębami. Wyrrywam go, wtedy on zamierza się na mój nos.

— Au, Cal.

— Bob — odpowiada mały stłumionym głosem, gdyż usta zacisnął na moim

nosie.

Może to jego nowe imię.

Nie moja sprawa.

Prawda?

Od samego początku nie znosiłem imienia Calvin. Teraz zaś chciałbym wytatuować je na ramieniu dziecka, żeby zostało na zawsze.

Czas iść.

Wołam Jake'a, który wychodzi z kuchni rozczochrany i wkurzony.

Przepraszam automatycznie za to, co narozrabiałem. On kręci głową, uśmiecha się do podłogi, a potem do mnie.

— Myślisz, że każę ci robić dziesięć kółek, jak wtedy, kiedy byłeś wyszczekany gimnazjalistą?

To by było łatwiejsze.

Jak się okazuje, Jake się wkurzył, gdyż Nate zabezpieczyła palniki przed dzieckiem, a Jake nie umie ich włączyć.

Całuję Cala w czubek puszystej rudej główki, brzegiem koszuli szybko wycieram mu zaślinioną buzię i podaję ruchem Hester, szybko, jakby palił mnie w rękę. Wychodzę szybko na zewnątrz, Jake idzie za mną jak ojciec, ale nie tak samo.

„Powiedz: «Wesołych Świąt», podziękuj za wizytę i nie pytaj, jak chcą mu dać na imię”.

W tej chwili Jake zadaje mi to właśnie pytanie.

— Ee, nie przeszkadza mi Calvin. Tak właściwie.

Jake rzuca mi dziwne spojrzenie. Jak się okazuje, pytał, jak Calvin ma mnie nazywać.

— Wujek Tim? Po prostu Tim? — podpowiada.

— Jak będzie wygodniej, byle nie „Tim, który daje zły przykład”.

— Byle nie było to „A kto to Tim?” — poprawia mnie Jake i przyciągnąwszy do siebie, lekko obejmuje. Pozwalam mu.

*

— Czekasz na kogoś? — pytam poprzez obiekt mojego najnowszego uzależnienia — lizaka z nadzieniem czekoladowym.

Alice rumieni się, jest spocona na skroniach, a w czarnych spodniach narciarskich wygląda odjazdowo.

— Tylko odgarniam śnieg — dyszy. Dotarła do połowy podjazdu. Zostawiła za sobą ścieżkę, chociaż garbus skrył się pod białą zaspą, a furgonetka ma oblodzone wszystkie swoje zadrapania i wgniecenia.

Alice zagryza palec rękawiczki, ściąga ją, brnie w śniegu i ujawszy mnie pod łokieć, patrzy mi w oczy.

— Zatem? Cal? Ty? Jake i Nate? Jak poszło?

Tylko odgarnia śnieg, hehe.

Ciekawe, od jak dawna siedzi na dworze. Rzęsy ma oszronione, usta spierzchnięte, oczyściła już ścieżkę od schodów do garażu.

Och, Alice.

Wyjmuję lizaka z ust.

— No wiesz. Bardzo wzruszająco. Niewymownie. Wszyscy płakaliśmy. Cal zrobił mi własnoręczny prezent na święta. To używana pieluszka, ale liczy się pamięć. Usiedliśmy we trójkę przy ponczu bezalkoholowym, śpiewaliśmy *Co to za dzieciątko*, a nie, raczej *Czyje to dzieciątko*, a potem...

Alice przykłada mi do ust dwa zimne palce.

— Tim, daj spokój.

Wzruszam ramionami. Znów sypie gęsty śnieg, który zbiera się na jej białej włóczkowej czapce i ramionach jaskrawoczerwonej kurtki. Nos ma lekko różowy. Alicja w Krainie Czarów w stylu zimowym. Powinniśmy wejść do domu i się ogrzać — to by było naprawdę miłe — ale zamiast tego wsuwam dłonie w kieszenie, przytupuję i próbuję zabrać jej szuflę.

— Tim!

— No wiesz, Cal ma odjazdowy, naprawdę wielki pokój, Jake i Nate szaleją, pod choinką czekają na niego miliony prezentów, a ponieważ moim najnowszym pluszakiem dla niego był pies, naprawdę mu się bardzo poprawiło. Cały dom jest już przygotowany na dziecko, zabezpieczony i ma wszystkie szykany, więc wszystko dobre, co się dobrze kończy czy jakoś tak. — Schylam się, nabieram śnieg, udaje mi się przerzucić kilka razy, zanim Alice postawi stopę na szuflę i przesunie dłoń w rękawiczce po moim barku w górę, tam, gdzie pulsuje żyła na karku.

— Wydaje się, że wszystko poszło doskonale. A teraz poproszę o normalne sprawozdanie, bez tych kretynizmów. Czy może mam ci zadawać pytania?

— Wniosek ten sam. Dobrze mu tam. To właściwe rozwiązanie.

— I?

— I będzie kiepsko. Przez jakiś czas. Ale przeżyję. Mam teraz wiele powodów, żeby żyć, gorąca Alice.

*

W końcu będę musiał powiedzieć Alice więcej. O pieniądzach na studia i o tym, że praktycznie jestem splukany. Ale wśród wszystkich „wyzwań”, przed jakimi stoimy, nie sądzę, bym miał zostać jej utrzymankiem.

Owszem, idę za nią do domu Garrettów. Widzę Patsy w drzwiach, oddechem rysującą małe kółka na szybie, z dłońmi — większe rozgwiazdy niż Cala — rozczapierzonymi na szkle.

Wigilia u Garrettów. Jak mówiłem, nie wiem, co to oznacza.

Nie ma specjalnego adwokata mamy podprawionego whiskey, kolacji w klubie, dziwnego zespołu, który zawsze tam śpiewa, bladej i spiętej twarzy Nan, jakiejś dziewczyny w zielonym aksamicie, na którą wpadłem i którą usiłowałem zaciągnąć w ustronny kąć w drodze po poncz lub w poszukiwaniu własnej głowy.

I nie ma wieczoru, którego z reguły nie pamiętałem.

Dzisiaj będzie inaczej.

Sądząc z tego, co już widziałem tej zimy, wiem, czego się spodziewać: ognia, bardzo solidnego, gdyż ułożył go Jase, a to prawdziwy architekt w układaniu drewna. Trzasku, kiedy strzelają iskry. Gorącego kakao i cydru. Alice w niebieskiej piżamie i puchatym szlafroku, który leży na niej... prześlicznie. Harry i Duff, którzy od tygodnia mają czerwono-białe twarze lepiące się od lizaków, skaczą wokół i rozrabiają na całego. Ubrania suszące się przy ogniu rozsiewają zapach mokrego psa. Pan Garrett czyta bajki, naśladując głosy, a jeśli opuszcza duże fragmenty, to tylko po to, żeby nie przstraszyć George'a.

Tyle razy, siedząc przy kominku u Garrettów, trzymałem Cala; przez większość czasu starałem się dzielić przestrzeń na kolanach między niego i Patsy, jednocześnie pilnując, żeby nie zjadł twardego ziarna z popcornu ani nie dostał się w pobliże ognia. Dzisiaj będzie inaczej.

Na kominku wisi podwójny rząd skarpet, żeby starczyło dla wszystkich. Jest też jedna dla mnie. I dla Cala. Nie byliśmy pewni, czy do adopcji dojdzie przed świętami.

Ale mam wrażenie, że i tak by ją dla niego zawiesili.

*

Zatem nic nie ginie. Cal nie zginął i to nie tylko dlatego, że nadal pozostanie drobną częścią mojego życia. Będę go nosił ze sobą tak, jak nosi się wspomnienia i przeszłe błędy. Zaczął jako błąd, którego nie pamiętałem, a skończył jako moje dziecko.

Może błędem jest sądzić, że nagle pojawi się jeden człowiek, który da ci wszystko, czego potrzebujesz — tak samo jak błędem jest szukanie prawdy w butelce. Może to, czego potrzebujemy, znajdujemy w drobnych kawałkach w ludziach, którzy zjawiają się w naszym życiu na jeden kluczowy moment — lub cały ich ciąg — nawet jeśli nie rozwiązują wszystkich problemów. Może to jest sekret dużych rodzin, takich jak Garrettowie... albo AA. Co chwilę ktoś inny okazuje siłę. Jest nas więcej niż kłopotów.

1 Świerszcz Jiminy — postać z *Pinokia*, przydzielona tytułowemu bohaterowi przez wróżkę i pomagająca mu odróżnić dobro od zła.

2 Niech ryczy lew — aluzja do tekstu hymnu sportowców Uniwersytetu Columbia.

Podziękowania

Codziennie przybywa ludzi, którym należą się podziękowania w związku z moim pisaniem. Każdy list od czytelnika, uwaga u blogera, komentarz lub pytanie od bibliotekarza... moja wdzięczność jest bezgraniczna. Nie mogłabym znaleźć się tutaj i tak się tym wszystkim cieszyć bez Waszego czasu, wysiłku i życzliwości.

Dotyczy to Was wszystkich, począwszy od mojej nadzwyczajnej, błyskotliwej pani redaktor, Jessiki Dandino Garrison, która zawsze wie, czego potrzebuję ja sama, czego wymagają moje postacie, sceny miłosne i same książki, zanim jeszcze ja się tego dowiem — po czym podsuwa mi przymiotniki, pomysły na rozwinięcie fabuły, wykrzyknienia, pytania i... ciasteczka. Jej wkład daleko przekracza zwykłe obowiązki służbowe. Jessica jest nieoceniona.

Całe wydawnictwo Penguin Random House, które stoi za mną murem: Lauri Hornik, Namrata Tripathi, Dana Chidiac, Jasmin Rubero, Maya Tatsukawa, Lily Malcom, Kristen Tozzo, niesamowita Tara Shanahan i wszyscy co do jednego z działów sprzedaży, marketingu, projektowania, redakcji, produkcji i praw zależnych, którzy mieli swój udział w życiu tych książek, jak utalentowana Theresa Evangelista i tylu innych czarodziejów za kulisami.

Christina Hogrebe – moja agentka/cudotwórczyni/wnikliwa krytyczka/rozsądna doradczyni przy fabule i w sprawach biznesowych oraz przyjaciółka od serca zarówno moja, jak i moich książek. Od samego początku jesteś jedną z najlepszych, najbardziej błyskotliwych i zadziwiających darów losu. Zwykle „dziękuję” nie wystarczy. Wdzięczność jest nieskończona.

Reszta zespołu w JRA, zwłaszcza Andrea Cirillo, Meg Ruley, Rebecca Sherer, Jessica Errera i Jane Berkey.

Wielki okrzyk na cześć wszystkich przyjaciół Tima, którzy uwierzyli w tę opowieść, i tego chłopaka od samego początku: dla moich nieocenionych speców od fabuły: Shaune Cole, Jennifer Iszkiewicz, Karen Pinco i Kristan Higgins. Tak, cudowna KH, wspaniała jako przyjaciółka i jako pisarka – hojnie wspomagała mnie swoim czasem i życzliwością, zawsze chętna, by zaszyć się w ukryciu ze mną, Timem i Alice i wydobyć na światło dzienne coś dobrego.

Podziękowania z głębi serca dla Deb Caletti, Trish Doller, Jennifer Echols oraz (znów) Kristan Higgins za ich życzliwe, bardzo życzliwe uwagi do książki.

Przyjaciołom z daleka i bliska, którzy czytali, słuchali, podpowiadali mi w sprawach samochodowych, medycznych, tłumaczyli z „męskiego” – zwłaszcza Alicii Thomas, której trafne uwagi poprawiły książkę. Gorące podziękowania dla Kim i Marka Smithów, Pauli i Roya Kuphala, przewspaniałych Apocalypsies oraz grupy krytycznej FTHRWA, zwłaszcza Any Morgan, Amy Villalba oraz śp. Ginny Lester.

Oczywiście jak zawsze mojemu tacie, bratu Tedowi, Lesliemu i Grace Funstenom. Coletcie Corry, która spędziła niezliczone godziny ze mną i z Timem. Tinie Squire, przyjaciółce na całe życie.

Brianowi Fordowi — kiedyś mojemu nauczycielowi, teraz koledze po piórze, zabawnemu, cierpkemu, wielkodusznemu i mądrymu w swoich uwagach, który zawsze proponował: „Pokaż mi to”, kiedy utykałam na którejś scenie i który spędził w tym namiocie niemal tyle samo czasu, ile ja i bohaterowie.

Wreszcie tym, którzy każdego dnia napęniają moje życie śmiechem, miłością, praniem i czystą radością: mojemu mężowi Johnowi oraz K, A, R, J, d i molowi książkowemu C – jesteście dla mnie wszystkim.

